DZIEJE NARODOWEJ LITERATURY POLSKIEJ

ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE NARODOWEJ LITERATURY POLSKIEJ

CZĘŚĆ PIERWSZA

WARSZAWA 1924

INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLJOTEKA POLSKA“

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Zakłady graficzne Instytutu Wydawn. „Bibljoteka Polska“ w Bydgoszczy

PRZEDMOWA

Książka niniejsza nie jest wyciągiem ani streszczeniem dwutomowego dzieła mojego p. t. „Dzieje Literatury Polskiej w zarysie"; świadczy o tem zupełnie odmienny jej układ i wykład.

Jako cel przyświecało mi zobrazowanie całości literatury ojczystej bez wyliczania mniej ważnych szczegółów, nakreślenie jej rozwojowej ciągłości bez uwzględniania drobniejszych okazów, nie zmieniających w niczem głównych jej rysów. Z zasady ograniczałem się do literatury narodowej, polskiej, nie łacińskiej, ani francuskiej, wspominanej tylko tu i owdzie; wymieniałem utwory bardziej wartościowe, a choćby tylko znamienne dla danej epoki, pomijając mnóstwo tytułów i nazwisk, ani myśląc o ich wyczerpaniu. Coby człowiek wykształcony o literaturze narodowej a pięknej, najwierniejszem duszy narodowej odbiciu, wiedzieć winien, tom zestawił, wyłączając zgóry wszelkie bibljo- i biografje, wszelkie rzeczy wątpliwe lub sporne, a przedewszystkiem wszelkie przytaczanie ustępów z omawianych tu dzieł, nie chcąc uszczuplać drobnych i tak rozmiarów tej książki; chodziło mi bowiem tylko o to, by wskazać to, co godne trwałej pamięci. Jedynem życzeniem mojem jest, żeby ten całkiem popularny wykład nie rozminął się z powyżej wytkniętym celem.

Autor.

CZĘŚĆ PIERWSZA

LITERATURA POLSKI NIEPODLEGŁEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POCZĄTKI. MIKOŁAJ REJ.

Wieki średnie. — Wiek szesnasty. — Literatura łacińska a polska. — Rozwój piśmiennictwa polskiego pod wpływem parlamentaryzmu i reformacji. — Nowa Polska. — Rej.

Dopiero w roku 1554 wzeszło po raz pierwszy słońce poezji polskiej — a wzeszło na niebie obcem, bo włoskiem. Nie stało się to przypadkiem. Poezja polska wyprzedziła niemiecką o lat kilkadziesiąt; o lat kilkanaście pozostała wtyle za francuską, a o całe wieki za włoską. Zachodziła jednak walna różnica między literaturą polską, a każdą inną — romańską czy germańską — bo każda z tych ostatnich miała za sobą bogaty rozwój średniowieczny i albo mu się przeciwstawiała, jak francuska, albo o nim zapominała, jak niemiecka, albo wreszcie opierała się na nim, jak włoska; polska natomiast nie posiadała przeszłości, bo nie miała swego okresu średniowiecznego. Ubogi, mało zaludniony, acz rozległy kraj; niemal odcięty od morza i jego dobroczynnych wpływów, bez znaczniejszych dróg handlowych, znajdował się przez całe wieki jakby na uboczu poza Europą; nawet chrześcijaństwo przyjął o cały wiek później, niż sąsiednie, spowinowacone Czechy. Miasta jeszcze tu nie istniały, przemysł był pierwotny, potrzeb umysłowych nic nie budziło; znało je je-

dynie duchowieństwo — nieliczne, przesycone żywiołem obcym, wyjątkowo tylko kształcone zagranicą. Nawet po klasztorach mało dbano o naukę. Życie jednostajne, szare, patrjarchalne, tradycyjne a bezmyślne przeciągało się w nieskończoność, wyprawy krzyżowe nie wywołały żadnego odgłosu; nie zwalczano nawet pogaństwa, okalającego Polskę od zachodu i północy. Gdy nakoniec duchowieństwo uczuło potrzebę jakiegoś wystąpienia przed światem, polecono pióru obcemu to zadanie, a spełnił je nie Niemiec, choć ich w kraju zapewne nie brakło, lecz Francuz. Ma to niemal symboliczne znaczenie: mimo bliskości Niemiec sięga Polska niemal stale poza nie, gdy chodzi o kulturę duchową, a nie wyłącznie o materjalną; duch polski nie miał się nigdy łączyć z sąsiednim niemieckim. Rola Niemców zato polega na zakładaniu od połowy trzynastego wieku miast, jak Kraków czy Poznań, i wsi, dostarczających nietylko, jak pierwotne polskie, surowców i pracy obowiązkowej, lecz nadto dochodów pieniężnych. Zmieniał się więc powoli, w ciągu półtora wieku, szczególnie za podnietą Kazimierza Wielkiego, wygląd Polski, zacofanej doniedawna bardzo, nawet wobec najbliższych Czech. Miasta były niemieckie, a ich mieszkańcy, koloniści niemieccy, oddawali się wyłącznie zabiegom materjalnym. Potrzeby umysłowe jeszcze nie istniały. Wszechwładza łaciny była dowodem niskiego stanu kultury, a zupełnego braku literatury narodowej. Powołał ją do życia najpierw głód słowa bożego, który się właśnie już, a raczej dopiero, w trzynastym wieku obudził pod wpływem silnych wstrząśnień zewnętrznych, wywołanych zarówno przez nowe zakony, jak i przez nowe plagi: tatarską i morową. Już nie zadowalano się w kościele samem powtarzaniem za księdzem słów modlitwy Pańskiej „Wierzę w Boga“ i słów spowiedzi powszechnej. Wiek trzynasty, wiek świętych polskich, wzbudził potrzebę naucza-

nia wiary w języku narodowym, szczególniej ze względu na kobiety, które języka ksiąg świętych zupełnie nie znały.

To też w drugiej połowie trzynastego wieku powstała pierwsza pieśń nabożna polska, a z ambony po raz pierwszy odezwało się polskie kazanie. Zaś jedyna księga, której kościół nie zabraniał czytać w języku narodowym — psałterz — pierwsza przełożona została na język polski, gdyż stąd głównie wybierano modlitwy codzienne. Samego Pisma Świętego nikt nie znał; co ksiądz na kazaniu krótko a niedołężnie opowiedział, starczało za wszystko, a jeżeli w czternastym lub piętnastym wieku jednak ktoś Pismo Św., dla kobiet przeważnie, tłumaczył, nie rozchodził się ten jego przekład, lecz grzązł w jedynym — dla jedynej osoby — odpisie. Nieliczne a marne szkoły, przygotowujące jedynie akolitów dla duchowieństwa i to akolitów takich, którzy tylko wyjątkowo dochodzili do święceń i istotnej służby kapłańskiej — nie dostarczały dosyć wiedzy i zmuszały do wyjazdu za granicę, do Francji lub Włoch. Prócz niekorzystnych warunków zewnętrznych do niskiego poziomu kultury przyczyniało się samo usposobienie narodowe, skłonne do lenistwa i obojętności, unikające wysiłków umysłowych; nie gardzono wprawdzie wygodnem przyswajaniem sobie gotowej kultury umysłowej, nie rozumiano jednak obowiązku jej zdobywania. Bierność wrodzona, apatja umysłowa, zadowalanie się byle czem, niechęć do przerywania wygodnej śpiączki — nie sprzyjały podjęciu pracy samoistnej, któraby wiedzę i sztukę posunęła naprzód. Zagranica, szczególniej bliska Praga, pochłaniała osobniki ruchliwsze, jak np. mistrza Macieja Notarjuszowica (Stadtschreiber), rodem z Krakowa, zawołanego teologa i autora ostrych przeciw kurji rzymskiej traktatów w latach 1380—1410.

Za radą tego mistrza oraz dzięki zachęcie i pomocy materjalnej, udzielonej przez drugą królowę Węgierkę, świetnie

zapisaną w dziejach kultury polskiej (pierwszą była małopolska Kinga jeszcze w trzynastym wieku, ta sama, która dla swych klarysek sądeckich sporządzić kazała pierwszy polski psałterz), a więc dzięki zapisowi tej to Lojsówny, Jadwigi, powstało r. 1400 „Studjum Generalne" (uniwersytet) krakowskie i odmieniło w przeciągu kilkunastu lat literacką kulturę kraju. Pomnożyły się odrazu stokrotnie rękopisy, wzrosła liczba uczonych i uczniów, obcy przybysze garnąć się jęli do światła krakowskiego. Śląsk narodowo niemiecki a politycznie czeski, Węgry, Prusy krzyżackie uważały szkołę krakowską za swoją własną. Jej uczeni mistrzowie, Polacy, Czesi, Ślązacy, stali narówni z europejskimi, sami jednak, z drobnemi wyjątkami, nie posuwali wiedzy naprzód, zadowalając się powtarzaniem zdobyczy scholastycznej, zupełnie oderwanej i wyłącznie dialektycznej metody. Jedyny między nimi ruchliwszy teolog, Jakób, Niemiec-cysters z Paradyża, zamknął się ostatecznie w klasztorze niemieckim pod Erfurtem. Klasztory polskie, skądinąd bardzo zasłużone dla narodowej kultury materjalnej, jak starzy benedyktyni a później i cystersi, (ci ostatni przeważnie Niemcy), nie uprawiały wcale literatury, zaś zapał pierwotny dominikanów, zakonów kaznodziejskich, ostygł rychło w zimnym kraju polskim. Dopiero szkoła krakowska zapełniła przepaść umysłową, która Polskę dzieliła od Zachodu; zarazem jednak ustaliła wraz z licznemi kolonjami miejskiemi wyłączne panowanie łaciny. Najjaskrawiej objawiło się to w dziele pisarza Jana Długosza, stojącego wprawdzie poza szkołą, lecz z nią złączonego. Jedyny to Polak, co w przeciągu pięciu wieków rozmiarami swej pracy przypominał uczonych Zachodu; nieznużony zbieracz, najsumienniejszy badacz (chyba dla nakazów wiary wymijający prawdę), najgorętszy patrjota, który w swej wieloletniej pracy o wszystkiem pomyślał — prócz o ję-

zyku narodowym. Zresztą cała szkoła krakowska uwzględniała polszczyznę tylko wyjątkowo, przelotnie i dorywczo, chociaż odzywały się i w jej łonie głosy, ganiące to pomiatanie językiem narodowym, tę wyłączność łaciny, panującej w piśmie, w sądzie i kancelarji, w kościele i szkole. W życiu było jednak inaczej: nietylko kobiety nie znały wcale łaciny, ale nikt nią nie władał ani na ubogiem, dalekiem Mazowszu, ani w świeżo przyłączonych ziemiach ruskich. To też nie był to przypadek, jeśli właśnie na Mazowszu i na Rusi Czerwonej najwcześniej tłumaczyć zaczęto na język zrozumiały prawo polskie, od czasów Kazimierzowych spisywane wyłącznie po łacinie. Mazowsze też, nie będąc wcale kolebką literatury narodowej, może się w ciągu piętnastego wieku popisać znacznym do niej wkładem, w Płocku bowiem, nie w Krakowie, a tem mniej w Poznaniu, powstały pierwsze obszerniejsze legendy i dialogi wierszowane. Władysław z Gielniowa, Mazur z pod Warszawy, jest pierwszym poetą polskim, którego życie i dzieła znamy; wiemy, że był to bernardyn, wymowny kaznodzieja i śpiewak religijny, oddany kultowi Nazareńczyka, nie N. M. Panny. Mimo dalszej przewagi łaciny wiek piętnasty dał stokroć obfitszy plon piśmiennictwa polskiego. Wiek trzynasty i czternasty były ubożuchne. Jeszcze Jadwiga żadnych polskich psałterzy nie posiadała — nie wiemy nawet, czy był istotnie w jej ręku t. zw. Psałterz florjański (krakowski) z końca czternastego wieku, który, przeznaczony dla Lojsówny, pisany był w trzech językach: łacińskim, polskim i niemieckim. Dopiero w piętnastym wieku ten stan rzeczy ulega zupełnej zmianie; po całym kraju rozbrzmiewają coraz liczniejsze kazania polskie, chociaż w języku oryginalnym zapisywano je tylko wyjątkowo (utarta łacina była nierównie wygodniejszą dla pisma, niż barbarzyńska polszczyzna). Pieśń religijna polszczy się również; już noszą pacholęta

za panią do kościoła modlitewniki polskie, pojawiają się przekłady Pisma Św., chociaż duchowieństwo tępi je z obawy przed kacerstwem czeskiem, husyckiem, które głównie szermowało językiem narodowym. Brakowało tylko literatury świeckiej. Bezmyślność i obojętność polska wyręczała się nieraz książką czeską i np. historję o zburzeniu Troi znano w Polsce najpierw z kroniki czeskiej (drukowanej w piętnastym wieku nader bogato i starannie). Bo Czesi wyprzedzili Polskę o wieki całe; od końca trzynastego stulecia uprawiali, idąc za wzorem Niemiec, bogatą literaturę narodową epiczną w wierszowanych romansach i legendach oraz w prozie; dopiero w ciągu piętnastego wieku zaczynała powoli literatura czeska odłączać się od niemieckiej i kostnieć w sporach religijnych. Początki polskich urządzeń państwowych opierały się o Czechy, wzorując się na rządach Wacława i Luksemburczyków, a jeszcze bardziej zaznaczał się wpływ Czech w piśmiennictwie: czeskie psałterze, biblje, pieśni nabożne szerzyły się w Polsce powszechnie; na nich wzorowano się w przekładach; ich słownictwo i pisownia wpływały na język potoczny. Mimo absolutyzmu łaciny i wpływów czeskich dojrzewała jednak powoli w tym wieku polszczyzna do roli języka literackiego, a przy końcu stulecia zaczęła już przekraczać granice plemienne; Ruś przyswajała sobie, mimo odrębności wyznaniowej, najciekawsze legendy i wiersze polskie, a do Czech zaczęły się wciskać pierwsze polskie pieśni, jak np. „Psałterz Jezusów“ Władysława Gielniowczyka, „Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne“, oraz kilkanaście zwrotek w naszych „aleksandrynach“, t.j. ułożonych wierszem trzynastozgłoskowym.

Największą zasługę tego piśmiennictwa — które, ubogie pod względem treści, a niepokaźne wysłowieniem, niegodne jeszcze było wielkiego narodu — stanowiło wyrobienie

prymitywnej formy literackiej i języka pieśniowego, stworzenie rozmaitych postaci wiersza od najpospolitszego w średniowiecznej Europie ośmiozgłoskowca w rymowanych dwójkach, obowiązującego dla legendy i dydaktyki, aż do kunsztownie zbudowanych strof liryki religijnej. Wyrosło zaś to piśmiennictwo, przy nieznacznym udziale Wielkopolski a znaczniejszym Mazowsza, głównie na gruncie małopolskim, w Krakowie, ale bez zachowania pierwotnej cechy gwarowej małopolskiej, mianowicie bez jej „mazurzenia" czy szeplenienia. Nie znosił wyłączności gwarowej zarówno kościół, który z Gniezna i Poznania rozszerzył się po całym kraju, posługując się czeskiem słownictwem kościelnem, jak i piastowski ród wielkopolski, który już w połowie jedenastego wieku przeniósł się na stałe do Krakowa, ciągnąc za sobą przedstawicieli całej Polski. Nawet na samem Mazowszu ksiądz w kościele wymawiał: „Ojcze nasz", nie „Ojce nas". I Kraków sam rychło pozbył się tej właściwości gwarowej, tylko kobiety dłużej się jej trzymały. Język nasz pisemny narzeczem jest małopolskiem, chociaż utracił swą najznamienniejszą cechę gwarową. A utracił poczęści także i dawnej obfitości słownictwa n a r o d o w e g o: pisano mało i tylko rzeczy nabożne o jednostajnych zwrotach, więc nie utrwalono pierwotnego bogactwa języka. Zubożał on w porównaniu z czeskim, bo zamknął sobie przez niepamięć drogę do własnych źródeł, a otworzył naoścież wrota obcej niemczyźnie i łacinie. Dzisiejszy język czeski ma nierównie starożytniejszy słownik, aniżeli nasz. Jemu też zawdzięczamy po dziś dzień wyrazy, przejęte w piętnastym i szesnastym wieku, kiedy to język ten górował stanowczo i stale nad naszym świetną prozą takiego np. Chełczyckiego, z r. 1440. Z ubóstwem średniowiecznego piśmiennictwa pozostaje w pewnej sprzeczności jego żywotność, bo przetrwało ono, z małemi zmianami, aż do siedem-

nastego wieku. Tłumaczenie psałterza z czternastego czy trzynastego wieku przedrukowano prozą w Krakowie jeszcze w 1532 i 1535 r., a pierwsze drukowane ewangelje i biblje z 1551—1561 r. oparły się również o dawne rękopisy. Nierównie więcej ocalało z poezji i śmiało możemy twierdzić, że cały pieśnioksiąg piętnastego wieku przedostał się do szesnastego. Ten pieśnioksiąg, nieutrwalony w pisemnych zabytkach, lecz odnawiany ciągle w drodze żywej tradycji ustnej, składał się z poezji religijnej i świeckiej.

Na czoło poezji religijnej wysuwa się „Bogurodzica". Był to jedyny przez długie lata hymn narodowy, śpiewany w kościele i przed bitwą, w radości i w trwodze. Obejmował pierwotnie tylko dwie zwrotki, które ułożone w wieku trzynastym, w następnym zaś i w piętnastym coraz bardziej rozszerzane, przyjęły pozory jakiejś litanji do wszystkich świętych i uchodzić poczęły za dawne wyznanie wiary katolickiej, za jej niczem niezastąpiony katechizm. Jeszcze wiek siedmnasty walczył gorliwie — o pieśń Bogurodzicy. Współzawodniczyły z nią jedynie krótkie legendy wierszowane o św. Stanisławie, o św. Wojciechu, św. Katarzynie, św. Sebastjanie, św. Jopie (wszyscy starozakonni byli „świętymi"), św. Łazarzu; koniec tej ostatniej zapamiętał jeszcze jezuita Knapjusz i w słowniku z 1621 r. zacytował, co następuje: „O bogaczu wiło — (t. j. błaźnie), dawać prze Bóg było, pokić się godziło". Dalej znano też dziesięcioro przykazań rymowanych, krótszych i dłuższych, wezwania do N. M. Panny i św. Anny, pieśń ulubioną „O rozstawaniu się duszy z ciałem", pierwotnie abecadłową (to znaczy, że każda zwrotka zaczynała się kolejną literą alfabetu), pieśń: „Ach, mój smętku, ma żałości", ułożoną jeszcze w czternastym wieku, a na początku piętnastego już znacznie odmienioną; cytował ją Zygmunt August. Poezja, t. j. sztuka nie istniała jeszcze, natomiast cechuje całe piśmiennictwo rzewna wiara,

wysłowienie naiwne, obrazowanie pierwotne, rym zmuszający do rozwlekłości i powtarzań. Wyjątek stanowi legenda o św. Stanisławie, która zaczyna się nieco górnie:

Chwała Tobie, gospodynie (panie),
Iż o Twych świętych cześć słynie,
Która nigdy nie zaginie
I na wieki nie przeminie.

Wesel się, polska Korono,
Iż masz takiego patrona,
Dostojnego Stanisława,
Jenże (który) wyszedł z Szczepanowa i t. d.

Wszystkie te pieśni (a przyplątała się do nich później i pieśń „O Potopie" Kochanowskiego) spadły wkońcu do repertuaru dziadowskiego i śpiewane były po odpustach i po drogach przez pątników. Takie opadanie na same niziny utworów, które niegdyś powstawały dla wyżyn społeczeństwa, jest zjawiskiem, powtarzającem się stale w dziejach literatury.

Świecki dział pieśnioksięgu nie może się poszczycić ani stałością, ani starością, bo nie miał tego uświęcenia, które zapewniało żywot najkrótszym nieraz wierszykom, takim np. jak: „Chrystus zmartwychwstał jest" (zapisane już r. 1362), albo: „Przez Twe święte zmartwychwstanie"; tu przeciwnie: odmiana, nowość wysuwały na chwilę to taką, to owaką pieśń; wyjątkowo przetrwała któraś. Ale i na zasadzie późniejszych wnioskować można, jak wyglądały dawniejsze. Opowiadały one o zbrodniach („Pani zabiła pana"); o walkach; („Grunwaldzka" najdłużej w pamięci dotrwała; jeszcze Mikołaj Radziwiłł na sejmie koronnym w r. 1563 najniefortunniej wyjątki z niej przytaczał: „Hej, Polanie z Bogiem na nie, już nam Litwy nie dostanie"), o tragedjach, np. o „Lukierdzie" księżnej i zdradzie jej małżonka (Przemysława wielkopolskiego),

Z pieśni tej, pochodzącej z końca trzynastego wieku, zapamiętał jeszcze Długosz zwrot o „jednej koszuli", w której księżna chce wrócić do domu ojcowego (po wiekach Karpiński tę pieśń zretuszował na ckliwo). Z takiemi to pieśniami obiegali kraj „igrcy" i wesołkowie zwłaszcza w zapusty i około godów, sztuki kuglarskie przeplatając śpiewem i przygrywaniem na lirze, zaś z pieśniami religijnemi obchodzili domy paupry, żacy, gregorjankowie, żebrzący odpadków od stołu. Kolędy były jeszcze pogańskie, nic o Narodzeniu Pańskiem nie wiedzące (takie popłacały tylko w kościele), bo pochodziły z pierwotnych śpiewów obrzędowych, jak dożynkowe lub sobótkowe, były więc całkiem ludowe, nie „literackie", jak tamte. „Igrcy" zużytkowywali też i zupełnie obce motywy, np. o zburzeniu Troi (wedle ulubionej kroniki, a raczej romansu średniowiecznego), albo o królu węgierskim (t. j. o Macieju — czy nie była to owa słynna ballada, którą do dziś Słowieńcy pamiętają?), „Dumę" o zwycięstwie polskiem pod Zawichostem nad Romanem ruskim w r. 1208 słyszał jeszcze Długosz; lata całe przetrwała „Warneńska", opisująca, jak to Władysław z Bogurodzicą na ustach nacierał na wroga, inne utrzymywały się lokalnie; tak np. Bielski, prawiąc w kronice swej o Szafrańcu z Pieskowej Skały, straconym r. 1482 za łupiestwo, dodaje w r. 1597: „Śpiewają tam jeszcze około Szczercowa chłopi po wsi pieśń staroświecką o nim". Nie zastąpiły jednak te „pieśni staroświeckie" epiki narodowej, obcej nam, jak i całej zachodniej Słowiańszczyźnie, a bogato rozwiniętej na Rusi i Bałkanach. Jeszcze krótszy żywot wiodły pieśni erotyczne, układane przez żaków i szlachtę, satyryczne na stany, („Chytrze bydlą z pany kmiecie, Wiele się w ich sercu plecie") hejnałowe („Na powitanie dnia" — przytaczał je również Knapjusz). Utworów tych nikt nie zapisywał, bo każdy umiał napamięć taką np. pieśń „O sło-

wiku," albo „Zakłułam się tarnem", albo „Szewczyk idzie po ulicy, szydełka nosząc", albo „Aleć nade mną Venus", albo „Radem temu", albo pieśń „O rozstaniu". Tu i ówdzie znajdzie się urywek z wieku piętnastego np. „Ach miłość! coś uczyniła, żeś mię tak oślepiła, żeśm się na miłość podał, Jak bych nikogo w świecie znał". Z dorobkiem takiego to pieśnioksięgu o stałej fakturze, a zmiennej treści, stanęło piśmiennictwo narodowe, a raczej jego drobne zaczątki przed progiem nowego stulecia.

Pierwsze tegoż dziesięciolecie nie przyniosło najmniejszej odmiany. Po staremu niepodzielnie panowała łacina. Niemcy dawno już wynaleźli druk, ale polszczyzna stroni odeń jeszcze zupełnie, chociaż Czesi już moc książek czeskich, a nawet biblję „biją" (tłoczą). Szkoła krakowska wahała się między scholastyką a nowszemi, humanistycznemi prądami; dają się zauważyć starania z jej strony o pewne odświeżenie, nie ducha jednak, lecz formy. Zapowiadały się już inne, nowe czasy; już roiło się od młodzieży szlacheckiej po szkołach zagranicznych, a specjalnie włoskich—wpływy bowiem włoskie, dotąd odosobnione, a teraz szerzone przez królową Bonę i jej dwór, zaczynają przeważać nad niemiecko-czeskiemi; nierzadcy byli już i sami Włosi w Krakowie. Byli to uczeni i kupcy, budownicy i muzycy. Szlachta, odwykła od bojów, gospodarowała coraz zawzięciej, rósł dostatek, a przy długotrwałym pokoju — wzmagała się chęć używania. Śniedź średniowieczna ścierała się powoli; surowość szarego życia dawnego ustępuje barwnemu zgiełkowi; dwory magnatów ściągają młodzież, tworzą się ośrodki życia towarzyskiego, mieszczanie polszczą się ostatecznie. Wraz z rosnącym dostatkiem, tą niezbędną glebą dla wszelkiej kultury, budzą się wreszcie głęboko dotąd drzemiące potrzeby umysłowe. Literatura średniowieczna ustępuje miejsca klasycznej, mistrzowie krakowscy i ich uczniowie przej-

mują się duchem i formą antyku i wzorują się na nim. Asceza roztapia się powoli w jawne umiłowanie życia i jego uciech; ciało dopomina się o swe prawa; zbytek innego, wyższego stylu, niż średniowieczne obżarstwo, harmonijna ogłada i żywa towarzyskość ożywiają społeczeństwo, wyzbywające się powoli przesądów stanowych i życiowych, krępujących je dotąd. Ta coraz widoczniejsza odmiana musiała się odbić i na literaturze narodowej, a raczej wogóle dopiero ją wywołać. Narazie jednak przyszło do zupełnego w niej rozdwojenia.

Wszystko, co było młode, energiczne, torujące sobie drogę do urzędów, głównie duchownych, do dochodów i zaszczytów, pozostawało przy łacinie. Nie było wyboru. Łacina stanowiła próbę i patent ogłady; jedynie łacinnik mógł zwrócić się do Europy, łudząc się przekonaniem, że, jak starorzymskie, tak i jego wiersze, mowy i listy zapewnią nieśmiertelność autorowi; redagował zatem wawrzyny, co nigdy zwiędnąć nie miały, a pomiatał wszystkiem, co było swojskie. Uprawiali poeci-łacinnicy wiersze epiczne, opisowe, religijne, moralizujące i pouczające, nie stronili od porachunków osobistych, pisali satyry i pamflety, erotyki i pornografję; wyjątkowo jednak tylko dawali upust osobistym wzruszeniom i wrażeniom, jak np. ów syn chłopski, Klemens z Januszkowa (wielkopolskiego), co nie mógł się wydziwić kulturze auzońskiej, ani opędzić się smętnym przeczuciom rychłego zgonu; pierwszy prawdziwy poeta, przedwcześnie sprzątnięty przez śmierć nieubłaganą. Wyżej wznosili się mówcy np. Orzechowski, gdy dla popisu retorycznego ogładzał bombastycznie krucjatę przeciw Turkom, chociaż ziomkowie do wszystkiego innego na świecie, tylko nie do krucjaty byli zdolni i skłonni, albo gdy młodemu królowi tryb życia i wychowania zuchwale wytykał. Mniej górnie, zato nierównie sprawniej wykazywał inny latynista,

który nigdy pióra słówkiem polskiem nie splamił, F r y c, przezywający się M o d r z e w s k i m, braki ustawodawstwa. Wzniósł się on wkońcu do znakomitych „Ksiąg o naprawie całej Rzeczypospolitej," wychodząc od teoryj starożytnych, a wchodząc w drobne szczegóły finansowości, sądownictwa, władzy wykonawczej, wojskowości, prerogatyw korony i sejmu, żądając równych praw dla wszystkich. Dzieło jego znalazło większy poklask i odgłos zagranicą, niż w ojczyźnie. Przez całe też stulecie wszelka poważna literatura polityczna posługiwała się wyłącznie łaciną, czy gdy rozprawiała o całokształcie Rzeczypospolitej i jej wolności, czy kiedy systematyzowała i objaśniała zabytki prawodawstwa, czy też kiedy kreśliła wizerunek wzorowego senatora, posła lub urzędnika, czy nakoniec gdy gromić, w formie apokaliptycznej, wypadało szerzący się nierząd i bezprawie. Nieinaczej było w zakresie dziejopisarstwa: i tu wszechwładnie panowała łacina, czy kiedy kto streszczał lub dalej prowadził średniowiecznego Długosza, bądźto w szacie niepozornej, bądź też wzorzystej-humanistycznej, czy kto kiedy kreślił dzieje spółczesne, np. Orzechowski w Annalach (1548—1552), czy komentarze pisał, niby cezarowe, jak Zamoyski i Heidenstein o wojnie moskiewskiej, albo pamiętnik prowadził, jak służka habsburski Warszewicki lub protestant Orzelski. Że dla dzieł ściśle naukowych łacina zgóry obowiązywała, rozumiało się samo przez się; prawnik, czy był Hiszpanem, jak spolszczony zupełnie akademik Hozjusz,czy bałakarzem Polakiem, jak Maricius lub Przyłuski, a także lekarz, miernik, antykwarjusz nie używali innego języka i poza Polską! Każda szkoła zaprawiała do łaciny, „cnotliwą wymowę", t. j. łacińską za cel najwyższy sobie stawiając. Więc, jak za średniowiecza, tak i teraz rzeczy najzwyklejsze ubierano w ciężkie fałdy togi łacińskiej, jednak nierównie większa swoboda myśli,

obszerność wykładu i wytworność formy zdradzały już pojęcia i stosunki nowoczesne. Obcość narzuconej łaciny nie pozostawała bez wpływów wcale nieraz ujemnych; szczególnie w poezji rodziła mieszanina świata chrześcijańskiego, jego etyki i dogmatu z pogaństwem antyku — wikłanie świata nowoczesnego z klasycznym i jego fałszowanie.

W drugim kierunku, w jakim szła literatura, w narodowym, panował — mimo nowej szkoły językowej — duch przeciwny, dawny, średniowieczny. Z nadzwyczajnem opóźnieniem w porównaniu do innych narodów europejskich, nawet w porównaniu do Czech, zjawił się nakoniec niemiecki kunszt drukarski i niemal natychmiast wyrugował przepisywanie rękopisów. Niemcy, których najwięcej dostarczyła mieścina śląska Libental, (stąd wyszli Wietor, Scharfenbergery i Siebeneichery), drukowali z początku po łacinie dla kleru i szkoły krakowskiej, chociaż im samym dziwnem się wydawało „brząkanie", pogardzanie mową ojczystą. Ale niebawem widoki zysku i konkurencja nasunęły im myśl drukowania po polsku, co nastręczało znaczne trudności wobec ubóstwa łacińskiego alfabetu. Przełamali je wkońcu i jeszcze dzisiejsza nasza chwiejna co do zasady ortografja zawdzięcza tym Niemcom swoje utrwalenie. Wyszła więc w r. 1514 pierwsza książka polska, modlitewnik obszerny, Rajem czy Hortulusem (ogródkiem) duszn ym przezwany. Przedrukowywano go w przeciągu lat trzydziestu pięciokrotnie, a za nim wyroiły się od r. 1521 w rychło rosnącej liczbie druki a częściej małe druczki polskie, z których wyjątkowo tylko ocalał ten i ów, bo tak je w strzępy zaczytano. Te druczki polskie, aż do połowy wieku, odbijają jaskrawie od spółczesnych łacińskich — wszystko tam nowe: myśl, ludzie, stosunki, gdy w tych wciąż jeszcze panuje najspro-
śniejsza średniowiecczyzna. Zaplącze się wprawdzie i do

nich jeden i drugi okaz myśli nowoczesnej, np. traktat najsłynniejszego humanisty Erazma z Rotterdamu, ale zresztą wszystko to utwory z trzynastego i czternastego wieku, które teraz dopiero wyłaniały się w Polsce na świat boży. Obok polskich psałterzy, modlitw (hortulusowych), Żywotu Chrystusowego (cudacznie z apokryfami wszelakiemi połączonego) główne miejsce wśród druków polskich pod względem największej liczby wydań zajmuje najpierwotniejsza beletrystyka. Bo panie i dworzanie, nietędzy w łacinie, nachodzili drukarzy w Krakowie domagając się, by wybijano dla nich „rzeczy krotofilne"; posypały się więc jak z rogu obfitości wszelakie powiastki humorystyczne, erotyczne, alegoryczne, co traciły już kurs w Europie, a które dla Polski stanowiły świeżą strawę umysłową. Ciekawość czytelniczek, obiegających kramy i żądających nowej lektury, zaspakajał taki np. „Marchołt", spierający się swym zdrowym, acz nietrafnym chłopskim rozumem z górną Salomona myślą, albo „Poncjan" (wschodnia powieść szkatułkowa: siedmiu mędrców ocala baśniami królewicza od śmierci i macochy nierządnej), albo „Historje rzymskie" (t. j. wszelkie inne „historje", tylko nie rzymskie: anegdoty i alegorje z całego świata, zbiór, ułożony niegdyś dla użytku kaznodziei, o pobożnym wykładzie, dopasowanym nieraz do treści, jak pięść do nosa), „Ezop" (żywot mędrca-sowidrzała i jego bajki), „Aleksander", kończący w marnej trumience rolę zdobywcy świata. „Meluzyna", „Magielona", „Fortunat", „Sowidrzał" i t. d. Na palcach jednej ręki można wyliczyć to, co ocalało z tej masowej produkcji, często zwykle na jakim arkusiku, wklejonym do oprawy. W siedmnastym wieku cała ta „literatura" powędrowała do Rusi moskiewskiej. Tłumaczenia moskiewskie bywają nieraz starsze, niż dochowane u nas polskie egzemplarze, które ciągle przedrukowywano, z coraz gorszą odmianą tekstu, którą nazywano „poprawą",

i rozwożono po jarmarkach. W dziewiętnastym wieku wyszły one zupełnie z obiegu wśród warstw wykształconych i to, co niegdyś drukarz wysokim dostojnikom, szczególniej zaś ich damom, poświęcał i im też sprzedawał, spadło do rzędu najniższej literatury ludowej. Stały ten objaw w pochodzie kultury umysłowej zaznaczyliśmy już wyżej.

Obok tych powiastek godnie stawały równie przestarzałe zielniki, traktujące o bajecznych, przesadnych właściwościach leczniczych ziół i innych „żywiołów", księgi o gospodarstwie, odpowiednie dla Włoch, nie dla Polski, rachunki dla początkujących, wiersze moralne i lecznicze, bo średniowiecze wszystko wierszowało, nawet kalendarze i mineralogję, w przekonaniu, że wiersz skraca, uprzyjemnia i wbija w pamięć.

Wartość tych przekładów albo przeróbek bywała bardzo nierówna; jedne nazwiemy wręcz znakomitemi np. przekłady Biernata z Lublina, który na Ezopie (i Hortulus) i innych wycisnął stempel własnej demagogji, skierowanej przeciw magnatom i obcym, i wolnomyślności, wymierzonej przeciw duchowieństwu, albo przekład bakałarza Jana z Koszyczek pod Krakowem, który Marchołta nierównie lepiej przetłumaczył, niż to się Czechom i Niemcom powiodło. Naogół polski tłumacz średniowieczny ślęczał nad łaciną tak niewolniczo, że do łaciny wracaćby musiał każdy, ktoby jego polszczyznę chciał zrozumieć. Natomiast Biernat, Jan i in. nie słowa przekładali, lecz myśl i przyczynili się walnie do wyrobienia języka. Inne przekłady jednak wypadały wcale licho, szczególnie jeśli się ich podejmował jaki zniemczały Ślązak. Drukarze-nakładcy chwytali wszystko, co im podsuwano, nawet dzieła najstarsze, np. początki Pisma Św. Starego Zakonu (bo nad Nowym ciężyło zawsze jeszcze veto duchowieństwa) i najświeższe, np. tłumaczenia mów Orzechow-

skiego i Fryca. Jakżeż jednak odbija ta ciężka, nieudolna polszczyzna przekładów od „dworności" łacińskiej Okszyca (Orzechowskiego), prawda, że nie byle komu przystępnej, jak tłumacz wyraźnie zaznaczał. I nie było winą drukarzy-nakładców, którzy w przedmowach od siebie nieraz zaznaczali, że język, t. j. literatura narodowa, leży odłogiem, jeżeli humaniści krakowscy z pogardą patrzyli na te rupiecie średniowieczne, wśród których zabłąkał się czasem świetny przyczynek oryginalny, np. wojewody sieradzkiego Stanisława Łaskiego p. t. „Wezwanie chrześcijan do zgody przeciw Turkom", które jędrnością iście żołnierskiego języka i celnością treści nieskończenie przewyższa wzorzystą, ale czczą gadaninę Orzechowskiego — tylko że p. wojewoda nie byłby nigdy zniżył się do podpisania własnego nazwiska pod utworem polskim. Obfitowała ta sławna rodzina w niezwykłe talenty; swoistej polszczyźnie wojewody nie dorównał żaden inny żołnierz, ani Tarnowski, ani Zamoyski. Dziełko to oryginalne jest istnym białym krukiem w powodzi tłumaczeń, wśród których zabłąkały się nawet pierwsze poezje humanistyczne, ale te nie celowały pod względem językowym. I mogli Czesi zawsze jeszcze natrząsać się z chropawej polszczyzny — każdy musiał im uwierzyć, i nawet w samej Polsce przyznawano im rację.

Talentów oryginalnych brakło zupełnie; elementy żywsze garnęły się wyłącznie do łaciny, mimo to zasługa tłumaczy jest wielka, bo nietylko wypełniali oni dawne dotkliwe luki w literaturze, nietylko budzili zajęcie dla książki i przez to samo szerzyli kulturę, podsuwając szerokim warstwom pierwsze rozrywki umysłowe — ale przedewszystkiem zasłużyli się względem języka ojczystego, który, naginany do coraz nowych zadań, odnawiał się i rozwijał ze zdumiewającą szybkością. Polszczyzna Biernata była jeszcze całkiem średniowieczna, to też rozu-

miemy, że nieco później Rej mógł dziwić się tym pierwszym drukom i miejscami nawet ich nie pojmować. Oto w 1545 r. ukazały się w starannym przekładzie polskim sentencje łacińskie, wybrane z komedyj Terencjuszowych, nadzwyczaj cenionych przez humanistów dla ich potocznej łaciny. Ale już następne wydania tej książki wykazują zmiany w języku, który pozbywa się czechizmów i wszelkich słów przestarzałych. Gdy katolicy r. 1561 wydrukowali bibljȩ napoły średniowieczną, polszczyzna jej wywołała śmiech homeryczny. W następnem wydaniu usunięto z niej już kamienie-obrazy, jakiemi były liczne germanizmy i wyrażenia gwarowe. Plon literacki drugiej połowy wieku, prócz owej niefortunnej biblji, różnił się więc zasadniczo od dorobku jego pierwszych dziesięcioleci, choć różnica ta dotyczyła nie treści, ani ducha, lecz formy. Wobec powodzi druków zanikają rękopisy; niektóre z nich, dawne średniowieczne, bywają jeszcze przepisywane, lecz coraz rzadziej już pojawia się jakieś tłumaczenie legend, jakiś zbiorek kazań, czy nauk moralnych (np. dla Odrowążówny), jakiś przekład kronik krajowych, czy litewskich. Między temi ostatniemi znajdujemy ciekawą „Kronikę turecką“ eks-j a n c z a r a Serba, M i c h a ł a K o n s t a n t y n o w i c z a, spisaną w języku słowiańsko-serbskim cyrylicą, przełożoną około r. 1520 na polski, a z polskiego na czeski. Czesi ją zaraz dwukrotnie drukiem wydali, a u nas krążyła w kilkunastu zaledwie odpisach aż do XVII wieku. Najlepszy to dowód niezaradności ówczesnych wydawców, bo kronika ta pod względem treści, obfitości i nowości szczegółów wyprzedzała literaturę europejską. Słuszniej już się stało, iż nigdy nie ukazał się w druku, lecz ugrzązł w kilku odpisach najobszerniejszy apokryf o żywocie N. Panny Marji i Jezusa, wciągający do baśni odwiecznych zarówno uwagi uczonych, jak i tekst ewangeliczny; z apokryfu tego korzystał hojnie

ów w r. 1522 drukowany i często odbijany żywot, który na początku wieku tłumaczył ks. O p e c dla córki Kazimierza.

I zdawało się, że rola polszczyzny-kopciuszka na zawsze była przesądzona; że i nadal, jak w średniowieczu, zasadą pozostanie, żeby wszystko, co mądre, nowe, cenne, uczone, powabne, oblekać w łacińską szatę, a wszystko, co stare, marne, przesądne, prostackie, spisywać po polsku dla kobiet i mężczyzn, którzy w braku nauki, dostępnej jedynie po łacinie, dziećmi pozostali. Nie było dwóch bardziej różnych światów, jak ogładzony łaciński i nieokrzesany polski; to też dziwiono się niemal, jeśli kto podpisywał imię swe pod utworem polskim, prostackim.

Dwa czynniki wybawiły polszczyznę z tej podrzędnej roli — czynniki, wręcz sobie przeciwne, lecz w uszanowaniu języka narodowego zgodne. Jednym z nich była wymowa polityczna — rozbujała wymowa szlachecka, kwitnąca na sejmach i sejmikach, weselach, pogrzebach i ucztach. Zdarzyło się nawet, że biskup krakowski Maciejowski wystąpił z polską mowę na pogrzebie Zygmunta Starego, a stało się to ku zdziwieniu i zgorszeniu humanistów swoich i obcych, którzy, jak np. Orzechowski i inni, zasypywali prasy drukarskie łacińskiemi mowami żałobnemi. Prócz wymowy politycznej i okolicznościowej rozwijała się również kaznodziejska, w której kiedyś zabłysnąć miał Skarga. Otrząsała się ona teraz ze pstrych naleciałości średniowiecznych. Parlamentaryzm polski, choć jeszcze młody, gdyż początki jego sięgały najwyżej połowy piętnastego wieku, rozgospodarowywa się w najlepsze około 30 roku szesnastego wieku dopiero po poderwaniu znaczenia króla i senatu, a za wojny kokoszej pod Lwowem święci pierwsze demagogiczne tryumfy, które warchoła Orzechowskiego w podziw wprawiały. Nieskończone walki o Barbarę, o egzekucję, o unję litewską, z na-

der śmiałemi występami marszałków izby poselskiej i samych posłów, wyrobiły znakomitą szkołę parlamentaryzmu tak, że nawet obywatele, zdala od polityki stojący, spisywali sobie sejmowe diarjusze, rozkoszując się przebiegiem ciętych rozpraw. Wzorem pozostawały zawsze mowy starorzymskie, ale temperament sarmacki nieraz przerywał retoryczne więzy. Od mów politycznych przenosiła się polszczyzna i do listów politycznych. Duchowni, jak Hozjusz i inni, pisywali wyłącznie po łacinie, obrażali się nawet na list polski, mając to za dowód nieposzanowania, ale Radziwiłłowie, Zamoyscy, Chodkiewicze i inni pozostawili po sobie listy, których polszczyzna jest wręcz rozkoszna, jasna, dobitna, nieraz humorystycznie zabarwiona, w przysłowia obfita. Z listów takich powstawały cenne dzieła, jak np. opis podróży Radziwiłła do Ziemi Świętej, tylokrotnie drukowany i tłumaczony na łacinę i inne języki, jak opis pskowskiej kampanji Batorego, którą dał P i o t r o w s k i w listach do Opalińskiego, dorównywający najlepszemu pamiętnikowi. Z mów i listów przeniosła się polszczyzna do dialogów i pamfletów politycznych. W spory i „egzekucję" praw oraz w sprawę unji z Litwą wmieszał się niepowściągliwy Orzechowski. Dowcipne jego a cięte dialogi jedni rozchwytali z podziwem, drudzy z oburzeniem, bo sofista przemyski nie przebierał w argumentach; ani mierzyć się z nim mogą „Wróżki" Jana Kochanowskiego. A dialogi, któremi popierał S o l i k o w s k i kandydaturę francuską, a zbijał wszelką inną, jakim żywym tryskają dowcipem, jak porywają barwnem słowem i argumentacją zwycięską, chociaż umyślnie są w nader popularnym utrzymane tonie, bo przeznaczone dla mas szlacheckich, co to „viritim" miały króla obierać. Od czasu Orzechowskiego i Solikowskiego forma polskiego politycznego dialogu obowiązywała i nadal; nikt ich jednak nie prześcignął pod względem drastyczności wysłowienia

i obfitości kalamburów, tej najpierwotniejszej, ale w Polsce najbardziej ulubionej formie dowcipu słownego. Same jednak traktaty polityczne polskie nigdy nie dorównały co do wartości łacińskim, a i w rozmiarach i liczbie znacznie im ustępowały; zczasem tłumaczono pisane po łacinie dzieła Fryca, Orzechowskiego i Solikowskiego.

Do ostatecznego wygładzenia i wyszkolenia języka, do wywojowania dlań miejsca spółrzędnego z łaciną, do wyparcia jej z ostatniej z najobronniejszych warowni, jaką była teologja, nierównie więcej od walk politycznych przyczyniła się reformacja. Dziwne były jej losy w Polsce. Zdawało się z początku, że minie ona, jak husytyzm, bez silniejszych wstrząśnień dla kraju; że jeden i drugi protestant z powodu wyznania opuści kraj, jak Jan Łaski, synowiec arcybiskupa, że zakaz przywozu książek luterskich i odwołanie młodzieży z zarażonych kacerstwem uniwersytetów niemieckich ocali wiarę „węglarską", silną i niezachwianą, taką, jaką miał król Zygmunt Stary. Okoliczności jednak były tym razem całkiem odmienne.

Husytyzm piętnastego wieku nie trafił na grunt podatny; niewzruszoną była jeszcze wtedy powaga średniowiecznego kościoła, to też głosu szerszego, głębszego prąd ten nie wywołał, a czujne duchowieństwo dusiło w zarodku każdą iskrę; porwał więc tylko garstkę szlachty, a z księży tylko tych, którzy bywali w Pradze. Miasta wybitnie jeszcze niemieckie zrażone były jego okrasą czesko-narodową. Teraz właśnie miasta, od Gdańska aż po Kraków, przyjmowały wiarę niemiecką, szerzącą się od strony Prus Książęcych, Marchji Brandenburskiej i Śląska (Wrocławia). Duchowieństwo nie było ani dość czujne, ani dość energiczne. Zeświecczone, oddane używaniu („żyje, jak kanonik" mawiano o wystawnem życiu) i w ciągłej pogoni za prebendami, jawnie kupczonemi, utraciło zupełnie w oczach szlachty i mieszczan moralną powagę. Nieodzowna potrzeba doniosłych

reform narzucała się każdemu myślącemu obywatelowi i samemu duchowieństwu; zachodziło tylko pytanie, gdzie się reforma ta powinna zatrzymać. Grunt umysłowy był też bardziej przeorany, niż przed wiekiem; rozbudzenie duchowe, ciekawość nowinek, bliskość wzorów, jakim był np. sekularyzowany zakon i jego popularny były mistrz, teraz hołdownik koronny, działały elektryzująco; jednak do jawnego zerwania nie dochodziło: stawała temu na przeszkodzie powaga starego króla, niewzruszonego w katolicyzmie. Czekano więc z wzrastającą niecierpliwością na odmianę panowania, na młodego następcę tronu, któremu przypisywano jawne popieranie nowowierstwa. Oczekiwanie to ciągnęło się latami całemi. Śmierć Zygmunta stała się też hasłem do oświadczenia się szlachty, t. j. narodu, za reformacją.

Tak zmarnowano kosztowny czas, bo w r. 1548 straciła już reformacja wszelką jednolitość, rozbiła się na zwalczające się namiętnie obozy, sekty, ugrupowania ideowe. Spóźniono się, jak zawsze w Polsce. Narazie opowiedziała się szlachta przy luterstwie, z czem się jako tako godziło wyznanie braci czeskich, wygnanych przez Habsburga, a osiadających głównie w Wielkopolsce. Ale przerzucono się niebawem od luterstwa, które jeszcze za wiele napozór z katolicyzmem się zgadzało, a równocześnie zbyt ulegało świeckiej władzy, od braci czeskich, których sposób życia cichy a pracowity nie nęcił fantazji szlacheckiej, do Genewy i kalwiństwa: Francja odniosła zwycięstwo nad Witenbergiem i Niemcami, których się miasta, szczególniej pruskie, (Toruń, Gdańsk) najsilniej trzymały. Trzy te wyznania miały wiele wspólnego, bo nie podrywały głównych dogmatów (np. o Trójcy św., o chrzcie). Ścisła spójnia Polski z Włochami była zgubą dla protestantyzmu w Polsce. Bo od racjonalistów włoskich, od lekarzy i prawników nauczono się poddawać

dogmaty krytyce rozumowej i niebawem ujrzały małopolskie i litewskie zbory kalwińskie nowych w swoim gronie odstępców. Ci się znowu sami między sobą nie zgadzali, a brakło silnej ręki, coby u samego wstępu, jak Kalwin w Genewie, stłumiła zarzewie niezgody. Jan Łaski wrócił do kraju za późno, złamany wiekiem, chorobami i niewdzięczną, acz sławną, służbą zagraniczną. Rozgardjasz wyznaniowy doszedł do szczytu około r. 1570; do trzech dotychczasowych wyznań przybył teraz „mniejszy zbór", odszczepiony od większego, kalwińskiego, rozszczepiony na najrozmaitsze sekty. Te płodziły nadzwyczajne skrajności, nieraz wręcz od żydostwa się wywodzące; dochodziły one do przeczenia nietylko nieśmiertelności duszy, kar piekielnych, chrztu niemowląt, ale w imię prawdziwej nauki ewangelicznej występowały przeciw bogaczom, przeciw ujarzmieniu chłopa, przeciw wojnom i sądom; dowodziły, iż jedynie godziwą jest praca rąk, gardziły światem i jego zbytkiem; broniły tych samych zasad i temi samemi nieraz argumentami, których w trzysta lat później używał Tołstoj, gorsząc lub porywając świat, zwłaszcza rosyjski. Dopiero pod sam koniec wieku pod przeważającym wpływem innego Włocha, Socyna młodszego, powstała nauka rakowska (od gniazda swego pod Lublinem tak nazywana), którą i socynjańską, albo dla większej pogardy arjańską przezywano (bo przeczyła odwiecznemu bóstwu człowieka-Chrystusa). Pod nazwą „braci polskich" odegrała ona w dziejach deizmu i racjonalizmu znaczną rolę.

Już wiek szesnasty między r. 1548 a 1562 z niekłamanym podziwem śledził nagły, jakgdyby rewolucyjny wybuch polskiego różnowierstwa, bo Polska była jedynym krajem, gdzie się o wiarę nie mordowano, ani palono i gdzie jeszcze przed schyłkiem stulecia uznano przegraną tego ruchu; w tem samem jeszcze, albo już w następnem

pokoleniu wracali do katolicyzmu najzawołańsi różnowiercy: Radziwiłłowie, Chodkiewicze, Sapiehowie, Łascy, Zamoyscy, Rejowie: inne rody różnowiercze, jak Górków, Kiszków i in. nierzadko wygasły zupełnie. Na tę reakcję katolicką złożyły się rozmaite przyczyny: zarówno rozszczepienie wielorakich sekt, godzących w podwaliny ustroju państwowego i majątku prywatnego; jak nauka i gorliwość nowego zakonu jezuitów, wprowadzonych do Polski przez Hozjusza, pochłaniających wnet najtęższe „ingenia" i ubożących kościół świecki; jak chwiejność króla i wyższego duchowieństwa (prymasa Uchańskiego), które mimo zatargów z kurją rzymską od kościoła się wkońcu nie oderwało; jak wkońcu mądra energja Hozjusza i niektórych legatów papieskich, gorąco popieranych szczególniej przez kler niższy. Udały się wprawdzie różnowiercom przed ostatecznym zachodem ich słońca dwie walne zdobycze: w r. 1570 doszła do skutku zgoda sandomierska, gdzie po długich przetargach luteranie, bracia czescy i kalwini podpisali wspólne wyznanie wiary, wyłączając naturalnie „arjanów", gorzej znienawidzonych, niż „rzymska katolika", w r. 1572 zaś uzyskali, mimo i później nie słabnącego oporu duchowieństwa, zaręczenie swobody wyznaniowej dla szlachty, tak zwaną konfederację, zwalczaną gorliwie, ale bezskutecznie przez Skargę i jezuitów.

Zapowiadający się burzliwie i żywiołowo przewrót wyznaniowy przybrał, jak każdy inny ruch na ziemi polskiej, cechy osobliwsze, obce zagranicznemu. Złagodniał on, nie doprowadził do rozłamu, jak gdzie indziej, bo górowało nad nim poczucie wspólności narodowej i stanowej. Nie raziło więc, że nieraz w łonie jednej rodziny mąż i żona, lub bracia, różnego byli wyznania. Druga żona drukarza Wierzbięty, gorliwego kalwina, była gorliwą katoliczką, a gdy po śmierci męża pasierbowie wiedli z nią spór ma-

jątkowy o wydanie zapasu ksiąg, odpowiedziała przed sądem: „Księgi luterańskie są w sklepie (piwnicy), mogą sobie successores sobótkę na św. Jana z nich uczynić.“ I dziwili się Włosi, widząc u stołu biskupiego akatolika, i przypisywali mylnie obojętności dla rzeczy wiary to, co się godziło z temperamentem narodowym; który zawsze stronił od wyłączności, konsekwencji i energji. W Polsce najpełniej zaznaczył się nagły przypływ i powolny odpływ fali walk wyznaniowych w olbrzymim, jak na stosunki polskie, ruchu piśmienniczym, bo atakowano się i odbijano napady piórem i słowem, nie mieczem i ogniem, jak w Rzymie i Genewie; tu, w Polsce mogły nawet najskrajniejsze kierunki swobodnie się wypowiedzieć, i bezkarnie uchodziło to, coby gdziekolwiek indziej książkę,drukarza i autora niechybnie na stos zaprowadziło; gorszyli się obcy tą swobodą „djabelską“, oburzając się, że wolno tu wierzyć, jak kto chce. Niestartą cechą Polski z drugiej połowy wieku, niezwiędłym jej wawrzynem w dziejach sumień i ludzkości pozostanie zawsze to, że nawet dla różnowierców nie opuściła ona stanowiska prawnego, że zabezpieczyła obywatelom, mimo różnicy wyznaniowej, wszelkie ich prawa, że odparła wszelkie zakusy przymusu i teroru, jakiemi chciano nawracać „do Boga“, t. j. do katolicyzmu, i jak najwyraźniej formułowała to swoje stanowisko, nie dopuszczające żadnej inkwizycji i tym podobnych zbrodni. Gorliwi katolicy np. kanclerz Jan Zamoyski, a przed nim królowie oświadczali, że władzy nad sumieniami sobie nie roszczą. I o tę sumienność i dobrotliwość rozbijały się wszelkie intrygi i podszepty rzymskie i jezuickie.

Olbrzymia literatura wyznaniowa stoi poza obrębem literatury narodowej przez swą treść i charakter, lecz nie godzi się zupełnie jej pomijać, tak ze względu na dobroczynny wpływ, jaki wywarła na rozbudzenie życia umysłowego i ruchu piśmienniczego, jak• również i dlatego,

że zdobyła szerokie włości dla języka narodowego. Z prostej szermierki wyznaniowej umiała kilkakrotnie wznieść się na wyżyny sztuki, wysłowieniem silnem a pięknem w mowie, liście i dialogu przekraczała miarę przeciętną, tworząc niespożyte wiekiem pomniki, i później nieprześcignione; dzieje języka i wymowy wymagają więc przypomnienia najważniejszych objawów literatury religijnej.

Zaczęły się one po stronie różnowierczej, która zrazu z zagranicy, z Prus Książęcych i z Magdeburga, zalewała Polskę wyznaniami wiary, katechizmami, przekładami Nowego Testamentu, kancjonalikami (zbiorkami pieśni kościelnych, „zborowych"), dialogami, nieraz wcale uszczypliwemi. Po r. 1555 pojawiły się w samym kraju stałe albo przelotne drukarnie różnowiercze w Brześciu i Nieświeżu Radziwiłłów, w Krakowie (Wierzbięta), Szamotułach, Łosku; wydają one znakomite okazy, np. Biblję Brzeską albo Radziwiłłowską w 1563 r., pierwsze, godne spółczesnej bibljologji europejskiej wydanie, znakomity płód kilkuletniej pracy zbiorowej; Gdańsk, Toruń, szczególniej Królewiec zapisały się świetnie w dziejach wydawniczych nawet dziełami niewyznaniowemi, np. Królewiec starannem wydaniem pierwszego wielkiego słownika łacińsko-polskiego (Mączyńskiego z r. 1564, nadzwyczaj obfitego, prześcignionego dopiero w siedmnastym wieku przez jeszcze obfitsze dzieło jezuity Knapjusza), albo wydaniem „Kroniki Żmudzkiej" Mazura Stryjkowskiego z r. 1582, która starannie wyzyskała wszelkie źródła, niemieckie i ruskie. Z literatury polemicznej wyróżniały się pełne temperamentu napaści na katolicyzm ks. Marcina Krowickiego, przetłumaczone i na niemiecki; autor ich pierwsze swe pamflety drukował jeszcze w Magdeburgu. W literaturze homiletycznej, w kaznodziejstwie, obok spóźnionego przekładu „postyli" (zbioru kazań całorocznych, niedzielnych i świątecznych) Lutra, stanęły na czele postyle

Żarnowczyka (tłumaczone na niemiecki) i Gilowskiego, dalej luźne a najwymowniejsze kazania, zebrane i wydane z powodu synodu toruńskiego w roku 1595, gdzie się jeden z kaznodziejów zborowych jak najwymowniej i najdosadniej ujął doli ujarzmionego chłopa, co o Bogu i wierze ani myśleć może, nękany do krwi nieludzkiemi wymaganiami pańskiemi. Jeszcze liczniejsze, niż przekłady Pisma Św. i zbiory kazań, są pisma dogmatyczne, wykłady katechizmu, wyznania wiary, obszernie bronione cytatami z Pisma Św. (a w razie potrzeby i z ojców kościoła); każda „sekta", jak luteranie, pikardzi (bracia czescy), szwajcarzy albo reformowani (kalwini), wydawała swoje, tłumaczone, np. Brencjusza albo „augsburskie" t. j. luterskie, pruskie, lub oryginalne, Gilowskiego, Jakóba Niemojewskiego (obszerna księga, tłumaczona i na niemiecki) i in. Najmniej przetrwało do naszych czasów okazów literatury obyczajowo i artystycznie najciekawszej, t. j. dialogów, nieraz nawet o zacięciu dramatycznem, wyszydzających wszelkie „nowinki" rzymskie, kult świętych, posty i dróżki, jak wówczas zwano pielgrzymki do miejsc świętych, czyściec i zadośćuczynienie, świece i kadzidła, oleje i sól, bagno (t. j. palmy wierzbowe) i zioła. Z temi to dialogami, drukowanemi najpierw w Królewcu, później i w kraju (np. o tem, jak się spierał malarz obrazów świętych z piekarzem opłatków do sakramentu, kto z nich godniejszych „bogów" tworzy, pisemko dziś zaginione) objeżdżały panie polskie zamki i dworki, głosząc nową wiarę, a przed niemi właśnie i ich pruskiemi nowinkami przestrzegał ksiądz rzymski Odrowążównę. Płeć piękna, która dotąd w literaturze, już od wieku trzynastego, zaznaczała się tylko biernie, t. j. jedynie tem, że dla użytku królewien i wielkich pań tłumaczono psałtarz, Pismo Św. i wszelaką inną łacinę — płeć piękna po raz pierwszy wystąpiła czynnie, wprawdzie nie biorąc jeszcze bezpośrednio udziału w twór-

czości literackiej, bo to się dopiero w wieku siedmnastym rozpoczęło, lecz przyczyniając się dzielnie do podniecenia umysłowego, do agitacji i propagandy różno wierczej; nowe przedstawicielki słowa bożego i prorokinie kądzielne posuwały się nawet do skrajności.

Najmniej stosunkowo drukowali bracia czescy, chociaż pierwszy obszerny kancjonał polski przesiąkł ich pieśniami i ich czeszczyzną, (królewiecki ks. Brzozowskiego), gdyż nadrabiali oni czeszczyzną, zato Turnowscy (ksiądz Szymon Teofil pierwszy wniósł świadectwo o biblji królowej Zofji z r. 1456), a jeszcze bardziej Rybińscy (zasłużeni i na polu literatury pięknej, w liryce świeckiej, dydaktycznej przeważnie, i religijnej, w poezji opisowej, np. „utwór o Wiośnie" i i.) zapisali się trwalej w dziejach umysłowych. Najbardziej krzątali się, w porównaniu do małej liczby wyznawców, t. zw. arjanie wszelkich odcieni, od Piotra z Goniądza począwszy, poprzez Jana Niemojewskiego (brata kalwina Jakóba) do Marcina Czechowica, Szymona Budnego i różnych Lubienieckich. W szeregi ich wplątało się teraz wielu cudzoziemców np. Włochów (lekarz Blandrata, później Socyn młodszy, Alciati i in.) obok dawnych — Stankara, Lismanina, Ochina, Negri — nie arjanów, ale torujących im drogę; jeszcze nierównie liczniejszy jest poczet Niemców, uchodzących, jak Włosi, przed domową nietolerancją, np.: Stegman, Smalcius z Goty, Glivius i in., a także nie brak i Francuzów, np. „Stoiński", który się zupełnie spolszczył i pierwszy w r. 1568 wydał gramatykę polską dla cudzoziemców, Włochów i Niemców; dzieło mimo kilku omyłek bardzo jest cenne. Byli też i Grecy (Jakób Paleolog). W całej literaturze „arjańskiej" czas i nienawiść wyznaniowa — potępiali przecież arjanów z równą zajadłością i „rzymianie" i nowowiernicy — największe poczyniły szczerby: wielu dzieł arjańskich nie znamy już nawet z tytułu, z innych

ocalały tylko unikaty po najzamożniejszych bibljotekach. Płodnością literacką odznaczył się nieznużony Grzegorz Zagrobiny (Pauli) z Brzezin, Mazur, właściwy inicjator odszczepienia się „zboru małego" (w Krakowie w realnościach p. Bonara) od „większego" (kalwinów, tamże), ale dzieła jego prawie zupełnie zaginęły; w krótszych pismach walczył on przeważnie z kalwinami, przedewszystkiem z St. Sarnickim, głównym swoim przeciwnikiem; sięgał nawet i do poezji, acz bardzo niewybrednej. Wielkopolanin Marcin Czechowic po raz pierwszy wprowadził Żyda do literatury polskiej, bo wiódł on gruntowną a obszerną polemikę z rabinem z Bełżyc, Jakóbem; on pierwszy ułożył obszerny katechizm rakowski w pytaniach i odpowiedziach, a ścierał się najostrzej z katolikami, ks. Powodowskim i jego „Wędzidłem na arjany" oraz z jezuitą Żebrowskim; był im też solą w oku — niedarmo też pierwszy celny strzał polski w jezuitów padł ze strony bakałarza rakowskiego, Wojciecha Kaliszczyka, w słynnej na całą Europę skardze („Actio)". Liczne prace Czechowicowe odznaczały się jasnością i doborem polszczyzny. Szymon Budny, jeden z najskrajniejszych „ebionitów" „żydochrześcijan", jak ich przezywała nienawiść wyznaniowa, sięgająca już po argumenty pięściowe, niszcząca w Krakowie „brogi" różnowiercze — odznaczył się tłumaczeniem Pisma Św., najbardziej oddalającem się od wszelkich norm, przestrzeganych także przez różnowierców, tłumaczeniem zresztą najbardziej krytycznem i postępowem, przypominającem poniekąd wyniki dzisiejszej bibljologji. Gdy inni arjanie, zasileni przez Kujawian, Niemojewskich i in., opuścili Litwę i przenieśli się w strony lubelskie, a wkońcu tamże na stałe osiedli w Rakowie, on został na Litwie, w Łosku u Kiszki, i stamtąd bronił nauki arjańskiej (np. przeciw Paleologowi, który padł ostatecznie ofiarą inkwizycji rzymskiej), szerząc dogmaty arjańskie

o urzędzie sądu i miecza, zwalczając też pisma innych, zapowiadające wyraźny komunizm i anarchizm. Doszczętnie zaginęły, a czas i „trójczacy", rzymscy czy nowowierscy, wyniszczyli te najciekawsze objawy myśli polskiej.

Napady nowowiercze zaskoczyły „rzymian", byli oni nieprzygotowani do boju; pomagali sobie surowem wzbranianiem przywozu wszelkich pism heretyckich, czem naturalnie tylko popyt na nie zwiększyli; szerzył je całemi wozami luter poznański, Jan Seklucjan. Dopiero około r. 1549 zabrali się „rzymianie" do skuteczniejszej obrony, chwytając za tę samą broń, którą ich zwalczano, a więc posługując się książką zarówno prozą i wierszem, przekładami Pisma Św. (ewangelję wydali w 1557 r., całą biblję w 1561 i w 1573 r.), katechizmami, kazaniami. Nadrabiali wiele łaciną, bo tej nigdy nie zarzucił fanatyczny Stanisław Hozjusz, najsilniejszy w całej Polsce filar katolicyzmu, nie ustępujący ani na cal od dawnego trybu, a więc i od łaciny kościelnej, nie pochwalający nawet swojemu oddanemu Marcinowi Kromerowi, że dla skuteczniejszej walki polszczyzny używał. Hozjuszowe, naturalnie łacińskie „Wyznanie wiary" było pierwszym wielkim sukcesem polskim w całej Europie; wydania jego rozchwytywano, tłumaczono (także na polski) i tylko „Quo Vadis" sienkiewiczowskie mogło się po wiekach równym cieszyć rozgłosem. Marcin Kromer polskiemi „Rozmowami dworzanina (nowowiercy) z mnichem" w latach 1552—1554, tłumaczonemi na niemiecki i łacinę, był pierwszym, który wytrącił oręż z ręki przeciwnika, wykazując z rozwagą staranną i z wielką powagą, jasno a wyraźnie stałość dawnej a chwiejność nowej wiary. Nie brakło także i dialogów satyrycznych, odpierających podobne utwory pruskie, pochodzące z Seklucjanowej kuźni; między niemi ocalała i również jedna rękopiśmienna

„Komedja o mięsopuście", wykazująca w formie ściśle dramatycznej (z pieśniami pobożnemi po każdym akcie) dowolność „heretyctwa"; inna p. t. „Prostych ludzi w wierze nauka" — formy tej nie przestrzegała.

Zeświecczonemu, „letniemu" duchowieństwu, które mało dbało o wiarę, jak np. biskup krakowski Żebrzydowski i in. albo też przychylało się w stronę nowinek (biskupi: Wolski, Drohojowski, Uchański), przybyli na pomoc jezuici — gorący, ofiarni, uczeni. Najpierw byli to sami Hiszpanie i Niemcy, więc po łacinie szermujący w zapasach słownych (dysputach religijnych) i pisemnych, niebawem jednak, pozyskawszy najwybitniejsze młodsze siły katolickie, Warszewickiego, Skargę, Wujka, właśnie polszczyzną pobijali przeciwników. Niektórzy duchowni trzymali się dzielnie: Białobrzeski (z uczoną i nieco suchą postylą), Kuczborski (z obszernym katechizmem), niestrudzony poznańczyk Hieronim Powodowski, rubaszny polemista i moralizator, strofujący drastycznie w „Korabiu zewnętrznego potopu" i podobnych pismach wszelkich „moczygębów" i innych nałogowców, biskup Wereszczyński, pomstujący z animuszem iście kresowego rycerza na niedbałość i inne wady polskie. Mimo to w całej tej walce palma zwycięstwa przypadła jezuitom. Oni rozstrzygnęli o zwycięstwie katolicyzmu, bo nietylko bronili wiary wymownem słowem i piórem, znaczną nauką, a niesłychaną gorliwością i zapobiegliwością, nawracając odstępców, urządzając misje, np. do napół pogańskiej jeszcze Żmudzi, ale przedewszystkiem opanowali szkoły i młodzież.

Na szkoły rzucili się protestanci wszelkich odcieni, aby wychowywać przyszłych patronów, szermierzy i wyznawców wiary. Wszelkie ich synody zakładały szkoły wyznaniowe, zapewniały im moralny i materjalny dobrobyt, przygarniając i młodzież katolicką dzięki ulepszonej me-

todzie nauczania, która znacznie przewyższała średniowieczną krakowską, wyłącznie panującą dotąd w kraju, coprawda w drobnych szczegółach już nieco zreformowaną. „Gimnazja" pińczowskie (gdzie ów Francuz Statorjus-Stojeński pierwotnie nauczał), krakowskie i in. pobijały katolickie. Również i szkoły śląskie (mianowicie w Goldbergu u Trocendorfa), toruńskie, gdańskie, nie mówiąc o dalszych np.: królewieckich (uniwersytet tutejszy silnie przyciągał), witenberskich aż do strasburskich, gdzie istniała przecież szkoła Sturma z nową łaciną i greką, z nauką Pisma Św., z nauką retoryki zawołanej w mowie i liście — kształciły nierównie gruntowniej i modniej, niż zaśniedziałe katolickie. Ten stan rzeczy zmienili w Niemczech i Polsce jezuici i, nie dawszy się zrazić początkowem niepowodzeniem, brakiem uczniów, powszechnym oporem i nieufnością, doprowadzili do tego, że teraz i młodzież różnowiercza napływać zaczęła do ich kolegjów, z których jedno wileńskie, niekrępowane, jako na Litwie, przywilejami akademji krakowskiej, dostąpiło znaczenia i tytułu uniwersytetu. Próżno „ministrowie" zborowi przestrzegali rodziców przed grożącem niebezpieczeństwem; jezuici mądrem a celowem postępowaniem zapewniali sobie rozstrzygający wpływ na swoich wychowanków. Rdzeniem szkoły jezuickiej pozostała łacina, ich trudny „Alwar" (gramatyka) dawał wykształcenie zupełnie formalistyczne. Dla opanowania stylu w mowie i liście posługiwali się stale i dramatem szkolnym, aby zaprawić młodzież do publicznego występowania, o co w innych szkołach tylko chwilowo i dorywczo, a u nich systematycznie dbano. Dobór sił nauczycielskich, bezpłatna nauka (chociaż elementarnej nie udzielano wiele), wprowadzenie silnej emulacji (wyszczególniania uczniów i prac celujących), surowa karność, odbijająca od średniowiecznego rozpuszczenia młodzieży krakowskiej, nie stroniącej od bud ulicznych,

zbierającej się do wspólnej obrony i napadu ze znanym okrzykiem a d i d e m (niby: razem, towarzysze!) zapewniły i niebawem ustaliły wziętość szkoły jezuickiej. Ich kolegja, coraz liczniejsze, wznosiły się, zakładane i wyposażane hojną ręką biskupów i magnatów. Zupełna przewaga szkoły jezuickiej nad każdą inną należy jednak do wieku następnego; w ostatnich trzydziestu latach szesnastego stulecia jezuici występowali głównie jako szermierze za wiarę. J a k ó b W u j e k z W ą g r o w c a, więc Wielkopolanin, swoim znakomitym przekładem Pisma Św., nieprześcignionym mimo wszelkich zakusów aż do dziś, zastąpił nieudałą dawną Biblję krakowską; dzieła swego dokonał z największą powagą i w głębokiem namaszczeniu, bo w przekładzie Pisma Św., inaczej, niż w każdym innym, wymagano zasadniczo nietylko dosłowności, ale nawet przestrzegania oryginalnego porządku słów, jako czegoś mistycznego. Wujek z trudnego zadania wywiązał się znakomicie, prześcignął go chyba jedyny Skarga, a jezuiccy rewizorowie jego przekładu miejscami go raczej popsuli. Mniejsze znaczenie mają jego większa i mniejsza „Postyla", acz nadzwyczaj rozpowszechnione, tłumaczone (np. na litewski) i nieraz przedrukowywane, bo zbyt silnie występuje w nich charakter polemiczny i brak ciepła wewnętrznego. Nierównie wyżej stanął Mazur z pod Warszawy, ksiądz lwowski, a w Rzymie jezuita, P i o t r S k a r g a, najwymowniejszy z kaznodziejów polskich. Protestantyzm zdobył dopiero pole kaznodziejstwa, które w praktyce średniowiecznej zachwaszczano dziwacznemi wymysłami, kaznodzieja katolicki bowiem przyciągał słuchaczów nieraz najniestosowniejszemi opowiadaniami, alegorjami, ciekawostkami, aby budzić zajęcie u niewyrobionego, a na całą godzinę przykuwanego słuchacza. Protestantyzm oczyścił od tych wymysłów ambonę, nawrócił do pierwotnej, poważnej, moralizującej przeważnie homilji

i zmusił do tego samego duchowieństwo katolickie. Odznaczają się więc kazania Skargi tonem prostoty poważnej a głębokością treści; unikają ozdóbek stylowych; gromią i grożą, pocieszają i namawiają, płyną z serca skruszonego, z sumienia badawczego, rzucają wyniosłych do stóp krzyża i miłosierdzia boskiego, wystawiają znikomość świata, uczą litości, oskarżają innowierstwo (kacerstwo), odwodzą od swarów i krzywd. Najwyżej wzniósł się natchniony prorok boży w kazaniach sejmowych, wydanych razem z innemi w r. 1597. Gdy inni kaznodzieje zahaczali tylko przygodnie o sprawy polityczne, on, odczuwając posłannictwo wyższe, rozbierał i ostro osądzał brak miłości ojczyzny, samolubstwo, chęć przewodzenia i zysku; wywodził je wprawdzie z kacerstwa, ale polecał wzmocnienie rządu i powagi królewskiej i naraził siebie i zakon na zarzut, jakoby zalecał hiszpańskie czy habsburskie (austrjackie) absolutum dominium; ujął się za dręczonym chłopem, sarkał na przykucie tego niewolnika do ziemi, folwarku i pana; wytykał niesprawiedliwość sądową, przemoc królewiąt, błagał o odmianę, wejście w siebie, upokorzenie się, a wkońcu wymowniej, niż ktokolwiek inny przed nim lub po nim, wystawiał wiszącą nad narodem karę bożą, gniew Pański, przyszłą niechybną ruinę, malując ją w wstrząsających słowach i obrazach. Nie łudziły go chwilowe przewagi oręża polskiego, przyjmował je wdzięcznie, aby tem surowiej rozprawiać się z nierządem, swawolą i wypływającą z nich słabością. Jezuici opuszczali najostrzejsze przymówki w następnych wydaniach (od r. 1610), unikając napaści za zalecanie samowładztwa i poskromianie „złotej wolności". Oprócz kazań całorocznych i przygodnych (przy śmierci, zwycięstwie i t. p.) stworzył Skarga pierwszy domową lekturę katolicką, wydając obszerne „Żywoty świętych", każdy z „obrokiem" duchownym, przedrukowywanych wielokrotnie, aż po

dziś dzień, i „Roczne dzieje kościelne“ wyciąg z Annałów Baronjuszowych. „Dzieje“ nie zdobyły jednak tego rozgłosu ani rozpowszechnienia, co „Żywoty świętych Pańskich“. Jest to tylko cząstka dorobku życiowego tego spowiednika królewskiego, co zaważył stanowczo w pewnej chwili historycznej, działał niezawsze z korzyścią dla państwa, dbając jedynie o wiarę. Ten Mazur przezwyciężył w sobie wszystkie porywy natury polskiej, w samozaparciu uległ kornie przełożonym, pokorą zwalczał uprzedzonych, działalnością niestrudzoną do lat sędziwych zadawał gwałt śpiączce i sarmackiej skłonności do wygód. Władał łaciną, ale, nie dbając o szyderstwa różnowiercze, jako Polak pisał przeważnie po polsku, chociaż nie zalecało go to uczonym; głębokie wywody teologiczne pozostawiał innym jezuitom, towarzyszom niegdyś rzymskim, sam objął niepodzielnie pole teologji popularnej, a nikt tak, jak on, nie przerażał różnowierców wpływem osobistym, urokiem, jaki na dusze, niby ich „tyran“, wywierał. Bo kogoż ten człowiek nie nawrócił

Imię Skargi zapisało się niezatarcie w innem jeszcze dziele. Po unji lubelskiej większa część nowej Polski okazała się zamieszkałą przez lud innej, dawnej wiary, schyzmy grecko-słowiańskiej, o cerkwi autonomicznej, zawisłej całkiem luźnie od carogrodzkiego patrjarchatu. Opłakane były stosunki umysłowe i stan moralny tej cerkwi, której popi i czerńcy (mnisi) nie mogli się mierzyć ani powagą, ani nauką z rzymskimi, a nie mając zupełnie szkół i nowych pism, zczasem schłopieli. Biadali nad tem episkopowie, władycy i magnaci rusko-litewscy, kniaziowie Ostrogscy, wychodźcy z Moskwy, jak kniaź Kurbskij, i niejedni z nich zaczynali myśleć o podniesieniu upadłej cerkwi, o zrównaniu jej z katolicką, nawet za cenę porzucenia Carogrodu, a uznania Rzymu, za cenę unji z Rzymem. Tej to myśli chwycił się oburącz Skarga i wymow-

nem dziełem „O jedności kościoła“ rzucił pierwszy pomost do jej urzeczywistnienia. „Prawosławni“, którzy się tak z głupoty zamiast „prawowiernymi“ nazywali, mogli to dzieło narazie tylko wykupywać i palić. Brał też Skarga czynny udział zarówno w dalszym przebiegu tej sprawy, jak i w synodzie brzeskim, który sam opisał i obronił, a na którym ta unja Rusi z Rzymem doszła do skutku, acz całej Rusi bynajmniej nie objęła.

Obok nieskończonych, coraz zaostrzających się walk politycznych, grożących nawet wojną domową, obok równie nieskończonych, acz widocznie już na jedną stronę przechylających się waśni wyznaniowych wypłynęła w ciągu szesnastego wieku jeszcze jedna walna sprawa: tworzenie nowej Polski na zachodzie i wschodzie, po miastach dawnych i na nieprzejrzanych równinach aż do Wielkiej Tatarji i Moskwy. Wiek szesnasty doczekał się zupełnego spolszczenia miast: Krakowa, Poznania i Lwowa; zaczęło się to jeszcze w piętnastym wieku, a zakończyło teraz bez jakiegokolwiek nacisku, czy przymusu. Złożyły się na to warunki przyrodzone, wpływ otoczenia, poufałość, wynikająca ze związków krwi (żony Polki). Już w drugiej połowie piętnastego wieku rzadsi byli w Krakowie i gdzie indziej mieszczanie ze znajomością jednego tylko niemieckiego języka. Zdarzyli się tacy chyba jeszcze w starszem pokoleniu, ogół zaś przez dwujęzyczność doszedł wkońcu do zupełnej polskości. Ci spolonizowani Niemcy nie odegrali bynajmniej pośledniej roli; jedni np. Bonarowie (później i Morsztyni) wstępowali w szeregi możnowładcze, inni wybili się wysoko nauką i charakterem; wystarczy wspomnieć nazwiska Hozjusza i Kromera, dwu świeczników kościoła polskiego (Kromer osobnym zapisem obwarował w rodzonym Breczu naukę języka niemieckiego). Polszczyła się i szlachta marchijska, np. różni Wedelowie, pruska, Cemowie i in. Chodziło tu

o indywidua lub o drobne oazy, które musiały się zczasem zasymilować z otoczeniem; ci, którzy byli pierwotnie obcy duchowi polskiemu, po dokonaniu asymilacji przejmowali się nim zupełnie.

Inaczej było na wschodzie. Zdobycze Kazimierzowe, ślub Jagiełły, unja lubelska przyłączyły do rdzennej Polski olbrzymie obszary ruskie, a i Ruś litewska, przez unję znacznie uszczuplona, i rdzenna Litwa, mała wprawdzie co do rozmiarów, dostały się w sferę wpływów polskich. I niosła Polska kulturę zachodnią na wschód; zabudowywała miasta: Przemyśl, Lwów, Wilno, narazie przez Niemców, którzy niebawem i tu się polszczyli, wznosiła kościoły i klasztory, jako to: późniejsze dominikanów, franciszkanów, a szczególnie bernardynów, wkońcu i kolegja jezuickie. Wysiedlała na Ruś chłopów polskich, a osadzała szlachtę, która wchodziła rychło w pokrewieństwa z rodami bojarskiemi, a na Litwie — i z książęcemi. Na Rusi Czerwonej obowiązywało nawet prawodawstwo polskie, podczas gdy inna Ruś strzegła statutu litewskiego t. j. ruskiego i tegoż języka sądowego i urzędowego. Żywioł ruski zachował niebawem odrębność całkowitą tylko jeszcze w warstwach najniższych: na wsi, u popów i wśród drobnego mieszczaństwa; natomiast w wyższych sferach zaczął ginąć w szesnastym wieku coraz szybciej; rody ruskie porzucały prawosławie, dawne „błahoczestje“ i wprost, albo poprzez fazę różnowierstwa, np. kalwiństwa, przechodziły na katolicyzm. Nowa Polska tworzyła się wśród szlachty i mieszczaństwa. Najżarliwsi obrońcy prawosławia, a więc i ruszczyzny, Konstanty Ostrogski np., nie uchronili synów własnych od porzucenia wiary ojcowskiej, co poprzedzane bywało przez całkowite spolszczenie; to samo niepowstrzymanie, prędzej czy później, powtarzało się u książąt Słuckich, Czartoryskich, Sanguszków, Sapiehów, Chodkiewiczów i t. d. Polska obyczajo-

wość, polska mowa i literatura zdobywały nowe pola, szerzyły się z każdym dziesiątkiem lat i już przy końcu wieku Dorohostajscy, Sołomireccy, Naruszewicze porzucili ostatecznie dawny język, pismo i obyczaj; czytali jeszcze wprawdzie dawne kroniki, powieści i legendy ruskie, ale po rusku pisali już tylko wyjątkowo i zaczynali się czuć Polakami, choćby narazie tylko dla przynależności politycznej.

Lecz ten proces tworzenia się nowych warstw polsko-ruskich miewał i strony ujemne; szlachta polska, napływająca szczególniej z Małopolski, i chłop polski tracili w nowem otoczeniu rysy rdzenne i nasiąkali ruskiemi. Najwidoczniej przejawiało się to właśnie u szlachty, wchłaniającej zakusy anarchiczne dawnych bojarów halickich, których to zakusów żaden Iwan Groźny nie wyplenił. Ona to odcinała się niesfornością i pogardą prawa od właściwej polskiej szlachty, stojąc od niej znacznie niżej pod względem kulturalnym i moralnym. Jeżeli Orzechowski twierdził: „za dziada mego po łacinie umieć szlachcicowi sromota w Polszcze była... oni naszy mili prostacy, nie czytając, bo czytać nie umieli..." i t. d., to odnosi się to świadectwo nie do szlachty wielko- i małopolskiej, lecz do rusko-polskiej, halickiej i przemyskiej, nie mówiąc o dalszych, całkiem barbarzyńskich stronach. I w literaturze narodowej można sprawdzić te różnice zasadnicze. Tak odbija np. Rusin Orzechowski (syn popówny) od Polaka Modrzewskiego, warchoł nieokiełznany od statecznego sługi Rzeczypospolitej. A Orzechowski to nie wyjątek, lecz reguła; Stadniccy, Herburty Radziwiłły gardzą prawem, idą lewem, stanowią materjał wypróbowany na rokoszan! Wyrośli oni na tej ziemi ruskiej, a jej woń za nimi i w literaturze odczuć się daje; Orzechowski zrozumiały jest tylko na tle ruskiem (nikt też równie często Polaków Lachami nie przezywał), a nie

odbiegł od niego ani Uchański (jedyny dygnitarz kościelny, który, jako Chełmianin, znał, cenił, zbierał i przekładał cerkiewną, staroruską literaturę) ani Szymon Budny, który, acz mieszczanin, niedarmo Kalwina na ruskie tłumaczył. Nadmierne więc rozszerzanie się polskości okupywano ceną obniżenia jej kultury.

Szczęściem dla piśmiennictwa narodowego dopiero w dojrzałym wieku przeniósł się Stanisław Rej z nad Wisły i Nidy nad Dniestr i tam, w najgłębszej Rusi, bo aż w Żórawnie, narodził mu się z Herburtówny w r. 1505 syn Mikołaj. Czytać i pisać ojciec nie umiał (w piętnastym wieku nietylko u ruskiej szlachty stałe to zjawisko) i na takiego samego „uczonego" wychowywał i synka, chociaż go nawet do szkół posyłał. Ale do Mikołajka nie przywarło nic z ruskiego otoczenia, odpornym okazał się organizm polski i od Dniestru ciągnęło go niepowstrzymanie wszystko ku właściwym ojczystym stronom, nad Wisłę i Nidę. Wyniósł jednak z nad Dniestru zupełny brak kultury, wyrósł na młodego dzikusa; wsłuchał się zato w dumy ruskie (znał je lepiej, niż ktokolwiek inny) i śpiewy „kmiotowien" i wyrobił sobie muzykalny smak i czucie. Z takiemi zadatkami przeniósł się do ukochanej nadewszystko Małopolski i tam, wśród swoich, nie wśród Herburtów, gdzieby był tylko na wołowca albo na żołnierza kresowego wyrósł, rozwinęła się jego bogata w dary natura polska. Wstyd mu było ruskiego nieuctwa, więc w domu znakomitego męża (Tęczyńskiego), który liczył się do kwiatu rdzennej małopolskiej szlachty, zaczął się powoli przecierać i okrzesywać. I zwolna zatracił zupełnie wszelką cechę ruską, naddniestrzańską; w ogromie pracy jego literackiej znaleźć można wszystkiego dwa czy trzy ruskie słówka, jak np.: bohater, siromach — zaś nieskończenie więcej czeskich i niemieckich, pochodzących z bruku krakowskiego — jedno przysłowie ruskie i parę anegdot

o niekulturalności ruskiej — zresztą pan Nagłowski zatracił doszczętnie wszelką pamięć o Rusi. Czego nie zatracił — to rozśpiewania ruskiego, a i same mu się składały słowa do wiersza i rymu; pobrzękując na luteńce, tworzył bez liku wierszydła okolicznościowe, czerpiąc zwroty i motywy z owego niedrukowanego pieśnioksięgu narodowego: pisał utwory erotyczne, żartobliwe, przyjacielskie, rodzinne (na festy i żale), religijne nawet, aż z takiej ulubionej zabawki urosła rzecz poważna — całkowite powołanie poetyckie, nie odrazu jednak. Przyszłych literatów słowiańskich odznacza wczesny wiek, w jakim stają do popisu, Rej w późnych latach dopiero odnalazł właściwą drogę. Na dworze Tęczyńskiego wprawił się bowiem sam, dobrowolnie, w ową łacinę, której mu zamłodu ani nauką, ani rózgą do głowy nie wpędzono. Zaczął czytać poważne książki, choć rozumiał je piąte przez dziesiąte, i ten, którego pan wojewoda tylko do pisaniny polskiej mógł używać, wyrobił się wkońcu sam na jakiego takiego łacinnika. I znowu szczęściem dla piśmiennictwa narodowego okazało się, że młody Rej nie nauczył się w szkole niczego, prócz zbijania bąków. Brak wiedzy szkolnej stał się dla niego rękojmią wydatnej służby narodowej. Samouk, który z takim mozołem i stratą drogiego czasu z nieuctwa się wykrzesał, zapragnął ułatwić drogę innym, przekonać ich o potrzebie nauki i myśli, wznieść ich ponad bytowanie wyłącznie materjalne, uczuł w sobie żyłkę moralizatorską, pedagogiczną, wkońcu i kaznodziejską. Wprawa, nabyta w wierszowaniu, wskazywała mu najbliższą ku temu drogę. Od wierszy okolicznościowych przeszedł w dojrzałym już wieku, bo aż w czwartym krzyżyku, do wierszy i dialogów satyrycznych. Już średniowiecze wytrwale i z dobrym skutkiem je uprawiało. Ulubioną była forma sporu, w którym różne wieki, stany, zawody, aż do zwierząt i żywiołów (np. woda a wino), wzajemnie się z siebie

natrząsały: kmiotek z pana, pijanica z kostery, panicz z panny, świecki z duchownego, stary z młodego, zima z lata, lew z kota, śmierć z człeka, szlachcic ze starosty, żołnierz z domatora, dworzanin z hreczkosieja. Na podobnych dialogach zaprawiał i Rej swoje pióro i rozchodziły się one w odpisach między szlachtą, która wybornie bawiła się tą niewybredną muzą. Pociąg do wierszopisania, do wylewania uczuć i żalów, trosk i radości w najpospolitszych, ale rymowanych wierszach stawał się nabytkiem ogólnym i liczne mamy już od połowy wieku świadectwa, dowodzące grafomanji młodzieży męskiej — niewiasty jej nie znały, bo o ich rozgarnienie umysłowe oprócz ściśle towarzyskiego (t. j. tańca, muzyki) nie dbano; siedziały przy krosienkach, pilnowały ogródka, albo też pochłaniały je zajęcia domowe i gospodarskie, o ile im nie zapełniały życia stroje i przysmaki.

Wyrósł więc Rej na dobrego towarzysza i towarzyską jedynie, dla „dobrej myśli" (biesiady), uprawiał poezję i byłby przy niej został i nicbyśmy o nim nie wiedzieli, gdyby nie rok 1543. Wystąpili wtedy po raz pierwszy przed światem polskim trzej dojrzali mężowie: Orzechowski i Fryc z dziełami naturalnie łacińskiemi, gdyż człowiek szanujący się nie odważyłby się na polskie, oraz Rej, który przedstawił się kochanym braciom jako p. Ambroży Rożek, bo „sprawa Rożkowa" była przysłowiową. Ten rok był jednak pamiętny i z innego jeszcze powodu, z powodu czegoś, co chwiejnemu okrętowi Rejowemu dodało na zawsze balastu i bieg jego utrwaliło; balastem tym okazała się nowa wiara. W r. 1543 wyszedł w Krakowie pierwszy katechizm polski, tłumaczony z łaciny i zrywający, acz ostrożnie, z ortodoksją katolicką; polecając, zaopatrzył go Rej w wierszyki „dobrym towarzyszom gwoli", bo Rej całe życie tylko do nich i dla nich pisywał. Równocześnie niemal przerobił Rej srogi pamflet

luterski na wiersz polski, którego naturalnie drukować w Krakowie nie mógł i który rozszedł się tylko w kilku odpisach między bracią, a szczególnie w kółku krakowskiem (u Trzecieskich i innych nowatorów). Równocześnie wydał dziełko, koronę wszelkich dialogów dotychczasowych: „Krótką rozprawę między trzema osobami: panem, wójtem a plebanem, którzy i swe i innych ludzi przygody wyczytają (wyliczają) a takież i zbytki i pożytki dzisiejszego świata". Obszerny, dawnym zwyczajem, tytuł wyraża dokładnie treść dziełka, które w ulubionym wierszu średniowiecznym (rymowanym ośmiozgłoskowcu) karci dotkliwą nieraz satyrą wszelakie wybryki, życie nad stan, nędzę żołnierską, przewłoki sądowe, praktyki prokuratorów (adwokatów), zahacza też i o duchowieństwo i jego nadużycia, acz bardzo, ze względu na miejsce druku, powściągliwie. Może ukazały się przedtem, a może dopiero teraz powstały inne dialogi Reja, z których się nam żaden nie dochował, chociaż wyliczają je inwentarze krakowskich drukarń; jedyny „Warwas" ocalał, ale w tłumaczeniu czeskiem (niestety, w unikacie czeskim bez karty tytułowej), jest on poświęcony sprawie kobiecej. Dobrzy towarzysze, zszedłszy się, „nicują" płeć piękną, nie zostawiając na niej dobrej „nici", lecz inny towarzysz gromi ich ze względu na poczciwe matki; w rękopisie ocalał również dialog: „Kot ze lwem rozprawia o swobodzie a o niewoli" (lew w klatce próżno się sroży, kotek woli postawę niepozorną, ale na wolności). „Krótka rozprawa" żegna niemal średniowieczną Polskę, w której kmiotek nie zszedł jeszcze na niewolnika, ale mógł bronić siebie i stanu swego. Wyśmiewał też tutaj Rej dowcipnie a trafnie wszelkie niedobory dawnego, średniowiecznego jeszcze ustroju, a zarazem nowe nałogi i zbytki w stroju, stole i piwnicy, marnowanie czasu przy kartach, kostkach i myślistwie. Pamflet luterski wydrukował dopiero w r. 1549 Seklucjan

w Królewcu p. t. „Kupiec to jest kształt a podobieństwo sądu Bożego ostatecznego“ (za tytuł odpowiada Seklucjan, nie Rej). Niemiec „Naogeorg“ wyszydził niemiłosiernie naukę „papieską“ o zadośćuczynieniu za grzechy, wykazał zdrożność wiary w odpusty, dróżki i posty, we wszelkie „dobre uczynki“, a przeciwstawiał im zwycięsko jedynie wiarę i łaskę, jakiemi zbrodniczy kupiec osiąga królestwo niebieskie. Tragedja jego, miejscami o wysokiem napięciu dramatycznem, nadzwyczaj zresztą uszczypliwa i ponad wszelkie prawdopodobieństwo drastyczna, przerodziła się u Reja, który jako były naddniestrzanin nie miał pojęcia o sztuce dramatycznej, w opowiadanie dialogowane, łagodzące wyzywający ton oryginału, nadzwyczaj rozwlekłe, powtarzające się ciągle, odskakujące zupełnie od pierwowzoru przez wciąganie szczegółów epicznych, które narzucają kosmopolitycznemu utworowi cechy polskie. I to pozostało na zawsze właściwością Reja: nigdy nie odważa się on na dzieło zupełnie samoistne, zawsze opiera się o wzór obcy, tłumaczony, tylko nigdyby się nie przyznał do źródła domniemanego tłumaczenia, od którego tak dalece odbiegał tonem i szczegółami, że staje się ono własnością duchową tłumacza.

„Dobrzy towarzysze“ zwrócili Rejowi uwagę na niestosowność formy dramatycznej w tych utworach, objaśnili mu istotę dramatu i dzięki temu we dwa lata później uniknął Rej sprzeczności, które wypłynęły z niezrozumienia, chociaż i tym razem dramatu nie stworzył. W roku 1545 wydał „Żywot Jozepha z pokolenia żydowskiego syna Jakubowego, rozdzielony w rozmowach person, który w sobie wiele cnót i dobrych obyczajów zamyka“. Punktem wyjścia była wprawdzie komedja jezuity Krokusa (z r. 1537), ale wbrew wzorowi przewierszował Rej całą legendę o Józefie od snu matki aż do wielkorządztwa egipskiego i przywołania ojca, a wiedziony trafnym in-

stynktem poświęcił lwią część utworu epizodowi z Putyfarową. Samoistnie, i to mu zaszczyt przynosi, wystawił kobietę zacną w gruncie rzeczy, nie mogącą się jednak oprzeć namiętności, zwodnicę krakowską w Egipcie (ale przecież o anachronizmy ani malarz ówczesny, ani poeta nie kłopotał głowy), szczególnie żywo opisaną, gdy pobudza i ośmiela starych; psychologja jest bardzo trafnie ujęta, zawodzi tylko wysłowienie, kręcące się wkółko, nadzwyczaj mdłe u Józefa. Widać było postęp pod innym względem: od oświeconego średniowiecznego ośmiozgłoskowca, który sam płodził rozwlekłość przez dodawanie wiersza dla rymu, nie zaś dla myśli — przeszedł Rej w „Żywocie Józefa" do „aleksandryny".

Jak dla całego Krakowa, tak i dla Reja samego lata 1543—1548 stanowią międzyczas, zawieszenie walki wyznaniowej, wyczekiwanie niechybnej odmiany. Zaczyna już jednak przeważać znaczny zwrot ku twórczości religijnej. Pod wpływem nowej wiary Rej odrzuca nietylko dawne praktyki i przesądy, ale przepaja się modlitwą, kornem rozmyślaniem, skruszonem wzywaniem łaski Pańskiej, jednem słowem wiara jego pogłębia się ku przemyśleniu najcelniejszego w świecie modlitewnika—„Psałterza". Swoją przeróbkę tegoż, wyjątkowo w prozie, bo dla modlitwy lepiej ta forma się nadawała, poświęca Rej jeszcze staremu królowi i wstrzymuje się od wyraźniejszych zwrotów przeciwkościelnych, chociaż tu i owdzie odzywa się jednak „nowowiernik"; ten, bynajmniej nie przekład, lecz najwolniejsza i najdowolniejsza w świecie przeróbka, odznacza się niesłychaną dotąd gładkością wysłowienia i ani wierzyć się chce, że trzysta osiemdziesiąt lat upływa od pierwszego wydania „Psałtarza" Rejowego. Rozeszło się potem nazwisko Reja po całej Koronie, chociaż on sam nigdy pod niem nie występował, zaś stary król odwdzięczył mu się po królewsku, bo w 1546 r. wieszczowi,

czyli „rymarzowi" polskiemu wieś nadał (tekst nadania naturalnie łaciński), a niebawem uczynił dworzaninem królewskim, acz się Rej o tytuły nie ubiegał i tylko jako poseł sejmowy sprawie publicznej służył.

Wstąpienie na tron młodego króla przyniosło nowowiernikom nadzwyczajny zawód z racji jego pokątnego ślubu z Barbarą, nie omieszkał więc i Rej ułożyć na nią obelżywego pamfletu, ale aż do r. 1556 nie ogłaszał nic większego (oprócz luźnych pieśni religijnych, psalmów wierszowanych i t. p.). Zajęło go wyłącznie wydanie olbrzymiego dzieła, któremby zaspokoił głód słowa bożego; zapełnił brak postyli polskiej (żadnej w druku nie było, gdy się do własnej zabierał) i zadośćuczynił potrzebie wzmocnienia w nowej wierze. Powstało w ten sposób dzieło, które najwyżej wyniosło u współczesnych jego znaczenie, sławę, nawet umiłowanie. Wielki foljał rozszedł się w pięciu wydaniach (trzy pierwsze następowały po sobie w najkrótszym czasie), a przetłumaczono go też na litewski, i wznowiono jeszcze w 1883 r. dla spragnionych słowa polskiego ewangelików śląskich. I nie możemy się dosyć nadziwić zarówno pomysłowi samemu, jak i jego wykonaniu. Rej, co wedle słów przeciwników (jezuity Wujka) „życie w żarciech i karciech strawił", zdobył się na obszerną, rzewną naukę całoroczną i prześcignął wszelkie postyle świata, nie uczonością albo głębokością, lecz serdecznością. Prawił on z serca, nie z głowy i do serc trafiał. Pierwsze wydanie p. t. „Świętych słów a spraw Pańskich, które tu sprawował Pan a Zbawiciel nasz na tym świecie będąc w człowieczeństwie swoim. Kronika albo Postila, polskim językiem a prostym wykładem też dla prostaków krótce uczyniona" w r. 1557 u Wierzbięty w Krakowie; następne wydania (1560, 1566 i t. d.) różnią się znacznie od następnych. Prawdziwie Rejowe jest tylko to wydanie — w następnych bróździli ministrowie zborowi,

zaostrzając ton polemiczny, wplatając wywody teologiczne np. o sakramencie ołtarza; pierwsze wydanie pisane było jeszcze w ducha Lutra, późniejsze już Kalwina. Serdeczna prostota wykładu, nadzwyczajna obrazowość języka, gorąca miłość ku braci, zwiedzionej sprawami świata obłędliwego, omylnego, grzesznego, ukazywanie jedynej drogi zbawienia w wierze i łasce, szczeropolska obyczajowość—zalecają to dzieło ponad wszelkie późniejsze bądźto katolickie, bądź protestanckie. Przez to dziesięciolecie, które upłynęło między „Żywotem Józefowym" i „Psałterzem a Postylą", rozczytywał się Rej w podobnych łacińskich dziełach Bucera, Bullingera i innych, ale nie poszedł za niczyim wzorem niewolniczo i stworzył arcydzieło w swoim rodzaju. W tem to dziesięcioleciu zmienił się i sam autor, uświadomił sobie powołanie i, acz się nigdy nie uniósł próżnością i odczuwał zawsze braki wykształcenia, jednak uważał siebie za te kamienie, co wołać muszą, gdy powołani milczą, i powziął zamiar, ile siły pozwolą, pouczać lekkomyślnych i niedbałych rodaków, oświecać o życiu, o celu człowieka, o marności i próżnej pompie, o cnocie i nauce. Aby odjąć im wymówkę: „pisma nie mamy, skądże się nam uczyć", postanowił pouczać ich w języku własnym, bo o to przecież chodziło, nie o nowy przypływ do morza łacińskiego. Temu programowi nauczycielstwa narodowego pozostał Rej wierny do końca zawodu i życia (1569 r.). Teraz nie rozpraszał się więcej na drobiazgi, nie wydawał dialogów ani pieśni lub psalmów luźnych, lecz podejmował się rzeczy, znacznych zarówno pod względem objętości, jak treści.

Wielkiem uznaniem cieszyła się w Polsce epopeja dydaktyczna łacińska autora Włocha t. zw. „Zodiacus vitae t. j. ksiąg dwanaście o najlepszym urządzeniu życia, dążenia i obyczajów ludzkich" (pierwsze wydanie w Bazylei r. 1531; dzieło to dostało się na indeks ksiąg surowo zaka-

zanych a zwłoki autora dobyto i spalono). Rozwlekłe to i nużące dzieło imponowało surowym, ascetycznym poglądem na świat, nie uznającym prócz rozumu żadnego innego sędziego (wyprzedzało godnie serwetów, socynjan, deistów, ba, materjalistów nawet), zdumiewało ostrem karceniem wszelakich zdrożności (nie uszła potępienia dla swych sprośności i mitologja klasyczna), naukowym wykładem o niebie i ziemi, stoicyzmem autorskim, który wznosił się ponad wszelkie przypadłości, uznając jedynie życie cnotliwe za prawdziwe szczęście, gardząc sprawami i przesądami motłochu. Mimo formy poetyckiej jest to uczony, filozoficzny traktat bez jakiegokolwiek wątku powieściowego. Otóż tego pesymistę i sceptyka, uczonego i ascetę obrał sobie za przywódcę żywiołowo we wszystkiem mu przeciwny Rej w swem następnem obszernem dziele p. t. „Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego, w którym jako we zwierciadle każdy swe sprawy oglądać może, zebrany i z filozofów i z różnych obyczajów świata tego“ (Wierzbięta 1558; trzy wydania w 16 wieku). Utwór ten zawiera niemal 12 000 długich wierszy, a suchy, bezbarwny wykład z katedry zastąpił Rej oprowadzaniem młodzieńca po różnych filozofach starożytnych; udzielając mu poselstwa z otchłani i ukazując widoki raju, wprowadza wszędzie obszerne moralizacje nietylko o cnocie, mierności i jej zaletach, o skutkach wad i namiętności, ale nawet poucza go i o astronomji, meteorologji, o budowie świata i człowieka, a urozmaica wykład stale nieraz aż nadto drastycznemi wycieczkami w stronę spółczesnego świata polskiego, kreśląc obrazy jego prawdziwie flamandzkie. Nienawiść do Rzymu i duchowieństwa, głucho przebrzmiewająca w dziele Włocha, nabiera tu dosadnej wyrazistości. Temat był nadzwyczaj wdzięczny i ważny, ale przekraczał siły Reja, który o filozofach starożytnych miał wyobrażenie chaotyczne; chodziło tu jednak o morały

i satyrę, nie o filozofję, ani kosmologję. Naiwność Rejowa jest rozbrajająca, ale właśnie owe wstawki, wśród których są nawet opisy przyrody, poranku i nocy, burzy i pogody, dodały „Wizerunkowi" ciepła, którego brak zupełnie „Zodjakowi". Był więc „Wizerunek" i ze względu na rozmiary i treść pierwszem wielkiem dziełem piśmiennictwa narodowego, obcem wprawdzie co do swego źródła, lecz własnem co do wykonania, bo Rej, wiedziony trafnem poczuciem, wyczuł w utworze poetyckim potrzebę wymysłu, fantazji, akcji, o czem suchy pedant włoski ani pomyślał — i wysilał się na pierwsze w literaturze polskiej opisy np. pałacu Rozkoszy.

Ukazawszy w tak obszernem dziele system niby-nauki, pomyślał Rej o jego uzupełnieniu przez naoczne wzory cnót i występków, bo z doświadczenia wiedział, jak nierównie silniej działają na nierozwinięty umysł przykłady, czyny i aforyzmy; bał się zarazem, że rozwlekłość wykładu „Wizerunku" niejednego odstraszy i postanowił sam zabłysnąć krótkością. Tak powstał jego „Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, zwierząt i ptaków kształty, przypadki i obyczaje są właśnie wypisane" (1562, 1574 drugie pośmiertne wydanie). Tytuł nie wyraża treści: pierwszy rozdział zawiera same anegdoty starożytne, słynne aforyzmy bohaterów i mędrców; drugi opisuje znaczniejsze rody polskie, wedle prowincyj, aby wedle nich i ich herbów nieraz ukazywać wzory dzielnych obywateli, czasami nie bez przytyków wprawdzie, z reguły jednak w nieco panegirycznym nastroju. Trzeci rozdział omawia stany i urzędy, świeckie i duchowne, nie brak tu silnych wycieczek przeciw Rzymowi z jednej strony, a wysławiania Lutra i Witenbergi z drugiej (o Kalwinie i Genewie nigdy kalwin Rej nie wspomniał); czwarty wychwala cnoty ludzkie a zohydza występki; przeplatany jest bajkami o zwierzętach. Te cztery rozdziały o poważnym tonie i treści (mimo

satyrycznych szczegółów, nieraz okropnie drastycznych, szczególniej gdy pod pręgierzem stają pijacy i brudale) wymagały „krotofilnego“ uzupełnienia przez śmiech i facecje. Więc dla ochłody spracowanej myśli dodał Rej paręset oktaw p. t. „Powieści przypadłe, z których się może wiele rzeczy przestrzec, zową to apoftegmata“ (dziś powiedzielibyśmy: anegdoty; w drugiem wydaniu przezwano je trafniej „Figliki“, albo i „Facecje“).

Każdy morał, czy opowiadanie zawarł Rej w ośmiu długich, rymowanych wierszach, tak, że o właściwej formie oktawy włoskiej niema mowy; są to octostichy łacińskie, (podobnemi cztero- lub dwunastowierszami sławił „Janicius“ arcybiskupów i królów). Jednostajność formy nieraz razi, treść bywa nadto obfita lub zbyt rozwałkowana; wzory są znowu obce, a mianowicie były niemi zbiory anegdot starożytnych bądź Erazma Roterdamczyka, bądź Fulgozy, albo najsprośniejszych nowych facecyj Poggia, Bebela i innych. Cały jednak rozdział drugi i trzeci to wyłączna własność Rejowa, a i wśród facecyj wiele jest polskich, wojujących głównie kalamburami; poziom ich bywa bardzo niski i dowodzi zupełnej niewybredności „dobrych towarzyszy“; dedykował je Rej przed samym zgonem w drugiem wydaniu najpoważniejszemu i „najtrefniejszemu“ pół-Polakowi, Rozjuszowi — i był to figiel nielada.

Lecz ani rozwlekły „Wizerunek“, ani lakoniczny „Zwierzyniec“ nie zadowoliły starego szlachcica, więc powtórzył jeszcze raz i uzupełnił swoje moralizacje w ostatnim i najobszerniejszym, prozaicznym utworze p. t. „Zwierciadło albo kształt, w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jako we zwierciedle przypatrzyć“ (1567—1568). Pierwsze wydanie było przepyszne; drugie, bardzo skromne powtórzyli dopiero w r. 1606 kalwini wileńscy. Pierwsze

trzy księgi obejmują całość p. t. „Żywot człowieka poczciwego“ (wedle trzech wieków, młodości, męskości i starości), a człowiekiem poczciwym nazywał Rej szlachcica-posesjonata, innych ludzi nawet znać nie chciał. Dawna literatura lubowała się w podobnych ogólnikowych wywodach o wychowaniu, cnotach, powinnościach królów i książąt, panów i dworzan; za tym przykładem, np. za księgami Loriciusa, poszedł i Rej, ale przystosował je wyłącznie do stanu szlacheckiego, „nie parającego“ się dworem, urzędem, żołnierką, bo pisał dla hreczkosiejów, co się najwyżej wybiorą na sejm dla urzędu poselskiego i dla posłużenia braci veto założą na podatki, albo „inne krzywdy“, a wolnego głosu nie dadzą przekupić żadną intratą. Dalsze części „Zwierciadła“, pod najrozmaitszemi tytułami, przeważnie wierszowane, dopełniają ów „Żywot“ krytyką stosunków polskich lub ogólnikowemi moralizacjami; przy końcu żegna się autor z miłym światem i „dobrymi towarzyszami“.

Na wartości „Zwierciadła“, najdojrzalszego i najdoskonalszego dzieła Rejowego, nie poznali się spółcześni, którzy oczekiwali polskich wierszy, nie prozy. Poniekąd zawinił i Rej sam, ograniczywszy się do stanu, do którego sam należał i który jedynie znał. Żołnierz czy dworzanin, duchowny czy mieszczanin nie znaleźli w księgach tych miejsca, a jak mógł o wychowaniu albo o wyjazdach zagranicznych pouczać ten, kto wyrósł bez wszelkiego wychowania, nosa za granicę polską nie wychylił, a o obczyźnie pojęcia nie miał? Tę jednostronność i te braki wynagradzał pyszny, płynny język, znakomite obrazy temperamentów i nałogów, ciepła, przejmująca serdeczność tonu. Przemawiał tu kochający brat i ojciec do swych „dilektów“, kładąc w słowa swe głębokie doświadczenie życiowe i bystre spostrzeżenia, gorący patrjotyzm, ukochanie i uwielbienie tej Polski, wspaniałej mimo wad jej

synków, swobodnej swą złotą wolnością. Natchniony tą miłością wybucha najdotkliwszą skargą na wyrodków, na wszelakie zdrożności, na „porządną niedbałość" wszystkich, a poprawy i ratunku spodziewa się od łaski i wiary, skruchy i pokuty. Chociaż nie gardzi Rej i środkami politycznemi, jednak projekty koniecznej reformy przeistaczają się u niego stale w kazanie zborowe.

U współczesnych, począwszy od królów, zażywał Rej najżywszej sławy i wdzięczności; niełatwo zdobył inny autor tak rychłe i tak powszechne uznanie — ale sława jego jak przyszła, tak minęła; pamięć o nim uległa rychło najgłębszemu zapomnieniu. Poczęści zaćmiła ją reakcja katolicka, która nie przebaczyła Rejowi ani antyrzymskich wycieczek, ani wojaczki z duchowieństwem. W dużej mierze przyczyniło się do tego jego własne zacofanie. Bo dziwny ten człowiek stroił się i wierzył podług modnych haseł, ale czuł i myślał na modłę średniowieczną, będąc sam żywym anachronizmem. W wieku humanistycznym gardził humanizmem; w wieku różnicowania się stanów stał uparcie przy jednym i nie znał, czy nie uznawał innych; w wieku swobody umysłowej wierzył naiwnie a ślepo w mądrość scholastyczną, taką, jaką i o ile ją pojął. To jego braki — a zasługa? Jest ona naprawdę nieporównana, bo on pierwszy zrozumiał i wykonał zadanie literata. Choć i inni pisali przed nim i równocześnie z nim, on jedyny ocenił ważność tej służby obywatelskiej i jej się poświęcił. Chociaż mu światek t. j. towarzystwo, polowanie, muzyczka nadzwyczaj smakowały, jeszcze w stosunkowo późnych leciech od nich się odrywał i piórem służył, ani nie kładąc nazwiska pod swe utwory, ani nie odnosząc z nich korzyści (przeciwnie, sam ze swego mieszka na koszta dokładał). I ten człowiek, który nie trudził się żadnym urzędem, nawet zborowym, który gorszył obcesowemi

żartami już sobie współczesnych, a i teraz nas gors
który nie uznawał na świecie nic oprócz swego „s
niku pomiernego", w literaturze ojczystej taki wi
rej, że zapomniano zupełnie o jego poprzednika
i współpracownikach, a jemu wyłącznie przyznano
costwo literatury.

ROZDZIAŁ DRUGI

JAN KOCHANOWSKI.

Wiek złoty i jego przedstawiciel. — Renesans polski. — Odzaje literackie, uprawiane w tym czasie. — Sielanka Simonidesa. — Poeci kresowi. — Zmierzch.

Gdy się Polska ze snu wiekowego w szesnastem stuleciu udziła, zdawało się zrazu, że jej rozpęd młodzieńczy, epowstrzymany, prześcignie i tych, co najdalej ją wyprze-ili. Narody zachodnie dziwiły się temu szczepowi sło-ańskiemu i jego rozpędowi. Polonja, przez niejednego dzoziemca uważana za jakieś zatęchłe miasto, niby kaś Bolonja, nęciła swobodą myśli, sumienia i słowa, anami wprawdzie nieco fantastycznemi przebudowy asnej nauki (Batorego-Zamoyskiego), pociągała zwy-ęską ofenzywą przeciw Moskwie, kojarzeniem się ludów o oto poddała się jej i Kurlandja), imponowała bogactwem ych surowców, drzewa, roli i bydła, wolnością poli-czną, śmiało przeciwstawiającą się królom, wiążącą „paktami", jednającą gościnnością, wystawnością ojnością obywateli, którzy spędzali swą bujną i górną odość na szerokim świecie, zwłaszcza w Niemczech ve Włoszech. Wspaniały ten rozkwit, nigdy przedtem potem nawet w przybliżeniu niedościgniony, przypada lata 1550—1580, na złoty wiek, na okres Zygmunta gusta — poza te lata nie godzi się go już rozciągać. yjątkowa to epoka ta wiosna Polski.

Ma ona dzielnych wodzów, począwszy od Jana Tarnowskiego, który poraził Wołochów i Moskwę, i od Mikołaja Sieniawskiego, który trząsł Rusią, a skończywszy na Batorym, który Groźnego z konia zsadził; nie brakło jej senatorów największej powagi, jak Dębieński, Ocieski, Zamoyski; mówców pierwszorzędnych, jak Siennicki-Demostenes polski, albo raczej Kato dla cnoty obywatelskiej, i jego towarzysze; szermierzy teologicznych, którzy imponowali nietylko Polsce, ale i Europie, jak Hozjusz, Kromer; latynistów świetnych, którzy zdobywali oklaski i na Zachodzie—ma Polska nowe muzy Północy i nowe Ateny! Zawrzał też ruch niemal gorączkowy w polityce (sprawy egzekucji praw, unji, elekcji), w sprawach religijnych (kalwini francuscy liczyli na pomoc polską, a Włosi uchodzili do Polski przed inkwizycją rzymską czy genewską), w życiu gospodarczem, gdy poczęto kolonizować pustynie ruskie. Głęboki spokój za obu Zygmuntów, nieprzerywany niczem prócz walk kresowych za Batorego, wyprowadzenie zwycięskiego oręża nazewnątrz za Batorego — wszystko razem wywoływało cieplarnianą niemal atmosferę tryumfu myśli, słowa i sztuki. W tej ostatniej popisywali się jednak wyszkoleni od wieków cudzoziemcy; chyba w muzyce stawały godniej obok nich i domowe talenty; tylko w dziedzinie słowa zjawił się mistrz, stanowiący godny wyraz tego złotego wieku.

Nie z jakiejś nowej, ale ze starej, rdzennej Polski wyszedł Sandomierzanin, Jan Kochanowski, największy w polskiej literaturze pięknej przedstawiciel renesansu. Humanizmowi myśli odpowiadał renesans życiowy: oswobodzenie jednostki od pęt dogmatu, od średniowiecznej ascezy (pogardy ciała), od uwięzi stanowej (niby cechowej); średniowieczyźnie w stroju, sztuce i słowie — przejęcie się ideałami an-

tyku, zarówno obywatelskiemi, jak i artystycznemi i to nawet kosztem prawdy, głębokości i szczerości, wreszcie naśladowanie antyku, choćby z zacieraniem odrębności czasowych i plemiennych. Ten to pogląd na świat, dzieje i ludzi wyraził najpełniej Kochanowski i, co ważniejsza, zdobył natychmiast ogólne uznanie jako wyczekiwany goniec i poseł muz auzońskich na dalekiej Północy. Zajął więc całkiem wyjątkowe stanowisko, lecz, sam będąc bez poprzedników, nie znalazł również następcy. — Wysilił się bowiem ów rozpęd młodzieńczy, a wiek złoty rychło stał się srebrnym i miedzianym.

Urodzony r. 1530 w zamożniejszej, a poważnej rodzinie, gdzie matka szczególniej celowała przymiotami umysłu i charakteru, przebiegał Kochanowski zwykłe wtedy stopnie nauki domowej i krakowskiej i chyba się tem różnił już od rówieśników, że powracał częściej i stalej do książek, naturalnie łacińskich; za wzorem powszechnym, a zgodnie z rygorem szkolnym zaczął pisywać rychło wiersze łacińskie. Przewrotu dokonały Włochy. Młody szlachcic, w r. 1544 wpisany do metryki krakowskiej, zaciąga się w r. 1552 do metryki nacji polskiej w Padwie i tu pod kierunkiem znakomitych nauczycieli wydoskonala się w łacinie i grece i dalej pisuje wiersze łacińskie — w hołdzie przelotnym kochankom, lub ku zabawie dobrym towarzyszom. Uderza go jednak i na ulicach poezja włoska, ta poezja od Petrarki i Ariosta, nieustępująca starożytnej, owszem śpiewniejsza, rzewniejsza, gorętsza, a urok jej tkwił właśnie w wyborze mowy żywej, nie martwej, nie uczonej, skazanej zgóry na powtarzanie tych samych zwrotów, obrazów i myśli. Wspomina więc Kochanowski o mowie własnej całkiem bezinteresownie, wyłącznie dla siebie i Nideckiego; zaczyna też sławić wdzięki kurtyzanek padewskich, zapewniać je o stałości, naprzykrzać im się prośbami i groźbami, wyjeżdża potem do Francji, acz

na krótko, i w Paryżu trafia na drugi wzór, na Ronsarda, który po francusku poezje klasyczne pisuje i, bliższy dla jego smaku, niż romantyczni Włosi, utwierdza go w obranym kierunku.

W r. 1557 powraca Kochanowski na stałe do kraju i wcześnie zwraca na siebie uwagę wierszami łacińskiemi, dającemi patent ogłady i nauki, oraz polskiemi; do druku z niemi nie śpieszy, zadawala się tem, że w niezliczonych odpisach krążą one po wielkich domach, u Tarnowskich, Firlejów, Radziwiłłów. Ale sława rośnie. Zaciąga się wkońcu poeta do służby dworskiej, gdzie obaj podkanclerze, najpierw Padniewski, a szczególniej później Myszkowski, wyręczają się jego piórem polskiem, zyskują w nim rzecznika propozycyj królewskich, który je w formie wierszy polskich popierać potrafił. Dla literata chleb duchowny bywał najpewniejszym zasiłkiem, święcenia mniejsze niewiele obowiązywały, znajdujemy też niebawem poetę jako proboszcza poznańskiego, a później i zwoleńskiego (obok miejsca urodzin, gniazda domowego, Sycyny); Myszkowski odstąpił właśnie poecie bogate probostwo poznańskie (służbę kościelną ksiądz wikary zań odprawiał) i tem zapewnił mu niezależność. Lecz poeta stronił od przyjęcia wyższych święceń, nie czując najmniejszego powołania, a pozbawiony chciwości, pożerającej ludzi renesansowych, rzucił wkońcu i służbę dworską, zrezygnował i z probostw i osiadł na wsi, w dziedzicznym Czarnolesie, skromnym majątku pod Radomskiem, ożeniwszy się z protestantką (?), Dorotą Podlodowską. Ze wsi i Zamoyski już go nie ruszył, wyrobiwszy mu niefrasobliwy urząd, a raczej tytuł wojskiego sandomierskiego. Poeta, będąc słabego zdrowia, umarł nagle w Lublinie 22 sierpnia 1584 r.

W te najpospolitsze ramy życia zrazu dworskiego, a później wyłącznie ziemiańskiego wpłątywała się coraz

żywsza praca umysłowa, całkowicie niemal poetycka, dwujęzykowa, bo i po rzuceniu szkół nie zaprzestał poeta uprawiać niewdzięcznej dla nas, naówczas najwdzięczniejszej poezji łacińskiej; zapuszczał się nawet w pracę ściśle filozoficzną, w przekłady z greki dla uzupełnienia tekstu Cyceronowego, do którego go Nidecki — cyceronjanin zawzięty — wielkiem przejął nabożeństwem. Muza łacińska i polska nieraz się stykają, hołdują tym samym bogdankom, tej samej polityce, tej samej filozofji życiowej, ale wszystko znaczniejsze, osobistsze, obszerniejsze wyśpiewał poeta po polsku i gdyby nie wzgląd na Batorego, nie umiejącego po polsku, nie byłby się i pod koniec swej pracy kwapił do łaciny.

Talent jego był wyłącznie liryczny, chociaż i dramatu i epiki próbował, niezbyt przytem wydatny, bo plon jego trzydziestoletniej pracy (1554—1584) na ilość skromnie się przedstawia. Pierwszym rzutem nigdy się nie zadowalał: po latach nawet powracał do tego samego tekstu, gładził, polerował, poprawiał rym lub myśl. W przeciwieństwie do poprzedników, którzy zaspokajali byle jakim wierszem, rymem, formą nader niskie wymogi estetyczne, dbał o rym wyszukańszy (nie o asonancje liche, lub o rymy gramatyczne); zasłużył się budowaniem nowych zwrotek, naśladując włoski sonet, tercynę, tworząc i własne kombinacje. Dbał o godne wysłowienie, aby pięknej myśli nie obrażać trywjalnym wyrazem. Unikał więc wszelkiego gwarowego czy przestarzałego zwrotu, formy i słowa; jego słownik, nierównie uboższy, niż Rejowy, tchnie najczystszą, najdoborowszą polszczyzną; nie obce mu są nawet zagadnienia ortograficzne. Dbał o obrazowość, bo odczuwał dobrze różnicę stylu poetyckiego, rozumiejąc, że nie stanowi go jeszcze sam wiersz, ani rym; gdy wiersze poprzedników mało co odbiegają od prozy, jego wiersza nikt nie pomiesza z prozą. Przedewszystkiem zaś uczynił

wiersz nie rymoklectwem na byle jaki obcy i ogólny temat, lecz wylewem uczuć osobistych. Gdy Rej nie wspomniał o sobie nigdy ani jednym wierszem, Kochanowski prawił tylko o sobie, o swoich myślach, uczuciach, nadziejach, pociechach i stratach. On pierwszy przemawiał w wierszu polskim jako indywiduum, od siebie, i najmilszym jego utworem były „Fraszki", które mu przez lat trzydzieści towarzyszyły nieodstępnie, z tytułu obce, z ducha własne; w nich składał, co czuł, słyszał i widział, żale i żarty, spowiedzi i napaści, docinki i hołdy, epigramy i elegje, erotyki swoje i tłumaczone, nagrobki i listy. I żeby mu nikt w tajniki twórczości nie wglądał, pomieszał je w druku, usuwał z nich wszystko, coby bliżej zdradziło osoby lub stosunki. Pierwszorzędny poeta „okolicznościowy" odzywał się przy każdej okazji, ważnej czy blahej, wesołej czy smutnej. Z latami muza poważnieje, forma i myśl się doskonalą, ale nie usuwał poeta pierwocin padewskich, bo i w nich tkwił cały, a raczej tkwiła w nich jego młodość. Ociągał się niesłychanie z drukiem i gorzko to przypłacił, bo śmierć zaskoczyła go, gdy przystępował dopiero do całkowitego a poprawionego wydania dawnych rzeczy. Jedyne „Fraszki" wyszły pod jego czujnym dozorem: ostatnią redakcję dwu ksiąg „Pieśni" pozostawił tylko w rękopisie, reszta — prócz „Psałterza" — napróżno czekała już takiej redakcji i poprawy, „Odprawa posłów" wydaną została byle jak. Dziś już nie zrozumiemy, jak mogła cała Polska, ze starym Rejem na czele, rozbrzmiewać sławą poety, który drukował tak mało.

Czuł przecież ten poeta, mimo wszelkiej skromności, prawdziwym talentom właściwej, wagę i znaczenie swych wierszy a był pierwszy, który do ogółu się zwrócił. Nagrodą autorską był w owych czasach nie pokup na wydane dzieła, który tylko nakładcę-drukarza bogacił, lecz datek tego, któremu dzieło poświęcano; pierwszy Kocha-

nowski nikomu specjalnie, ale wszystkim oddał „Fraszki" i „Pieśni", nawet ody łacińskie przeznaczał dla powszechności i tylko dla zwyczaju osobno przytem wyróżnił swego Firleja. Pierwszy był to też poeta, który wiedział napewno, że, acz z twarzy nieznajomy (posiadamy bowiem tylko popiersie nadgrobne), potomności będzie znanym najlepiej; wiedział, że istotnie ten się na zawsze wsławi, kto w jego rymach zasiędzie, a nie była to zdawkowa przechwałka humanistyczna. On pierwszy i jedyny stworzył więc prawdziwą poezję, ów „rym boski", co mu przyznano, słusznie go uświetniając. Pociągnął za sobą tłumy naśladowców, którzy mu kradli myśli, rymy i obrazy, i zjednał sobie tłumy wielbicieli, żądających coraz nowszych wydań i „Psałterza" i „Jana Kochanowskiego", jak trafnie ochrzcił drukarz Januszowski zbiór jego wierszy, stanowiący istotny pomnik autorski. I nieźle należało tuszyć o kulturze polskiej, póki czytano Kochanowskiego; zarzucono pisma jego, gdy się naród odwrócił od kultury, a czujny fanatyzm trafnie odczuł w poecie „heretyka".

Stał zaś poeta ponad stronnictwami, czyto w polityce, czy w sprawach wyznaniowych. Stronnik raczej Habsburgów, pogodził się rychło i zupełnie z Batorym, przedtem zaś należał do umiarkowanych a stałych zwolenników ładu i rządu silnego. W kwestjach religijnych sam głosu nigdy nie zabierał: ani nie lubił, ani nie cenił protestantów, bo burzyli mu dawną jednolitość i zgodę, w której uznawał niezachwianą podporę ogólnej pomyślności; zamłodu sarkał na nadużycia rzymskie, ale elegij łacińskich na ten temat do druku nie włączył, nie dlatego, żeby się odmienił, ale że starannie unikał wszelkich sporów wyznaniowych i w czasach, gdzie wszystko walczyło o religję, on trzymał się umyślnie na uboczu. Z duchownych pokpiwał sobie stale, ale ani razu nie wspomniał o chrześcijaństwie dogmatycznem, o dziele Odkupienia, o Trójcy

i świętych Pańskich i nie było również człowieka głębiej przekonanego o miłości i sprawiedliwości boskiej; jeżeli o szczerości jego erotyków wolno powątpiewać, dziś jeszcze przejmuje nas głęboka pokora i skrucha, wymowny obraz dzięków i hołdów, z jakiemi się zwracał aż do Boga — łaskawego ojca. Pieśń, pochodząca z początków jego twórczości (około 1560 r.), szeroko rozsławiła go nawet między różnowiercami. „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary" i inna, powstała już pod koniec jego działalności poetyckiej w roku 1580: „My nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje", — jest szczytem dawnej religijnej poezji; pierwsza rozbrzmiewa pogodnem, ufnem szczęściem, druga wybuchła spiżowemi dźwięki, płynącemi z korzącego się i skruszonego serca. Nigdy wyżej nie wzniosło się natchnienie wieszcze. Niezawisły w życiu (dlatego rzucił godności), warował sobie niezawisłość w sztuce, nie uwzględniał niczyich rad, ani wskazówek, wdzierał się sam „na skałę pięknej Kalliopy, gdzie nie było przedtem śladu polskiej stopy". Jak Rej, tak i on naśladował, ale gdy Rej nigdy nie stąpał o własnych nogach, wijąc się niby bluszczem wokół obcych pomysłów, on przejął się zupełnie wzorami klasycznemi, które za nieprześcignione uważane były przez świat cały, a także i przez świeży świat polski, wiele tłumaczył (np. anakreontyki i ody Horacego) albo raczej omawiał, ale poza tem zdobywał się na pomysły, pod względem treści i formy obce wszelkim wzorom. O sobótce Rej wstydziłby się i wspomnieć, lecz Kochanowski uczuciem poetyckiem wlot uchwycił poetyczność obrzędu i, ani troszcząc się o to, czy też poetyka Skaligerowa czy horacjańska coś podobnego uzna i dopuści, wyśpiewał pieśni, istotnie wiejskie, chociaż niektóre wystylizował za ulubionym Tibullem, a balladę ludową zastąpił klasyczną. Pisano przed nim niezliczone nagrobki, luźne i zbiorowe, ale on pierwszy ułożył ze zbiorowych

całość harmonijną. A czemże wogóle nie wyposażył on swej oblubienicy, poezji narodowej? Pierwszy stworzył dla niej nieprzepłacone „Fraszki", tak dalekie od „Figlików" Rejowych, jak niebo od ziemi; pierwszy obdarzył ją pieśnią świecką, polityczną i moralizującą, którą przed nim znano tylko z Horacego; pierwszy zbogacił ją zupełnie oryginalnym dramatem o ścisłej fakturze antycznej i nie jego wina, że nikt za jego przykładem nie poszedł; on stworzył kunsztowną pieśń erotyczną, ustalił jej zwroty i słownik; wprowadził do literatury wzory satyry politycznej i moralizującej. Przez cały wiek naśladowano jego pomysły, jego sposób wprowadzenia osób alegorycznych, np. „Zgody", czy „Dzikiego męża". Jako surowy sędzia usuwał wszystko, co go nie zadowolało, palił i odrzucał zarówno rzeczy zbyt osobiste, które, jak i powtarzające te same motywy, za nieważne uważał; ułożył jak najsztuczniej obmyślany szyk „Fraszek" i „Pieśni", a nawet ich napisy, bo np. z padewskich wierszyków usunął nazwisko Nideckiego, zostawiając samo jego imię, Jędrzeja, nie chcąc w r. 1584 obarczać dostojnika kościelnego zwierzeniami miłosnemi z r. 1554. Do prozy sięgał wyjątkowo, dbał o jej wykwintność, unikał ulubionej mieszaniny językowej, nie wpadał w tok łaciński.

W początkach zawodu próbował wszelakich wątków epicznych: przerobił na sposób średniowieczny epizod Zuzanny i Daniela; przedstawił żartobliwie grę w szachy, odwracając pomysł Włocha nierównie trafniej przez sprowadzenie gry z Olimpu na ziemię — ale tchu epicznego mu brakło; nie dośpiewał też ani humorystycznego opowiadania o pra-Brodzie, ani nie wykroczył poza pierwsze rzuty pióra w jakiejś epopei narodowej, warneńskiej czy grunwaldzkiej: żywe uczucie artystyczne nie pozwalało mu silić się gwałtem na rzeczy, co się z talentem nie zgadzały. Ograniczał się więc do rzeczy krótszych, pol-

skich i łacińskich, do elegij, pieśni, fraszek; opisał najobszerniej i natychmiast do druku podał zgon Tarnowskiego, romantyczne przygody i śmierć przedwczesną Tęczyńskiego, również jak „Zuzannę", i „Szachy"; wtedy to ogłosił i „Zgodę" i „Satyra", ale po wszelkich tych próbach, przypadających na lata 1561—1564, zaniechał zupełnie dalszego drukowania, jakby unikał zbytniego pospolitowania się i pracy kwapionej.

Ze wszystkich utworów tych najdonioślejszy jest „Satyr", zwracający się, jak i „Zgoda", do sejmujących stanów (r. 1562 i 1563), rzecznik tego, na co nalegali podkanclerzowie w propozycjach od króla. Potwora leśna, wyrugowana z siedliska swego hukiem siekier, przetrzebiających odwieczne lasy, aby surowce polskie na obce szmaty, figle i wina wymieniać, w imię zacnych przodków strofuje tych, co ich tonu chybili, miecze rzucili, zgodę naruszyli, wrogom kraj naoścież otwarli, a sami zawzięcie gospodarują albo o wiarę się kłócą. Wywody Satyra były całkiem ogólnikowe, omijały aktualności, o „egzekucji", unji" i „jurysdykcji duchownej" ani wspomniały (ujęły się jednak za szkołą krakowską, nędznie wyposażoną i dlatego ku upadkowi się chylącą) i z dziwną niekonsekwencją, godną dawnej mowy Orzechowskiego („Wierny poddany", łacińska), strofowały króla i jego wychowanie a kończyły morałami, jakie powtarza Satyr za Chironem, a które ten prawił młodzieńczemu Achillowi; chłosta sejmowa staje się zwierciadłem, postawionem bardzo poniewczasie; widocznie nie mógł się oprzeć poeta kierunkowi, który oczekiwał odrodzenia moralnego od takich rad papierowych, od prostej deklamacji. Politykiem poeta nie był, późniejsze próby prozą zawiodły jeszcze bardziej. Odtąd zamilkł zupełnie, niemal przez lat piętnaście (1565—1578) nic nie drukował; pracował

tem usilniej, dzieląc się nowemi nabytkami w gronie bardzo uszczuplonem, do którego należał król i biskupi (przedewszystkiem Myszkowski), a z panów Firlejowie; jako arystokrata umysłowy nie ubiegał się o względy gminu, szedł torem własnym. W Krakowie i na wsi, t. j. przy dworze i w domu, próbował znowu wszelakich wątków, prawił morały (o wyborze żony, stanu, jakby z własnego losu sobie sprawę zdawał), usprawiedliwiał tryb swego życia i pracy („Muzy") i jeszcze raz sięgnął po wawrzyny epickie w „Proporcu", wysławiając najwymowniej Zygmunta Augusta z powodu hołdu pruskiego na sejmie w 1569 r.: wstęp (o królu) jest majestatyczny, zakończenie (do króla) również wymowne, ale sam opis proporca, wyrażający w skrócie dzieje słowiańsko-polskie i pruskopolskie, a wzorowany na opisie tarczy Achillowej z Iljady, choć wykazuje sumienność i rozległość badań historycznych poety (a złożył tego i gdzie indziej dowody), jednak mimo niejednego pięknego szczegółu wrażenia nie wywiera.

Śród takiej niby podjazdowej walki poetyckiej trafił Kochanowski na temat, nierównie odpowiedniejszy dla swego usposobienia i zdolności. Głęboka wiara, wyniesiona jeszcze z domu rodzicielskiego, poważne zapatrywanie na świat, jakie w nim utrwalili Plato i Rzymianie, Lukrecy i Palingenjusz, wydobywały z niego nieraz wynurzenia religijne, akty dziękczynne dla Opatrzności, które obrazowania zapożyczały przeważnie z „Psałterza", były parafrazą psalmów, albo ich tłumaczeniem. „Psałterz" nie należał do żadnego wyznania, nie prawił o żadnych dogmatach, czy praktykach religijnych i przez to tem bardziej przykuwał teocentryczną myśl poety. Do roku 1571 uzbierał poeta około trzydziestu takich swoich psalmów, a znakomita przeróbka całego „Psałterza", pióra zawołanego humanisty, Jerzego Buchanana (wydana

r. 1566), popchnęła go ostatecznie do podobnego przedsięwzięcia, ale w języku narodowym.

Jak w całej Europie, tak i w Polsce, nie brakło wszelakich przekładów i parafraz Psałterza, pisanych wierszem i prozą, całkowitych lub częściowych, ale nie stały one na wysokości zadania, bo albo zbyt dosłownie trzymały się oryginału, nader nieraz ciemnego, albo rozwlekłością odbiegały zbyt od niego. Kochanowski poszedł innym torem, najwłaściwszym dla poety: zaopatrzywszy się w najliczniejsze wydania, wgłębiał się w myśl każdego psalmu zosobna i, wyrozumiawszy ją, już nie krępował się zbyt słowami—jest to więc przekład wolny, utrzymany o ile możności w tonie oryginału. I nikt w całości nie prześcignął poety; zawodziły wszelkie inne próby późniejsze i kilkanaście wydań, szybko następujących po sobie, dowiodło, jak trafnie Polska oceniła zasługę wiekopomną poety. Wszyscy bez różnicy wyznań uwielbiali doskonałość „przekładu"; czarowi jego ulegała nawet i Ruś moskiewska, i napróżno silił się niemal o cały wiek później pierwszy carski „poeta", żeby zastąpić przekład polski własnym, cerkiewnym (Szymon Połocki). Przekład uniknął wszelkiej jednostajności dzięki doborowi różnych form wierszowych, od pięciu do trzynastozgłoskowych w najrozmaitszych kombinacjach stroficznych, a wraz z wierszem odmieniał się i ton, stając się to hardym i tryumfującym, to skruszonym i pokornym, raz patetycznym, to znów prostym, kiedy indziej ufnym i błagającym. Po luźnych kłosach ten „żniwa mego pierwszego snop" ofiarował wdzięczny poeta „swojemu" Myszkowskiemu, natenczas już biskupowi krakowskiemu, renesansowemu dostojnikowi kościoła. I zaczął znowu, jak w latach 1562 do 1564, przygotowywać prace swe do druku.

Równocześnie z „Psałterzem", a raczej przed nim jeszcze, ogłosił pierwszą tragedję polską: „Odprawę posłów

greckich" (r. 1578), wystawioną na renesansowym feście, jakim Zamoyski uświetnił w Jazdowie ślub swój z Radziwiłłówną. Nie wiodło się dotąd dramatowi polskiemu, a raczej nie istniał poprostu dla braku warunków sprzyjających. Dramat narodowy wyhodowały bogate miasta i świetne dwory; w Polsce miasta były obce, a dwór w wieku piętnastym u starego Władysława i młodego Kazimierza wszystkiem, a tylko nie świetnością się odznaczał. Brakowało więc nawet liczniejszych i obszerniejszych misterjów, t. j. widowisk scenicznych religijnych o Męce Pańskiej; bywały przedstawienia nieme, a gmin odśpiewywał przed figurami przebranemi pienia nabożne. W wieku szesnastym przybył dramat szkolny, ale ten był wyłącznie łaciński; pełno o nim wzmianek ówczesnych, np. Orzechowski w dialogu politycznym z r. 1564 porównywał posłów sejmowych, co z niczem do domu wracają, do „żacząt", co „zwykły się wracać z komedjej jakiej albo z tragedjej, nic inszego z onej gry, którą sprawowały, nie pomniąc jeno to, iż im też przy innych ono rzeczono: Valete etc." (formułka końcowa dramatu rzymskiego). Wyjątkowo odgrywano podobną sztukę i poza obrębem szkoły, na zamku królewskim lub przy jakim feście, naturalnie przez autorów, a jeszcze rzadziej pojawiały się luźne sztuki w mniej lub więcej nieudanych przekładach polskich. Istniał nakoniec teatr marjonetek, łątek, z któremi igrcy-wesołkowie obchodzili miasta, dwory i sioła. O jakimkolwiek więc stałym teatrze, choćby tylko misterjowym (jedyna Częstochowa zdobyła się na coś podobnego), nie było mowy; w czasie, gdy na Zachodzie krzewiły się już silnie trupy dramatyczne i widowiska, w Polsce jeszcze nawet nazwiska dla nich nie miano.

Dla amatorów więc z paniąt, którzy grywali i role kobiece, napisał Kochanowski tragedję, która się już odleżała, gdy Zamoyski przynaglił o jej przysłanie. „Odprawa" dra-

matem nie jest: luźne sceny wiąże jedność miejsca i czasu, charaktery kreślone są ogólnikowo. Ale forma była zachowana, język przepyszny, akcja trojańska przeniosła się — trybem renesansowym — mimo nazw Homerowych, do spółczesnej Polski: poeta strofował rozwiązłą młodzież trojańską, myśląc o polskiej, a i nieprzygotowaniu wojskowemu dostały się cięgi. Całość była płodem najsumienniejszych przygotowań: poeta tłumaczył ku temu celowi, gwoli samego wątku, i trzecią księgę Iljady i tragedję Eurypidesową (Alceste, której początek ocalał), a rozczytywał się w całej tragedji antycznej, między innemi specjalnie w Senece. Nie wesele Zamoyskiego powołało do życia tragedję, dawno krzątał się już poeta około niej; takie wynurzenia osobiste i moralizacje ogólne dobrze odpowiadały jego usposobieniu i talentowi. Ale prace te pozostały luźną próbą; treści dostarczyła wzmianka Homerowa o poselstwie Menelausa i Odysa, żądających zwrotu Heleny i skarbów oraz zadośćuczynienia; poselstwo udaremniły zabiegi Parysa, który bronił swej niesłusznej sprawy najrozmaitszemi pięknemi słowami i trybem zawołanego demagoga wbrew słuszności podburzył gmin; zostaje mu więc Helena, ale Kassandra w natchnieniu proroczem wieszczy karę — przyszły upadek Troi. Scena obrad samych nie jest wystawiona; przebieg ich opowiada poseł, a są one wzorowane na porządkach polskich. Jest to jedyny oryginalny utwór dramatyczny polski (łacińskie Szymonowica w grę nie wchodzą); poza tem są tylko tłumaczenia, wiążące się stale niemal z Zamoyskim i Zamościem: tak np. tłumaczył Zawicki tragedję Buchananową o Jefcie i inny zamoyszczyk, Ciekliński, znakomicie odtworzył „Potrójnego“ Plauta, scenę samowolnie przerzucił do Lwowa, chociaż nie zacierał staranniej barwy starorzymskiej (a właściwie starogreckiej). Ciekliński, jak Kochanowski, użył wiersza białego, nie ważąc się na

rymy w dramacie antycznym, ale język jego jest rubaszny, a drastyczne szczegóły komedjowe odbiegają nieskończenie od nadzwyczaj poważnego, niemal wyniosłego języka „Odprawy". W każdym razie dokonał Kochanowski mistrzowskiego dzieła: dramat jego tchnie istotnie, mimo napomknień społecznych, heroicznym duchem antyku.

Niebawem odważył się poeta na coś zupełnie odbiegającego od rutyny i przeciętności. Umarło mu ukochane dzieciątko; ból ojcowski wywołał odgłos poetycki, więc poeta, nie troszcząc się wcale o mniemanie spółczesne, według którego rzecz podobna uważana była za „lekką", ubliżającą godności męskiej i autorskiej, wydał w r. 1580 „Treny". Jest to dziewiętnaście liryków o rozmaitym tonie i wierszu, skupionych w pewną całość, bo po wstępie, niby po preludjum, przewijają się wszelkie odmiany uczucia, potęgującego się do rozpaczliwych niemal okrzyków nad dolą-niedolą ludzką, stłumionych w końcu i refleksją i zdaniem się na Opatrzność, zaco nieszczęsny ojciec wynagrodzony zaostaje upragnionym widokiem, gdyż we śnie zjawia się matka poety z wnuczką Orszulką na ręku, upomina i pociesza syna. „Treny", które przez dwa wieki znachodziły gorliwych naśladowców, począwszy już od r. 1581 aż do 1800, kiedy to ich słowami i obrazami młody Morelowski opłakiwał utratę Polski, są wartości nierównej. Najwspanialsze z nich to te, w których o Orszulce niema najlżejszej wzmianki, a które każdy zbolały odczuje i powtórzy; między niemi znajduje się szczyt poezji Kochanowskiego, ów tren ośmnasty, psalmowym duchem przepojony, najuroczystszy wyraz tegoż; najrzewniejsze są te, w których wyłącznie o córeczce jest mowa, pełne szczegółów najdrobniejszych, czerpanych nieraz z motywów ludowych; treny uczone, obojętne są te, które nadrabiają starożytnością, co wydawało się dla stylizacji nieodzownem; zawierają one porównania Homerowe, wzmianki o Niobie

(parokrotne), o łzach Heraklitowych, rozprawę z Cyceronem i stoicyzmem. Język dosiągł tu niewidzianej dotąd w poezji polskiej płynności, ozdobności i wagi, myśl spotężniała, całość wywarła nieprzeparty urok; nie sprawdziły się obawy poety, że takie zbyt osobiste wynurzenia spotkają się z naganą czy obojętnością.

Po „Trenach" niczego nie zdążył napisać godnego uwagi, bynajmniej nie z powodu już owej rychło przebolałej straty; wiersze okolicznościowe, łacińskie dla Batorego, albo relacja wierszowana o jeździe do Moskwy, t. j. o zwycięstwach Radziwiłłowych, powstały raczej pod przymusem, niż z popędu własnego. Zajęła go teraz pilniejsza praca: należało się postarać o zebranie, ułożenie, poprawienie ostateczne dotychczasowego, całkiem rozproszonego dobytku poetyckiego, ustalić raz na zawsze rozmiary, szyk, ilość utworów dawniejszych, aby przygotować miejsce wolne dla nowych. Sam za życia dokonał tylko zamknięcia „Fraszek" w trzech księgach, ale Januszewski po jego nagłym zgonie samowolnie i szyk ich popsuł, i ortografję odmienił, i fraszkę na księdza wyrzucił. Przygotował jeszcze Kochanowski zbiór pieśni w dwu księgach; nie miał zamiaru wcielania dalszych, inne zaś odrzucał między wybiorki, nieprzeznaczone do druku; całe to porządkowanie rozpoczął był w 1580 r. wierszami łacińskiemi, ale śmierć nagła przerwała pracę i zniszczyła to wszystko, z czem poeta się jeszcze nosił. Resztę sam Januszowski zebrał piąte przez dziesiąte z dawnych druków i świeżych papierów i, wbrew intencjom autora, poświęcił rozmaitym magnatom. W r. 1590 dodał jeszcze fragmenty, wywlókłszy ze spuścizny poety urywki, wszelakie powtórki, rządząc się, jak szara gęś; wydał też z opuszczeniem najdrażliwszych wierszy najciekawszy utwór w języku mieszanym, łacińsko-polskim, t. zw. makaronicznym, o wyborze stanu, co poetę długo trapiło; stało się to znowu

niezgodne z zamiarem poety, który stale zachowywał obcesowość antyku, nie pytając o wstydliwość społeczną. Z najżywszym żalem przyjęto wiadomość o nagłym zgonie Kochanowskiego; posypały się nad grobem treny polskie i łacińskie; podczas gdy sława Rejowa odrazu przygasła, a nawet obracała się w nieforemne przytyki, sława Kochanowskiego rosła jeszcze z latami. Budziło się też przekonanie, że nie zjawi się rychło wieszcz podobny, i ogólne uznanie wysunęło go wdzięcznie na czoło poezji.

Kochanowski podniósł odrazu poziom artystyczny; pokazał, czem jest poezja, jaka winna być jej treść i forma; dowiódł, że nie wszystko się do niej nadaje, że należy wybierać i treść i formę; wyłożył naocznie kanon estetyczny, przeszczepił wzory niedoścignione antyku do Polski. Poezja jego jest poważna; tony miękkie są jej obce i próżno sili się na nie w erotyku; jest to poezja męska, obywatelska, wyrażająca ważne myśli. Próbuje ona wszystkiego, nawet sztuczek, wierszy-raków (przeznaczonych do czytania wprost i wstecz), albo makaronu, w dowcipach posługuje się jeszcze chętnie kalamburami; piastuje jednak wysokie ideały prawdy, dobra i piękna. Nie było to frazesem humanistycznym, któremuby sam żywot zadawał kłam, że poeta cnotę, wierność, cześć na najwyższem kładł miejscu, cenił zdrowie, spokój, naukę; tym sprawom oddał się cały, „sobie śpiewał i Muzom", nie schlebiał, wierszem się nie wysługiwał. Ceni swą sztukę jako piękno, jako zadatek najwyższej kultury, jako ogładę serca samego. I pokolenia wtórowały mu z uznaniem.

Dopiero w dziewiętnastym wieku uczyniono mu zarzut, jakoby wynarodowił poezję, narzucając jej togę klasyczną, ale nie było innego sposobu do utworzenia sztuki; nie znalazłby posłuchu ani uznania ten, kto chciałby kroczyć innemi torami. Nie zaniedbywał przecież Kocha-

nowski narodowości; wystarczy przypomnieć „Sobótkę", albo rysy ludowe w „Trenach", wystarczy uprzytomnić sobie, jak biadał nad ustaniem dawnej zażyłości między dworem a gminą, jak ten człowiek renesansowy sarkał na opilstwo, pochodzące od Niemców a szerzące się śród niegdyś trzeźwej Polski, która przejmowała łatwiej wady sąsiedzkie, niż przymioty. Co innego możnaby mu raczej wytknąć, a mianowicie to, że nie docenił ogółu, że uważał go za nadto nicdokształcony, aby się poznał na prawdziwej poezji, i że dlatego ograniczał się całemi latami do kółka najściślejszego i tylko dla niego tworzył. Ale przyjęcie, jakiego „Psałterz" i „Treny" doznały, przekonały go, że się mylił, więc śpieszył, aby stanąć przed ogółem z całkowitym swym dorobkiem; przeszkodził mu w tem nagły zgon. Można mu zarzucać, że jego wiersz „uczony" (innego nie uznawali spółcześni) obfituje w ozdóbki klasyczne, szczególniej mitologiczne, które rażą nas jako niesmaczne i bezstylowe — wina to jednak wieku, nie Kochanowskiego: nie wyswobodziła się jeszcze poezja z powijaków klasycznych, niemal żakowskich, ale talent jego dokonał właśnie najpotężniejszego na tej drodze kroku.

Póki się Kochanowski nie zakopał na wsi, należał do owego kółka ludzi renesansowych, którzy skupiali się czyto w Krakowie, czy po dworach pańskich, gdzie bywali dworzanami, czyto sekretarzami królewskimi, nieraz kanonikami, prawnikami i lekarzami. Funkcje te pełnili bez różnicy wyznania, tak, że wśród nich zetknąć się mógł protestant Trzecieski (syn, biegły pisarz w oboim języku, i poeta, ale bez natchnienia) ze swoim przeciwnikiem literackim, arcykatolikiem Hozjuszem (starli się r. 1556 wstępnym bojem). Wesołe to grono, złączone przekonaniami i smakiem, właściwie tylko przez Kochanowskiego objawiło się w literaturze; obok niego wymienić należy

Łukasza Górnickiego, bibljotekarza królewskiego (po latach starostę tykocińskiego), inni nie pisali nic lub tylko po łacinie. Przeciwnie Górnicki strzegł zazdrośnie mowy polskiej, bardziej nawet, niż Kochanowski; raziła go widocznie ta u ludzi rozmaitego wieku manja naśladowcza popisywania się modną łaciną. Z jego wierszy erotycznych, nieco więcej skomplikowanych, niż Kochanowskiego, zbyt mało ocalało, żeby je należycie ocenić; dzielił bowiem wadę ludzi renesansowych; niełatwo decydował się na druk, zadowalając się uznaniem w kółku ezoterycznem; druga gorsza jego wada było chowanie światła pod korzec. Raz tylko zrobił wyjątek, gdy w r. 1566 wydał u Wierzbięty swego „Dworzanina", przeróbkę z „Cortegiana" Castiglione'a: opisany tu jest ideał renesansowego człowieka o harmonijnem ukształceniu duszy i ciała, wymownego, gładkiego, towarzyskiego, czującego estetycznie, zgłębiającego tajemnice bytu, filozofującego. W rozmowach tych, przeniesionych z renesansowego środowiska włoskiego na Prądnik biskupa Maciejowskiego, nie zadowalał się naklejaniem polskich imion na figury włoskie (wyłączał kobiety, bo — panie polskie nie brałyby udziału w podobnych rozmowach); wprowadzał żywioł narodowy w rozprawach językowych i w anegdotach, pomijał, czegoby nie można wymagać od polskiego dworzanina. Całe dzieło świadczyło chlubnie o kulturze narodowej, a wystawiało znakomite świadectwo sławnej sztuce przerabiacza. I na innych polach próbował Górnicki zapełniać luki: tłumaczył, acz wolnie i szeroko tragedję, „Troady" Senekowe i inne dzieła łacińskie, naśladował dialogi Sokratowe, napisał po polsku dzieje wieku, których był świadkiem i żywą kronikę, przyczem popisywał się kunsztem mówcy; pisał dialogi polityczne (między Włochem a Polakiem), bardzo mądre — cóż z tego, kiedy ich za poradą innych nie wydawał, aby w słusznej obawie nie narażać sobie opinji

publicznej, stale najdrażliwszej w państwie najwolniejszem i nie znoszącej krytyki w słusznej obawie jej skutków. Rozmyślał nad językiem, karcił niesłowności, obmyślał ortografję, a raczej osobną grafikę.

Zwolna przerzedzały się szeregi renesansistów grona krakowskiego, a młode pokolenie luk już nie zapełniało. Wyszedł z niego synowiec Jana, Piotr Kochanowski, i zakończył godnie turniej poetycki swego rodu; pobyt we Włoszech natchnął go do przekładu dwu arcydzieł Włoch renesansowych — heroicznej epopei Tassa („Goffred abo Jeruzalem wyzwolona", wydanej r. 1618 i później) i fantastycznej Ariosta o Orlandzie Szalonym. Zaczął przekładać długim wierszem polskim, wiążąc go nie w stance oryginału, ale całkiem zewnętrznie w ośmiowierszowe zwrotki z parzystemi rymami; ubodła go zczasem niewytworność takiej formy i — może pod wpływem nalegania Jana Tęczyńskiego „co mu się (z przekładem Tassa) światu ukazać r o z k a z a ł" — przerobił „Goffreda" na właściwe stance, z ich rymem osobliwym i wierszem jedenastozgłoskowym; „Orlanda" nie zdążył już ani przerobić, ani wygładzić; liczne rękopisy tego najobszerniejszego romansu (czterdzieści sześć pieśni) dowodzą zaciekawienia, jakie wzbudził. Dokonał tłumacz znakomitego dzieła, bo w rozwlekłe formy polskie trudno było wciskać włoskie skrócone; należy podziwiać bogactwo, zmienność, płynność języka nierównie giętszego, niż w wierszu stryja Piotrowego — ale Tasso, nie mówiąc już o Arioście, zmężniał, zgrubiał, stężał i zahartował się w przekładzie „kroniki obozowej", nie erotycznej; miękkość Tassowa ustępuje miejsca zamaszystości sarmackiej, szczególniej w sceny wojenne wlał tłumacz o wiele więcej Marsa, niż go Włoch posiadał. Ta walka o Jerozolimę, te rozprawy z półksiężycem znalazły silne echo w Polsce, gdzie się właśnie w tym czasie orężnie z nim rozprawiano; surmy bojowe tych pieśni

miały więc tu inny oddźwięk, nierównie donioślejszy, niż w zniewieściałej ojczyźnie Tassa; zapanowały też słusznie nad epiką całego wieku. Tak więc wywarły dwa pokolenia jednego rodu najdonioślejszy wpływ na poezję narodową.

Jan stał się bezpośrednim wzorem przedewszystkiem dla poezji religijnej, począwszy od przekładów czy naśladowań hymnów kościelnych, a skończywszy na próbach samoistnych. Najobfitszą twórczością na tem polu odznaczał się Mazur, ks. Stanisław Grochowski, niesłychanie płodny tłumacz, wydawca i autor. Jako uczeń jezuitów, chociaż później przez nich odtrącony, przejął się dewocją, nienawiścią karcerstwa, uwielbieniem hierarchji (panowania duchowieństwa); zapowiada więc, w rażącem przeciwieństwie do bezwyznaniowego Kochanowskiego, epokę bezwzględnej reakcji katolicyzmu, co gorsza, obniża wartość poezji przesadnym panegiryzmem, dla datku gotów jest kadzić żywym i umarłym i tem również zapowiada nową epokę, sławiącą wszystkich i wszystko tem gorliwiej, im mniej było do chwalenia. Natomiast podziwiamy u niego gładkość języka, nierównie większą, niż u Kochanowskiego, chociaż okupywaną nadmierną gadatliwością, zaś bezceremonjalne okradanie Kochanowskiego z pomysłów i zwrotów przynosi zaszczyt smakowi, acz nie uczciwości Grochowskiego. Chwali mu się i to, że pierwszy o zbieraniu rozrzuconych wierszy pomyślał. W religijnych jego rozpamiętywaniach i legendach przeważają tłumaczenia ascetów jezuickich, Tomasza à Kempis („Naśladowanie Chrystusa", wierszem z prozy oryginału), głównie zaś wszelkich hymnów kościelnych. Ciekawsza jest istna powódź wierszy okolicznościowych, „żalów gorzkich", „łez smutnych", albo „festów uciesznych", pisanych dla wszelkich członków rodziny królewskiej, dla Dymitrowej, dostojników, głównie kościelnych; są to nieraz niby odmiany „Trenów" Kocha-

nowskiego; najsympatyczniejsze między niemi to te, które się odnoszą do maluczkich, do żołnierza Hołubka, lub do błazenka Maciejowskiego, bo wolne są od nieznośnej, już wręcz barokowej napuszoności. Ustępy silniejsze, jakgdyby prawdziwem uczuciem podchwycone, stale giną w rozwlekłości; łatwiej godzimy się z niemi, jeżeli wylewają się w szczersze, bo osobiste wynurzenia jak np. owe z ostatnich lat życia pochodzące „Noce Toruńskie", które zbiedzony starzec poświęcał spracowanemu starcowi (Skardze). Do tych wierszy świeckich należą również i liczne ustępy satyryczne, gromiące wady i występki społeczne, za które gniew Pański nawiedza winnych powodzią i innemi karami. Cięte pióro Mazura unosiło go wręcz do paszkwilu; jednym z nich, osławionem „Babiem Kołem" z r. 1600, gdzie baby podkościelne rywalów, ubiegających się o opróżnione biskupstwo krakowskie, najdrastyczniej nicują, naraził się na znaczne nieprzyjemności, z których go wybawili chyba jezuici; większość takich uszczypliwych wierszy sam niszczył. Upadek moralności literackiej, zwiększona łatwość tworzenia, nadzwyczajne zwężenie widnokręgu, cechują tego pogrobowca muzy czarnoleskiej, który widział jeszcze czasy Zygmunta Augusta, ów wiek złoty, i w jego obronie (przeciw uszczypliwościom historyka Warszewickiego) sięgnął nawet do pióra. On również powołał do życia cienie zmarłych (jakby przewidywał późniejsze nieskończone „Rozmowy Umarłych"), broniących swego dzieła życiowego; miewał i inne ciekawe pomysły (np. „Skarga snu nocnego" na burdy warszawskie, co spać nie dają spokojnym) i umiał wywoływać silne wrażenia dzięki niezwykłej formie wiersza dziadowskiego w „Babiem Kole", lub zapomocą mowy mieszanej polsko-ruskiej w „Krakowskiej Biesiadzie", pisanej dla dziewosłębów Dymitrowych, w której marzył o zbrataniu wiecznem i wiernem

obu wielkich narodów słowiańskich. Nuta ludowa niezupełnie była mu obca.

Ciekawszy, sympatyczniejszy, nawet bardziej utalentowany, niż ten rdzenny Mazur, który tworzył najwzorowszą polszczyzną, jest Wielkopolanin (jeden z bardzo niewielu pisarzy, pochodzących z tej z gruntu niepoetyckiej dzielnicy), Kacper Miaskowski, tak, jak Grochowski, biegły wyłącznie w wierszu religijnym i okolicznościowym, tak samo ceniący Kochanowskiego, ale nierównie więcej dbały o cześć literacką i osobistą oraz o samoistność. Jeżeli już Grochowski raził nadzwyczajnem opóźnieniem pracy literackiej (bo dopiero po r. 1587 zaczął z nią stale występować, czyli w czterdziestym którymś roku życia), to Miaskowski zabrał się do niej po r. 1600, gdy dźwigał już szósty krzyżyk; nędza doskwierała mu bardziej jeszcze, niż Grochowskiemu; i on również o zbiorze swych wierszy pomyślał (w r. 1612, zaś w r. 1622 wydał powtórny, obszerniejszy ich zbiór). Język jego niewolny jest od prowincjonalizmów wielkopolskich i nierównie twardszy; chętnie stroi się w klasyczne ozdóbki, lubuje się w pieszczonych słówkach i obrazkach i grzeszy przeciw naturalności; nieobce mu jest miejscami zacięcie ludowe, występujące w kolędach, choćby przy opiewaniu narodzenia Pańskiego; głęboka, rzewna, tkliwa pobożność, miejscami jakby mistycyzmem zabarwiona, cechuje jego poezję religijną, jak np. opis Męki Pańskiej, albo rozmowy z uczniami w Emaus. Świeckie jego wiersze trącą już sielanką, Kochanowskiemu zupełnie jeszcze obcą; niektóre z nich wręcz już naśladują eklogi Wirgilego i mimowoli przypominają nieco późniejszego Simonidesa. Pisze również Miaskowski wiersze polityczne i literackie. Jako niezachwiany regalista, chociaż z rokoszaninem Herburtem w najściślejszej pozostawał komitywie, broni Zygmunta III przeciw wszelkim napaściom;

biada nad „roztyrkami“ wewnętrznemi i ciągle do zgody nawołuje. Pióro skalał prostackiemi na „lutrów“ wyzwiskami, które stanowią zapowiedź nadchodzącej, coraz sroższej nietolerancji. Proste, jasne linje poezji Kochanowskiego już się paczą i zacierają, wciska się już przesada barokowa, brak naturalności i ckliwość, okupione głębią i szczerością uczuciową. Najlepiej udają mu się wiersze okolicznościowe, opis wesela szlacheckiego, „waleta“ Mazurom, gdy ich Włoszczonow opuszcza, wyliczając ich wady i przymioty. Miaskowski daleki jest jeszcze od prostego wierszoklectwa, poezja jego nie jest jeszcze strojącą się w nadzwyczajne obrazy i niepowszednie myśli rymowaną prozą, lecz na nic większego się nie zdobywa, sam „zbiór rytmów“ obraca się przeważnie około osób i tematów duchownych i, niewolny od panegirycznych naleciałości, spada nieraz do wcale niskiego poziomu, chociaż „potrzęsiony kwiatkami“ wymysłu i stylu, daleki jest od szlachetnej prostoty Kochanowskiego.

Oprócz poezji religijnej i okolicznościowej dał Kochanowski wzory poezji opisowej, czyto w „Szachach“, czy w „Proporcu“. Najwyżej na tem polu stanął dla niezrównanego realizmu w najszczegółowszym opisie nieznany z nazwiska szlachcic-protestant, co nawet Reja prześcignął: równie drobiazgowych sprawozdań z życia szlacheckiego z ostatnich lat Zygmunta Augusta nie zna dawna poezja. Czy na wesele chłopskie trafi, czy bawi się w zapusty na jakimś kresowym zameczku, czy przerażony jest wieścią o bliskim napadzie tatarskim, czy w Warszawie przed brytanami zajadłemi umyka, czy wreszcie opisuje chmurnego i gniewliwego gospodarza — wszędzie podziwiamy jego zmysł dla najmniejszych rysów charakterystycznych, lubowanie się w odtwarzaniu każdego znamiennego szczegółu, słowem, jego zmysł iście epiczny; równie wykończonych, choć drobnych obrazów poza nim

nie znajdziemy nigdzie. Nie dorównają im jego banalne wiersze erotyczne, ani też znacznie ciekawsze fraszki, które szlachtę złotego wieku podpatrzyły z strony wcale ujemnej: wytworności renesansowej niema tu ani śladu, ale zaletą jest tych „fraszek" (nazwy tej jeszcze autor nie używa), że niema w nich żadnych obcych naleciałości, że opowiadają o swoich po swojemu, wolne od antyku, niewolne od zaciekłości wyznaniowej, pastwiąc się nad przesądami i nad rozwiązłem życiem duchownych. Pisarz ten stanowi jakby łącznik między Rejem a Kochanowskim, a zarazem jest żywym dowodem grafomanji w narodzie szlacheckim, której ocalało tak mało.

W opisowej poezji prześcignął wszystkich mieszczan rozmiarami Sebastjan Klon (Acernus po łacinie) albo Klonowic, który z kaliskich błot i piasków przesiedlił się na Ruś do Lwowa, a potem osiadł w Lublinie. Jest to pierwszy w literaturze poeta mieszczański ze względu na przedmiot, ton i treść, nie ze względu na pochodzenie. Patent naukowy dawała łacina, więc nią wiele nadrabiał, tem bardziej, że drażliwość szlachecką urażała mniej, ale przykład Kochanowskiego nęcił do polszczyzny; słusznie też śmierć lubelską poety lubelczyk opłakiwał polskiemi trenami. Zaimponowała kaliszaninowi Ruś Czerwona, tak odmienna od ziemi wielkopolskiej przyrodą i ludźmi, pasiekami niedźwiedziemi, wiarą i gusłami, więc wydał opis obszerny kraju tego i jego miast („Roksolanją" nazwany w 1584 r.): jest to najciekawszy okaz całej łacińsko-polskiej literatury dwu wieków, do dziś cenny dla etnografa. Prócz Rusi zaciekawił autora, który chyba tylko po Prośnie pływał, i flis wiślany, gdy sam popłynął do Gdańska ze zbożem sieciechowskiem, więc i tę podróż opisał, tym samym, dla opisów najniestosowniejszym wierszem (strofą saficzną), lecz już po polsku. Rymowany ten Baedeker wylicza miejscowości

i rzeki, przestrzega przed rafami, lecz suche wywody urozmaica anegdotami flisowemi, podaniami ludowemi, a choćby wtrętami mitologicznemi, lecz daleko „Flisowi" do „Roksolanji". Od tych geograficzno-etnograficznych i handlowych wycieczek przeniósł się autor na niewdzięczniejsze, społeczne pole. Jako uczony mieszczanin (Zamoyski przeznaczał go na dozorcę szkoły w Zamościu) odczuwał głęboko poniżenie swego stanu, panoszenie się szlachty nie tytułem zasług własnych, lecz cudzego herbu; z gorzkich na ten temat rozmyślań wyłonił się olbrzymi, najpotworniejszy poemat łaciński, „Victoria Deorum" (zwycięstwo bogów nad szturmującymi na nich olbrzymami). Tytuł to raczej przypadkowy, bo zasadniczą treścią są roztrząsania, czem jest prawdziwe szlachectwo i jakie powinno być wychowanie prawdziwego szlachcica (veri herois). Księga ta zawiera czterdzieści cztery olbrzymie rozdziały, bez związku i ładu, uczone i głębokie, dorywcze w myśli i formie, rozwlekłe strasznie i nużące niezmiernie, przeładowane niezliczonemi przykładami cnoty i nagrody, występku i kary, zaczerpniętemi z mitów i dziejów, przeplatane wycieczkami przeciw żydom i lichwie, Turkom, duchownym i ich życiu. Tak wypadł plon z praktyki życiowej; zaś jako owoc praktyki ławniczej wyszedł na świat „Worek Judaszów" (w r. 1600); worek ten — symbol złego nabycia i krzywdy ludzkiej — zszyto ze skóry wilczej, lisiej, rysiej i lwiej, przyczem przebiegi złodzieja-wilka, krętacza-lisa, fałszerza-rysia skreślił poeta bez strachu, lecz zmienił ton odrazu, gdy o lwie mu wypadało prawić, aby go samego lew — możny pan — nie rozszarpał. Kopalnia to niewyczerpana dla rysów obyczajowych, ciekawa i ze względu na język, tak pełny rusycyzmów, jakby ziemia lubelska ciążyła ku Wschodowi, tylko z poezją nic ją nie łączy, prócz rymu; zato w tej szlacheckiej Polsce całkiem niezwykłe zjawisko stanowi ten plebej, który

rozprawiał o chamach i flisach, a jaśnie wielmożnych pouczał o prawem szlachectwie!

Mimowoli i „Victoria" łacińska i „Worek" polski nabierały cech satyrycznych – a satyra panoszyła się coraz szerzej od czasu Reja i Kochanowskiego, wypadki i stosunki coraz bardziej ją wywoływały. Próbowali w niej sił swych i starzy i młodzi, taki Marcin Bielski, ostatni szlachcic, którzy dążył ze wsi do miasta, a jeszcze przed Rejem pisywał po polsku (nigdy zresztą inaczej), a którego dosadne satyry wydawał syn dopiero po śmierci ojca; taki Piotr Zbylitowski, który śladem Kochanowskiego w „Schadzce Ziemiańskiej" opilstwo i obmierzłe jego skutki starał się braciom zohydzić (w 1605 r.), a w „Przyganie wymyślnym strojom białogłowskim" (często przedrukowywanej) po raz pierwszy wyrznął ostre kazanie samym paniom o ich obcy a modny (alamodzki) strój: pięknej płci i Rej, i Bielski, i Kochanowski niepięknych nie skąpili uwag, ale raczej mimochodem przy „braci" dostawało się i „siostrom" — Zbylitowski tę perorę wierszowaną poświęcił im wyłącznie.

Łagodniej obszedł się z panującym zbytkiem i rozpieszczeniem w „Rozmowie szlachcica polskiego z cudzoziemcem" z r. 1600 krewny Piotra, nieco starszy od niego, Andrzej Zbylitowski; trzymał się on bardziej toru Kochanowskiego; był poetą okolicznościowym, lecz porwał się jednak na obszerny opis „Drogi do Szwecji", gdy jako dworzanin towarzyszył królowi do Sztokholmu dla koronacji; opis to bardzo szczegółowy, rozwlekły, najobszerniejszy w literaturze szesnastowiecznej, odznacza się bardzo gładkim językiem, którego jednak wadą są, jak u Klonowica i innych spółczesnych, podrzędnych pisarzy, liczne przymiotniki złożone, a jeszcze bardziej owe ozdóbki mitologiczne, od Kochanowskiego i poezji uczonej nieodłączne, jak np. nimfy, co się z zimnych

fal bałtyckich wynurzają, zazdroszcząc bohaterom polskim ich piękności, i tym podobne niedorzeczności. Wdzięczniejszym jest p. Andrzej, gdy porzucił mitologję i dwór i jako „Wieśniak", niby nowy Rej, „Żywot szlachcica na wsi" sławił i wielbił, na sielankę mocno już zakrawając.

Satyra przybierała najrozmaitsze kształty: bywała mitologiczna („Proteus", jakiegoś protestanta, śpieszył w tropy „Satyra"), alegoryczna — np. „Apokalipsa" młodego Solikowskiego z r. 1564, przedstawiała w formie widzenia ruinę Polski. Nie brakło innych wszelakiego rodzaju: nawet formę poboru cłowego od zbytków przybierała, albo, jak u Warszewickiego, wprowadzała Wenecję, statecznie gromiącą polskie nieporządki; przedewszystkiem zaś nie stroniła satyra od paszkwilów. Te się sączyły oddawna, w roku 1548 wezbrały szalenie z powodu sprawy Barbary, a po r. 1572 przy wrogich kandydaturach i elekcjach: jakże wtedy ujadał zajadły Mazur Paprocki, w Pradze siedząc, na tyrana węgierskiego i wilka szarego (Zamoyskiego)! Paszkwile rozlały się dalej szeroką a mętną falą za rokoszu Zebrzydowskiego, gdzie przez całe lata wrogowie godzili w siebie i parodjami z Pisma Św. (np. „Pasją Zygmunta III"), i echami, i pieśniami, wierszem i prozą, po polsku i po łacinie, w których nawet najskromniejsi, np. Simonides, nie stronili od dotkliwych przytyków. Wojowano tem zacięciej, im starannie nazwisko własne ukrywano; nawet Skarga tu rękę przykładał, szydził z nieopatrzności i niepoprawności szlacheckiej; w druku nic się z tego nie pojawiło, rozrzucano same odpisy; Miaskowski w zbiorze własnych rytmów ogłaszał przynajmniej odprawy najbardziej gorszących pamfletów i dialogów. Nawet mieszczanie wtrącali się do tej walki na pióro, ale jaśnie wielmożnych tylko o zgodę błagali, sami dobrze nie wiedząc, po której in

stronie stawać, bo dla nich z tych walk prócz ciężarów nic nie wynikało; lepiej uprawiali oni satyrę obyczajową.

Z satyrą łączy się humorystyka, nietylko ta sprośna, jaką Rej uprawiał w „Figlikach" wierszem, a spółcześni w „Facecjach" prozą, popadając miejscami aż w pornografję, lecz i ta kształtniejsza nierównie, której wzór dał Kochanowski, wierszem we „Fraszkach", a prozą w znakomicie dobranych „Apoftegmatach" (anegdotach, marki wyłącznie krajowej). I jak za „Trenami" powlokły się w nieskończoność „Trenodje", wszelakie, tak za „Fraszkami" wyroiły się „Fraszkolasy" i „Fraszkorytmy" pod najrozmaitszemi nazwami, krążąc w rękopisach np. z pod pióra Smolika, Hieronima Morsztyna, a stawały się one coraz wszeteczniejsze. Był to jedyny okres stale uprawianej humorystyki polskiej i nie powtórzył się nigdy więcej. Rozstrzeliła się zaś ta humorystyka w dwu kierunkach. Przybrała przedewszystkiem formę dramatyczną, bo rozrosła się z scen komicznych polskich, wstawianych w poważny dramat szkolny dla ubawienia słuchaczy, którzy słuchali łacińskiej tragedji z nabożeństwem, ale bez zrozumienia. Bohaterami takich scen-intermedyj byli żacy, uciekający ze szkoły, żydzi i prześladujący ich kozacy, piwosze i kostyrowie, chłopi przebiegli i wszelacy „szybałowie" (oszuści), błazny i chłopięta, płatający psoty i figle. Najsłynniejsza scena podobna to „Albertus z wojny"; stary ks. pleban wyprawił klechę (i o tej wyprawie była scena nader humorystyczna) na Podole przeciw Tatarom; powracający z Podola Albertus-Labartus łże o swem wojowaniu; później przerabiano takie sceny na ministrów różnowierczych i ich synków; wydań tego „Albertusa" ani zliczyć. Pisali sceny humorystyczne w zawody jezuici i nauczyciele ludowi, którzy dosadnie przedstawiają w nich nędzę i mizerję szkolną, bo minęły już dawno świetne czasy dla szkoły i szkółki. Druga gałąź tej humorystyki

to wiersze luźne; wszelakie zbiory ich wyszły przeważnie z jednego kąta, między Pilznem a Grybowem, między Krakowem a Podgórzem, płodzone zapamiętale przez miejskich synków na początku siedmnastego wieku; trwało to tak długo, póki biskup krakowski tępieniem całej tej domorosłej a rozwiązłej literatury końca im nie zgotował i humorystyki polskiej nie zniweczył. Ulubioną figurą stał się sowizdrzał, który przywędrował z Niemiec, jednak na ziemi polskiej wyszlachetniał; jedyna to figura, która przybyła wprost z dawnej literatury niemieckiej do polskiej i znakomicie przytem urosła (żadnej innej niemczyzny nie przyjęto). Fraszki sowizdrzałowe, nowe i stare, kiermasze włościańskie, nowe pieśni, padwany i niezliczone inne zawierały, jak „Fraszki" Kochanowskiego, stale za wzór niedoścignione uważane, erotyki, anegdoty, morały, skargi na drożyznę, żale za dawnemi dobremi czasami, kolędy żartobliwe, porównania, alegorje, zagadki. Kunszt ich nieosobliwszy, ale wszystko to najbardziej jest rodzime, ziemią krakowską wyłącznie trąci i przez to wartość ma niepospolitą. Cała literatura, wydana zresztą na wyłączny użytek szlachty, jedynie tu, w tym zakątku dopuściła do słowa inne stany, miejski i wiejski, stąd też patrzymy na dawny a dziwny świat polski wcale innym wzrokiem. Zniżają się przecież ci miejscy synkowie i do chłopa i taki „Lament chłopów na pany", śmieszny niby, już krwią i łzami jest pisany; także i w erotykach trafiają w ludową nutę, szczególniej, kiedy z małoruska zacinają. Napisał np. taki sowizdrzał, jakiś Dzwonowski czy Jan z Wychylówki, czy autor „Prażanki" lub „Nawary" — boć takie ich tytuły „literackie" — pieśń kozaczka o Kulinie, i niema w całej literaturze polskiej, przed Mickiewiczem, ballady, coby z nią porównać się mogła. Ta ballada autora sowizdrzała o uwiedzionej i opuszczonej dziewczynie zeszła zczasem aż do ludu, przynajmniej na

Czerwonej Rusi i, acz w formie zepsutej (pierwotna jest nadzwyczaj kunsztowna), przetrwała wieki; żaden madrygał szlachecki jej nie dorównał. A od chłopów przechodzimy do cechów i do miasta; przysłuchujemy się hejnałowi i całej doli i niedoli tej rzeszy, co sobie słodzi humorem nędzę; tytułuje się podczaszymi z racji, że krowom wodę nalewa, ale wesołości nie traci. Sztuki tu niewiele, życia zato i prawdy w tych obrazkach flamandzkich aż nadto. Jeszcze bardziej, niż chwile codzienne, odbijały się w literaturze momenty ciekawsze, wznioślejsze, wyjątkowe. To, co dziś wypełnia nadzwyczajny dodatek dziennika, to wówczas krążyło po miesiącach (nikt się nie śpieszył) w krótszym lub dłuższym opisie od paruset do paru tysięcy wierszy, w rymach, nie prozą, gdyż polszczyzna domagała się zgóry wiersza. Niemiec czytał swoją „Neue Zeitung" prozą, Polak miał ją w rymach. Stracenie zbrodniarza (zdrajcy Ościka w Wilnie, czy kozaka Podkowy we Lwowie), o tem, co Turek na Batorym wymusił, hołd pruski, czy sejm lubelski, jazda Radziwiłła do Moskwy, przygody starego żołnierza, wszystko to, począwszy od wtórej połowy szesnastego wieku, ubierało się w literaturę, a za wzór służył „Proporzec" Kochanowskiego i jego „Jezda do Moskwy". Przedtem tylko wyjątkowo zjawiały się pieśni podobne (np. „O wielgim pobiciu", t. j. o Grunwaldzie, którą jeszcze Górnicki naśladował), a brak nam jakiejkolwiek wiadomości o tem, żeby pieśni głosiły np. klęskę bukowińską, zwycięstwa pod Orszą lub Obertynem, katastrofy pod Sokalem lub nad Rastawicą; po r. 1569 stało się to regułą. Obok pieśni lirycznej, dziękczynnej, czy skargi, jak np. oda Kochanowskiego na wzięcie Połocka lub gromy na hańbę tatarską w 1575 r. („O wieczna sromoto"), obok pieśni o dzielnych wojownikach, np. o Hołubku, czy księciu Koreckim, zjawiały się obszerne, dokładne opowiadania — relacje o szturmie,

czy bitwie; pisze np. Paprocki „Historję żałosną o prędkości i okrutności tatarskiej" z r. 1575, a nawet jezuici w ten sam sposób zdają sprawę o „Pogromie lewartowskim", t. j. o zwycięskiej dysputacji jezuity Radzimińskiego z arjanami w Lewartowie Firlejów w r. 1592. Poezji w tym wszystkim jest niewiele; niedościgniony „Proporzec" wynosił się nad całą tą zgrają nieraz wcale niepowołanych pismaków, ale dziejopis, a szczególnie historyk obyczajowości skorzysta z nich wiele. Najciekawsze zalegały w rękopisach, jak np. wielce wykształconego kalwina, Eljasza Pielgrzymowskiego opis poselstwa Lwa Sapiehy do Moskwy Godunowa w 1600 r., gdzie nietylko znaleźć można przebieg rokowań, spis dań na biesiadzie carskiej, ale nawet bardzo obszerną i trafną, acz ostrą charakterystykę plemienia moskiewskiego — w ten sposób niepoetyczna ta poezja nabiera znaczenia dokumentu etnograficznego. Teraz jednak podobne wypadki już niejedno pióro, lecz kilka naraz poruszają. Jak bogata np. jest literatura o Dymitrze i Mniszkównie, o Kirchholmie i o rokoszu, o Smoleńsku i o Chocimie! Pisarze jej obierają najrozmaitsze pseudopoetyckie formy, np. Rzetowski, opowiadając o Kirchholmie, każe Sławie przemawiać, której Apollo i „panny aońskie" (muzy) nie puszczą, póki im dokładnie całej akcji nie wypowie — ale na końcu daje autor opis wszystkich zabitych i ciężko rannych z roty J. M. Hetmana i „poezja" nabiera cechy sprawozdania urzędowego. Czasem nawet humor zwycięża i szturm smoleński staje się „pociesznym". W całej tej „poezji" od lat 1569—1620 przewijają się znane skądinąd nazwiska, więc historyka Stryjkowskiego, który opisał wjazd Henryka, genealoga Paprockiego, M. Błażewskiego (wcale wzniosły opis) rokoszu; jedni, jak A. Zbylitowski, sadzili się zanadto na ozdóbki poetyckie, inni

prościej a trafniej rzecz ujmowali; nie uszedł ich uwagi żaden głośniejszy wypadek; antysemita J. A. Kmita wierszował i proces bocheński (znane bajki o kłuciu hostji i wytaczaniu niewinnej krwi chrześcijańskiej) i inne awantury żydowskie. A obok tej epiki „dziennikarskiej", aktualnej, rymowane bywają krótko lub szeroko i wszelakie nowele, antyczne i średniowieczne. Za przykładem Kochanowskiego, za jego „Zuzanną", wysypały się całym rojem historje o Gryzeldzie, o Dydonie, o Akteonie, o Eurilau i Lukrecji (jak mężowi rogów nasadzała, przez Eneasza Silwjusza z r. 1452), o walce Horacjuszów i Kurjacjuszów i t. d., aż do nowel Bokacjuszowych; na tem polu celował Kmita najlepszym utworem swoim, żartobliwym opisem walk Karlików (pigmeolów) i żórawi (Spitamegeranomachia), szczególniej zaś Hieronim Morsztyn tragicznemi nowelami erotycznemi, prozą i wierszem, np. o Gryzeldzie Banialuce (całkiem w formie bajki ludowej), wydawanych dopiero po jego śmierci pod barokowemi tytułami („Antypasty", „Philomachia"), a przepisywanemi niezliczone razy po szlacheckich sylwach. Tak zdobywała powoli prawa swe epika, znana dawniej głównie chyba z legend pobożnych.

Śród młodszego pokolenia, co patrzyło jeszcze własnemi oczami, jak bledną i gasną blaski zachodzącego słońca wielkości polskiej, jej okresu złotego, jeden tylko Szymon Simonides zdobył po Kochanowskim nowe dla poezji dziedziny, wprowadziwszy sielankę polską. I przed nim czuło się ją w powietrzu, prób łacińskich i polskich nie brakło, chociaż Miaskowskiego sielanki to raczej obrazki obyczajowe szlacheckie, niż właściwe idyle. Zasługa Simonedesa na tem właśnie polega, że wywalczył im odrębność i nieprześcignionemi wzorami godnie je zalecił. Lwowianinem był, acz z ojca Mazura, a wyrósł w zamożniejszym domu i śród pustyni lwowskiej kształcił się w wy-

jątkowo korzystnych warunkach; czego Lwów nie dawał, dał mu Kraków, a jeszcze więcej zagranica; oddychając zamłodu jej powietrzem, wybił się całkiem ze zwykłej kolei mieszczańskiej, oddał się wyłącznie studjom i pozostał bezżennym, chociaż nigdy ani pomyślał o stanie duchownym, jako dla ludzi pióra i nauki jedynym; niewiele zresztą od świata wymagał. Nie było mu jednak dane oddawać się w zaciszu lwowskiem wyłącznie czyto nauczaniu innych, czy obcowaniu z uwielbioną starożytnością, czyto popisywaniu się uczonym wierszem łacińskim ód i dramatem (o Józefie, z wysunięciem konfliktu erotycznego wedle „Fedry" Eurypidesa). Ostatnia wielka gwiazda renesansu polskiego, Jan Zamoyski, trawiony żądzą sławy i znaczenia, po nieudałych pomysłach stworzenia nowej szkoły głównej i założenia w Polsce jakiegoś Collège de France przeciw średniowiecznej akademji (zamach ten na krakowską Sorbonę udaremnił poczęści i nieufny Hozjusz), zamarzył o utworzeniu własnej szkoły magnackiej w nowym swoim Zamościu. Wybór na kierownika szkoły, po wszelakich innych próbach, padł na Simonidesa, którego już poznał przedtem, a któremu był zobowiązany za obronę poetycką przeciw strzałom zazdrości, za co mu już r. 1590 na sejmie szlachectwo wyrobił oraz tytuł i przywileje poety królewskiego. Ale oprócz dyrektora swej „akademji" zamojskiej zyskał w nim kanclerz i domowego, czyli nadwornego poetę, dając pierwszy w Polsce przykład tego zwyczaju. Radziwiłłowie w siedmnastym, a w ośmnastym wieku król Stanisław August i Czartoryscy mieli również poetów nadwornych, Kniaźnina, Trembeckiego i i. Został więc Simonides poetą zamojskim i tak go już Miaskowski trafnie utytułował; obowiązkiem jego było na festy, czy pogrzeby rodzinne stawać z mową wiązaną, naturalnie łacińską, to też pominąć wypada lwią część utworów Simonidowych,

wcale niepłodnego poety, a raczej tylko filologa (co dla pisania wiersza uczonego zupełnie wystarczało). I nie wszedłby przenigdy do literatury narodowej, gdyby w służbie zamojskiej przypadek nie zwrócił go na tory twórczości polskiej i nie przerwał dotychczasowej wyłącznie łacińskiej jego działalności.

Dwór Zamoyskiego celował nietylko dworzanami-literatami, jak Ciekliński i in., lecz i paniętami doń się garnącemi, jak Szczęsny Herburt, Żółkiewski i Sieniawski. Ten to Sieniawski ożenił się r. 1593, lecz wprost od żony odesłano go do wojska, a Simonides wytłumaczył to i uzasadnił obszernym wierszem, naturalnie polskim, skoro do oblubienicy zwróconym (wiersz ten p. t. „Ślub, opisany na feście" wydał r. 1593). Że to był zawiązek całej jego poezji sielankowej, dowiódł on tem, iż go umieścił w środku całego zbioru sielanek, ogłoszonego r. 1614 i kilkanaście razy wydawanego, a przez całe dwa wieki naśladowanego stale; on też ochrzcił cały ten rodzaj poetycki, chociaż sioło właściwe (wyraz to ruski, nie polski) najmniejszą w niem grało rolę.

Wzory uczonej, alegoryzującej poezji sielankowej przejęli humaniści piętnastego i szesnastego wieku od Greków i Rzymian, szczególniej od Wirgilego, niezawodne czucie poetyckie Simonidesa przeniosło jednak jak najsłuszniej poetę syrakuskiego, Teokryta, nad dworaka rzymskiego. Idyla, obrazek, bo to oznacza ta nazwa, w wieku, przesyconym uczonością i refleksją, sięgała do nizin ludowych, z ich bezpośredniem odczuwaniem przyrody i namiętności, i kreśliła życie „idyliczne", pasterskie przeważnie, zawody w miłości, pieśni, uciechy i troski bytu rybaków, rolników, nawet drobnego ludu miejskiego. Ale już u Teokryta, a cóż dopiero u Wergilego, bywała idyla stale i alegorją; poeta składał własne hołdy Mecenasom i Augustom pod przybranem imieniem pasterzy

i w urojonem otoczeniu wiejskiem opiewał własne zgryzoty, troski, nadzieje; opowiadał dawne mityczne dzieje lub uczył „o sadzeniu grochu". Ta tęsknota za cichem życiem na łonie przyrody, wolnem od intryg dworskich i hałasu miejskiego, życiem zdrowem, pokrzepiającem nerwy, uśmiechała się właśnie takiej naturze skupionej w sobie, refleksyjnej, jaką była Simonidowa. W gwarze dworskim, a był przecież Simonides i wychowawcą młodego Zamoyskiego (Tomasza, który od ojca odbiega, jak młody Tarnowski od swego), czuł się nieswojo, szczególnie, gdy dawni słudzy kanclerzowi miejsca ustępowali nowym opiekuńskim (po r. 1606) i coraz umykał do swego Czerniecina nad Porem (tę wieś ordynacką wydzierżawił) i tam pisywał swe sielanki. Niewiele ich, bo i autor wcale nie był płodny i sam rodzaj zbyt łatwo się powtarzał; jest ich tylko dwadzieścia, lecz skupiły się tu wątki najrozmaitsze. Przeważały tłumaczone i przerabiane, a nawet do tematów rodzimych przyplątywały się przynajmniej nazwy antyczne, dziś rażące, a r. 1614 polecające się najlepiej uwadze czytelnika.

Co najdziwniejsza, to fakt, że poeta zamojski sam nie opiewał nagłego zgonu kanclerzowego; pozostawił to Grochowskiemu, Miaskowskiemu, obcym nawet latynistom, jedynie przedostatnią sielankę poświęcając pamięci Dafnisa-Zamoyskiego. Imię to nadawał wszelakim pasterzom, miłośnie gruchającym, niewysłuchanym przez bogdankę — najlepszy dowód, jak wszystko to było dowolną maskaradą. Forma sielanki nakładała jednak pewne więzy, więc gdy odprawiał „Rocznicę" nad grobem ubóstwianego kanclerza, o kanclerzu i hetmanie, o filologu i antykwarjuszu musiał milczeć, a tylko to sławił, coby z rolą Dafnisa-pasterza zbyt się nie kłóciło, a więc gospodarność, nabożność i wszelkie cnoty „prywatne". Stąd bije w oczy konwencjonalność, umowność tych sielanek,

ów obcy im podkład alegoryczny; co innego wyraża, co innego zamyśla poeta, więc i czytelnik na krok mu nie ufa, pyta mimowoli, jaki jest cel ukryty jego opowiadania — w kogo autor godzi? Jeżeli np. Alkon opowiada historję Polluksa o tem, jak się mszczą niewczesne konkury, to wolno zapytać, czyż to nie jaka awantura zamojska dała pochop do tego opowiadania? Pisze np. poeta „Wierzby" i wydaje się, że na wzór „Metamorfoz" Owidjuszowych bawi go wymysł, jak to w wierzby nad Porem przemieniła gniewna Diana nimfy, które w obcowaniu z satyrami straciły niewinność, ale dopiero przy końcu wyjawia poeta prawdziwy swój zamysł — obronę własnego sposobu życia, oddanego naukom, gardzącego tłumem, i wnet pryska urok naiwnego wątku. Innym razem odwrotnie: zaczyna widocznie od aluzyj osobistych, załatwia porachunki z niechętnymi mu dworzanami, ale ta przygrywka ściśle zamojska kończy się najobojętniejszem streszczeniem mitu o Orfeuszu. Inne najzupełniej odbiegają od rzeczywistości; związany przez pasterzy sylen opowiada im wszelakie baśnie antyczne, a *epitalamium* (pienie weselne) Heleny jest jakby tłumaczeniem z Kallimacha — tym sposobem autor zaleca niby i własne sielanki, kryjąc się pod skrzydła starożytności; obok takich naleciałości klasycznych odznaczają się inne „sielanki" albo szczegółami rodzimemi z nad Poru i Zamościa, kłócącemi się nieraz zawzięcie z imieniem i szczegółami klasycznemi, albo zupełnie porzucają manierę antyczną i otrzymujemy śliczne swą prawdą i sztuką obrazki polskie, bo ruskiego, czy czerwonoruskiego w „Sielankach" niema nic, oprócz tytułu i kilku nazwisk takich, jak Paraszka lub Wonton. Chęci opisania szczegółów społecznego życia polskiego i potrzebie wylania narzekań zamojszczyka na niedołężnego króla, który „ludem" polskim kierować nie umie, dał poeta upust nietylko w anonimowym i niedrukowanym, ale często

odpisywanym „Rytmie po pogromieniu (guzowskiem) na teraźniejsze rozruchy" (zwanym powszechnie „Lutnią rokoszańską"), ale i w przeróbce wierszy Kallimacha (poety aleksandryjskiego); zabarwił więc polityką polską dialog Diany i Herkulesa.

Sielanki Simonidowe są bardzo nierównej wartości; najcenniejsze z nich to te, co z antykiem zerwały zupełnie. „Fest" z r. 1593 opowiadał jeszcze o Adonisie, stosując dowolnie jego dzieje do Sieniawskiego, ale od tego niby niedoszłego wesela przeszedł poeta, jak Miaskowski, do „Kołaczów", gdzie zwykłe wesele szlacheckie opisał wzorowo; od „Kołaczów" skoczył do „Bab", wytykając rozpustnej młodzi „babożeniostwo" t. j., że utraciwszy własny majątek, szukają młodzieńcy gotowego chleba u wdowy (lub starszej panny); gorszą nas tylko nazwy greckie w tym arcypolskim, nader realistycznym obrazku. Koroną Sielanek są „Żeńcy": Pietrucha i Oluchna słodzą sobie pieśniami pracę nieznośną w upale sierpniowym; sroży się nad niemi nahajka ekonomska, więc schlebiają ekonomowi i dobrze mu życzą, gdy się do nich przybliża; ostrą prawią mu prawdę, gdy się od nich odwraca i inne katuje. To obrazek z życia wzięty, cały niemal drgający, realistyczny, a mimo to opromieniony poezją o motywach ludowych, rozkoszny. I „Pastuchy" są przepojone wonią sielską, ale poezja ich nie wylała się już tak jednolicie i szlachetnie.

Co bowiem nadaje osobliwszy, a raczej główny wdzięk „Sielankom", nawet tłumaczonym albo naśladowanym, to język o doskonałości miejscami aż zbyt pieszczotliwej, jakiej Kochanowski nie dosięgnął nigdy. On przełamywał lody, tworzył wyraz poetyczny, którym Simonides najbardziej umiał już władać. Ten, zdawałoby się, mól książkowy wczuł i wżył się, jak nikt inny, w mowę potoczną i barwną, żaden poeta nie szafował tylu, co on, przysłowiami; równo-

cześnie jednak przewyższył innych i delikatnością. Próbowali przed nim inni tej poezji — on pierwszy właściwą jej nodłę utworzył. Nikną wobec „Sielanek" inne jego utwory polskie (na starość pobożne wiersze pisywał) i łacińskie, chociaż zdobył się i na drugą tragedję, mianowicie o (Pen-esilei) Amazonce, zabitej przez Achila — bo poco kobiecie do walk się mieszać, gdy jej powołanie inne; zamiast akcji morały przepełniają ten dramat antyemancypacyjny. Jak Kochanowski pieśni i fraszki, tak i Simonides (Szymonowic t. j. syn Szymona) układał sielanki nie w chronologicznym porządku, lecz artystycznemi kierował się przytem względami; zaczynał i kończył jawnemi naładowaniami, a zaś w środku, szczególniej od jedenastej począwszy, rozmieszczał oryginalniejsze.

Całkiem na uboczu stoją dwaj poeci z kresowej, nowej Polski; szczególnie na jednym z nich wyraźnie odbiły się niestarte wpływy ruskie. Okrasą poetycką ziemi lwowskiej był Mikołaj Sęp (Szarzyński), wywodzący się, jak Simonides, z rodu mazurskiego, lecz nie-kulturalna ziemia lwowska jak „Szarzyńskiego" wyniosła, tak i upadek mu zgotowała. Bo powszechnym zwyczajem szlacheckim młody poeta nic nie drukował i gdy jeszcze przed Kochanowskim, bo już 1581 r., jako mąż trzydziestoletni umierał, ziemianie lwowscy, Starzechowscy i inni barbarzyńcy, w taką dzielną opiekę jego pisma wzięli, że, gdy je brat poety we dwadzieścia lat później zamierzał wydawać, nic już nie znalazł i zadowolił się garstką tego, co sam posiadał. Raczej więc tylko na wiarę przyjmujemy zgodne sądy spółczesnych, którzy głosili, że zapowiadał się na niezwykłego poetę, a to, co z pism jego jakiś ksiądz piąte przez dziesiąte poniewczasie wydał, doczepiając utwory innych (Smolikowe) oraz łacińskie (których Sęp nigdy nie próbował nawet), dowodzi głębokiego religijnego nastroju, poważnej myśli, może

zacienionej przeczuciem, czy obawą rychłego zgonu (jak u Janicjusa); choć znać łamanie się z nieco twardym, ciężkim językiem; mimowoli jednak wyczuwa się, że ma się do czynienia z istotnym poetą, o czem świadczy sama już praca nad formą, przerabianie jej stałe i skuteczne. Ruski patrjotyzm lokalny wyraził się w wysławianiu czerwonoruskich rodów, Strusów pod Sokalem, a Herburtów nad Rastawicą, poległych w bohaterskim boju. Jako prawdziwy poeta zaczynał Szarzyński i od miłostek zmiennych, jak imiona samych bogdanek, a pozbawionych nuty osobistej, bladych i ogólnikowych (namiętność, ani głębokość nie były jeszcze udziałem młodzi sarmackiej), lecz rzucił je nierównie rychlej, niż Kochanowski, na którym się wzorował widocznie. Łacinników znał; obok psalmów dobierał z Boecjusza wątków i myśli, ale i poezja włoska nie była mu obca, bo naśladował jej sonety i kanzony, wzywając N. M. Pannę; na nic większego jednak się nie zdobył. Nastrój uroczysty cechuje tę drobną wiązankę wierszy, wskazującą raczej, czemby mógł być jej autor, niż czem był istotnie.

Mniej zagadkowa, ale nierównie bardziej zawikłana jest natura innego poety-Rusina, polityka-warchoła, historyka z powołania, a paszkwilanta z powodu zbiegu wypadków, Jana Szczęsnego Herburta z Dobromila, byłego zamojszczyka, rokoszanina nieprzebłaganego, najsroższego w całej Polsce wroga jezuitów. W przeciwstawianiu do „Szarzyńskich" i innego drobiazgu szlacheckiego Herburtowie należeli do kwiatu ziemi ruskiej właśnie w linji dobromilskiej i odznaczali się polorem europejskim; biskup przemyski reprezentował godnie Polskę w Trydencie, a prawnik Jan wydawał statuta i dzieje koronne; wszyscy Herburtowie gardzili Krakowem i uczyli się zagranicą; w jezuickim Ingolstadzie kształcił się i nieszczęsny Szczęsny. Zwiedziwszy

bce kraje, osiadł przy Zamoyskim, ale się wkońcu z nim poróżnił; posłował skutecznie do Carogrodu; w kraju, ako wróg jezuitów, Habsburgów i Zygmunta III, ze trony których obawiał się zakusów na absolutyzm, połączył się rychło z przyszłymi rokoszanami. W walkach okoszowych dokazywał piórem, nie szablą; długo siedział v więzieniu, nim wyjednał łaskę królewską. a później, ako wieczny malkotent, siedział w swoim Dobromilu zaczął wydawać historyków polskich: Orzechowskiego którego gwałtownością i ruskością żywo przypomina) raz Długosza; tę chwalebną i zaszczytną zewszechmiar pracę przerwał mu dla błahych powodów surowy zakaz królewski; po tem ostatniem niepowodzeniu dokonał ychło żywota. Pisał D. D. (dziedzic Dobromilski) wierzem i prozą, po łacinie i po polsku, źle i dobrze, bardzo ierówno. W świetnych przemowach unikał w polzczyźnie łaciny, gdzie indziej w łacinie topił polszczyznę – miesięcznik to chyba (lunatyk), jak Orzechowski, le człowiek ogromnej kultury i to go przykuwało do Zamoyskiego; znał, jak żaden inny, dzieje ościenne, franuskie i włoskie, dawne i świeże, przegryzł jak najsubtelniej łasne dzieje polskie, dobrze znał i literatury romańskie, ust zaś miał już wręcz barokowy. Najciekawszy jego twór to rodzaj spowiedzi z własnego życia, które mu yrzuca Fortuna, zjawiając się przed nim nocą w więieniu krakowskiem, jak Fortuna i Cnota przed Herkuesem na rozdrożu; opowiedział tu Herburt szczegóły yciowe, ale w rebusach, które zmudnie odgadujemy; roza to i wiersze, własne i Kochanowskiego. Rusin ten, kładając pierwsze ruskie wiersze, przemawiał jako Hryć o króla: „Pastusze, pastusze, Lublu tie do dusze. A szczo ene boli, Skażu ty dowoli“ i t. d.; jeszcze bardziej Rusinem jest przez swoją anarchję. Alegorji używał nętnie; walkę Zygmunta z rokoszanami przedstawił

jako pojedynek ponty (fryzury obcej) z czupryną (polską), ale gdy te wiersze bardzo są dowcipne, inne zniżają się do grubych wyzwisk na króla i regalistów, wywlekając najaw sprawki najskrytsze i najbrudniejsze, istną kronikę skandaliczną wielkopańską. Jezuitów owych, Hiszpanków i Włoszków, zwalczał z porywczością niehamowaną, godną Orzechowskiego. Nic też dziwnego, że „Apokalipsę" uchodzącą, acz mylnie, za dzieło Orzechowskiego, przewierszował po polsku; jego wiersz łaciński „Gratis" (z tego powodu, że jezuici uczyli „darmo"), to sztylecik jaden zatruty, a jego „Rada o utwierdzeniu pokoju" (w Polsce kładła za pierwszy warunek wypędzenie jezuitów i skasowanie ich dóbr na cele oświaty; utwór ten, nietłumaczony z polskiego (tylko pierwszy szkic do niego był polski), jeszcze w ośmnastym wieku zagranicą wydawano i tłumaczono. Przeważna część broszur i pisemek, mianowicie wiersze rokoszańskie, z jego wyszła kuźni; nieznużony był w powtarzaniu i przerabianiu tych samych myśli i pomysłów, po stałem np. cytowaniu gróźb arcybiskupa Uchańskiego pod adresem Rzymu, niechybnie jego pióro odgadnąć można. Razi nieraz brutalnością formy, ale łatwo zrozumieć, że porywał szlachtę ten, kto z takim ferworem stawał; po stronie przeciwnej, królewskiej, nikt mu nie dorównał, ani Miaskowski nawet, który jako regalista ostro się spierał z tym obcym wielbicielem własnej muzy.

Około r. 1620 wymierają ostatni, którzy zaznali jeszcze złotego wieku. Na cecorskich polach składa głowę hetman, który wzorem Cezarowym sam ogłosił w znakomitej polszczyźnie nadzwyczaj cenne i prawdziwe komentarze wojny moskiewskiej, człowiek wielki nauką i cnotą. W rok po nim umiera także Chodkiewicz, który wyrósł w szkole zachodniej, jeden z tych bardzo już nielicznych, którzy mówili i po hiszpańsku, gdy już tylko znajomość wło-

szczyzny się szerzyła. Czuli to mimowoli spółcześni: gdy Simonides w r. 1644 przypisywał „Sielanki" Wolskiemu, marszałkowi koronnemu, nazwał go ostatnim z tych, co kwitnęli za ozdobnego wieku. Szczerb, które powstały od zgonu Orzechowskiego, Kochanowskiego, Zamoyskiego, nikt już nie zapełnił, zato zapowiadała się coraz wyraźniej anarchja umysłowa i moralna, wstecznictwo i nieuctwo, rozprzężenie więzi państwowej. Chyliło się stanowczo słońce polskie ku zachodowi, ku nocy głębokiej; wynurzała się z niej stopniowo słowiańska niesforność, lenistwo, apatja, trzymane dotąd na wodzy przez powagę przedstawicieli duchowieństwa, nauki, myśli, urzędu, słabnące teraz z każdym dziesiątkiem lat i zastępowane przez fanatyzm, ciemnotę i samowolę, które składały się na anarchję szlachecką.

ROZDZIAŁ TRZECI

ZWYCIĘSTWO I ZWYRODNIENIE SARMATYZMU (1621—1763).

Cofanie się kultury polskiej; przyczyny i skutki. — Odbicie tego stanu w literaturze. — Różne działy piśmiennictwa. — Polska kresowa i pozakresowa. — Najwybitniejsze postacie sarmatyzmu: Twardowski, Potocki, Kochowski. — Marazm saski. — Przebłyski odrodzenia.

Bez jakichkolwiek widocznych, nagłych, rażących zmian zaczyna się Polska staczać z osiągniętej w poprzednim wieku wyżyny umysłowej, ekonomicznej i państwowej; warunki zewnętrzne zdawały się niezmienionemi aż do chwili, gdy katastrofa nieprzewidziana usunęła wszelką złudę i naród stanął na krawędzi przepaści; od rany, którą wtedy otrzymał, już się nie wyleczył — była śmiertelną; agonja jak najdłużej się przeciągnęła.

Rozluźniał się powoli związek z Zachodem. Nie ustawały wprawdzie przejażdżki młodzieży choćby do zagranicznych kolegjów jezuickich (jakby krajowe nie wystarczały!), lecz plon ich bywał coraz znikomszy, i w kraju otrząsano się odrazu z naleciałości cudzoziemskich. Bo kultura szlachecka wymagała coraz więcej jednostajności, niezbędnej dla każdej trzody, nie dopuszczała wynoszenia się jednostek nad przeciętność; coraz bardziej ustalał się typ szlachcica, co ze szkół jezuickich wychodził zazwyczaj

z „poesis", na dworach pańskich kończył wychowanie, a wprawy w występowaniu publicznem nabywał, broniąc swego chlebodawcy. Od Baru podolskiego do Dyneburga i od Witebska do Poznania jeden język, styl, moda, wiara nawet, ten sam stół i wino, ta sama gościnność i retoryczność, te same praktyki i przesądy brały górę. Trwały wprawdzie dalej rywalizacje i uprzedzenia „państwowe" (na Litwie przeciw „koroniarzom") i prowincjonalne (Małopolan przeciw Mazurom), zaznaczały się coraz silniej różnice między wojewodą a szlachtą zagrodową, między jaśnie wielmożnym karmazynem a trzymającym się kornie klamki pańskiej szarakiem; ale na oko, nazewnątrz wszyscy byli sobie równi w tej dziwnej demokracji szlacheckiej, w tej republice z królem wybieralnym na czele. I coraz drażliwsza stawa się ta „złota wolność", to zagarnięcie wszelkich przywilejów kosztem innych stanów; nie znosiła krytyki, węszyła wszędzie, z racją czy bez, zakusy okrojenia jej nadmiaru, a państwo pokutowało za mniemane zamachy. Co dawniej tylko cichaczem nurtowało, np. liberum veto, sześcioniedzielne obrady zwoływanego co dwa lata sejmu, wiązanie się instrukcją sejmikową kosztem rozbicia sejmu walnego — to wszystko teraz przybierało formy uświęcone, nietykalne, chociaż podważało podstawy państwa, jego sprawność wojskową i finansową; obywatele, mający otwarte oczy, widzieli ruinę; zaślepieni—niczem nie dali się opamiętać; wkońcu upatrywali w niemocy polskiej „arcanum", tajemnicę powodzenia polskiego. Odwykano od służby wojskowej, zadowalając się coraz nieliczniejszem i coraz gorzej utrzymywanem wojskiem „kwarcianem"; animusz wyszafowywał się w pojedynkach, zajazdach, na łowach i czerń kozacka — tysiące gwałtem spędzonego chłopstwa — mogła z sukursem tatarskim, gromić najpiękniejsze, najzbrojniejsze zastępy. Wysiłkiem heroicznym dźwignięto się

jeszcze raz z potopu, ale potem stawało oręża już tylko na walki wewnętrzne i najświetniejsze zwycięstwa, jak słynna odsiecz wiedeńska, marnowały się całkiem. Kraj, położony śród potęg militarnych, wznoszących się kosztem Polski, odwykał od broni, a otoczony państwami absolutystycznemi i rządnemi, zaborczemi, miał rozprzęgającą się machinę państwową i coraz zrywane sejmy, które żadnej naprawy nie dopuszczały.

I ekonomicznie Rzeczpospolita podupadała. Przed samą katastrofą kozacką w 1648 r. mógł jeszcze Łukasz Opaliński bronić Polski przeciw niewinnym w gruncie rzeczy docinkom Barklaja, powołując się na olbrzymie liczby eksportu jako na dowód zamożności, — ale za wywożone surowce wchodziły gałganki, specjały i wina; chłop nędzniał, a miasta upadały, gdyż obcy zalewali kraj swojemi wyrobami, a szlachta, niekrępowana cłami, zaopatrywała się we wszystko zagranicą. Rosły dostatki wielkich rodów, warujących sobie nieraz od kolebki tłuste starostwa; rosły dostatki martwej ręki, kościelne i klasztorne; zbogacali się cudzoziemcy, Włosi, Szkoci, Ślązacy, Gdańszczanie przedewszystkiem, a marniał lud wiejski i miejski oraz drobna szlachta chodaczkowa; wyjałowiała się ziemia polska, spadała liczba mieszkańców, malał rozmiar uprawianej ziemi a szczególniej jej wydatność; nieprzebrane bogactwa Rusi skupiały się zbyt wyłącznie w latyfundjach Potockich, Lubomirskich, Koniecpolskich, gdy po „ruinie“ wojen kozackich znowu pług polski worywał się w ukraińskie ziemie. Wyciskano przytem z chłopa ostatnie soki, a ludność wyrodniała, rozpijała się i zatracała wygląd boży.

Tak samo jałowiała powoli niwa umysłowa. Były zawsze liczne jeszcze wyjątki, ale teraz skupiały się one coraz wyłączniej w rodach magnackich. Magnaci szesnastego wieku, Radziwiłłowie, Ostrogscy, Tarnowscy, Kmito-

wie, Firleje, nie wyróżniali się jeszcze jakąś oświatą osobliwszą; po r. 1620 różnica ta coraz jest widoczniejsza: Opalińskim, Lubomirskim inna szlachta już ledwie po kolana sięgała, bo tylko magnat mógł zaspokajać potrzebę nauki i kultury, jeżeli wogóle ją odczuwał. Tłumy szlacheckie zadowalały się najmarniejszą strawą, jakiej dostarczały liczne kolegja jezuickie. Do akademji już tylko miejscy synkowie uczęszczali i schodziła ona do poziomu seminarjum duchownego o filozoficznym (scholastycznym) i teologicznym wydziale; prawo i medycyna wakowały, albo były licho obsadzone. Nowa akademja zamojska była próbą zgóry chybioną, bo łączyła profesury z kolegjatą i upadła wkońcu, jak krakowska. Ostatni dzielniejsi profesorowie, matematycy, medycy, filozofowie znikają około połowy wieku na zawsze. Dawniej szkoły różnowiercze podtrzymywały ducha spółzawodnictwa, teraz groziło im zamknięcie, albo schodziły na wyłączne usługi młodzieży własnego wyznania. A duch nietolerancji rósł z każdym dziesiątkiem lat. Już w szesnastym wieku wybuchała nienawiść, ale tylko w najniższych warstwach miejskich, ofiarą jej padały „brogi" kalwińskie i bibljoteki arjańskie; szlachta katolicka ganiła jeszcze wtedy te wybryki, teraz sama w nich przewodziła, nie pięścią, lecz prawem — bezprawiem sejmowem. Ofiarą nienawiści szlachecko-jezuickiej padli najpierw znienawidzeni przez wszystkich, nauką i moralnością nad wszystkimi górujący „arjani", bracia polscy, jak sami się nazywali zagranicą i w domu. Skupieni w coraz ciaśniejszem kółku, nie liczyli już wśród siebie znakomitszej szlachty; mieszczanie i cudzoziemcy, przeważnie Niemcy, częściowo lub wcale niespolszczeni (Smalcjus, Ruar, Stegmann, Wolzogen i i.) stawali obok Morsztynów, Przypkowskich, Lubienieckich, Wiszowatych, Stoińskich, Potockich (Srzeniawitów). Wysyłali więc oni młodzież za granicę, utrzy-

mywali stosunki z Holandją, Anglją i Francją; uczyli się jak najlepiej, aby sprostać wycieczkom katolickim i protestanckim, żyli najskromniej i najprzykładniej, podobni kwakrom późniejszym; wierzyli bardziej rozumem, niż sercem, lecz nie mieli odwagi wyciągać ostatecznych wniosków z przeważającego u nich racjonalizmu; wyprzedzali późniejszy nieco deizm. Oni pierwsi padli ofiarą fanatyzmu, pod błahemi pozorami zniesiono kwitnącą ich szkołę rakowską („Ateny polskie"), drukarnię i zbiór i prześladowano ich wszędzie, aż w dwadzieścia lat później, r. 1658 zapadła haniebna uchwała sejmowa, narzucająca im katolicyzm, albo wygnanie. I oto otrząsła przeważna ich część z nóg swych proch nielitościwej ojczyzny i rozsypała się na tułaczkę po Siedmiogrodzie, Śląsku, Prusiech Książęcych, Holandji, gdzie w wielotomowej łacińskiej „Bibljotece braci polskich" złożyła płody nieustannego w Piśmie Św. czerpania.

Im wyżej wznosiła się Europa w uznaniu swobody sumień, tem niżej pogrążyła się Polska w odmętach fanatycznej reakcji; za arjanami poszli i kalwini; nie wyrzucono ich z kraju, ale ich zduszono — ustały też ich druki, upadły szkoły, zmarniały „brogi" zborowe, aż ich w osiemnastym wieku wyrugowano z urzędów i mandatów poselskich. Krok za krokiem zdobywała reakcja teren. Żwawe spory ustają, ostatnia wymiana ostrych strzałów przypada na lata 1608 — 1616, potem już tylko jezuici ostrzeliwują pusty plac; wynurzają się bezkarnie obrzydłe paszkwile na protestantów, pochodzące od ludzi z pod ciemnej gwiazdy: w szesnastym wieku byliby je im protestanci w gardło wtłoczyli, teraz milczą. Do niczego nie doprowadził ostatni przebłysk dawnej wolności wyznaniowej w „kolokwjum toruńskiem", mającem z inicjatywy wolnomyślniejszego króla pogodzić zwaśnionych; po r. 1645 już same niedobory zaznaczać wypada. Po

paleniu książek i na ludzi kolej przychodzi: „ateusza" Łyszczyńskiego tracą i palą, zaś prześladowanie Unruga za wolnomyślną zapiskę prywatną oraz rzeź toruńska napełniają całą postępową Europę pogardą i nienawiścią przeciw siepaczom katolicyzmu.

Pozbywając się przeciwników, wracał katolicyzm do nałogów i upodobań średniowiecznych. Kaznodziejstwo traci prostotę, wielkość i powagę Skargi; styl i smak barokowy wyróżniają już kazania tego, co nad grobem Skargi przemawiał, dominikanina Fabjana Birkowskiego. Ale jego barok tchnie świeżością, porywa siłą, wielkością obrazów i gromkiem słowem; u późniejszych smak zupełnie się wyradza i ostatecznie pojawiają się w druku kazania, przepełnione baraszkowaniem, anegdotami, nie licującemi z kazalnicą, bo pełne ciekawostek wykładu i alegoryj. Powódź druków ascetycznych zatapia powoli niziny literackie; wznawia się dzieła zapomniane od półtora wieku, np. „Żywot Chrystusów" Opeca; domorosła asceza nie wystarcza — jedne po drugich pojawiają się pobożne tłumaczenia francuskich, czy włoskich jezuitów; drukarnie klasztorne, jezuickie i częstochowskie, zaśmiecają najniewybredniejszą literaturą składy „bibljopolów" (księgarzy). Chrześcijaństwo istotne ginie; praktyki (dróżki, posty, koronacje obrazów), cuda (przeróżnych obrazów i świętych), przesądy, sodalisostwo marjańskie i inne kongregacje duchowne zastępują wiarę i uczynki; djabły i upiory wałęsają się niemal za dnia, a czarownice płoną na stosach, i żadna stara kobieta na wsi, czy w miasteczku nie jest pewna życia — jeszcze za Stanisława Augusta nie zagasły te obmierzłe ogniska, urągające haniebnie rozumowi i sercu.

Mimo bezbrzeżnej grafomanji upada literatura z każdym lat dziesiątkiem coraz widoczniej. Pyszne okazy druku polskiego z szesnastego stulecia, które wieki przetrwały

i ostaną jeszcze wtedy, gdy nasze w proch się rozsypią, ustępują coraz gorszym; bibuła, nie papier, i zużyte czcionki godzą się wybornie z coraz podlejszą ortografją, z coraz sprośniejszym stylem i z coraz niklejszą treścią. Wyjątkowo łoży jaki magnat, jezuita lub kanonik na koszty doborowego papieru i staranniejszego wydania; za czasów saskich najpiękniejsze druki polskie, to — przedruk łacińskiego ascetyku z XIV-go wieku, to króla Stanisława wierszowana biblja polska i takież same dzieło olbrzymie jezuity nieświeskiego (Kurzenieckiego) oraz komedje księżnej Radziwiłłowej. Z fanatyzmem religijnym rośnie i polityczny; złota wolność nie znosi sprzeciwu, więc krytyka ludzi, państwa, życia, a zwłaszcza krytyka polska ukrywa się po rękopisach; łacińska nieco jest śmielsza. Jeżeli jeszcze Wacław Potocki mógł wydać pod cenzurą duchowną swój „Poczet Herbów", gdzie i duchownym prawił morały, to we dwadzieścia lat później oburza się na to duchowny autor i gromy ściąga na głowę „kalwina", który śmiał krytykować jawne nadużycia, jakby dawna cenzura duchowna nie była dosyć czujna. Wobec takiego rygoru staropanieńskiego i świętoszkowego nie wychyla się na światło dzienne nic mądrego, powabnego, uszczypliwego. Ludzie tają się z miejscem druku, nazwiskiem autora, skoro wydają coś niecałkiem „prawowiernego". Satyry Opalińskiego pozbywają się wycieczek przeciw nieuctwu i innym słabościom księży. Nie dziw więc, że obok ascetyków grasują tylko panegiryki, kadzidła nie wonne, ale cuchnące przeraźliwie, łacińskie i polskie, z tytułami łokciowemi, z pomysłami potwornemi, pisane ciężką prozą, lub potwornym wierszem. Niektórzy autorowie, np. akademik krakowski Bieżanowski, setkami je płodzą, nic innego nie piszą. Im bardziej ludzie podleli, tem górniej ich wychwalano; były panegiryki spuścizną i szesnastego wieku, ale teraz służalstwo, schlebiające wydętej

próżności, przebrało wszelką miarę; żadne wesele, pogrzeb, wjazd dygnitarza duchownego, czy świeckiego, bez nich się nie obywały i już tylko dla kazań trybunalskich warował sobie ksiądz jezuita verba veritatis i przymawiał jaśnie wielmożnym wręcz o przekupstwo i podobne z urzędem sędziowskim mało licujące cnoty.

Po wieku szesnastym odziedziczył sarmatyzm i inną przywarę. Już ludzie złotego wieku, poczęści, aby się popisywać ogładą, poczęści z lenistwa i dla wygody, sięgali po gotowy frazes, zamiast o własnem pomyśleć słowie, przeplatali polszczyznę łaciną; nawet tak znakomici styliści, jak Orzechowski, popadali w ten błąd i w druku — w liście albo mowie, nawet sejmowej, nikt się go nie wystrzegał. Teraz ten mylnie tak nazywany makaronizm (oznaczający istotnie co innego) obok panegiryzmu i ascetyzmu tak się rozszalał, że niemal już żadne zdanie nie obeszło się bez niego. Pisze więc Pasek swe jowjalne i rubaszne pamiętniki, ale wydawcy dziewiętnastego wieku fałszują je, ustalone zwroty obce zastępując samowolnie polszczyzną, przez co pamiętniki te tracą swój właściwy językowy charakter, bynajmniej zresztą nie polski. Jest to przykład typowy — żaden poseł, nawet nie w przystępie złego humoru, już nie protestował przeciw łacinie w izbie poselskiej, jak niegdyś robił pupil Rejowy, pan Szafraniec. Spadł więc język polski do poziomu kuchni i stajni; po wyższe pojęcia i zwroty uciekano się do łaciny. Nałogowi temu jedynie nie folgował ksiądz w kazaniu ze względu na tłum, asceta w książce do nabożeństwa ze względu na kobiety, poeta w wierszu, unikając bezstylowej pstrocizny; Wacław Potocki np., piszący wiersze polszczyzną sarmacką nieprześcignionej siły i barwności, w prozie przedmowy najhaniebniej kaleczył język łaciną. W półtorawiekowym okresie policzyć można na palcach jednej ręki dzieła prozaiczne — oprócz właśnie wymie-

nionych — pisane językiem czystym. Rozmowy Lubomirskiego stanowią jeden z takich świetnych wyjątków. I nie dziw, że łacina ruguje zupełnie polszczyznę; szanujący się pisarz, czy nim będzie Olbrycht Radziwiłł, spisujący swe ciekawe pamiętniki, czy Kochowski, historjograf Sobieskiego, używają wyłącznie łaciny (Radziwiłł zato ascetyki jezuickie tłumaczył na polski); Fredro w przysłowiach bronił mowy ojczystej, sarkał na tych, co jej ubliżają – w praktyce używał tylko łaciny. Wynik był opłakany: wskutek takiego macoszego obchodzenia się utracił język giętkość, wyrazistość, obfitość, to też czasy stanisławowskie musiały na nowo, od abecadła niemal, odwojować narodowemu językowi poprawność form i obfitość słownika. Więc i na tem polu powracała zwycięska średniowieczyzna i tylko jeszcze w wierszu posługiwano się polszczyzną.

Średniowiecze nie znało druku, więc i sarmatyzm wraca mimo swych tłoczni do rękopisów, jakby Gutenberg nigdy nie żył. Wszystko, co mądre, dowcipne, piękne, prawdziwe, kryje się pod korcem w obawie przed cenzurą duchowną, albo przed opinją publiczną, w druku ukazują się tylko śmiecie i wedle nich osądzano, t. j. zasądzano zaocznie cały ten okres. Wszystko, co było cenne, zalegało archiwa familijne i wychodziło z ciemnic najaw dopiero w dziewiętnastym i dwudziestym wieku. A miało to najfatalniejsze dla literatury narodowej skutki. Bo najpierw ginęły bezpowrotnie liczne dzieła, o których wiemy, że istniały, lecz żadnego innego nie pozostało po nich śladu. Z niejednego z nich ocalała cudem jedna kartka albo rękopis sam przechował się w urywkach — przecież i Paska „Pamiętniki“ nie mają początku ani końca. Wędrowały więc cenne dzieła pod placki, albo płonęły wraz z domami i gdyby nie zbieracze o zasługach wiekopomnych, jak Załuski, to np. cała cenna praca życiowa Wacława Potoc-

kiego i setki innych dzieł z wiatremby poszły. Autorowie, twórcy ustąpili pola sztubakom, sami zadowalali się uznaniem w najszczuplejszem kółku znajomych o gustach podobnych, przesyłając sobie nawzajem swe prace, i zamiast wywierać wpływ dobroczynny, dawać wzory, podnosić smak, przyczyniali się sami przez takie wycofanie z obiegu rzeczy pięknych i mądrych do obniżenia poziomu umysłowego, jakby nie poczuwając się wcale do tej winy. Piszą więc wszyscy prozą, źle i dobrze; lecz drukuje się tylko to, co złe, nieważne, niemądre. Są wyjątki, głównie w pierwszej połowie okresu; do nich należą dzieła Samuela Twardowskiego.

Grafomanja wzrosła zastraszająco, niema już „chorych na rękę" — więc papier drożeje. Wszystkie stany mają teraz swych przedstawicieli w literaturze, naturalnie oprócz chłopskiego, a i mieszczanie wobec jawnego, straszliwego upadku miast coraz bardziej znikają z orszaku piszących. Zresztą piszą wszyscy, od króla do pisarczyka; i Władysław IV i Jan Sobieski rymowali sobie podobnie, jak i hetmani, kanclerze, podskarbiowie i marszałkowie wielcy koronni, rzadziej litewscy; mają przedstawicieli w literaturze, i to nieraz jak najlepszych, wszystkie rody: Radziwiłłów, Sanguszków, Zamoyskich, Potockich Lubomirskich, Opalińskich, Fredrów, a nawet płeć piękna próbuje pióra, przygodnie, czy stale, jak Drużbacka, lub Radziwiłłowa. Ale ponieważ nikt z pisaniną nie śpieszy do druku, przed sąd ogółu, więc i sił wszystkich nikt nie wytężał; znajomi przyjmą przecież byle jakie utwory. O gładzeniu, przerabianiu niema i mowy, autorowie, jak łatwo piszą, tak łatwo porzucają swe płody, niby istne króliki. Andrzej Morsztyn na naleganie Puzyny wydobywa to i owo z zapomnienia, z pleśni, ale najwłaściwszy wyraz jego muzy odkrył dopiero wiek dziewiętnasty i mylnie go ochrzcił, bo przypisał go innemu

mniej uzdolnionemu Morsztynowi. Nie cenią sami autorowie swych utworów, więc i nie czynią postępów w sztuce; jak zaczynają, tak kończą, chyba wprawy tylko większej nabywając. Jedyny Wacław Potocki wyróżnia się usilną nad sobą pracą i u niego też znać postęp nadzwyczajny. Uznanie ogólne nikogo nie nęci; wawrzyny poetyckie niczyjej nie zdobią skroni i z każdym dziesiątkiem lat maleje zastęp dobrze piszących. Literatura narodowa stale się cofa, gdy europejska postępuje naprzód.

Ogół żyje ciągle dawnym zasobem form i myśli. Niema więc prozy nadobnej; jeżeli się zjawia romans, powieść, to tylko wierszem, i gdy Europa od wieku już przeszła do olbrzymiej literatury powieściowej prozą, w Polsce wierszują jeszcze stale prozaiczne romanse obce, „Argenidę“ i inne. Całkiem wyjątkowo zachowują prozę obcą, np. w „Romansie o królowej Bonie“; ale „Telemaka“ Fenelona np. wierszują zawzięcie. Niema również dramatu. Pozostało bez wpływu na zacietrzewionych ziemian, unikających miasta i dworu, i to, że Zygmunt III utrzymywał latami trupę niemiecką, t. zw. angielskich komedjantów, grających sztuki o treści świeckiej (o Fauście, o królach angielskich) i moralizującej (alegorje), albo duchownej (z biblijnych wątków), i to, że warszawska opera i balet Władysława IV słynęły na całą Europę doborem śpiewaków i muzyków, i to, wreszcie, że w osiemnastym wieku August III za przymusowego stałego pobytu w Warszawie utrzymywał dobrą operę. Przypadkowo tylko, w najdłuższych odstępach, pojawia się coś, co przypomina dramat europejski, ale i to raczej wywodzi się z teatru szkolnego, który teatrem właściwie nie był. W pierwszej połowie okresu pojawiło się w druku kilka niezłych komedyj, bliższych jednak intermedjom; były to proste sceny komiczne: „Komedja rybałtowska“, satyra na konfederatów, plądrujących po wsiach i „Z chłopa król“ (osnutej

wedle znanej anegdoty o pijanym sołtysie, którego wybierają królem i, znowu go potem upiwszy, z królestwa batami wypędzają). Na zamku królewskim, gdy zwycięstwo nad Szwedami i Moskwą święcono festynami, wystawiono i „Cyda" Corneille'a w znakomitym przekładzie Andrzeja Morsztyna. Nie brakło i innych przekładów, już nie z Seneki, albo Plauta, lecz z Francuzów („Andromaka") i Włochów; gust do sielankowego maskowania objawił się w przekładzie „Aminty" Tassa i „Wiernego Pasterza" Guarina. Wielki marszałek koronny, Stanisław Lubomirski, jeszcze zamłodu zabawiał się pisaniem komedyj oryginalnych, t. j. przeróbek z nowel Bokacjusza i z innych pospolitych wątków „srodze śmiesznych" (czytaj: nieprzyzwoitych), nie brak naturalnie i komedji pasterskiej; potem dał sobie w Ujazdowie wybudować teatr, może, żeby wystawić te właśnie sztuki, tylko zresztą w zapusty grywane. Teatr nadworny Sobieskiego grywał nietylko w same zapusty, ale teatr ten była to raczej trupa włoska, wystawiająca balety, operetki i komedyjki, w których lubowała się pierwszorzędna komedjantka, Marysieńka. Widzowie polscy nic nie rozumieli, ale — szczęśliwe były to czasy — podobało im się bardzo.

W drugiej połowie tego okresu poza szkołami i wielkopańskie dwory formowały coraz częściej i trwalej trupy i widowiska najprzód z amatorów i służby, później i gdzie niegdzie nawet i z pańszczyźniaków. Działał przykład dworu, gdzie za Augusta II i III rozmaite drużyny aktorskie, niemieckie, francuskie i włoskie, bawiły warszawską publiczność; wystawiono nawet osobny dla nich „operhauz", zastąpiony od r. 1748 okazalszym; tu przeniosła się cała opera drezdeńska na lata 1758—1762. Wystawiono opery Metastaziego, powtarzano je z rzędu po kilkadziesiąt razy, co króla melomana nie nudziło wcale; wydawano libretta do nich, nieraz i po polsku;

grywano dwa razy w tygodniu; kapele pańskie Wielhorskiego lub Czartoryskich zasilały królewską.

Najsłynniejszy z teatrów prywatnych, to „komedyhauz" w Nieświeżu księżny Franciszki Radziwiłłowej (matki „Panie Kochanku"), trwający niemal od r. 1748, dla którego księżna pani sama dostarczała tragedje i komedje (farsy); wydane one zostały okazale we Lwowie 1754 r. (po jej śmierci; teatr i wtedy istnieć nie przestał, posiadał nawet osobną trupę). Sztuki Radziwiłłowej są bardzo prymitywne, rubaszne, płaskie, lepsze wtedy, kiedy się trzymają francuskich wzorów, np. kiedy wierszują prozę Moljerową. Nieświeski teatr nie był nawet jedynym teatrem Radziwiłłów, ale był najznaczniejszym; grywali w nim za czasów księżny amatorowie, między innymi własne jej córki; duszą tego teatru bywał komendant szkoły rycerskiej (w której również dawano komedję, ale w obcych językach) kapitan Fryczyński; on też ogłosił jego repertuar. Mimo wszelkie próby podobne nawet Petersburg wyprzedził sceną narodową Warszawę.

Romans prozaiczny nie istniał więc dla literatury narodowej zupełnie, a dramat tylko przygodnie. Tem gorliwiej uprawiano epopeję wszelkiego rodzaju i lirykę. Właśnie na polu poezji epicznej zebrał cały ten okres największe wawrzyny i stanowczo prześcignął poprzedni. Zadomowiony wiek szesnasty, pełen burz sumienia i walk wewnętrznych, nie wzniósł się do epopei, tchu mu brakło do tego. Katastrofy awanturnicze siedmnastego wieku, jak np. krwawe gody moskiewskie Dymitra i Mniszkówny, tragiczne, jak ruina Polski w latach 1648—1660, jak Chocim i Kamieniec w 1672 i 1674 r., wstrząsnęły uśpionemi umysłami; przelatywały nad Polską wielkie hasła, wzywające do boju z niewiernymi, do ratowania ojczyzny z potopu; ludzie się hartowali, przechodzili chrzest ognia i miecza — środowisko dla poematu heroicznego

czy historycznego było stworzone. Od Piotra Kochanowskiego i „Goffreda" szły wzory znakomite, zaś epopeje Twardowskiego i Potockiego, dalej Kochowskiego i innych nadały całemu okresowi wyraz osobliwszy, nawet gdy wszelki zapał wojenny ostygł dawno; aż do czasów saskich przerzuca się ten rozpęd epiczny, chociaż przedmiot i ludzie ogromnie zmaleli. Zjawiają się epopeje wszelkiej formy; są przeróbki włoskich, obok Tassa i Arjosta znalazła nawet wiernego tłumacza olbrzymia „Adone" Marini'ego, epopeja miłostek Adona i Wenery, dla nadzwyczajnej kwiecistości barokowego stylu niebywale do odtworzenia trudna; dwa różne jej odpisy uzupełniają się nawzajem, lecz całości nie stanowią jako zbyt uszkodzone; czwartą część tej epopei „noweletę" (o miłościach Psychy i Kupidyna) Andrzej Morsztyn przerobił osobno, składając ją w hołdzie pięknym damom orszaku królowej. Znalazł się nawet nieznany nam autor, który wzorem Tassa poplątał oblężenie Częstochowy przez Szwedów z wymyślonemi miłostkami i awanturami, składając hołdy Wiśniowieckiemu; rychła śmierć tego króla, tej ukoronowanej niezdary uczyniła druk zbędnym. Inni wierszują nowele rozmaite, zaczerpnięte z Bokacjusza, albo z „Siedmiu Mędrców".

Obok tej nowelistyki i romansów służy epopeja właściwej historji. Pisarze rymują poprostu pamiętniki — niestety, nie własne — opiewające nie to, w czem sami brali udział (bo to spisują prozą), lecz opowiadające dzieje pospolite, czy to Władysława IV, czy Rzeczypospolitej z krwawych lat jej tańca, czy wreszcie jakiś szczegół, np. upadek Kamieńca, zwycięstwo chocimskie (1674 r.), aż do skandalów w wielkopańskich rodzinach; tylko wyprawa „wiedeńska" nie cieszy się popularnością, bo o Habsburgach naród szlachecki nie chciał słyszeć, i dopiero w osiemnastym wieku nabożny pijar skreślił o niej

łacińską epopeję p. t. „Viennis". Na prawdziwą epopeję polską zdobył się jedyny Potocki, który całość ogarnął i nie rozpraszał się na opiewanie długiego okresu, ani całej Rzeczpospolitej. Rzucali się na to pole nęcące i dyletanci bez najmniejszego powołania, przekonani, że sama treść polska i mowa zjedna im czytelników, gdyż poważna historja używała wyłącznie łaciny, więc nie dla każdego była dostępna.

Różni się ten okres od poprzedniego rozbujaniem nadmiernem fluktów epicznych — nie wystarczają już domowe epopeje, pojawiają się i przekłady obcych, np. Lukana o wojnie domowej (Cezara i Pompejusza). Obok epopei romansowej i historycznej nie brak i religijnej; gdy w złotym okresie zdobywano się ledwie na jaką króciutką legendę, teraz pojawiają się mesjady obszerne, liczące tysiące długich wierszy (aż cztery w siedmnastym wieku), a co z tego czas w rękopisach zniszczył, tego się nie dowiemy, skoro np. ze starannego przekładu epopei łacińskiej o narodzeniu Zbawiciela (słynnego latynisty Sannazara) ocalała jedna tylko karta, wyrwana ze środka. Jakiś mnich chwalił się, że napisał trzysta tysięcy wierszy o świętych. To są mesjady; luźnych legend niema co i wyliczać; ton mesjad samych bywał wcale różnolity, obok surowej, żołnierskiej odnajdujemy suchą uczoną, rzewną i tkliwą.

Brak tylko epopei dydaktycznej w rodzaju „Wizerunku" Rejowego, bo przeróbki Epikteta luki tej nie zastąpią; na skreślenie obrazu „męża doskonałego" pióra się nie porywają, tem bardziej więc prowadzą walki z „niedoskonałym". Satyra narzuca się sama — kamieniom wołaćby kazał widok tego, co się działo po sądach i sejmach, w obozie i klasztorze, na dworze i w mieście: wszędzie nieuctwo, grasujące coraz bardziej, opilstwo, ucisk ludu. Na czoło literatury satyrycznej wysuwają się satyry wojewody po-

znańskiego, Krzysztofa Opalińskiego, człowieka o kulturze europejskiej, co zasięgał porad Komeńskiego, pierwszego w świecie pedagoga, dla swojej szkoły sierakowskiej, a niezadowolony z dworu i Polski, wypisał pięć ksiąg satyr. Wiek dziewiętnasty zarzucał wojewodzie zgryźliwą, złośliwą przesadę; spółcześni wiedzieli, że wojewoda nie przesadzał, i tylko pytali, skąd właśnie jawny zdrajca, który Wielkopolskę Szwedowi wydał, miał do takich skarg prawo; ale i to zarzut niesłuszny, bo nie myślał on jeszcze o zdradzie, gdy w Sierakowie pisał owe wiersze. Mybyśmy wysunęli inny zarzut: dlaczego używał on białego wiersza, poco bawił się w wiersze, gdy materja była najprozaiczniejsza — chyba dla zasady, że po polsku tylko wierszem godzi się pisać. Kilkakrotne wydania dowodzą najlepiej, że społeczeństwo poznało siebie w tym obrazie. Wojewoda nie ukrywał prawdy; jak najsłuszniej sarkał na unję Rusi z Rzymem, stwierdził, że tych, którzy palą czarownice, samych palićby należało; ostro i mądrze wytykał nieuctwo duchowieństwa, makaronizmy w mowie (choć sam wcale czystości językowej nie przestrzegał), braki wychowania, zbytki kobiet, przekupstwo sądów, nędzne wojsko pod niezdolnymi hetmanami, upadek miast, marne szafowanie wakansami, nieufność do korony, brak szpitali; podawał środki zapobiegawcze, wykazywał gorliwie obowiązki przezornego patrjoty. Pomieszał jednak satyry z dydaktyką, zupełnie abstrakcyjną, bo przeplatał satyry na Polskę roztrząsaniem wszelkich „paradoksów", uwag moralnych, zabijająco nudnych. Szerokością poglądu, otwartością mowy, przenikliwością „statysty" wszystkich poprzedników prześcignął nieskończenie, lecz na nim urywa się już rozwój satyry. Dopiero na początku czasów saskich pojawia się nowa satyra, wierszem i prozą pisana, p. t. „Małpa-człowiek", ale ta dotyczy wyłącznie życia domowego, publiczne pomija, aż

dopiero prozaiczny „Szkrupuł bez szkrupułu" Jabłonowskiego bardzo ostrożnie wyliczał różne nadużycia, jakich się wszyscy bez skrupułu dopuszczają.

Już w drugiej połowie wieku wyradza się satyra w paszkwil, który, z druku wyparty, krążąc tylko w odpisach, plami się największem bezeceństwem i sprowadza się do wyzwisk karczemnych. Byle sprawa, rokosz, elekcja, konfederacja niepłatnego wojska, każda przegrana, od sromotnych Pilawiec począwszy, rozdawnictwo buław, pieczęci, starostw wywołują istną nieraz powódź napaści, docinków, parodyj („Ojcze nasz", i innych modlitw) wierszem i prozą, po polsku i mniej rubasznie po łacinie. Wyróżnia się stylem lekkim, dowcipem, szerokością poglądu satyra „Co nowego", pisana wierszem i prozą przez Łukasza Opalińskiego. Łukasz i Krzysztof, ostatni potomkowie rodu, który mężów czynu nie wydawał, skupili w sobie całą jego inteligencję; rolami się podzielili: Krzysztof króla zdradził, Łukasz za nim na wygnanie podążył; oba równi są sobie pod względem świetnej kultury europejskiej. Łukasz nie stworzył nic większego, lecz zato wiele ładnego i mądrego; owa satyra na Pilawce i ich dalszy ciąg zaleca go jak najlepiej. Pisywał po polsku i po łacinie (rzeczy etyczne); jest autorem pierwszej poetyki polskiej wierszem, dającej także przykłady (liryki i t. p.), zwichniętej przy końcu, bo wpadającej z estetyki w morały. Autor bardzo rozumnej broszury politycznej o polskiem sejmowaniu, nierównie lepszym odznaczał się smakiem, niż kuzyn jego, Krzysztof; obaj oni byli wychowańcami Lowanjum. Tylko częściowo należy do satyry dzieło Potockiego „Moralja", stojące na rozdrożu między poezją satyryczną a gnomiczną.

Poezję gnomiczną uprawiali rozmaici protestanci, arjanin Karmanowski i kalwin Naborowski, poeci radzi-

wiłłowscy, szczególniej Naborowski, który był poetą birżańskim, jak Simonides zamojskim; birżańscy (kiejdańscy) Radziwiłłowie, acz warchoły zawołane, inteligencją olbrzymio przewyższali katolickich (nieświeskich). Listy poetyckie Naborowskiego odznaczają się zarówno pod względem myślowym, jak formalnym; są to aforyzmy o życiu-bycie; obaj pisują także i fraszki (Karmanowski swoje „drwami" przezywał; wystawił pyszny obraz niebardzo trefnego wesela szlacheckiego), fraszki wszeteczne, mało licujące z powagą zborową, antyjezuickie; obaj jednak mało zażywali swej weny poetyckiej i nie stworzyli nic większego, równie, jak i katolik Żabczyc, który zestawiał prozą wcale ładne aforyzmy; drukowane były one wielokrotnie pod różnemi tytułami i tłumaczone na rosyjski; jego „Czwartaka" (we zwrotkach czterowierszowych) przyswoił sobie nieprawnie Naborowski: wiek siedemnasty nieraz dopuszczał się plagjatów.

Osobną grupę tych wierszy i prozy satyryczno-gnomicznej stanowi literatura w kwestji kobiecej. Zaczęła się od uczonego, łacińskiego roztrząsania pytania, czy kobiety są ludźmi; odpowiedź wypadła przecząco; odtąd snuje się przez cały wiek ta literatura feministyczna. Odznaczył się na tem polu znakomitym, acz nieraz nadto obcesowym dowcipem, sędzia krakowski Żydowski, rozstrząsając pytania o stanie kawalerskim i małżeńskim; sam widocznie paniom folgował; szermierka toczyła się cała pod przybranemi nazwiskami, lub bezimiennie.

Z satyrą i gnomą łączy się i moralizujący apolog-bajka zwierzęca, lecz właśnie wiek siedemnasty uprawiał ją najmniej; jeszcze na samym jego początku przetłumaczono dobrze włoski zbiór bajek, a Simonides pisywał bajki w formie nagrobkowej, potem głuche na tem polu zaległo milczenie, chociaż Niemirycz naśladował bajki Lafontaine'a w wolnym, nowym wierszu (krótkim i dłu-

gim), a Jabłonowski wymyślił w koenigsteinskiem więzieniu „i to i owo baje", wedle dawnej mody w ciężkim wierszu.

Niesłusznie szydził Mickiewicz z tego, jakoby Słowianie lubili sielanki, Brodziński nie bez przyczyny za niemi gardłował: skłonność do tej mieszczańskiej poezji, zakrawającej na lirykę i epikę, zdradzał po Simonidesie każdy poeta. Najlepsze po nim pisał lwowski znowu mieszczanin Bartłomiej Zimorowic, ale cała przepaść dzieli lwowskie sielanki od zamojskich; lwowskie przesiąknęły nawskroś ziemią czerwono-ruską, jakby je pisał Rusin prawosławny; zdziwieni pytamy, jakim cudem zdobył się na nie Polak-katolik. Oczywiście przeholował burmistrz lwowski, sadząc się na lokalne zabarwienie. I jego sielanki, jak Simonidowe, są poświęcone osobistym przejściom, czasem jednak wdają się i w mitologję i w agronomję (nauka o uprawie winnic), ale dwie z nich, „Kozaczyzna" i „Burda Ruska", kreślą przerażający okres bestjalstwa ruskiego, srożącego się nad Lwowem w r. 1648; cała dawna poezja polska nie zna podobnie wstrząsającego malowidła, dopiero Goszczyński prześcignął je w „Zamku Kaniowskim". Zimorowic pisywał i inne rzeczy zamłodu, głupstwa, później nabożne wiersze i dzieła historyczne w barokowym stylu o Lwowie, ale jego sielanki, acz nieliczne, najciekawszą i najcenniejszą są po nim spuścizną. Za tym „łykiem" pozostała szlachta daleko wtyle; jej mdłe sielanki i willaneski (czasami lubieżne) z jego barwami „paragonować" nie mogą. Jedyny Potocki w najszczęśliwszej chwili swego utrapionego życia wyśpiewał prawdziwie wesołą sielankę „Libuszę"; motywy sielankowe i u innych kilku pisarzy nieraz odnajdujemy (np. dramaty pasterskie); rozgadane sielanki Wieszczyckiego, Gawińskiego i i., na wyróżnienie nie zasługują, a sielanki Zimorowica, przetykane rusycyzmami (nietylko w mowie, ale i w poję-

ciach samych), nieobce nawet skandalikom lwowskim, a z Lwim grodem nieskończenie ściślej związane, niż Simonidesa z Porem i Czernięcinem, należą mimo barokowej przesadnej ckliwości, co im czasem szkodzi, do najlepszych utworów całego okresu; wcześnie zmarły brat jego, Szymon, był nierównie delikatniejszym lirykiem w myśli i słowie.

We wszelkich rodzajach lirycznych prym dzierży, jak dawniej Kochanowskich, tak teraz ród Morsztynów, bogaty w ingenja poetyckie: Hieronim, Andrzej, Zbigniew, Stanisław, pominąwszy innych, zapisali się niezgorzej w pamięci wieku. Hieronim, wcześnie stosunkowo zmarły, oprócz liryki okolicznościowej, erotycznej, gnomicznej klecił powiastki i bajki za Bokacjuszem i z wymysłu własnego („Banialukę") wierszami, a nawet prozą; zdradza go smak włoski. Nierównie silniej przesiąkł włoszczyzną, marinizmem Andrzej, wyrosły z dworzanina królewskiego na podskarbiego w. koronnego i na zdrajcę stanu, umykający przed Sobieskim do Francji, gdzie życie jako słynny skąpiec zakończył. Politykiem będąc, wierszy nie uprawiał, chyba dla jakiegoś skandalu towarzyskiego; zamłodu upust w nich dawał namiętnościom albo miłostkom i w całej mdłej zazwyczaj, dawnej erotyce wystąpił najjaskrawiej. Mistrz formy i słowa silne sprawia wrażenie w pogoni za antytezą, za niezwykłym obrazem, za zwrotem dowcipnym; wobec wstrzemięźliwej liryki Kochanowskiego, przejętej północnym chłodem i powagą męską raczej, niż żarem i uczuciem, on jedyny ogniem, choćby tylko wyobraźni płonie; we krwi jego tkwi żądza, głowa lubieżnością rozpalona tworzy obrazki, na jakie się właściwie dopiero zdobywała późniejsza *lirique galante* Francuzów osiemnastego wieku. Uprawia i pornografję, nie rubaszną, odstraszającą raczej, lecz nęcącą i powabną i tylko wyjątkowo zrzucającą wszelkie

osłonki; może on istotnie zgorszyć i z tym zamiarem wcale się nie ukrywa. Od Włochów (Marino, Tasso) sięga i do Francuzów; tworzy zagadki (jak i Zbigniew), polityczna liryka także mu nie jest obca, smakuje w groteskowych wyliczeniach, wdaje się wyjątkowo w morały i religję; wielki swój talent zarzucił wkońcu dla wielkiej karjery dworskiej i politycznej. Był dyletantem, nie poetą, jak tylu innych w tym wieku, ale dyletantem pierwszorzędnym. Najmniej zdolny, to oberszter Króla I. M., katolik (jak i Andrzej) Stanisław, który umarł jako wojewoda mazowiecki; żołnierz dzielny, poeta słaby, sił próbujący głównie w okolicznościowych wierszach (pisywał i „Treny" po zgonie własnych dzieci), dyletant zupełny. Arjanin Zbigniew, który dla wiary rzucił kraj i do Prus się przeniósł, miał chwile natchnienia, gdy protestował przeciw gwałceniu sumień (jeden z najwymowniejszych utworów całego wieku); uprawiał rodzaj, którego nikt przed lub po nim nie tknął: lirykę obozową; jako dzielny żołnierz, pokiereszowany w wielu potrzebach, wyśpiewał swe żale, przejścia i rany, mory i głody, skarżył się na obojętność piecuchów, na gorzki los żołnierza z powołania; śpiewał o miłości ku matce-chorągwi, o przywiązaniu do konia, który z pośród niebezpieczeństwa unosi. „Towarzysz" (pancerny) tak rzadko zabierał głos w poezji, że to osobno wyróżnić należy. Jako arjanin uprawiał naturalnie i religijną lirykę, co tamci Morsztyni czynili wyjątkowo; bawił się i w gnomy, objaśniał wierszami „emblemy" życia ludzkiego. Sami więc Morsztyni reprezentowali już wszelkie rodzaje liryczne, zawinili srodze jednak wobec literatury, bo żaden z nich nie śpieszył się do druku. Jeszcze Hieronim popisywał się zamłodu moralizującemi wierszami — a gdy wystawiał „Światową Rozkosz", nierównie ponętniej wymalował rozkosze biesiad, tańców, muzyki, niż ich przeciwieństwo — ale potem zamilkł i wiersze

jego (nowele) dopiero długo po jego śmierci wydał inny rymopis; jego liryki ocalały jedynie w rękopisach. Andrzej dopiero na nalegania Stanisława dobywał z pod pleśni lat zapomniane utwory, a Zbigniew, prócz drobiazgów, przekazał nam „Mszę domową", t. j. zbiór swoich liryk w jedynym, trafem ocalałym rękopisie; bierzemy stąd miarę tego, co z siedmnastego wieku dla potomności przepadło.

Lirykę, szczególnie okolicznościową, piastuje każdy, kto piórem włada, więc roi się od trenów i nagrobków, od weselnych powinszowań i wiązań (na urodziny); znajdują się i stosy poezji panegirycznej, nieraz wcale ciekawej co do treści, (jak np. wtedy, gdy opowiada o przewagach wojennych bohatera i pachnie obozem), a czasem interesującej i pod względem formy. Obok liryki panegirycznej, której jest najwięcej, uderza i liryka religijna, jak np. wyznania skruszonego, oskarżającego się grzesznika, rozpamiętywania czyto męki Pańskiej, czyto „rzeczy ostatecznych" (śmierci, czyśćca, piekła), czy są to marności świeckich i ich gorzkiego osadu, utwory, które należały nieraz do konfesjonału i ołtarza nie do poezji. Uczucie tu niekłamane, ale sztuka niewielka. Wiersze innego znakomitego dyletanta, Stanisława Lubomirskiego, wyróżniają się czyto skrajnym pesymizmem (gdy Eklezjastę powtarza), czy wymuskaną pieszczotliwością (nad pieluszkami Zbawiciela); przewierszował on także i katechizm, a liczne wydania i tłumaczenia dowodzą oklasków, które zbierał. Jego to gładkiego pióra jest i sielanka biblijna o Tobjaszu, opowiedziana nadzwyczaj potoczyście, a także sielanka mitologiczna o Orfeuszu, mniej udała; zamłodu wiele pisywał (między innemi i owe sprośne komedje). Później ten grafoman porzucił wiersze, oddał się głębokiemu pesymizmowi co do ludzi, co do skuteczności mądrej rady i temu pesymizmowi folgował w łacińskiej, czytanej zagra-

nicą prozie; najciekawszy jego utwór o najgłębszej i najróżnorodniejszej treści, literackiej, politycznej, psychologicznej, to jego znakomitą polską prozą spisane „Rozmowy Artaksesa i Ewandra", którzy mimo nazw antycznych na zamku warszawskim, w przedpokoju czekając audjencji, rozmowami, a raczej rozprawami czas sobie słodzą; zaś „Salomon polski" świadczy najlepiej o głębokiej myśli, a szerokiej wiedzy, dziwnie się godzącej z przesądami, o oczytaniu w starożytnych i „neoterykach" (Bakon, „romanje" francuskie) i wreszcie o zrozumieniu potrzeby samodzielności (kogóż bowiem naśladowali starożytni?).

W liryce religijnej współzawodniczyły wszystkie wyznania; arjanie chyba najprawdziwiej i to w najmniej wyszukanej formie wyrażali swe skargi i żale, skruchę i pokutę (Karmanowski, Zbigniew Morsztyn, W. Potocki); modlitwy innych, pieśni do N. P. Marji i świętych, pasje Pańskie należą raczej do książek budujących, do „ołtarzyków", niż do literatury narodowej; sędziwy „Raj duszny" z psalmami i suchemi w tonie i słowie modlitwami uległ zapomnieniu, gorętsze włoskie ascetyki zajęły jego miejsce. Erotyka najrzadziej się zjawiała; miejsce jej zastąpiły zbiórki wszelakich „padwanów", baletów, „kurantów" t. j. tańców, do których dorabiano pieśni pod temi tytułami. Liryka ta jest mdła, powtarza te same obrazy i zwroty gruchania i kwilenia miłosnego; dosięga mitologji i Kochanowskiego okrada; żywszej cery nabiera, jeśli się zbliża do piosnki ludowej, mianowicie do małoruskiej, nieraz brzmi wprost po rusku. Niewybrednemu otoczeniu ona się właśnie podobała, szeroko rozpowszechniła się nawet poza granice Polski i jeszcze za carowej Elżbiety dotarła do Moskwy. Młodzież obojej płci, żacy, pisarkowie zachwycali się nią i na jej wzór płodzili coraz marniejsze piosnki; cienkim zeszytem

takich wierszy własnych, czy kradzionych, zdobywano czułe serca. Tu po raz pierwszy wkraczał sentymentalizm; — a ten dokazywał największej sztuki, kto ukrywał imię bogdanki i własne w anagramie liter początkowych strof, albo wierszy; rzadziej uprawiano i inne sztuczki (echo, raki i t. p.), obierając nieraz formę rozmowy sentymentalnej, ckliwej, przekomarzającej się.

Przed tym zalewem wierszy proza ustąpiła zupełnie. Na jednem tylko polu wyłącznie panuje: w przemowie kaznodziejskiej, politycznej (sejmowej), sądowej, panegirycznej, jak i w liście, czyto obywatelskim, czy przyjacielskim; wcześnie już pojawiają się i drukują coraz nowe, nie teorje retoryki, czy listu, lecz gotowe ich wzory. Każdy szlachcic zeszywał „Silva rerum", „Miscellanea", „Panu-śpiżarnia", czy jak tam nazywał te przeważnie bardzo obszerne tomy rękopiśmienne, a w nich lwia część przypadała obok praktyk gospodarskich, leków, wierszy potocznych, nowel, fraszek i satyr właśnie na mowy i listy. Szczególnie wiele mów pochłaniał obrządek weselny; przy ofiarowaniu wieńca, darów, marcypanów, pierścieni nigdy się bez przemów i odpowiedzi nie obywało (dziś te przemowy zeszły do chaty wieśniaczej i zjawiają się w ustach wygadanego swata). Równie przy akcie pogrzebowym nie zadowalano się jedną mową. Potem idą mowy sejmowe, polityczne. Powtarzają się niektóre z nich nadzwyczaj często, mowa np. Jakóba Sobieskiego nad zwłokami Żółkiewskiego, abdykacyjna Jana Kazimierza i i., które się dostawały wcześnie do druku. Nas razi już u Zamoyskiego owa szkolarska, żakowska domieszka świata starożytnego, jego cnót i bohaterów, co przenika nawet najwznioślejsze przemowy. Cyceronów i Plinjuszów uczono się w szkole i nikt się już tego balastu nie umiał pozbyć. A przykład Zamoyskiego nie był wcale nieszkodliwy: prawiąc o tych starorzymskich sławach, uży-

wając tych całkiem ogólnikowych, schematycznych porównań, trop, przechwałek wszelkiego rodzaju zapomniano o nędzy istotnej tych wszystkich Kurcjuszów i Grakchów i innych „*patres patriae*", fałszowano bezwiednie, a nieraz i umyślnie dzieje, motywy, okoliczności i pustym dźwiękiem frazesów tumaniono słuchacza i siebie samych — cała staropolska wymowa zbyt trąci szkołą: wypaczano nietylko pojęcia, ale i język każono zachowywaniem łacińskich zwrotów.

Obok tej wymuszonej, wynaturzonej retoryki w mowie i liście, z nieskończonem powtarzaniem tytułów, wszelakich uniżoności i zapewnień o braterstwie i afektach najżyczliwszych, występywała proza polska i w pamiętnikach. Nie znał ich wcale wiek szesnasty, tak, jak mu i epika była obca; wiek siedemnasty w nie obfituje; później, za czasów saskich, gdy nie było o czem pamiętać, i one zanikają. Wiek szesnasty znał obszerne dzieła historyczne polskie (Bielscy, Stryjkowski); tych w siedemnastem stuleciu niema; Łubieńscy, Piaseccy, Rudawscy, Fredrowie, Kochowscy pisali wyłącznie po łacinie; wtedy pisał Paprocki nawet herbarz polski, teraz Okolski pisze już tylko łaciński. Ale Maskiewicze, Poczoboty, Zawiszowie piszą pamiętniki przeważnie po polsku. Pamiętniki te nierówne zarówno pod względem treści, jak tonu i stylu. Jedne są obszerne, opowiadają o Moskwie i t. p., inne suche, prowadzone z dnia na dzień i nie zapominają nawet o stanie pogody. Najbardziej zajmujący z pamiętnikarzy to łgarz wierutny Pasek, Mazur z pochodzenia. Nadrabiał mocno fantazją, stanowiąc prototyp Zagłoby Sienkiewicza, ale bywał w licznych potrzebach, pruskich, szwedzkich i moskiewskich, rozjeżdżał po kraju, nakosztował się dość zazdrości, ba, nienawiści plemiennej, opowiadał zamaszyście, układał *post factum* stylowe mowy polskie; ten

gwałtownik i wydzierca przedstawia sam siebie jako niewiniątko; upodobaniem do zmiany miejsca, oryginalnością powołania i losu odbijał coraz bardziej od szlachty, zaszywającej się w głusz i dzicz prowincjonalną. Dał nam poznać ludzi siedemnastego wieku przy tańcu weselnym i orężnym, w mowie i wierszu (gdyż i on rymy partolił), w sądzie i obozie; pokazał zawadjaków i ludzi spokojnych, przesuwał przed rozbawionym widzem sceny, tryskające życiem, humorem, animuszem; nikt też mu nie dorównał—nie należy jednak zapominać, że zmyślał wszystko, nawet mowy przy konkurach.

Łacina górowała nietylko w prozie, byli i poeci, którzy się nią wyłącznie posługują. Liczba ich na szczęście w porównaniu z wiekiem szesnastym bardzo już się przerzedziła, ale tryb żakowski przetrwał, aby za czasów saskich niemal znowu odżyć. Z tych neolatynistów wyróżnił się prawdziwym talentem, tak wśród nich rzadkim, t. zw. „chrześcijański Horacy", przesadnie czczony Mazur, jezuita Kazimierz Sarbiewski. Horacym przejął się istotnie, wirtuozowstwo formy doprowadził do doskonałości, gorące poklaski znalazł u obcych, w Rzymie, w kraju niżej stosunkowo był ceniony. Żarliwy katolik, mniej się zajmował zwyciężonem kacerstwem, niż groźnym Otomanem; w głębokiem uczuciu religijnem wzywał łaski i opieki N. P. Marji; unikając szumnych zbiegowisk, służbą nadworną kaznodziejską znużony, rzuciwszy szkoły i nauczanie, chętnie się w sobie skupiał i oddawał rozmyślaniom, spisywanym w smętnym, elegijnym tonie. Nic większego nie wykonał, rozproszył wenę w liryce okolicznościowej i religijnej, rzadziej dydaktycznej; ten i ów utwór Kochanowskiego na łacinę przełożył. Pozostali za nim daleko wtyle inni neolatyniści, obcy i swoi; konwertysta-panegirysta Pastorjusz (Niemiec), Inez, jezuita Hiszpan, zupełnie spolszczony.

Za czasów saskich obok pijarów i jezuitów, piszących wyłącznie, albo przeważnie po łacinie (jedyny Rudnicki wsławił się między nimi wcale udatnym wierszem i to polskim, na tematy bardzo poufałe, nawet kuchenne, żmudzkie, żartobliwe) odznaczył się wojewoda poznański Poniński zarówno satyrami bezzębnemi i panegirykami, obrzydliwie schlebiającemi Augustom, jak i zakusami filozoficznemi w wierszach łacińskich; polskie wiersze, mniej górne, trąciły fraszkami. Po łacinie, i po włosku, i po polsku drukowano też pierwsze czasopisma, relacje, awizy, „Merkurjusze" (w Krakowie, parę ćwiartek tygodniowo), które jednak wobec obojętności publiki z trudem wlokły żywot; za czasów saskich „Poczta królewiecka" upadła również; jezuici i pijarzy zaczęli potem wydawać „Kurjery", zapełniane wiadomościami potocznemi i rodzinnemi; szlachcic wystarczał wkońcu kalendarz za całą strawę umysłową.

W tym ruchu, który zmienił się w bezruch dopiero w czasach saskich, uczestniczyły różne dzielnice w nierównej mierze. Mazowsze, gdzie już Warszawa jako stolica zajęła miejsce Krakowa, i Wielkopolska, która oprócz Miaskowskiego i Twardowskiego żadną wybitniejszą siłą się nie odznaczała, ustąpiły, jak za dawnych czasów, zupełnie przed Małopolską, która, im później, tem znaczniej góruje. Za Sobieskiego skupiało się całe życie literackie w ziemi krakowskiej. Potocki, Kochowski (acz Sandomierzanin), Gawiński, Młoszowski, Żydowski tworzyli niby związek literacki, obsyłając się nawzajem pracami i ocenami. Natomiast coraz większego znaczenia nabierała nowa Polska — ziemie kresowe, Ruś czerwona i litewska, a służyła zarazem jako pomost dla wpływów polskich na Ruś moskiewską. Nigdy tak daleko nie rozchodziła się polszczyzna zagranicą nietylko etnograficznie, ale i państwowo, jak za Jana

Sobieskiego. Na Śląsku i w Królewcu czytają i tłumaczą Kochanowskiego, a Wołoszczyzna w osobie pierwszego (co do czasu) poety hołduje Sobieskiemu w „Kronice" — poemacie polskim o wołoskich dziejach (Miron Costa). Ruś moskiewska, począwszy od dworu carskiego (syn Aleksego, car Fiodor ożenił się z Polką), od Zofji, carówny i regentki, i księcia Golicyna, czytuje książki polskie roiło się też w Moskwie od tłumaczeń beletrystyki polskiej niskiej zresztą próby); utwory, uszkodzone dziś w oryginale polskim, posiadamy w ruskich przekładach w całości. Co w Polsce z warstw wyższych dawno już na dno opadło, „Historje Rzymskie", „Siedem Mędrców", „Magielona", „Meluzyna", „Facecje" po raz pierwszy zaznajamiało Moskwę z beletrystyką zachodnią, a obok tych utworów i poważniejsze, jak np. kroniki Bielskiego (ojca) Stryjkowskiego, ascetyka i wszelakie moralizacje (np. Żabczyca) szerzyły się w dosłownych, niezręcznych przekładach; obok książek, strój i śpiew, moda polska w obyczaju i mowie nawet rozpowszechniała się w Moskwie, zresztą wobec wszelkiej zagranicy nieufnej, zamkniętej.

Wpływom polskim drogę do Moskwy otworzyła Ruś kijowska i litewska. Skutkiem walk wyznaniowych, wywoływanych zabiegami jezuitów, Herbesta i Skargi, władyków i panów ruskich, zdobywała się Ruś prawosławna w Ostrogu, Lwowie, Wilnie, potem najbardziej w Kijowie na własne szkoły dla podniesienia barbarzyńskiego poziomu duchowieństwa i młodzieży; wzorowała się ta nowa szkoła i wiedza ruska wyłącznie na polskiej i jezuickiej, przejmowała ich łacinę i scholastykę, dramat szkolny i wierszoklectwo. Kijów ze słynnem „kolegjum Mohiły" (dopiero w osiemnastym wieku przezwanem akademją) odpadł wprawdzie rychło od Polski, ale nauka i wiedza pozostały w nim polsko-łacińskie. Cały szereg nauczycieli i uczniów pisuje po polsku i rusku.

należąc jakgdyby do obu literatur; archiepiskop Nowogrodu Siewierskiego, Łuka Baranowicz, igumeni, mnisi, popi, Galatowskij, Radziwiłowski, Kosów po polsku polemizują z Żydami, Turkami, protestantami, jezuitami i między sobą drukują grube tomy najniezdarniejszych wierszy polskich („Apollon chrześcijański"); cała ta bogata literatura prawosławna, w języku polskim pisana, przekracza zupełnie granice państwowe.

Synowie nowej Polski tem bardziej w obrębie Polski piastują jej język i literaturę. Już w szesnastym wieku „Rusini", jak Orzechowski i Herburt, Wereszczyński i Budny wybijali się na czoło pismiennictwa; w siedemnastym pomnaża się ich liczba wielokrotnie, boć tu zaliczyć trzeba i Zimorowica dla wyraźnej jego ruszczyzny i tylu, tylu innych, np. Dorohostajskiego z „Hippikami" (masztelarstwem), Jagodyńskiego (z licznemi fraszkami i innemi utworami w najgładszej polszczyźnie), starego Piekarskiego z pysznemi rodomontadami („Bohater Straszny", oprócz moralizacyj, tłumaczonych z włoskiego) i arcyrubaszne fraszki Bratkowskiego („Świat przejrzany") i „Silva Rerum" Niesiołowskiego, co się zabłąkała do druku, a ileż to rzeczy Szemiota, Ogińskiego i in. ugrzęzło w rękopisach np. przekład eposu religijnego Nariniego o rzezi niewiniątek, którego w nadmiernym trudzie z białoruskiem zabarwieniem mowy dokonał jakiś mnich-bazyljanin w Wilnie, czy w jakimś innym monasterze. I mowa i pismo polskie objęły wyłączne panowanie na całej Rusi (o Żmudzi niema co i mówić), aż wyrugowały wkońcu z sądu i urzędu mowę i pismo ruskie, bo już szlachta nie umiała pisać, a rychło i czytać po rusku zapomniała. I gdy w Polsce językiem notarjalnym był łaciński, na Rusi i Litwie był nim polski. Tą drogą wkraczały powoli pierwsze rusycyzmy do polszczyzny. Ta to jednolitość

językowa przyczyniła się walnie do tego, aby jednostajny pokost polskiego staroszlacheckiego bytu pokrył wszelkie pierwotne różnice etnograficzne.

Z takiego tła ogólnego, na którem zacierały się coraz bardziej wybitniejsze różnice, rysy charakterystyczne, odmiany typów, wyrastały jedne po drugich postacie literackie, w których jakgdyby skupiały się dodatnie, a osłabiały ujemne cechy całego społeczeństwa. Wyróżnił się najpierw Wielkopolanin, Samuel Twardowski, pochodzący z ubogiej szlachty kaliskiej, który dochrapał się lepszego bytu w służbie ruskich panów, na Wołyniu u Zbaraskich i Seniutów, ale umykał z resztkami mienia przed pożogą kozacką i na stare lata schronił się znowu do Wielkopolski. Zażywał nadzwyczajnego miru u braci szlachty z tytułu swej pracy literackiej, a uprawiał po raz pierwszy systematycznie epopeję i to nie romansową, fantastyczną Tassa i Ariosta, lecz aktualną i historyczną. Brał udział w wielkiem poselstwie księcia Zbaraskiego do Carogrodu po chocimskiej wyprawie i notował wrażenia w pamiętniku. Te notatki później opracował wierszem, a na nalegania znajomych ogłosił drukiem („Przeważna Legacja" 1636 r.); rychło powtórne wydanie dowiodło ogólnego zajęcia się tem dziełem. Poezja wystąpiła tu tylko dodatkowo, w ozdóbkach, porównaniach, trącących szkołą i klasykami, ale sam przedmiot, mianowicie ów Stambuł azjatycki śród Europy, pociągał ogromnie niezwykłością życia, jak najdokładniej opisanego, zaś same dramatyczne przejścia owego poselstwa bawiły niezmiernie. Wierny takiej epice przewierszował potem Twardowski dzieje Władysława IV, t. j. ich początki, zajścia moskiewskie, od Dymitra począwszy, dalej Chocim, podróże zagraniczne królewicza. Nakoniec opisał „Wojnę Domową" 1648—1660 roku. Pojedyńcze jej epizody wierszował, natychmiast wydawał osobno, o całości zwąt-

pił, nie tuszył bowiem sobie, że się jeszcze pokoju doczeka, ale Oliwa spełniła, o czem już i marzyć nie śmiał. Dzieło to nadzwyczaj ciekawe, nie bez ostrych wycieczek przeciw braci i jej zbytkom, przeciw cudzoziemczyźnie, obojętności albo nieufności, w czczegółach tak dokładne, że je na Rusi ukraińskiej tłumaczono i przerabiano parokrotnie jako źródło historyczne. Liczne są też jego panegiryki na wjazdy różnych magnatów-dygnitarzy, a odznaczały się ponadprzeciętnym polotem i wysłowieniem. Napisał satyrę „Na twarz Rzeczypospolitej" w 1640 r., po niedoszłym sejmie; obok Opalińskiego najcelniejszy to utwór tego rodzaju; pod względem stylu i kompozycji nieskończenie przewyższa satyry wojewody, chroma jednak tem, że przechodzi z satyry politycznej do obyczajowej. Poetę nęciły jednak rzeczy prawdziwie piękne, tak więc obrobił cudownym wierszem polskim libretto opery włoskiej, wystawionej w teatrze Władysława IV, o Dafnie, przed pościgiem Apollina w laur przemienionej, a sam ułożył romans wierszem o „nadobnej Paskwalinie", zapożyczając się i od romansu pasterskiego hiszpańskiego i od dziejów Psyche i Kupidyna. Cel przyświecał mu moralny: piękniejsza od Wenery Paskwalina i za to od niej prześladowana, wyzwala się w uciążliwej wędrówce z mąk zawiedzionej miłości i w zaciszu klasztornem odzyskuje równowagę duchową; zakrawa to silnie na alegorję, ale obfitość barwnych szczegółów zająć zdoła nawet dzisiejszego czytelnika. Bogactwem i siłą i ozdobnością języka wyniosły się znacznie te machiny epickie ponad przeciętność, a delikatności wysłowienia w Dafnie zaledwie dorównał Lubomirski.

Najwykwintniejszym, najpełniejszym przedstawicielem sarmatyzmu, ale uszlachetnionego kulturą serca i umysłu jest Podgórzanin, Wacław Potocki, arjanin, potem z musu katolik, oddany tak wyłącznie poezji, jak nikt inny

w całym wieku; sobie śpiewał i muzom, ciężkie koleje słodząc nieustanną pracą, dzieloną z niewielu innymi, nie wychylając się, chyba wyjątkowo, na świat boży. Załuskiemu zawdzięczamy ocalenie jego puścizny poetyckiej, którą dopiero wiek dziewiętnasty i dwudziesty wszystkim uprzystępnił. Sarmatyzm to staro- i szczeropolski obyczaj, to złota wolność szlachecka, niezachwiana starszych (w rodzinie) powaga, honorowość nadzwyczajna, co sygnet herbowy zachowywa nie w materjalnym, ale w moralnym blasku; to żywot ziemiański na wsi, gościnny, niewybredny; to poufna z poważną książką rozmowa, to głęboka i korna wiara, wolna od przesądów i praktyk; to miłość ojczyzny i gotowość ku poświęceniu się dla niej, to obrzydzenie dla cudzoziemczyzny wszelakiej, w mowie i myśli, w stroju i obyczaju, to zasklepienie się w wygodnej skorupie domowej. Wiersze Potockiego urzeczywistniły ideały Sarmaty, a żywot jego niewiele od nich odbiegał.

Za granicę Potocki nie wyzierał, podobnie, jak i Rej, którego przypomina, acz przeszedł go znacznie nauką, myślą i sztuką. Domowe wykształcenie arjanina było nader staranne; wyniósł zeń znajomość Pisma Św., którą mógł się równać z każdym duchownym, i stronienie od hałaśliwych zabaw i zgiełku. Żyłka poetycka odzywała się w nim wcześniej: już przed r. 1650 zaczął wierszować ustępy z Biblji (o utworzeniu świata), alegorje (walkę rycerza chrześcijańskiego z djabłem, światem i śmiercią), liryki religijne; erotyzm pozostał temu arjaninowi na całe życie obcym — oprócz miłości rodzicielskiej nie uznawał innej. Nie ustawał w pracy nad epiką, wierszował w oktawach ustępy z Biblji (o Judycie, życząc takiej niewiasty Polsce, gdy wobec „Chmiela" mężczyźni zawiedli), z Liwjusza (o Wirginji — stałość kobieca dziwnie mu imponowała; jego „Tresa" i „Garda" również przy-

kładom tej stałości są poświęcone), aż przeszedł do wielkiego, słynnego na całą Europę, alegoryczno-politycznego romansu Szkota Barklaja, p. t. „Argenida" (zamaskowanie opisujący zabiegi Henryka IV o tron francuski) i przerobił go w kilkudziesięciu tysiącach długich wierszy. Tak więc Polak tłumaczył absolutystę; bawiła go snać fabuła awanturnicza, zawikłana, nęciły mądre maksymy autorskie; później stworzył sam podobny romans, acz wcale nie polityczny, a mianowicie „Syloreta", aby dowieść, że nigdy nie należy tracić nadziei, bo Opatrzność czuwa nad prawymi; tak sam się pocieszał, gdy go losy nieznośnie dręczyły. Wynosząc się ponad jałowe spory dogmatyczne, nie rzucił kraju po srogiej konstytucji 1658 r., ale żona wytrwała przy arjaństwie, a krewni nie skąpili mu wyrzutów odstępstwa; do tych opałów przyłączyła się utrata najmilszych, wiele obiecujących dzieci, co opłakiwał gorzko całe życie; osierocony zupełnie, dożył w swej Łużnej głębokiej starości, rymując do ostatniej chwili. Przewierszował Ewangelje, coraz to odbiegając od tekstu dla obszernych wywodów moralizujących, ale ogłosił tylko, wykończywszy ostatecznie, „Zaciąg pod krzyż Chrystusowy", t. j. historję męki Pańskiej, czwartą wielką Mesjadę w tym wieku, w której opowiadanie gubi się w nieskończonych oskarżeniach chrześcijan, którzy codziennie Chrystusa grzechami krzyżują; głęboka skrucha kłóci się dziwnie z banalnemi zwrotami, nadto rubasznemi.

Jako Sarmata nienawidził Wazów i Habsburgów; wybór Piasta (Michała) podniecił go nadzwyczaj, a nadciągająca nawała turecka sprawiła, że dla pokrzepienia serc, dla wzbudzenia dawnego animuszu przewierszował komentarze Jakóba Sobieskiego o pierwszej wyprawie chocimskiej 1621 r. Najpiękniejsza to epopeja całego wieku, jedyny godny hołd literacki, oddany przewagom Chodkiewicza i Sahajdacznego, o nadzwyczajnej plastyce

wyrazu; spotykane tam sarkazmy na niewieściuchów spółczesnych, wyrodków cnego Lechowego plemienia, zelżywe obniżanie Osmana i Turków tłumaczyć trzeba przepełnionem goryczą sercem autora. Później wierszował krócej przewagi Sobieskiego, którego najgoręcej witał, ale o wyprawie wiedeńskiej milczał zawzięcie, będąc wrogiem Niemców. Najgłówniejsze jego dzieła są jednak innego rodzaju.

Posiedzenia szlachty sarmackiej urozmaicały fraszki-opowiadania, przesiąkłe rodzimym, niewybrednym, dosadnym humorem, dalej mitami o początku i znaczeniu herbów-klejnotów, morały oparte o mądre, dawne księgi Seneki i Boecjusza, oraz o nowsze Erazma. Ostatnich lat piętnaście pracowitego żywota zapełnił Potocki temi trzema działami. Fraszki pisywał oddawna, ale teraz dopiero uzupełnił i ułożył olbrzymi ich zbiór („Ogród fraszek"), a ponieważ o druku ani myślał, tem swobodniej i wszeteczniej wodze puszczał pomysłom i wysłowieniu. Olbrzymią księgę „Poczet herbów" wydrukował jeszcze sam; najmniej cenna to część jego puścizny, bo nuży jednostajnością: po opowiadaniu o powstaniu herbu schodzi na alegorje i moralizacje, jakim wedle herbu powinien być a jakim istotnie jest ksiądz, domator, sknera, pijak, i t. d.; niewyczerpana pomysłowość autora podziw budzi istotny. Nakoniec oparł również olbrzymi zbiór „Moralów" o przysłowia łacińskie, Erazmowe, omawiając wybrane z nich kilkakrotnie, czasem i po dziesięć razy; są to apostrofy do współczesnych, wytykające ich wady, niedołęstwo, gnuśność, nieuctwo, opilstwo, a przedewszystkiem rządy nierządne w sądzie, obozie i sejmie, dalej gorszące życie duchowieństwa.

Gdyby cudem przepadła o polskim wieku siedemnastym wszelka inna wzmianka, wskrzesilibyśmy go zupełnie z dzieł Potockiego, mianowicie z „Ogrodu fraszek".

Roztacza on tam barwny obraz wieku aż do najdrobniejszych szczegółów, lubując się w opisach, obrazkach, facecjach, prawdziwych i zmyślonych, w kalamburach i zagadkach. Sztuce jego brak kompozycji: rozprasza się on w urywkach i drobiazgach; brak mu smaku estetycznego; nie przebiera nigdy w zwrotach i „myślach": im są aż do potworności dosadniejsze, tem je za lepsze uważa; tej obcesowości sarmackiej zbywa na delikatności, miękkości i ponętności. Braki te wynagradza mistrzostwo języka, zawiesistego, lśniącego wszelkiemi kolorami, przebogatego, który nawet Reja zaćmiewa, a także bogactwo nieskończone pomysłów, humor, komika, niewybredne, ale porywające, serce złote, czułe, dumne, myśl trafna, patrjotyzm prawdziwy, chrześcijaństwo wzniosłe, wiara niezłomna. Z nim jako przewodnikiem poznać można i pokochać te czasy, które wydały takiego rzecznika honoru i cnoty. Nie w opowiadaniach, silnych właśnie zwięzłością, ale w moralizacjach grzeszy on rozwlekłością nadmierną, ciągłem powtarzaniem, wbijaniem w tępe umysły ciągle tego samego; mało dba o formę, chociaż na nim jedynym widoczne znaczne postępy od mdłego, pierwotnego wysłowienia do późniejszego obrazowego, malowniczego i jędrnego; grzeszy on, jak cały sarmatyzm, brakiem łączności z nową myślą europejską, z „neoterykami", filozofami i „statystami", obraca się w kręgu myśli szesnastowiecznych. Znał wagę i cenę nauki i poezji, ale jakby nie wierzył w jej coraz dalszy postęp, a rolę polskiej twórczości literackiej ograniczał świadomie do podrzędnego „usmaczniania" prozy łacińskiej; ani mu się marzy o prześciganiu starożytnych i o oryginalności. Te przegrody teoretyczne przezwycięża jednak jego własna działalność literacka; świat nie starożytny, ale staroszlachecki uwypuklił się w jego sztuce znacznej mimo wszelkich trywjalności; poeta to z urodzenia, nie

z nałogu; ma własny kąt patrzenia na świat, a co widzi, słyszy, czuje — przedstawia znakomicie i świetnie; wznosi się nieraz bardzo wysoko, chociaż nigdy utrzymać się na wysokości nie zdołał.

Nierównie mniej uzdolniony, a szczególniej mniej płodny był Wespazjan Kochowski. Był wyłącznie lirykiem, o epikę się kusił napróżno; zaczął wprawdzie jako poeta Sobieskiego opisywać wyprawę wiedeńską, ale wnet porzucił tę pracę. Pisywał fraszki i pieśni i stworzył osobliwszą lirykę historyczno-polityczną, bo lira jego towarzyszy wszelkim znacznym wypadkom od 1648 do 1674; jako gorliwy katolik cieszył się z „bando na arjany" i zachęcał do walki tureckiej monarchów chrześcijańskich (Francję ówczesną). To najlepsze, co zamłodu pisywał, potem zapuścił się w ascetyczne rozważania, usypiające czytelnika, i przeniósł się zupełnie z poezji na niwę historyczną, spisując olbrzymie, gruntowne kroniki łacińskie. Jak Potocki, a inaczej, niż spółcześni, czujne miał oko i ucho, a sumienie wrażliwe i, podobnie, jak Potockim, zawładnął i nim wkońcu straszny pesymizm. Potocki pocieszał się, że, stojąc jedną nogą w grobie, nie dożyje już upadku miłej ojczyzny; głębokiemu pesymizmowi, złagodzonemu jedynie głębszą jeszcze wiarą w Opatrzność, dał Kochowski wyraz na stare lata w „Psalmodji", prozaicznej, naśladującej Dawida. Spowiedź to pełna skruchy, czyniona z grzechów własnych i publicznych; według niego za późno już, aby dobrze czynić, ale ponieważ on sam dożył zamłodu, z jakich to opałów Opatrzność wybawiła ojczyznę, marzył więc o jakiejś jej szczególniejszej opiece nad temi nieposłusznemi, znarowionemi dziećmi; w tej prozie psalmowej najbardziej był poetą, grał na najgłębszych strunach sercowych, ton coraz odmieniając.

Czasy jednak pomykały szybko ku upadkowi kraju, sarmatyzm wyradzał się jawnie. Życie polityczne za

Sasów jakby znieruchomiało; żyło się poza nawiasem europejskim, t. j. wegetowało się, a hasłem było: „Jedz, pij i popuszczaj pasa". Gdy Europa posuwała się naprzód krokiem przyśpieszonym, gdy stosunki polityczne coraz się odmieniały, gdy rozwijała się myśl filozoficzna, a potężniały nauki przyrodnicze, Polska zasuwała się w otchłań śpiączki umysłowej i politycznej, a wrogowie czuwali, żeby naród już się z niej nie ocknął. Gdy przełamano na Litwie przewagę Sapiehów, a z tronu Polski spędzono Sasów, letarg obezwładnił Polskę, ustały właściwie dzieje narodowe, bo rozszarpanie ordynacji ostrogskiej i systematyczne zrywanie sejmów było tylko parodją dziejów. Upadek ten i zastój objawił się najwidoczniej i w literaturze, która zapomniała jakby o wszelkich dobrych tradycjach i już tylko zwężała własne zaczarowane koło, w którem się kręciła. W wieku siedmnastym, (1621—1695) opiewano Chocim i wojnę domową, w czasach saskich „kampanjament" (manewry) Augusta II, ucieczki Leszczyńskiego z Gdańska. Potocki, choć oryginał, przerabiał „Argenidę", jego następcy wymyślali jej ciąg dalszy, albo fantastyczne awantury jakiegoś Lecha. Gdy Francuz w siedemnastym wieku przygody miłosne wojewodzica Walewskiego (nomen-omen dla Francji napoleońskiej) wybrał jako temat swego romansidła, to aż kilku Polaków siliło się na przewierszowanie tego płodu; w siedemnastym wieku budowano Mesjady, czasy saskie znały już tylko marne legendy o Eustachym-Placydzie albo o Józefie, a obawa autora, że mu się rzecz nie uda, była jedyną prawdą w tych utworach. Najzawołańsi pisarze owych czasów, starszy Chrościński i młodsza Drużbacka, krążą tylko w wydeptanej przez wielkich poprzedników kolei, rymują legendy i romanse, Chrościński jeszcze w stylu barokowym, Drużbacka już w skromniejszem, naturalniejszem wysłowieniu. U Drużbackiej przebija odwieczny

gust sielankowy, który wyraża się choćby w jakich takich opisach przyrody, np. pór roku, gdy opisy żywiołów wypadły znacznie gorzej; przeważa u niej dydaktyka, a z nią i lekka satyra towarzyska, np. przeciw płochości kobiecej. W prozie klecą wtedy bajdy genealogiczne, albo zbierają w osobliwszej encyklopedji, w „Nowych Atenach", wszelkie rupiecie wiedzy „tajemnej", cudów świata i przyrody; jest to istny magazyn przesądów, bajek i niedorzeczności. Jedyne ważne dzieło, pisane po polsku dla braci, to „Korona polska" jezuity Niesieckiego; jest to naturalnie herbarz szlachty polskiej. Ciągle na nowo odbijano ascetyki francuskie, które kanclerz Załuski tłumaczył na wygnaniu królewieckiem — wygnanie, czy więzienie moskiewskie z lat 1606 i następnych nierównie zresztą cenniejsze spłodziło rzeczy. Zastój panuje zupełny: stary a niemądry romans Loredana, o którym w ojczyźnie włoskiej dawno zapomniano, znalazł aż kilku tłumaczy, prozą i — naturalnie — wierszem. Liryka, ukazująca się w druku, jest wyłącznie religijna, zaś w odpisach krążą erotyki, niemożliwe dla mdłej ckliwości, śliniące frazesy odwieczne, bez iskry czucia i cienia prawdy. Chcąc paulinów częstochowskich ośmieszyć, wystarczało wydrukować ich misterjum pasyjne, godne w sam raz czternastego wieku. Epoka saska kończy się nieśmiertelnemi wierszydłami jezuity Baki, których nie wymyślili wolnomularze wileńscy dla wydrwienia księży, jak to ze względu na obronę księży udawano, lecz powtórzyli z oryginału i dziś jeszcze istniejącego. Wiersze Baki bynajmniej nie stanowią wyjątku: ksiądz Juniewicz takież same płodził i drukował, ale duchowieństwo je wykupiło. Gdy nawet Rosja, gorączkowo za Piotra, umiarkowaniej za następców wyzwalająca się z barbarzyństwa, przejmowała się Europą, Polska zapadała w niej dobrowolnie. Ktoż był temu winien?

Sama nazwa — czasy saskie — winę zwala na Sasów. Najniesłuszniej. Obaj Sasi byli ludźmi kultury europejskiej i dostarczyli niejednego wzoru, godnego naśladowania; że się ten wzór nie przyjmował, nie ich to była wina, lecz stałego braku symbjozy między żywiołem polskim a niemieckim: od wieków z sobą o miedzę graniczą, pozostały one sobie obce, jak pierwszego dnia stworzenia. Gdyby Francuz tron polski był osiadł, byłby niewątpliwie łatwiej za sobą porwał naród, t. j. szlachtę, która w nienawiści przeciw pludrakom niczego się od nich uczyć nie chciała; niesnaski polityczne tę niechęć żywiołową podsycały stale. Lecz Sasi sami nie przyczynili się w niczem do owego upadku; był on prostym wynikiem zwyrodnienia zupełnego samego sarmatyzmu. Stęchłego powietrza nie odświeżano i do tej stęchlizny przyzwyczaiły się płuca, unikające trwożliwie każdego świeżego powiewu. Odczuwano całą skórą, że byle ruszyć który węgieł zmurszałej budowy politycznej i umysłowej, to runie cała, przygniecie złotą wolność, uśmierci wygodne próżniactwo, przerywane pieniactwem i kuligami. Zapadały się więc bruki średniowieczne w błocie nowoczesnem, rozpadały twierdze, nikczemniało wojsko, niezdolne odpierać choćby tylko hajdamaków; wyszydzano Kopernika, wierzono w kalendarz Duńczewskiego i w baśnie księdza proboszcza na niedziele i święta; liczono herby i koligacje, palono czarownice i zapanowała jedna wiara, jeden język, jeden obyczaj w tej potwornej Rzeczypospolitej bez rządu a z królem na czele, przekonanej o starorzymskich cnotach swych obywateli-warchołów, opojów i próżniaków.

Lecz nie poto wychowywała się Polska przez wieki w duchu i szkole europejskiej, aby z niemi zerwać wszelką łączność — to też i w czasach najgęstszego mroku nie brakło światłych osobników, którzy widzieli zło i zgubę i o na-

prawie rozmyślali. Dwory magnackie pozostawały zawsze ostoją lepszego smaku, wytworniejszego życia, świeckiego wychowania, nawet zamiłowania do pracy naukowej, czy beletrystycznej (Drużbacka po takich dworach się chowała). Ale i poza dworami Radziwiłłów nieświeskich, Sapiehów kodeńskich i białostockich Branickich wołczyńskich, Czartoryskich nieraz francuszczyzna już zupełnie górę brała i peruka rugowała czuprynę, a szpada szablę, zaś rubaszny kwestarz i *hungaricum* nie bywali już jedynemi ozdobami biesiady; znajdowały się jednostki, zczasem coraz zgodniejsze i liczniejsze, które pilnie składały drewka do nowego ognia oświaty. Taki Józef Andrzej Załuski, pedant bez smaku i talentu, położył nieśmiertelne zasługi: z nadmiernym wysiłkiem wybrał i przeczytał trzysta tysięcy druków i rękopisów i ofiarował je narodowi. Ocalił on setki najcenniejszych pomników od niechybnej zagłady, sam jeden zastępując całą akademję, nawołując do pracy, wydając rzeczy dawne i nowe (niestety, wydawał i swoje dawne prace dramatyczne, satyryczne, jeszcze w starym sarmackim stylu).

Stanisław Leszczyński nie został wprawdzie królem polskim, ale z Baru i Nancy wysyłał do kraju swe mądre pisma (polityczne, polskie, nie w sakramentalnej dla „statystów" łacinie) i, co nierównie jeszcze ważniejsze, formował mądrych ludzi do pracy mądrej. Był mu bliski Załuski, ale szczególnie szerzył jego idee ów pijar Konarski, który zwalczył trzy smoki; przedewszystkiem ubił smoka potwornej wymowy „szkolnej", z której już dawniej szydzono, ale której podstaw ani teorji nie tykano – przeciwstawiając jej prawdziwą wymowę ojczystą. Zastąpił potworne wychowanie jezuickie (pijarskie i bazyljańskie), z którego się zupełnie otrząsał ten, kto w świat wstępował, wychowaniem lepszem, wprawdzie obywającem się bez „Alwara", czy „Piotrowskiego", ale zato wpro-

wadzającem i języki nowsze, i wiadomości systematyczne, a nie luźno doczepiane do wykładu autorów, takoż i czystą polszczyznę, i myśl patrjotyczną, przebijającą nawet w dramacie szkolnym, wzorowanym na tragedji francuskiej, a wpajającym cnoty obywatelskie i tężyznę ducha; system swój przeprowadził ostrożnie w warszawskiem *Collegium Nobilium*, gdzie już nie za darmo, jak u jezuitów, ale zato lepiej i czegoś lepszego uczono. Jezuici sami niebawem nieco ulepszyli własne kolegja. Zwalczał nakoniec owego smoka lerneńskiego, *liberum veto*, dowodząc w czterech tomach swego „O skutecznym rad sposobie" w przeddzień nowych rządów, że *liberum veto* wkradło się tylko krętą drogą, ciemnym szlakiem w ustawodawstwo, że zrywała tylko prywata i niemiłość ojczyzny pod płaszczykiem cnoty wszystkie sejmy; że w żadnym parlamencie świata podobnego potwora nadybać nie można; że nie pomogą żadne półśrodki. Burzyła się strasznie szlachta, czując, że po *liberum veto* i elekcja wolna się nie ostanie i ciężary jakieś na nią się zwalą; sarkała na mnicha, który się w świeckie rządy wtrącał i dyscypliny nań żądała, ale Konarski wybrnął z tych gróźb szczęśliwie; składając sarmatyzm, niestety, zbyt późno i zbyt ostrożnie do dawno zasłużonej trumny, odważył się pierwszy nietylko mieć rozum, lecz go jawnie przepowiadać i powiewem myśli europejskiej z łbów wygolonych i pysków odętych stęchliznę sarmacką wywiewać.

Mnożyły się więc stale oznaki nowej myśli, nowego smaku, nowej obyczajowości. „Zabawy poetyckie" hetmana Wacława Rzewuskiego, wydane pod imieniem syna, odbijały o całe niebo od dotychczasowej literatury; ich czysty język polski, nie makaroniczny, zachowanie formy tragedji i komedji francuskiej, poetyka postępowa otwierały nowe widoki.

Ludzi wykształconych przybywało stale nietylko między duchowieństwem; literatura francuska rugowała polską, w której oprócz psalmików, jak się skarżono, nie było niczego; z wyjazdów zagranicznych przywożono coś więcej, niż fryzury i guziki; od dworów wielkopańskich, już przez samo naśladownictwo, szerzyła się ogłada. I Warszawa, o której szlachcie bajano dotąd w głuszy prowincjonalnej, jak o żelaznym wilku, nabierała coraz większego znaczenia, nęciła już swoich i obcych, stawała się widocznie ogniskiem umysłowem i obyczajowem, jako pierwsze miasto polskie, które się dźwignęło z upadku, zaludniła się szybko (rękodzielnikami i przemysłowcami, z Niemiec przeważnie) i zabudowała; Kraków średniowieczny miała niebawem zastąpić nowoczesna Warszawa i nadać całej epoce umysłowej osobliwsze piętno: po „Wandzie“ następowała „Syrena“, godło równie fantastyczne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ODRODZENIE
(1763—1795).

Nowi ludzie i myśli; nowa literatura. — Przewrót umysłowy. — Krasicki. — Jego otoczenie. — Zakończenie dawnej literatury: jej szczyty rozwojowe.

„Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty", to hasło nowej epoki. Dano się Europie strasznie wyprzedzić, teraz należało ją doścignąć: nowy król i nowi ludzie skupili swe usiłowania i odmienili wygląd umysłowy kraju. Nie wypleniono odrazu sarmatyzmu, który na prowincji nie tak łatwo z dawnego łożyska ruszyć się dawał, ale światło, bijące z nowej Warszawy, przedzierało i te gąszcza. Trzydziestolecie panowania Stanisława Augusta nie ocaliło politycznego bytu, lecz uratowało moralne istnienie narodu, stworzyło i utrwaliło podwaliny nowej kultury, nietylko cywilizacji. Pan podstoli litewski, świetnie reprezentujący świeżą godność królewską, bardzo wykształcony, obyty z życiem zagranicznem w Paryżu i Londynie, miłośnik wszystkiego, co piękne, mający smak wykwintny, gardzący dawnemi gminnemi rozrywkami, o sądzie wyrobionym o literaturze, sztukach, umiejętnościach, acz nazbyt do zabaw ochoczy i zbyt łatwo zadowalający się blaskiem, mozolną pracę odstępując innym, był jak stworzony na to, aby wskazywać nowe tory odrodzeniu smaku i mody,

stylu i myśli, wiedzy i poloru. Pobudzał przytem wielu, zabiegi ich wdzięcznie uznawał i nagradzał — Augustem nie był, zato tem bardziej Mecenasem, sam nawet kropił wierszе. Ale, począwszy od wujów Czartoryskich, znalazł dzielnych sprzymierzeńców między magnatami. Potoccy, Sułkowscy, Chreptowicz, Wielhorscy, Tyzenhauz, Ogiński, nawet niektóre wielkie panie, brali czynny, nieraz rozstrzygający udział w każdej niemal reformie. O przewrocie w stylu Piotra Wielkiego, nagłym a despotycznym, nie było mowy; owszem, nieraz można było życzyć nowemu postępowi raźniejszego kroku, ale to zależało i od spółpracowników. Tych dostarczało w przeważnej liczbie samo duchowieństwo; przecież biskupi i księża, wszelacy eksjezuici i pijarzy, jako jedyna doniedawna wykształceńsza warstwa w narodzie, obejmowali ster literatury i myśli i przez to samo wyłączyli wszelką rewolucyjność. Wzorowano się na Francuzach, ale nie przyjęto modnego ich hasła „precz z kościołem“ *(écrasez l'infâme)*, a niejedni, najwpływowsi nawet, Krasicki czy Naruszewicz, nie przyznawali się wcale do jednostronności francuskiego smaku stylu; jednego włoszczyzna chroniła od tego, a obu łacina. To jest właśnie znamienne dla tego odrodzenia, że, choć poczęte w imię francuskiej ogłady, poloru i trybu, łączyło się z dawnemi, dodatniemi żywiołami, odwoływało się do dawnej, świetnej przeszłości, wskrzeszało ludzi i dzieła Chodkiewiczów i Kochanowskich i nie wyradzało się wcale w jakiś kosmopolityzm, nie traciło pod nogami podstaw narodowych; o ślepem naśladownictwie cudzoziemszczyzny nie było mowy wśród ludzi myślących.

Reforma dotykała powoli, a kolejno wszystkiego. Król stawiał pierwsze kroki, właściwą pracę pozostawiał albo Czartoryskiemu, jenerałowi ziem podolskich, albo komukolwiek innemu. Tak było ze Szkołą Rycerską Korpusu Kadetów, założoną r. 1765, która miała wyhodować żoł-

nierzy i obywateli i dla której sprowadzano dzielnych nauczycieli i tłumaczono dobre podręczniki — opiekował się nią głównie książę jenerał; z niej wyszli Kościuszko i Niemcewicz. Tak było z teatrem narodowym, otwartym nareszcie r. 1765 — zarządzał nim wkońcu kamerdyner królewski Ryks. Nierównie większe znaczenie dla dziejów oświaty miała inna pobudka, która wprawdzie nie od króla wyszła, lecz do której urzeczywistnienia przyczynił się i on.

Rok 1773 okazał się katastrofalnym dla wychowania w Polsce; papież zniósł zakon jezuitów, przez co runęło kilkadziesiąt kolegjów zakonnych w Polsce i na Litwie i młodzież szlachecka pozostała nagle bez „gimnazjów". Wtedy podjął podkanclerzy litewski Joachim Chreptowicz myśl Herburta z r. 1609, mianowicie, żeby użyć funduszów pojezuickich na rzecz wychowania publicznego, już nie zakonnego, ażeby utworzyć osobną komisję edukacyjną, któraby przygotowała świeckie szkoły, nauczycieli i podręczniki i, niby ministerjum oświaty, zarządzała całem szkolnictwem, począwszy od szkółek parafjalnych, poprzez podwydziałowe i wydziałowe, aż do obu szkół „głównych" t. j. uniwersytetu krakowskiego i wileńskiego. Chreptowicz i inni powodowali się przytem zasadami i reformami szkolnictwa francuskiego, bo właśnie najznamienniejszą cechą całej reformy Stanisławowej jest przejęcie się i wzorowanie się na francuszczyźnie; bliskie Prusy i Austrja nie odgrywały żadnej roli, co najwyżej dostarczały luźnych pracowników z Niemiec, kierunek i ton nadawała wyłącznie Francja, tak w dziele wychowania, jak w każdym innym. Komisja Edukacyjna walczyła z brakiem odpowiednich podręczników (temu zapobiegało osobne „Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych"), z brakiem nauczycieli świeckich, z brakiem środków, ale w ciągu dwudziestoletniej działalności zmieniła plan i ducha wycho-

wania szkolnego, obliczonego teraz na szerzenie nietylko wiedzy całkiem formalnej, ale i szerszej, praktyczniejszej, obywatelskiej.

Całe prawodawstwo miało również ulec reformie; już Andrzej Zamoyski przedstawił projekt nowego kodeksu, a szczytu dosięgła cała praca przygotowawcza w konstytucji trzeciego maja z r. 1791. Konstytucja była również bardzo umiarkowana, bynajmniej nie przewrotowa; usuwała nietylko liberum veto, ale i wolną elekcję, odrębność Litwy; ustanawiała odpowiedzialne ministerja, nadawała wolność mieszczaństwu, a chłopom użyczała opieki prawnej.

Znarowiony sarmatyzm nie ustępował jednak z pola bez walki. Zgóry odrzucił kodeks Zamoyskiego, zaś przeciw wolności sumień, równouprawnieniu wyznań, osłanianych obcą przemocą, zerwała się ruchawka szlachecka w postaci konfederacji barskiej. Przeciw nowej szkole oświadczali się rodzice sami, tęskniący za dawną łaciną, a nauczyciele zakonni, eksjezuici, pijarzy (ci najmniej), bazyljanie „sabotowali", ile sił, jeśli użyć nowego wyrażenia, program Komisji. Przeciw konstytucji majowej zerwali się magnaci i zawisła albo zwiedziona przez nich szlachta w konfederacji targowickiej — reforma upadła, a jej twórcy opuścili kraj.

Pracę odnowy społeczeństwa i państwa wspierała gorąco i skutecznie literatura, pierwsze czasopisma i teatr, wreszcie narodowy. Z przerażeniem uświadomiono sobie potworne niedołęstwo i zanieczyszczenie mowy, a straszne ubóstwo i wstecznictwo myśli. W dziele naprawy języka odznaczył się między innymi eksjezuita Franciszek Bohomolec, jowjalny, dobroduszny, pilny pracownik. Już jako nauczyciel w kolegjum warszawskiem dbał o poprawność polszczyzny, wydawał i tłumaczył autorów szesnastego wieku, pisał komedje w stylu francuskim, najpierw

dla sceny szkolnej bez ról kobiecych, potem dla sceny narodowej swobodniej już naśladował i przerabiał Moliera i innych, miernie hołdując postępowi, wyszydzając Staruszkiewiczów i wszystkich przedpotopowców. Zasłużył się szczególniej wydawaniem „Monitora", tygodnika moralizującego na wzór obcych czasopism, tego oddawna już nie istniejącego rodzaju; pisywali w nim stale i inni, np. Krasicki, zapomocą satyry i ironji zwalczając tu zarówno dawne, sarmackie przesądy i nałogi, jak i świeże, szydząc z letkiewiczów i fircyków obojej płci, którym Paryż, filozofja, moda zawracały głowę, wypróżniały kieszeń, psuły obyczaje. Powstawały za „Monitorem" i inne czasopisma o obfitszej, różnorodniejszej treści; młodzi, postępowi posłowie sejmu czteroletniego, Niemcewicz, Weyssenhof i in. stworzyli pierwsze czasopismo polityczne, „Gazetę Narodową i Obcą", którą Targowica ubiła natychmiast. Pomyślniej poszła sprawa ze sceną narodowę. Upośledzona wobec sceny francuskiej, włoskiej, niemieckiej nawet, wlokła nędzny żywot do r. 1779, kiedy to repertuar jej uświetnił Franciszek Zabłocki, Wołyniarin, a nieco później nowe wlał w nią życie Wielkopolanin, Wojciech Bogusławski jako, dyrektor i aktor, reżyser i tłumacz (przerabiacz).

Literat warszawski, Zabłocki, piszący dotąd sielanki, elegje, satyry, mało wyróżniające się od przeciętnych popisów na tem polu, zasilił w latach 1779—1784 scenę narodową około osiemdziesięcioma utworami, wśród których przeważają farsy i komedje. Nie tworzył oryginalnie; przenosił żywcem na scenę warszawską repertuar francuski, dziś zupełnie zapomniany, utwory drugo- i trzeciorzędnych nieraz autorów, za przykładem Francuzów trzymał się uświęconej przez nich jedności miejsca, czasu i akcji, subretkom lub lokajom, wyznaczał rolę kierowników intrygi, ale spolszczył tych Francuzów znakomicie,

nietylko w języku przepysznym, choć stale — wzorem swoich przewodników — grzeszył rozwlekłością i retoryczną deklamacją, lecz uwzględniając trafnie stosunki polskie; wprawy i zręczności nabył nadzwyczajnej i nie brak mu też dosadnego, a oryginalnego komizmu. Najgruntowniej wyszydził zacofanie prowincji w „Sarmatyzmie", w którym pokazał, jak to sobie szlachta zatruwa życie; oto Marek Guronos np. walczy zajadle z sąsiadem Żegotą o byle co, o miejsce w kościele, czy o dziurę w płocie; dom jego cały przesiąkł tą aurą wojowniczą i alkoholiczną, bo, od pani Ryksy począwszy, rozpija się tu wszystko, szczególniej pieczeniarze, jak Burzywój, tchórz, udający bohatera, korzystający ze słabostek Guronosa, zaś głupi, jak but służący, Walenty, który się uważa za wyższego mędrca, bo Warszawy powąchał, dopełnia godnie galerji karykatur pańskich. Gładkość, potoczystość języka podziwiamy szczególniej w jego „Fircyku w zalotach", przedstawiającym modnego, zgranego do nitki paniczyka, jak na prowincji łatwe odnosić myśli zwycięstwa „amoryczne", ale trafiła kosa na kamień. Należy porównać komedje Zabłockiego z Bohomolcem, Bielawskim, Czartoryskim, Rzewuskim, Wybickim, aby należycie ocenić zasługę pysznego języka i niewyczerpanej werwy komicznej. Porzucił, niestety, Zabłocki teatr, za czasów sejmu czteroletniego odznaczył się jako pamflecista postępowy pierwszej wody, smagający ostrym biczem sprzedawczyków (Ponińskiego) i zacofańców; później jako przykładny ksiądz proboszcz zarzucił zupełnie literaturę.

Największego powodzenia doznał, burzę oklasków zebrał „Litwin", poseł inflancki, Juljan Ursyn Niemcewicz, który jako żołnierz najpierw tłumaczył romanse rycerskie francuskie, jako poseł gorliwie popierał reformę i dlatego samego celu napisał pierwszą i jedyną polityczną komedję. Jeszcze przed konstytucją majową wystawił 15 stycznia

1791 r. i rozentuzjazmował warszawian „Powrotem posła", Przeciwstawił tu wsteczników, jak starostę Gadulskiego. uwielbiających czasy saskie, wietrzników, jak Szarmancki, goniących za groszem-posagiem, udających wszystko, czego chwila wymaga, a pozbawionych czci i wiary — prawym obywatelom, starym i młodym, podkomorzemu i p. Walentemu, posłowi na sejm, rzecznikom postępu, ludzkości, reformy; osobne miejsce zajęła pani starościna, pełna francuszczyzny i sielankowości, rozczulająca się byle błahostką, komedjantka, udająca ataki nerwów, raczej głupia, niż zła. Komedja, sklecona naprędce, rozgorączkowała publiczność dyskusjami postępowemi i wyszydzaniem wad starych i nowych, a o spazmy przyprawiła prawdziwego „Gadulskiego", sarmackiego krzykacza-posła, Suchorzewskiego.

Następne wielkie powodzenie przypadło w udziale Bogusławskiemu, chociaż po trzech przedstawieniach na rozkaz Igelströma sztukę wycofano. Patrjoci, spiskujący w Dreźnie i Warszawie, przeddzień powstania kościuszkowskiego, liczyli na lud i ten to lud żywcem wprowadził Bogusławski na scenę w sztuce p. t. „Cud czyli Krakowiacy i Górale" (1794). Opierając się, jak Zabłocki, o wzór obcy, francuski, o ile chodzi o wątki i szczegóły, po raz pierwszy zapełnił Bogusławski scenę dziarskimi Krakowiakami i góralami, z ich śpiewkami, tańcami i z całą ich siłą ochoczą, pierwotną, nienadwątloną niczem, budzącą nadzieje, jakich niebawem pod Racławicami nie zawiedli; autor zachował nawet ludowe narzecze i obrzędy, które sobie przypomniał ze swej sielskiej młodości; była to na długie lata najlepsza, albo raczej jedyna sztuka ludowa, nadzwyczaj popularna. Żadna inna z kilkudziesięciu sztuk Bogusławskiego nie doznała, ani nie zasłużyła równego przyjęcia; on sam starał się, ile sił, odnowić i urozmaicić repertuar, sięgał nawet do Anglików (Hamlet w przerób-

kach francuskich) i Niemców (Lessing, później Schiller), ale nie zdołał przełamać wszechwładzy tragedji i komedji francuskiej; na scenie panował smak pseudoklasyczny, lecz ze względu na publiczność, która ziewała tylko przy tych deklamacyjnych, retorycznych tragedjach i na widowiska nie powracała, uprawiał wszelkie możliwe zabawniejsze rodzaje, szczególniej gdy ze swoją trupą wędrował po całej prowincji, od Lwowa i Dubna do Poznania, i wzmagał słowem polskiem poczucie narodowe w zabranych krajach. Wszyscy wówczas pisywali sztuki, nawet książę Adam Czartoryski sił dramatycznych próbował i dla korpusu kadetów i dla sceny narodowej. Istotnego talentu dramatycznego nikt jednak nie objawił, ani Krasicki, występujący pod nazwiskiem Mowińskiego, swego kamerdynera, ani Wybicki, próbujący sił w komedji politycznej.

Jeszcze znacznie gorzej powiodło się powieści; romansu polskiego i wtedy jeszcze nie było. Roiło się tylko od tłumaczeń i one to stanowiły jedyny właściwy postęp; gdy cały dawny zasób ograniczał się do ckliwych romansów w guście „Koloandra i Leonildy", „Kawalera Polskiego" („Romans o królowej Bonie" bardzo erotyczny, pozostawał w rękopisach), powódź tłumaczeń zalała czasy stanisławowskie. Tłumaczono wszystko, nawet „Don Kiszota", także Fieldinga i innych Anglików — ale z francuskiego. Niemiecki romans zjawiał się wyjątkowo; przeważały sentymentalne, „Nowa Heloiza" zawładnęła niebawem czułemi sercami, — ceniono szczególnie formę listową; były i powieści wschodnie, które pod przybraną maską prawiły morały wszelakiego rodzaju; nie brakło romansów rycerskich, ani awanturniczych. Nieraz stawiano sobie wręcz za zasadę tylko „polerowanie języka polskiego", zaśniedziałego w czasach saskich; postęp bywał widoczny, chociaż sztuka tłumaczy bardzo była nierówna. Walki

polityczne przeniosły się i do romansu tendencyjnego, politycznego; ks. Krajewski, albo stronnicy Kołłątaja, ks. Jezierski i in. z jego „kuźni", pisywali pseudohistoryczne „romanse" o matce Piastów, albo o Leszku Białym, gdzie, broniąc np. uwolnienia chłopów, przenigdy nie troszczyli się o odtworzenie czasów lub ludzi; żaden z tych tendencyjnych romansów, pisanych głównie przez ks. Jezierskiego, nie dorównał powodzeniu, jakie sobie zdobyły sztuki tendencyjne Niemcewicza.

Nadzwyczaj rozrosła się, spotężniała i wywarła wpływ olbrzymi literatura polityczna, publicystyczna, poświęcona chwili, reformom i ich przeciwdziałaniu. Literatury politycznej polskiej dawniej nie było; pisana przeważnie po łacinie (jeszcze w pierwszej połowie osiemnastego wieku), nigdy nie rozchodziła się szeroko wobec uśpienia politycznego narodu. Konarski dał jej sygnał; odtąd — po przerwie — zaczynały się prace Wielhorskiego, Wybickiego i in. Najważniejsze to dzieła Staszyca, a najwpływowsze Kołłątaja.

Stanisław Staszyc, mieszczanin wielkopolski, dla karjery wstępujący bez powołania do stanu duchownego, poznawszy w podróżach zagranicę, jeden z pierwszych Polaków, oddający się studjom przyrodniczym, zwłaszcza geologicznym, dostał się do kółka Andrzeja Zamoyskiego i przejął się zapatrywaniami tego kodyfikatora, który dał się jednak zrazić odrzuceniem swego kodeksu przez uprzedzony sejm i niby zaniemiał. Zamiast niego wyzwał w szranki opinję, t. j. obłęd publiczny, gorący miłośnik ojczyzny, występujący bezimiennie w r. 1785 z „Uwagami nad życiem Jana Zamoyskiego". Uwagi te służyły za pozór dla wypowiedzenia ostrego sądu nad spółczesnością i jej nędzą w porównaniu do dawnej świetności. Namiętne przywiązanie do upadającej w swej niemocy ojczyzny, wstyd i oburzenie z powodu jej poniżenia a nieczułości

jej synów, nawoływanie do pokuty i poprawy w ostatniej chwili, złożyły się na ten okrzyk bolejącego sumienia, zapału patrjotycznego, ufności w siłę rozumu, która zmusi naród do podjęcia ratunku. Sprawa włościańska, krzywda okropna najliczniejszej warstwy ludności, poruszała go najbardziej, gdy wszyscy inni przechodzili w milczenie nad tą palącą sprawą. I konstytucja majowa wcale jej nie doceniła. Jako republikanin z zasady, domagał się Staszyc dla Polski, otoczonej absolutystycznemi monarchjami, silnego rządu i licznego wojska, a o wojsku bez włościan i mowy być nie mogło, do formowania go nie wystarczała przecież szlachta. „Uwagi" wywołały ruch nadzwyczajny, ale, gdy zamiast działać sprawę trybem narodowym, t. j. adwokackim coraz bardziej tylko zagadywano, ogłosił w r. 1790, zniecierpliwiony i zrozpaczony autor „Przestrogi dla Polski", nierównie gorętsze, zdradzające wpływ rewolucji francuskiej, gwałtowniejsze. „Przestrogi" nie wstrząsnęły już tak publicznością, jak dawniejsze „Uwagi", bo ogół pochłaniały teraz same rozprawy sejmowe. Grunt pod nie i pod przyszłą konstytucję przygotował inny pisarz polityczny o wybitnych zdolnościach, nietylko myśli ale i czynu, Hugo Kołłątaj, również duchowny, który zdobył już sobie wybitne zasługi pomyślną reformą uniwersytetu krakowskiego, dokonaną z ramienia Komisji Edukacyjnej. W „Listach anonima" do Stanisława Małachowskiego, upatrzonego na marszałka sejmowego, rozwinął Kołłątaj ten sam program, co Staszyc, ale w skromniejszych rozmiarach i co do liczby wojska i co do sprawy włościańskiej; nadzwyczaj był czynny za kulisami w konstytucji majowej, pracując nad jej przygotowaniem. Cała powódź pism i broszur najrozmaitszych autorów, najróżniejszej formy i treści, zalała teraz literaturę; w jednym roku pojawiło się ich więcej, niż dawniej w przeciągu całego wieku. Gdy tak Staszyc i Kołłątaj jakgdyby się ze-

szli na jednej linji, dalsze ich losy zupełnie się rozbiegły. Po latach przerwy mógł Staszyc przy odbudowie Polski walnie się zasłużyć, a byłby i do literatury wkroczył i w niejednej głowie rozjaśnił olbrzymim poematem dydaktycznym o „Rodzie Ludzkim", o formie niemożliwej, najniedołężniejszej, chrapliwej, ale mądrym co do myśli, potępiającym ujarzmienie wolnej pierwotnie (!) ludzkości przez sprzymierzonych „zabobońców" (duchownych) i „samodzierżców", gdyby nie równie głupi, jak podły zakaz cenzury, która książkę z obiegu wycofała. Kołłątaja latami więzili Austrjacy, w Ołomuńcu utracił i zdrowie i wpływy, chociaż opracowywał tam szerokie plany, badając pierwotne dzieje ludzkości, kreśląc programy filozoficzne, pedagogiczne (dla Czackiego i Krzemieńca) i etnograficzne, wyprzedzające znacznie ówczesną myśl polską. Z całej tej pracy nic niemal nie przedostawało się do ogółu, chyba po latach, całkiem spóźnione.

W pokoleniu stanisławowskiem zacierały się zupełnie różnice dzielnicowe; Warszawa stała się istotną, stałą, nie chwilową, jak za Sasów, stolicą i sięgała wpływami do najdalszych zakątków, zewsząd młodzież do siebie ściągając; właśnie nowa, kresowa Polska dostarczała jej najwięcej. Bohomolec, Kołłątaj, Naruszewicz, Kniaźnin, Kościuszko, Niemcewicz dowodzą samemi nazwiskami ruskiemi, skąd wyszli; Niemcewicz, Weyssenhoff, przed nimi Rejtan, Tyzenhauz, Krasicki, Czartoryscy i tylu innych synów ziemi litewskiej, ruskiej (przemyskiej), inflanckiej (Platerowie) nierównie znaczniej się przyłożyli do odrodzenia umysłowego, politycznego, niż synowie rdzennej Polski, ale różnice te, niegdyś już w języku występujące, zacierały się najwidoczniej; cała wielkopańska, szlachecka a nawet i miejska Polska przybierała teraz zupełnie jednolity charakter. Właśnie i miasta, raźnie się rozwijające, szczególniej Warszawa i Wilno, uzupełniały szeregi szlach-

ty, nie mogącej samej, gdyby nawet szczerze tego pragnęła, podołać obowiązkom państwowym; chrztem krwi stwierdzały swą świeżą obywatelskość i stawały się jej godnemi. Mury odwiecznej stanowości kruszały; podejmowano i zacieśniano węzły zatracone z Europą; sarmatyzm cofał się przed europejskością, ciemnota przed oświatą, wstecznictwo przed postępem.

W powolnym tym, niestety, nadto powolnym ruchu, przodowała literatura piękna. Jak najpełniejszym przedstawicielem renesansu polskiego był w szesnastym wieku Jan Kochanowski, jak w siedmnastym uszlachetniony sarmatyzm najżywiej odzwierciadlił Wacław Potocki, wiek oświecenia polskiego znalazł w Ignacym Krasickim wyraz najwierniejszy i najdodatniejszy: w nikim innym dodatnie i ujemne jego strony nie wystąpiły jawniej, namacalniej. Nadzwyczaj zdolny, bardzo wykształcony, dowcipny, elegancki, epikurejczyk, umiejący żyć, poniekąd nieco powierzchowny i płytki, umiarkowany i trzeźwy, uznawał Krasicki jedyną zasadę pod jednym warunkiem: rozum, rozsądek i nic nadto — równie źle mu nadto wierzyć, jak nic nie wierzyć. Sensualista i racjonalista, stroniący zarówno od wszelkich teoryj, jak i od eksperymentów, umiał w pogodne chwile wybornie sterować swą łodzią życiową; przed burzą ukrywał się na dnie, ale nadziei nie tracił; zwątpienie i rozpacz były mu równie obce, jak namiętność, entuzjazm, poświęcenie; jedynie „miarę" zalecał, nawet w chwilach najkrytyczniejszych, kiedy wszelka miara była właśnie bezsilną. Duchowny, acz nie z powołania, przypominał renesansowych dostojników kościoła, mecenasów nauki i sztuki, opływających w dostatki, żyjących choćby nad stan, zachowujących ściśle pozory, ludzi wytwornego smaku i tonu, miękkich, sceptyków, wyrozumiałych na słabości obce i własne, z tą jednak walną różnicą, że zamiast mecenasowania jedynie sam jak najgor-

liwiej literaturę uprawiał, w każdym kierunku podawał wzory nowej myśli i formy i dokonał cudu, bo stworzył książkę polską, o której już zwątpiono, dowiódł, że i po polsku można pisać dowcipnie, przyjemnie, gładko, nad Wisłą nie gorzej, jak nad Sekwaną; to też, jak w duchowej, tak i w umysłowej hierarchji stanął na samym czele i był bez rywalów.

Jako kaznodzieja i jako marszałek trybunalski wyróżnił się wcześnie wykwintnem słowem, poczuciem obowiązku, postępowością myśli, więc też Stanisław August rychło wyniósł labusia na księstwo-biskupstwo warmińskie, spodziewając się w nim znaleźć gorliwego stronnika i sługę. Zawiódł się zupełnie, bo ten światowiec nie nadawał się do najmniejszej roli politycznej, ale zato odwdzięczył mu się Krasicki stokrotnie na właściwem sobie polu. Już w Warszawie pisywał wiele, np. w „Monitorze", lecz gorliwą, wszechstronną pracę rozwinął dopiero w zaciszu swojej heilsberskiej stolicy i „nowaljami warmińskiemi" niebawem przejednał króla i publiczność zachwycił. Na lata 1775—1783 przypadają najważniejsze, najcenniejsze, najliczniejsze utwory, które wytknęły drogę nowemu smakowi, stylowi, językowi oraz nowej treści, myśli i formie.

Szereg ich otwiera dziwaczna poniekąd „Myszeis" (1775) poema żartobliwe, niby parodja Arjosta; jeżeli ukrywała głębszą myśl (parodję stosunków polskich, Baru i króla), to autor umyślnie tak rzecz pogmatwał, że niczego na pewno dojrzeć nie można. Odznaczała jednak „Myszeis" gładkość formy, trafność myśli, a strofa o miłości ojczyzny dziwnie odbijała od tego groteskowego otoczenia Popiela i od walki jego z myszami i kotami; nad wszystkiem unosił się uśmiech sceptycznej pobłażliwości, daleki od gryzącej ironji, i częste docinki pod adresem Polski, jej sejmowania i t. p. Nierównie silniejszą ironją zaprawił Krasicki następne swe dzieło „Monachomachję" (1778) i jej pozorne

odwołanie, a istotne potwierdzenie, „Antimonachomachję“ (1780); treścią jest znowu wojna żartobliwa (od prawdziwej naród szlachecki odwykł dawno), a jednocześnie padają słowa—zadziwiające wręcz w ustach wysokiego dostojnika kościelnego — potępienia zakonnego życia, ugrzęzłego w kulcie Bacha, Cerery, Morfeusza, przedrwiwania słynnych doniedawna dysput teologicznych, gdzie w braku argumentów uczonych albo odwoływano się do pięści, albo zagłuszano muzyką na chórze jałowe spory. Wyczuwa się tu dokładnie atmosferę osiemnastego wieku, zabójczą dla wszystkich „zabobońców“. W porównaniu z fantastyczną „Myszeidą“ święci tu tryumfy realizm; na tle wynędzniałego miasteczka (Lublina) wypasione mnichostwo z ogonem dewotek napiętnowane jest nielitościwie; pod temi obrazkami mógłby się podpisać Fryderyk Wielki, skoro w poczdamskim Sans-souci pomysł ich miał się urodzić; mimo wszelakich wzorów obcych obrazek to szczeropolski, dla sarmatyzmu zabójczy.

W tym samym czasie powstała „Wojna chocimska“, która (1780) miała, jak niegdyś tak samo zatytułowana epopeja Wacława Potockiego, przygotowywać i podniecać umysły do walki rozstrzygającej z otomaństwem, ale podobnie, jak nie było żadnej bohaterskiej żyłki ani w autorze, ani w społeczeństwie, tak i w poemacie jej brak, podobnie jak w czułostkowej, ale nie czułej, suchej, zimnej „Henriadzie“ Woltera, a w przeciwstawieniu do gorącej epopei Tassowej. Nieskończenie wyżej stanęły „Satyry“, „Listy“, „Bajki“, które rozniosły najszerzej imię autora. Satyry jego były wyłącznie obyczajowe; wystarczy przytoczyć tytuły najświetniejszych: „Żona modna“, „Pijaństwo“, „Życie Dworskie“; oburzenia Juwenalisowego w nich niema, jest pogoda Horacego, żartobliwe raczej przestrzeganie w imię rozsądku przed fatalnemi skutkami zdrożności i wad, niż ich surowe potępienie; rysów realistycznych nie brak, ale

umiar zachowany jest zawsze. Szczytem dobrego smaku było przypisanie ich królowi: żadnemu innemu monarsze nie schlebiano równie dowcipnie, taktownie, a miło. Za przewodem Horacego pisywał Krasicki i listy moralizujące, nieraz przeplatane prozą i wierszem; najciekawsze są te, co zawierały opisy czyto podróży z Heilsberga do rodzinnego nad Sanem Dubiecka, czyto pruskich nieudałych łowów, albo manewrów berlińskich. Bajki pisywał Krasicki dwojakie: epigramatyczne, które, ujęte nieraz w czterowierszu, w zwięzłości są nieprześcignione oraz rzadziej i później — obszerne lafontenowskie. I w bajkach pozostał wierny swojej roli apolitycznej; trudno się w nich doszukać aluzyj dziejowych; podobnie jak „Satyry" stwierdzają one prawdy i doświadczenia ogólnoludzkie, nie gonią za ideałami, pokazują więc, jak zwycięża głupota, bo w ramionach silna, gwałt, bo za nim przemoc, życie nad myślą, praktyka nad abstrakcją; jak wady i nałogi same się karzą — czasem wyczuć się daje tęskne westchnienie za dobrem i pięknem, na zieni nieziszczalnem. Przyczyną powstania niejednej bajki, w której mimowoli wietrzy się coś ważnego, był powód najbłahszy. Bajki zeszły rychło, jak cały ten dział, do świata dziecięcego, ale autor pisał je nie dla dzieci i nie myślał o katechizmie moralnym: świat jest zepsuty, więc taki odbił się w bajkach, które liczą się z rzeczywistością, nie z ideałem, ani z katechizmem. Bajki pisywał wtedy, kto żył; wiek osiemnasty, nietylko w Polsce, stanowi szczyt w rozwoju tego rodzaju literatury, będącego na rozdrożu między satyrą a epiką; przeważały stale bajki „moralne", brakowało politycznych. Pierwszy Niemcewicz i takie uprawiał. Krasickiego nikt w bajkach nie prześcignął i słusznie doczekały się one natychmiast (jak zresztą wszelkie jego dzieła) tłumaczenia na niemiecki (i łacinę nawet). Stało to się wtedy, gdy z niemieckiego na polski niemal nic jeszcze nie tłumaczono

(oprócz książek gospodarczych i t. p. „fachowych", albo pamfletów antykościelnych); pierwszy to autor polski, wprowadzony przez (anonimowych) tłumaczy do literatury niemieckiej (począwszy od Myszeidy) i francuskiej.

Poza wierszami pisywał Krasicki prozą pierwsze powieści polskie. Na ich czele stanęły „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki" (1776), przedstawiające w trzech księgach trojaką koncepcję, natychmiast tłumaczone i naśladowane (np. w „Zdarzyńskim" ks. Krajewskiego). Pierwsze księgi rysują wyniki wychowania polskiego, t. j. raczej braku wszelkiego wychowania: panicz o czczej głowie i mieszku, wypróżnionym przez dobrych przyjaciół, grę i miłostki, jak Robinson Cruzoe, siada na okręt, uciekając przed więzieniem, które mu grozi za długi; w drugiej księdze jako rozbitek uwielbia na zimno ustrój mądrych Nipuanów, nie znających żelaza, ani Objawienia, żyjących rozumnie na łonie natury — jest to utopja, znana od czasów Morusa, uprawiana również przez króla Leszczyńskiego a zawsze z tym samym, t. j. żadnym, skutkiem — Krasicki przynajmniej w Moskwie znalazł naśladowców. W trzeciej księdze sprowadza dawnego autor fircyka, teraz po wszelkich awanturach fizycznie i moralnie odrodzonego, jako statecznego męża do kraju i odtąd będzie on dawał przykład sąsiadom, jak żyć, t. j. gospodarować należy, bo karjerę polityczną jako niewdzięczną rzuca rychło.

Obcy wszelkiemu bohaterstwu, niechętny był Krasicki jednostronnemu bohaterskiemu t. j. wojowniczemu kreśleniu dziejów i porwał się z krytyką tego sposobu pisania w „Historji" (1779), na szczęście wnet urwanej, gdzie wraz z odmładzającym się cudownie człowiekiem przeżywamy dzieje ludzkości od Aleksandra Wielkiego do Chrobrego, spospolitowane na sposób racjonalistyczny trybem antihistorycznym osiemnastego wieku, obnażone ze wszego

uroku; nierównie ciekawsza jest znacznie późniejsza jego alegorja historyczna o kamienicy narożnej w Kukurowcach, t. j. o losach Polski, kończących się rozbiorem.

Wyłączny niemal dydaktyzm uprawiał Krasicki w powieści p. t. „Pan Podstoli“ (trzy części w latach 1778, 1784, 1803; czwartej już nie wykończył). Przedstawił w niej wzór obywatela, obcego jednak wszelkiemu życiu politycznemu, jakby Polska jako państwo już nie istniała; dzieło to bardzo mądre, bardzo rozwlekłe, ale bez fabuły, bez wątku powieściowego, mimo kilku wplecionych obrazków, ginących niemal wobec nadmiaru trafnych uwag o wychowaniu, o ogrodnictwie (pasji autora), o dawnych księgach, o łacinie, o zadaniu kobiety w domu, a pana wobec włościan, o dobrych drogach, o przemyśle i o podobnych „pia desideria“, wyrażonych na papierze gładko, przekonywująco, a którym życie przeczyło stanowczo. Chęci pouczania służyły też i inne liczne prace, jak rodzaj małej encyklopedji, „Zbiór potrzebniejszych wiadomości“, albo dzieło „O rymotwórstwie i rymotwórcach“, dowodzące szerokiego oczytania autora i zapoznające publiczność po raz pierwszy z całokształtem poezji światowej.

Uznany jednozgodnie za „księcia poetów“ i w prozie naczelne zajął miejsce. Na tle dziesięciu „oryginalnych“ powieści, więcej nie można się bowiem doliczyć za czasów stanisławowskich, oba jego romanse wyróżniły się nieskończenie pod względem stylu i smaku, dowcipu i myśli, obfitości treści i trafności obrazków satyrycznych. Rzucili się więc księża (cechuje to literaturę ówczesną), Krajewski i Kossakowski szczególniej, na ich naśladowanie, a Niemcy krajowi na ich tłumaczenie. Nie obyło się nawet bez fałszerstw. I tak „romans satyryczny“, wydany r. 1794 w Wiedniu i Lipsku, „Albert der Abenteurer“, był rzekomo tłumaczeniem z Krasickiego (i tak go też w bibljotece berlińskiej zapisano). W istocie jednak naśla-

dował ten romans nie Krasickiego, lecz „Wojciecha Zdarzyńskiego" ks. Krajewskiego, chociaż się w nim Zdarzyński pojawia jako inna, obca osoba, a pomysł wyjazdu z flotą napowietrzną na księżyc przelicytowuje utopje Krajewskiego. Nawet najznakomitszy nasz bibljograf nie spotkał się widocznie z tym romansem niemieckim, odbiegającym znacznie od pierwowzoru, wprowadzającym wszelakie uwagi uczone, obce zupełnie ks. Krajewskiemu, obszerne cytacje francuskie, wyszydzanie logiki szkolnej i tak dalej. Pozostaje fakt, że, gdy literatura polska o niemieckiej nic jeszcze nie wiedziała, niemiecka o niej nie zapominała; odbijały jednak powieści te nietylko od przeciętnego romansu osiemnastego wieku, ale i od całego odrodzenia polskiego, a to przedewszystkiem brakiem, ba, wyszydzaniem wszelkiej ckliwości, amorów, sentymentów, aż nadto realistycznem kreśleniem polskich dróg, karczem, czy typów, dziwnem obstawaniem przy dawnej domowej kulturze. Ten rys ostatni rozwijał się stopniowo. „Doświadczyński" był jeszcze dotkliwą satyrą na Polskę warszawską, trybunalską, sejmową, ale „Podstolego" opatrzył autor świadomie godłem: „Moribus antiquis"; według niego więc naród stoi na podstawie dawnych obyczajów, jakby autor nie wierzył wcale w zbawczość wszystkiego, co nowe a obce. I w szczegółach można ustalać to cofanie się Krasickiego od mody i jej haseł, ten z latami rosnący konserwatyzm, ten pociąg ku tradycyjnemu, wygodnemu życiu domowemu. W „Satyrach" przebąkiwał głucho o jakimś dawnym wieku złotym i dawnych cnotach przodków, w „Podstolim" je już wyidealizował, jakby przeczuwał, że wobec najazdu obcego należy się chwycić oburącz „narodowości" dawnej, ocenić ją i jej bronić. I odżył w Krasickim niby „sarmata", z nałogami niemal atawistycznemi, pełen żalu za przeszłością. Wzory obywatelskie wysławiał współczesnym, tłumacząc „Żywoty" Plu-

tarcha, uzupełnione kilkunastu nowszemi, i „Rozmowy zmarłych" Lucjana, dodając również nowe; był to dział literatury, ogromnie niegdyś kwitnący, dziś zapomniany zupełnie. Po rozbiorze kraju, gdy wszystko zamarło, wierny swojej zasadzie: „podła rzecz rozpaczać", wydawał arcybiskup gnieźnieński ze swoich Skierniewic pisemko „Co tydzień", które kilka osób czytało, a właściwie on jeden zapełniał powiastkami moralnemi (przeważnie wschodniemi, znowu w guście ówczesnym, lubując się w bezpiecznej maskaradzie), bajkami, rozprawkami dydaktycznemi. Umarł z piórem w ręku, broniąc mądrze a wytrwale ostatniej pozycji narodowej: języka i obyczaju. Mógł go Jan Potocki[1]) ogromnie przewyższać prawdziwą uczonością w badaniach historycznych, prawdziwą głębokością w dociekaniach religijnych, prawdziwą bujnością fantazji w zawikłaniach romansowych, prawdziwą znajomością tego Wschodu, o którym Krasicki z słyszenia cośniecoś wiedział — cóż z tego, kiedy, jak dawni niepoprawni łacinnicy, tak i on wyłącznie do morza obcego, obecnie francuskiego, wody dolewał. Właśnie w tem największa Krasickiego zasługa, że tylko dla swoich pracował, że wykwintnym stylem, nieustannem gładzeniem przepolerował mowę, odświeżył i uzdolnił do oddawania myśli głębszej, czy powabnej, że pierwszy zwabił czytelników do polskiej książki. Bywał blady i rozwlekły tam, gdzie dowcip nie wystarczał, język

[1]) Ciekawa to postać: pierwszy turysta polski, który objeżdżał nietylko Wschód, Hiszpanję, Kaukaz, Rosję aż do granic chińskich, ale to, co widział, rozumiał (Krasicki np. był w Rzymie, ale oczu dla Rzymu nie miał), i opisał; pierwszy badacz dziejów Słowiańszczyzny na najszerszą skalę (nietylko, jak Naruszewicz dla objaśnienia początków Polski) pierwszy twórca nader ciekawego romansu o najfantastyczniejszem zawikłaniu, a w którym ubocznie rozsnuwał bardzo racjonalistyczne i sceptyczne myśli o człowieku, o duszy i o religji Objawienia, przecząc właściwie jednej i drugiej.

może zanadto wymuskał, pozbawiając go siły, plastyczności kolorytu, uczuć głębokich nie budził, nie porywał, nie roznamiętniał — ale uczył, przekonywał łagodnie a wymownie; łączył zawsze horacjańskie „utile dulci", pożytek i wdzięk, wywodził rodaków z ciemnic uprzedzenia i nieuctwa na jasne światło, dzielnie wojował z nałogami, dawnemi „sarmackiemi" i świeżemi „francuskiemi", otwierał okiennice kamienicy Kukurowskiej, szczelnie dotąd zabite, przewietrzał ją i odświeżał, a chociaż ani myślał przeszkodzić jej „rozbiorowi", przygotował, jak nikt inny, ową broń najskuteczniejszą: poczucie narodowe, ogniskujące się w narodowym języku i piśmiennictwie.

Porównywać się z nim nie mógł nikt, najmniej Adam Naruszewicz, eksjezuita, przygarnięty przez króla. Przelotnie, przed Krasickim jeszcze, uprawiał on gorliwie poezję, całkiem w stylu dawnego wieku, a więc dydaktyczną, gnomiczną, satyryczną i panegiryczną. Zwiedził zamłodu obce kraje i przejął się ich duchem, ale pozostał sarmatą w języku, stylu i treści. Jego język wobec języka Krasickiego nie jest ani gładki, ani piękny, lecz obcesowy, przestarzały (jak u J. A. Załuskiego) i aż nadto dosadny. Najlepiej przedstawiał się w satyrach i bajkach: żywy dialog „Chudego literata" i „Redut" i dziś zająć potrafi. Ubolewał nad nierządem w głowach, sercach i kieszeniach, nad nieuctwem, co się książki (oprócz kalendarza), jak ognia, boi, nad rozwiązłością obyczajów, nad wzajemnem schlebianiem, gdy wszystko naokoło ginie. Sam jednak grzeszył panegiryzmem dawnym, chociaż sławił i ludzi porządnych i umiał wydobyć się z morza pochwał na ogólniejsze myśli i tory; jego liryka przepełniona jest podobnemi utworami. Wiele naśladował i tłumaczył; a mianowicie sielanki Gessnera, satyry Boileau, bajki Lafontaine'a; czasopismo, które najpierw sam wydawał, „Zabawy przyjemne i pożyteczne", na to imię rzetelnie zasłużyła.

Jeszcze przed Krasickim torował drogę nowemu smakowi, zdrowszym pojęciom o rządzie i cnocie obywatelskiej, (monarchista z przekonania) zdobywał się nieraz na wstrząsający wyraz zgrozy i oburzenia na widok tego, co się działo, i jako gorący patrjota, którego rozbiory złamały, Juwenalisa nie Horacego przypominał. Wyręczył go w poezji Krasicki, odkąd go król powołał do napisania „Historji narodu polskiego", dostarczając tłumaczenia Tacyta i obfitych środków dla prac przygotowawczych i pomocniczych. Te prace przedwstępne zajęły jednak Naruszewiczowi zbyt wiele czasu i trudu, tak, że w sześciu tomach, wydawanych od r. 1780—1786, doprowadził dzieje tylko do Jagiełły (pierwszego tomu, o czasach przeddziejowych nie wykonał ostatecznie). Znaczenie tego dzieła pomnikowego, które od Kromera, a raczej właściwie od Długosza, po raz pierwszy zrywało z dawną rutyną i wznosiło budowę na obszerniejszej i głębszej podstawie tkwi mniej, w tekście samym, rozłożonym jeszcze po kronikarsku i stąpającym ciężko z emfazą Liwjuszową, jak w długich przypisach, w których autor przedstawiał wyniki własnych badań źródłowych i rozszerzał widnokrąg dziejowy, włączając do dziejów panujących osób, jedynie dotychczas uwzględnianych, dzieje oświaty, przemysłu, obyczajów; swoje stanowisko monarchistyczne i tu stale zaznaczał; nie zdołał jednak wyczuć odrębności poszczególnych okresów historycznych: wiek osiemnasty nie posiadał zmysłu historycznego, sprawdzał własnym krótkim wzrokiem i miarką własnego rozumu wszystko i — wszystko ośmieszał, albo wyszydzał. W wierszu do króla, naglącego o pośpiech, w „Głosie umarłych", wzniosła się najwyżej historjozofja Naruszewicza — nikt poważniej ani głębiej nie wyraził treści duchą narodowego i przestróg historji, „mistrzyni życia".

Nierównie mniej zdziałał nierównie mniej uzdolniony

Stanisław Trembecki, dworak, nie człowiek, wierszopis, nie poeta, pomiatający prawdą a uwielbiający frazes i schlebianie; zdania własnego nie miewał, powtarzał, co szambelanowi królewskiemu wypadało mówić wedle zmiennej w polityce mody; przejął się istotnie jedynie nienawiścią ku Niemcom i ta pchała go w objęcia słowiańskie, t. j. rosyjskie, i skłaniała do hołdów dla Katarzyny, Pawła i Aleksandra. Pisywał tylko wiersze okolicznościowe, skarbiąc sobie łaski na przyszłość, lub odwdzięczając się za doznane, oraz znakomite bajki obojętnej treści; był przytem niepospolitym pamflecistą i paszkwilantem; hołdował pornografji wedle smaku czasu, która nie splamiła jedynie pióra Krasickiego. Na większe rzeczy się nie sadził; najobszerniejsza z jego poezji opisowej, „Zofjówka" wydana została w r. 1806 pod imieniem Czyżewicza. Odsłużył się w niej Szczęsnemu Potockiemu opisem słynnego parku, odwdzięczając się za przytułek tulczyński (po śmierci króla-pana). Wiersz wspaniały, jak zawsze u Trembeckiego, treść błaha, jak zawsze u niego; łączył on jędrność Naruszewicza z gładkością Krasickiego; mistrzem będąc języka, lubował się w śmiałych antytezach, w nowotworach, choćby z ruska zabarwionych, w dziwnych połączeniach, w ludowych zwrotach; czarem języka pokrywał nikłość treści i myśli, niskość i powszedniość uczuć, blaskiem frazesu — gotowość czynu; wdziękiem przenośni, giętkością wiersza hipnotyzował młodego Mickiewicza, który zakochał się w niezrównanym jego stylu; po dyletancku uprawiał wszystko, nic nie skończył, talent zmarnował.

Wiek suchego racjonalizmu domagał się jako uzupełnienia serca, t. j. ckliwości i uczuciowości, był więc zarazem wiekiem sentymentalizmu, t. j. wrażeń miłych, łzawych, łagodnych i mdłego uwielbiania wdzięków przyrody, uprawiał sielanki ogrodowe, maskarady pasterskie, za-

pasy słowne czułej miłości. Sielanki pisywali wszyscy wedle gotowych obcych wzorów Gessnera i in., ale prawdziwymi poetami tkliwych uczuć pozostali dwaj synowie rozśpiewanych kresów ruskich, którzy wznowili i wydoskonalili dawną lirykę.

Był to Franciszek Karpiński, „poeta serca", i Dionizy Kniaźnin. Karpiński nietylko udawał gruchanie miłosne — sam był istotnie tkliwy, skłonny do łez; najwyżej wzniósł się w oddawaniu uczuć spokojnych, łagodnych i tęsknych; hałas miejski był mu wstrętny, zaś zamiłowanie do wsi, przyrody, nie było u niego tylko zmyśleniem; nie dziw więc, że tak, jak nikt oddawna przed nim, trafiał w ton ludowy, i pieśń dziadowską zaśpiewał i mazurka uciął, a z chłopami jako późniejszy kolonista zżył się jak najlepiej; w Warszawie nie popasał długo ani przy Czartoryskim, ani przy królu, a elegja „Powrót z Warszawy na wieś" najlepiej maluje jego usposobienie. Tkliwy, kochał się i beznadziejnie, i beznamiętnie, ale właśnie te mdłe a poprawne erotyki, np.o Filonie i Laurze, zjednały mu rozgłos. Próbował wszystkiego, dramatu i komedji, choć zdolności w tym kierunku brakło mu zupełnie; pisał i wiersze religijne, ale jego parafraza „Psałterza", chociaż oparta o Kochanowskiego, daleko za mistrzem pozostała; zato utkwiły w pamięci narodowej najprostsze, więc najmilsze jego pienia: „Kiedy ranne wstają zorze", „Wszystkie nasze dzienne sprawy", „Bóg się rodzi, moc truchleje". Patrjotą będąc, odczuwał ból z powodu rozbiorów, choć silnego nie zdołał mu dać wyrazu. Przyrodę oddawał najlepiej w bezpretensjonalnych obrazkach, np. w elegji „Podróż z Dobiecka na Skałę". Że w wieku suchej rozumowości piastował uczuciowość, chociaż mdłą i ckliwą raczej, niż rzewną i głęboką, zdobyło mu to serca ludu i młodzieży.

Mniej uzdolnionym był tkliwy i rzewny, skromny i cichy

sługa Czartoryskich, Franciszek Dionizy Kniaźnin, ostatni dworski poeta, związany nierozdzielnie z Puławami, z ich sceną amatorską, z ich tendencją patrjotyczną i ludowo-humanitarną, z ich obchodami rodzinnemi; na szerszej dziedzinie występował rzadko. Naśladował Rzymian (sam Kochanowskiego na łacinę, niby nowy Sarbiewski, przekładał); przerabiał libretta Metastazego, cenione wtedy nadewszystko; odznaczał się muzykalnością wiersza, lecz jego oklepankom lirycznym, erotycznym, sielankowym brakło siły i oryginalności; wyjątkowo trafiał w gust ogólny (sarmacką odą „Do wąsów"), zato Osjana tłumaczył tkliwiej, niż Krasicki; jego wiersze patrjotyczne liczniejsze i gorętsze są, niż Karpińskiego („Do ojczyzny" i in.), a w „Matce Spartance" udramatyzował wzór heroicznej miłości; nie brak u niego i nuty ludowej, szczególniej w „Cyganach", przedstawiających włóczęgów i złodziei; hołdował prawdzie życiowej a pomysł tego utworu podała mu sama księżna Izabela z Flemingów Czartoryska.

Wobec panującej grafomanji męskiej, w której gubiły się i prawdziwe uzdolnienia, np. satyryczne młodego Kajetana Węgierskiego, uderza wręcz nikły udział płci pięknej; jedna i druga szlachcianka tłumaczyła niedołężnie powiastki francuskie, albo jedna i druga wielka pani skreśliła w mało poprawnym języku pamiętniczek kilku lat tułaczki, ale nie wydały czasy stanisławowskie ani jednej autorki, coby równać się mogła z kobietami czasów saskich, z taką Drużbacką, Radziwiłłową, Benisławską, Załuską lub Niemiryczową i in. Płeć piękną pochłonęły stroje, francuszczyzna, zabawy; kobiety tych czasów wolały same przeżywać intrygi, skandale, rozwody, niż je piórem kreślić; „Elżbiety" nie pisywały, tem więcej więc o nich i na nie pisano. Ale czasy stanisławowskie ubogie są również i w ciekawe pamiętniki męskie, przynajmniej

w polskie. Zostawił Stanisław August bardzo cenne, z szeroko podmalowanem tłem obyczajowem, ale cóż: pisał je po francusku, jak ks. Ogiński i inni swoje. Niema nietylko Paska, ale nawet Matuszewicza z czasów saskcih z obrazami, obfitemi w osobliwsze rysy; pamiętniki pisują przeważnie poniewczasie, dopiero w późnym wieku, dla dorosłych synów i grzebią je w archiwum domowem, skąd je później wywlekał Kraszewski; Kitowicz pisał za Stanisława Augusta, ale upamiętnił jedynie „złote" czasy saskie Augusta III, tworząc obszerny ich obraz obyczajowy, mnóstwem szczegółów ciekawych zaopatrzony, a Kołłątaj cenne o nich dorzucał spostrzeżenia.

Jeśli można powiedzieć, że każdy naród ma taką konstytucję, na jaką sobie zasłużył, to i to samo możemy powiedzieć i o literaturze jego. Agonji politycznej narodu i państwa nie mogła powstrzymać mądra konstytucja majowa — nie budziła do czynu, raczej frazesem pocieszała literatura mądra, przezorna, obywatelska, napoły sfrancuziała co do stylu i myśli. Gdy potworne ciosy spadały na państwo, druzgocąc je w kawałki, nie zerwała się nawet literatura na żywy protest oburzenia, jak i sam naród szlachecki przyjmowała wszystko z niemęską rezygnacją, z głuchą co najwyżej skargą, z trwożliwem napomknieniem o jakiejś dalekiej Opatrzności czy sprawiedliwości; nawet patrjoci, jak Karpiński i Kniaźnin, poddawali się losowi, jakby tak być musiało; wspominali tylko o dawnej świetności, ubolewali nad nędzą dzisiejszą. Jedyny Niemcewicz z zagranicy piętnował parodjami Pisma Św. robotę Szczęsnego — w kraju wydobywano jedynie dawne głosy przestrogi, kazania sejmowe Skargi, odżywały nawet niepojętym cudem wierszydła sowizdrzałowe z początku siedemnastego wieku, „Nędza z biédą z Polski idą", drukowane z wierszami Naruszewicza, albo Krasickiego.

Obok tej jawnej, uprzywilejowanej, niewolniczej ra-

czej, niż patrjotycznej, literatury, drukowanej zato u Grölla i Dufoura, istniała jednak i inna, niedrukowana literatura patrjotyczna, przestarzała co do formy, stylu i myśli, przeciwstawiająca się zato przemocy, broniąca kraju, jego samoistności i jego honoru; zaczyna się ona od proroctw św. Marka (Samdułowicza), od nabożnych pieśni Maryjnych konfederatów barskich. Coprawda, brakło jej dotkliwie talentów: forma jej równie jest sztywna, jak myśl jej nieruchoma. Snuje się ona stale aż do końca, do r. 1795. Groza położenia nie znalazła godnego oddźwięku; najsilniej wyraził ją młody Adam Czartoryski w „Bardzie polskim", napisanym w r. 1795, ogłoszonym (znacznie poprawniej) przez Niemcewicza dopiero w r. 1840. Sam tytuł dowodzi, że autor wzorował styl na ponurym smętku Osjana, ale skargi jego wybuchają z przepełnionego żalem serca nierównie gwałtowniej; powłokę mglistą i księżycową tonu „barda"-wieszcza przerywają błyskawicowe wyrzuty, krwawe obrazy, rzezie i pożogi, zniszczenie kraju, osierocenia rodzin; młody autor wyrzuca z siebie gorzkie, spiekłe myśli, zwątpiwszy o Opatrzności i sprawiedliwości, hardo podkreślając niewinność Polski-ofiary. Od tego całkiem osobistego tonu „Barda" odbijają jako utwór tylko literacki równoczesne „Treny" młodego jezuity białoruskiego (zakon utrzymywał się na ziemiach Katarzyny II), Józefa Morelowskiego, napisane w r. 1795, ogłoszone drukiem dopiero w 1854 r. (i w 1910); spółcześnie nic z nich nie przedostało się do ogółu, jak i ze „Smutków" Kołłątaja, pisanych w więzieniu. Poza temi odosobnionemi, nieznanemi głosami głębokiego uczucia, jak w „Bardzie", albo poważnej refleksji, jak u Kołłątaja, chyba tylko „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta" Karpińskiego (z r. 1796), uderzają poetycznym i rzewnym wyrazem, ale jemu „twardy wyrok jakiś inszych podpisał a Polskę wymazał". Ten

sam to brak siły męskiej i ufności w wierszu, który w czy nie kraj do zguby przyprowadził.

Literatura niepodległej Polski dosięgła trzykrotnie szczytu na trzech drogach swego rozwoju: pierwszym był renesans humanistyczny, a więc klasyczny Kochanowskiego; drugim barok sarmacki Potockiego; trzecim rokoko warszawskie Krasickiego. Narodowa twórczość Kochanowskiego czerpała wprawdzie pierwsze podniety z literatury romańskiej, od Petrarki i Ronsarda, ale poza tem cały swój program i każdy niemal szczegół zawdzięczała wyłącznie Horacemu, Tybullowi, Anakreontowi; chociaż Kochanowski znał i cenił Włochów i Francuzów, nie można znaleźć u niego żadnych niemal wyraźnych odgłosów ich muz, gdy od łacińskich i greckich u niego się roi. Barok Potockiego wyzbył się zupełnie szlachetnej prostoty, jasnego umiaru, głębokiej powagi Kochanowskiego, za którym jeszcze tylko Simonides w sielankach nadążał; barok ten, zdradzający siłą, gwałtownością, wyszukaniem nieraz najdziwaczniejszych rysów, zrzuceniem na kupę mnóstwa szczegółów, a choćby tylko wyrazów, że, chociaż myślowo i treścią i formą niby całkiem od łacinników (np. od Erazma) zawisł, w istocie przeszedł szkołę włoską, szkołę Piotra Kochanowskiego, Morsztynów, Twardowskiego; za Potockim staje Morsztyn (Andrzej). Rokoko Krasickiego, miękkie, pieszczone, ozdobne wywodzi się w prostej linji od Francuzów nawet tam, gdzie pozornie za łacinnikami kroczy; nawet jego porównania z mitologji klasycznej przypominają Woltera, nie Wergilego; obok niego staje Trembecki z większą siłą wyrazu. To są prawdziwi poeci; wszyscy inni już tylko „liczbą" się złożyli. Najwyżej wzniósł się Kochanowski, bo nietylko pierwszy tworzył poezję, t. j. piękno, ale nieraz dzięki prawdziwemu natchnieniu

daleko za sobą innych pozostawił. Najniżej upadł Potocki, który zatracił poczucie piękna i za poezję uznawał rymy, niezwykłe obrazy i dosadne słowa. Krasickiemu nigdy nie dopisywało natchnienie, (które przecież w świętem oburzeniu Potockiego nieraz się zarysowało), ale zato zawsze smak, gust i styl. Przewyższył zato Potocki obu rywalów kolorytem swojskim, narodowym, mimo zależności od łacińskiej prozy Barklaja i Sarbiewskiego; jest to Pasek poezji, tylko nieskończenie, moralnie jak umysłowo, wyższy od owego „Guronosa" Zabłockiego, „Właściciela Piekiełka" w powiecie burdeckim.

W całej tej literaturze górował wiersz nad prozą; już w piętnastym wieku, kiedy prozy jeszcze nie było wcale (przynajmniej na piśmie), zastępowały ją dziwolągi, były już jakie takie wiersze, rymy, strofy i słownictwo poetyckie. Za Reja i Orzechowskiego, za Skargi i Górnickiego wzniosła się ta proza wysoko, aby później, gdy wiersz się jako tako utrzymywał, haniebnie upaść i dopiero czasy stanisławowskie zaczęły ją dźwigać z tego upadku. Ale proza Niemcewicza (np. w przedmowie do „Powrotu Posła") w porównaniu z świetnym wierszem samej komedji jakby nieudolna jest i uboga. Próbowano zastępować jej niezliczone latynizmy wyrazami polskiemi, dodając łacińskie w nawiasie, aby polskie zrozumiano, ale ani latynizmów, ani łacińskiego szyku słów nie pozbyliśmy się do dziś – tak głęboko przejęliśmy się Alwarem i Piotrowskim; wprawiamy tem w podziw innych Słowian, którzy takiej szkoły nie przebyli.

Nierównie bardziej podstawową cechą tego dawnego piśmiennictwa jest jego stałe, a nadzwyczajne opóźnianie się, jego młodszość w porównaniu z Europą. Uboga, średniowieczna Polska, od wieku jedenastego do czternastego włącznie, nie znała potrzeb umysłowych, więc im też nie dogadzała; dopiero późniejsze, znakomite polepsze-

nie warunków ekonomicznych w piętnastym i szesnastym wieku przyniosło bogactwo materjalne, a wraz z niem bogactwo umysłowe i jego potrzebę. Rozwój jednak szedł wcale niesporo; małe Czechy sąsiednie drukowały już w piętnastym wieku w swoim języku księgi ku zbudowaniu, ku rozrywce i ku nauce, gdy Kraków dopiero od 1522 roku zdobył się na coś podobnego w większych rozmiarach; scholastyka zawitała do Polski, gdy na Zachodzie już przekwitła, a reformacja, gdy rozpęd jej się wysilił. W epoce sarmatyzmu cofnęła się znowu umysłowość polska wobec eropejskiej w niesłychanym stopniu; łączności z nią jednak nigdy zupełnie nie zerwała, więc i z zastoju owego zczasem się znowu wydobyła. Utrwalił się przytem w piśmiennictwie, nawet u Krasickiego, typ narodowy, mimo wszelakiego naśladownictwa, przetrwał jako rękojmia nowej przyszłości ciosy rozbiorowe, a naród nie przetworzył się bynajmniej w bryłę obcą, jak mu to wróżono i nawet życzono. A do uświadomienia sobie życia i znaczenia przyczyniło się walnie owo piśmiennictwo, które ze skromnych początków, nie bez długich a dotkliwych przerw, tak się wkońcu rozrosło i utrwaliło, że stało się ową kotwicą, o którą okręt narodowy, zagrożony już ostatecznem rozbiciem, mógł się oprzeć, burzę przetrwać i wzmocniony puścić się na nowe tory. Z literaturą Polski niepodległej łączy się, jakby przez nią wypiastowana, literatura Polski porozbiorowej, wyrazicielka jedności tej Polski, jedności, niezerwanej mimo wszelkich „kordonów", a która się wkońcu odrodzić miała w literaturę nowej niepodległej Polski.

INDEKS.

Anonim, szlachcic — protestant — 84—85
Arjanie — 36—37

Baka ks. — 141
Białobrzeski — 39
Biernat z Lublina — 24
Bielski Marcin — 87
Birkowski Fabjan — 109
Błażewski — 92
Bratkowski — 132
Bogurodzica — 16
Bogusławski Wojciech — 150, 152
Bohomolec Franciszek — 149—150
Budny Szymon — 37

Chróściński — 140
Czartoryski Adam (ojciec) — 153
Czartoryski Adam (syn) — 171
Czechowic Marcin — 37

Długosz Jan — 12
Dorohostajski — 132
Drużbacka Elżbieta — 140—141

Fredro Maksymiljan — 112
Fryc Modrzewski — 21, 46, 49

Gawiński — 122
Górnicki Łukasz — 79—80
Grochowski Stanisław ks. — 81—82

Herburt Jan Szczęsny — 100—102
Hortulus — 22
Hozjusz Stanisław — 21, 28, 32, 38, 44

Jabłonowski — 120—122
Jagodyński — 132
Jan z Koszyczek — 24
Janczar Michał Konstantynowicz — 26
Janicius (Klemens z Januszkowa) — 20, 57
Jezierski ks. — 154
Juniewicz — 141

Karmanowski — 120—121
Karpiński Franciszek — 168
Klonowic Sebastjan — 85—86
Kmita J. A. — 93
Kniaźnin Franciszek Dionizy — 169
Kochanowski Jan — 62—78
Kochanowski Piotr — 80
Kochowski Wespazjan — 112, 139
Kołłątaj Hugo — 155
Konarski Stanisław ks. — 143
Krasicki Ignacy — 153, 157—165
Krajewski ks. — 154
Kromer Marcin — 38, 44
Krowicki Marcin ks. — 34
Kuczborski — 38

Leszczyński Stanisław — 143
Lubomirski Stanisław — 112, 115, 125, 126

Maciej z Krakowa — 11
Maskiewicz — 128
Miaskowski Kacper — 83—84, 88
Modrzewski p. Fryc
Morelewski Józef — 171
Morsztyn Andrzej — 113, 115, 117, 123, 124
Morsztyn Hieronim — 89, 93, 123
Morsztyn Stanisław — 124
Morsztyn Zbigniew — 124

Naborowski — 120—121
Naruszewicz Adam ks. — 165—166
Niemcewicz Juljan Ursyn — 150, 151
Niemirycz — 121
Niesiecki — 141
Niesiołowski — 132

Opaliński Krzysztof — 119
Opaliński Łukasz — 120
Opec — 27
Orzechowski Stanisław — 20, 28, 46, 49

Paprocki — 88, 92
Pasek — 128—129
Piekarski — 132
Pielgrzymowski Eljasz — 92
Piotrowski — 28
Poczobut — 128
Poniński — 130
Potocki Jan — 164
Potocki Wacław — 114, 118, 122, 134—139
Powodowski Hieronim — 39

Radziwiłł Albrecht — 112
Radziwiłłowa Franciszka — 116
Rej Mikołaj — 47—60

Różnowiercy — 29—36
Rzetowski — 92
Rzewuski Wacław — 144

Sarbiewski Kazimierz — 129
Seklucjan — 37
Sęp-Szarzyński Mikołaj — 99—100
Simonides — 88, 93—99
Skarga Piotr — 41—44, 88
Smolik — 89
Solikowski — 28, 88
Stanisław August — 146—147
Staszyc Stanisław — 154—155
Stryjkowski — 34, 92

Trembecki Stanisław — 167
Twardowski Samuel — 113, 133—134

Warszewicki — 88
Wereszczyński — 39
Weyssenhoff — 150
Wieszczycki — 122
Władysław z Gielniowa — 14
Wujek Jakób — 41

Zabłocki Franciszek — 150—151
Zagroblny Grzegorz (Pauli) — 37
Załuski Józef Andrzej — 143
Zawisza — 128
Zbylitowski Andrzej — 87—88
Zbylitowski Piotr — 87
Zimorowic Bartłomiej — 122
Zimorowic Szymon — 123

Żabczyc — 121
Żółkiewski Stanisław — 102
Żydowski — 121

SPIS RZECZY.

Przedmowa 5
Rozdział pierwszy. POCZĄTKI. MIKOŁAJ REJ:
Wieki średnie. Wiek szesnasty. Literatura łacińska a polska. Rozwój piśmiennictwa polskiego pod wpływem parlamentaryzmu i reformacji. Nowa Polska. Rej 9
Rozdział drugi. JAN KOCHANOWSKI:
Wiek złoty i jego przedstawiciel. Renesans polski. Rodzaje literackie, uprawiane w tym czasie. Sielanka Simonidesa. Poeci kresowi. Zmierzch 61
Rozdział trzeci. ZWYCIĘSTWO I ZWYRODNIENIE SARMATYZMU (1621—1763):
Cofanie się kultury polskiej; przyczyny i skutki. Odbicie tego stanu w literaturze. Różne działy piśmiennictwa. Polska kresowa i pozakresowa. Najwybitniejsze postacie sarmatyzmu: Twardowski, Potocki, Kochowski, Marazm saski. Przebłyski odrodzenia 104
Rozdział czwarty. ODRODZENIE (1763—1795):
Nowi ludzie i myśli; nowa literatura. Przewrót umysłowy. Krasicki. Jego otoczenie. Zakończenie dawnej literatury: jej szczyty rozwojowe 146
Indeks nazwisk 175

DZIEJE NARODOWEJ LITERATURY POLSKIEJ

ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE NARODOWEJ LITERATURY POLSKIEJ

CZĘŚĆ DRUGA

WARSZAWA 1924

INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLJOTEKA POLSKA“

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Zakłady graficzne Instytutu Wydawn. „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy

CZĘŚĆ DRUGA

LITERATURA POLSKI POROZBIOROWEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KLASYCY I ROMANTYCY
(1815—1830).

Utratę państwa i niepodległości przyjęła olbrzymia większość narodu z dziwną rezygnacją, przynajmniej nazewnątrz. Drobna cząstka gorętszych patrjotów porzuciła kraj, aby zagranicą, ufna w rewolucję i republikę francuską, przygotowywać odwet. Zacieśniły się więc nieskończenie węzły z Francją. Dawne, polityczne stosunki z wieku siedemnastego, rozluźniły się w osiemnastem stuleciu, szczególnie za czasów rozbiorowych. Kulturalne, literackie więzy natomiast nabrały siły nadzwyczajnej i miały się wzmocnić nowemi, politycznemi, krwią, przelewaną za sprawę Francji, która wzamian zato miała Polskę wybawić. Te górne nadzieje nie zawiodły ostatecznie; przyjęto Księstwo Warszawskie jako zadatek ich ziszczenia, ale po klęsce napoleońskiej powstało tylko nowe Królestwo Kongresowe, z inicjatywy cara-króla strasznie uszczuplone w porównaniu z rozmiarami dawnej Rzeczypospolitej i z jej podstawą etnograficzną. Autonomiczne to „królestwo“ z własnym rządem, sejmem, wojskiem, szkołą, lecz pozostające pod nieustanną opieką rosyjską coraz dotkliwszą, w miarę gdy pierwotny liberalizm Aleksandra I odmieniał się coraz bardziej w upaite wstecznictwo, stanowiło z Warszawą, zdobywającą zwy-

ciężko dawne, a w latach 1795—1806 zupełnie utracone znaczenie, ośrodek polszczyzny, do którego, jak niezachwianie wierzono, i kraje zabrane rychło wrócić miały. Nad jego podniesieniem kulturalnem i ekonomicznem pracowało grono ludzi, wychowanych w duchu wieku oświeconego. Wkrótce zaznaczył się nadzwyczajny postęp: zaniedbane doniedawna gałęzie przemysłu otaczano staranną opieką, szkolnictwo się podnosiło, dobrobyt wzmagał, rany, zadawane przez katastrofy wojenne, pociągające za sobą dotkliwe ofiary, (w latach 1806—1812) zabliźniły się i zdawało się, że w tym wymuszonym sojuszu z Rosją uda się zabezpieczyć podstawy prawidłowego rozwoju choćby kosztem zrzeczenia się własnej państwowości.

Ci sami ludzie, którzy w wojsku, biurach i szkole pracowali niezmożenie i z największą dla kraju korzyścią nad wyzyskaniem wszechstronnem chwilowych ulg politycznych, nadawali ton i literaturze, przejętej zupełnie duchem francuskim, naśladowniczej, wzorującej się na Rzymianach, a jeszcze bardziej na Wolterze, Delillu i Laharpie. Rewolucja zmiotła wszystkie dawne ołtarze, nie wzruszyła tylko uświęconej wiekami i smakiem narodowym powagi literatury dworskiej, salonowej, dowcipnej, kierującej się wyłącznie rozumem, elegancją, jasnością, tłumiącej wszelkie silne porywy, gorszącej się każdym naturalnym ludowym odruchem, zachowującej swój ton pompatyczny, deklamacyjny, retoryczny. Gdy w Polsce po przerwie niemal dwudziestoletniej (1795—1815) życie literackie znowu się obudziło, weszło zupełnie na owe tory pseudoklasyczne, pamiętając o dokładnem rozgatunkowaniu dziedzin poetyckich, przestrzegając przepisów, pochodzących niby od Horacego i Boileau a w istocie od Laharpa. Polerowanie i gładzenie słowa i rymu szło w parze z ubóstwem i jałowością treści, pokrytej doborem wyrazów dźwięcznych a pustych. Ci urzędnicy, wojskowi,

profesorowie (nowego uniwersytetu aleksandrowskiego), uczeni z Towarzystwa Przyjaciół Nauk, duchowni (lecz nierównie mniej liczni i skromniejsi, niż w wieku stanisławowskim), dyrektorowie teatru i hreczkosieje, poświęcali chwile wolne od zajęć „muzom", płodzili ody, elegje, tragedje, listy, bajki. Tłumaczyli nieraz w zawody jedno i to samo, np. tragedje Woltera albo „Ogrody" Delilla. Kształcili smak i język, bo mimowoli odczuwali znaczenie literatury jako tej dziedziny, w której jedynie spotykały się przegrodzone kordonami dzielnice. Cała ta sztywna i chłodna, umiarkowana i rozsądna poezja (bo prozę zawsze jeszcze jakby za nawias odrzucano) przemawiała w imię morału katechizmowego, postępu aż nadto hamowanego, w imię patrjotyzmu bardzo lojalnego (wobec zaborców) i zdawało się jej, że już jest narodową, skoro używa narodowego języka i dobiera narodowej treści, jeżeli np. spreparuje tragedję o Ludgardzie wielkopolskiej albo o Barbarze Zygmuntowej wedle reguł francuskiej deklamacji. Żaden z tych pilnych, sumiennych wyrobników pióra nie był poetą, niejeden wprawą dochodził do biegłości, starannością wysłowienia budził gorętsze oklaski, a, przekonany będąc o nieśmiertelności swych wzorów, również i sobie ją wróżył. Zabawki poetyckie wymagały pracy żmudnej, cierpliwej. Powoli, całemi latami narastało „Ziemiaństwo" K o ź m i a n a, który był jednym z filarów przybytku muz warszawskich. Krytykę zastępowały uwagi, dyktowane przyjaźnią, i pochwały gołosłowne a nadmierne. Wobec zupełnie podrzędnego znaczenia tej literatury nikt nie odczuwał literackiej zawiści. W porównaniu z literaturą stanisławowską zwężył się widnokrąg; satyry nikt nie uprawiał; o epopei myślano chyba na dalekiej prowincji; lirykę znano niemal tylko „urzędową", którą reprezentowały ody, witające Napoleona, lub Aleksandra; sadzono się na tragedję, najmniej myślano

o komedji. Bezruch, martwota, zastój — oto cechy tej literatury, której jedyną zasługą jest, że nie przestawała kultywować języka i podtrzymywała zainteresowanie literackie, lecz niezdarnie, ze strasznem opóźnieniem i z wielką jednostronnością. Uczucie, trzymane na wodzy, znajdowało upust w sielankach ckliwych i tkliwych w guście i stylu Gessnera, a błąkały się i oddźwięki równie przestarzałych „Nocy" Younga i pieśni Osjana. Nowszej poezji angielskiej, ani niemieckiej nie znano wcale, przecież nawet Gessnera, Younga, Osjana czytano wyłącznie w przeróbkach francuskich, które „dzikość" albo nieregularność oryginałów wygładzić się starały. W towarzystwie panowała wyłącznie francuszczyzna; mówiono, czytano, nawet modlono się po francusku, szczególniej zaniedbaniem mowy ojczystej płeć piękna najokropniej grzeszyła.

Z szarego tłumu Koźmianów, Dmochowskich, Morawskich, Osińskich, Felińskich, Wężyków i t. d. wyróżniano i czczono Juljana Ursyna Niemcewicza i Pawła Woronicza. Niemcewicz, poseł sejmu wielkiego, adjutant Kościuszki i jego towarzysz więzienia, po powrocie z Ameryki i po złożeniu wszelkich urzędów, zadziwiał obfitością i różnorodnością twórczości; nie obmyślał głęboko, ani nie polerował wytrwale swych wierszy (i prozy), lecz zato odzywał się w odpowiedzi na każde zjawisko społeczne, krytykując je choćby bajką, nieraz wcale dotkliwą. Przeszczepiał na grunt rodzimy to, co mu się w literaturze angielskiej podobało, albo po czem się ozdoby dla literatury a podniety dla patrjotyzmu, jedynej jego troski życiowej, spodziewał.

Gdy inni tylko rozważali i obiecywali, on wykonywał niemal wlot to, czego się był podjął dla dobra literatury ojczystej. Jako nieznużony popularyzator starał się udostępnić wszystkim skarby narodowej tradycji historycznej, dać poznać rodakom kraj i dzieje, oddziaływać na myśli

i serca. Niestety, musiał wiele odkładać na inne czasy, bo cenzura mu nie folgowała i w ciągłych utarczkach ze znienawidzonym Szaniawskim (cenzorem) chował pod kluczem najliczniejsze i najcenniejsze wiersze: opisy (Puław, swego Ursynowa, pór roku), ciekawe obrazy rozwoju ludzkości w przeszłości i przyszłości, liryki patrjotyczne, dumania, elegje, które uprawiał jeszcze jako osiemdziesięcioletni starzec, pełen dziwnej krzepkości ciała i ducha, na powtórnem wygnaniu dobrowolnem (1831—1840). Wśród rękopisów tych były romanse i komedje, zaczerpnięte nieraz z najbliższych czasów i stosunków. Największą sławę zjednały mu jego „Śpiewy historyczne", na których całe pokolenia uczyły się dziejów ojczystych. Napisawszy jeszcze zamłodu kilka „dum" historycznych, dorobił do nich cały pieśnioksiąg, od Piasta do Jana Sobieskiego (i Poniatowskiego); opisał w nim najbardziej poetyczne chwile dawnych dziejów, nie troszcząc się o koloryt miejsca i czasu, uświetniając momenty historyczne w patetycznych przemowach. Przypisy prozą łączyły owe liczne dumy w jedną całość. Publiczność rozchwytywała te „śpiewy", a władze wycofały je niebawem z bibljotek gimnazjalnych.

Klasyk Niemcewicz różnił się od klasyków warszawskich nietylko znawstwem i naśladowaniem poezji angielskiej i jej ballad, ale i gorliwem uprawianiem prozy powieściowej. Już bowiem pojawiały się, choć z przeraźliwem opóźnieniem w porównaniu z Zachodem, nieśmiało i w znacznych odstępach pierwsze powieści polskie (nietylko tłumaczone): pani Mostowska przerażała naiwne czytelniczki naiwnemi „awanturami" średniowiecznemi o duchach pokutujących i o zbrodniach tajemniczych. Nierównie wyżej wyniosła się księżna Wirtemberska (Czartoryska), w „Malwinie czyli domyślności serca" niemożliwą intrygę, opartą o łudzące podobieństwo dwóch braci,

wynagradzając kreśleniem udręki miłosnej i obrazkami z towarzyskiego życia współczesnej Polski. Wpływ „Nowej Heloizy", ubóstwianego romansu Rousseau, odbijał się w formie listowej i w wykrzykach patetycznych zarówno u Ludwika Kropińskiego, jak u Feliksa Bernatowicza, chociaż obaj odmiennie, niż Rousseau, „Nadzwyczajną miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru" i „Nierozsądne śluby" cofnęli do szesnastego wieku, aby urojony sentymentalizm tem niemożliwszym uczynić. Obok tych celniejszych romansów pisano i inne drobniejsze powiastki, mdłe i ckliwe.

Niemcewicz nie wyciskał łez, ani nie przerażał grozą, zato uczył przeszłości, albo ją uświetniał.

Należał sam do dwóch pokoleń, więc przemiany ich skreślił w „Listach dwu panów Sieciechów", z których jeden jest typem niepoprawnego warchoła z czasów saskich, drugi zaś wprawdzie pustakiem z doby Księstwa Warszawskiego, lecz już pełnym nowego, ofiarnego ducha obywatelskiego. W listach „Lejby i Siory" przedstawił kwestję żydowską w myśl „asymilatorów", przeciwstawiając żydów kulturalnych ciemnej, przesadnej, fanatycznej tłuszczy. Najbardziej podobał się „Jan z Tęczyna", urojony wzorem Waltera Scotta romans historyczny, a podobał się dzięki przedstawieniu najświetniejszej przeszłości, dzięki blaskowi dworu Zygmunta Augusta. Opisy strojów, broni i t. p. były tu antykwarycznie ścisłe. ludzie zaś, mowa i uczucia całkiem zmyślone. Ciekawsze romanse Niemcewicza z r. 1812 i in. zalegały w rękopisach; o tragedjach jego i komedjach rychło zapomniano. Tworzył z niesłychaną łatwością i z równym pośpiechem; piórem jego kierowała jedyna namiętność jego życia: miłość ojczyzny. Staraniem jego było odzyskać giętkość języka, uczynić go zdolnym do wyrażania wszelkich uczuć i myśli, wyrugować nim obcą, zabójczą francuszczyznę.

Łączył w sobie dwie epoki; jako żywy przedstawiciel niepodległej Polski nie ugiął się przed faktem jej upadku, jakby go nie uznawał — wyczuwali to mimowoli spółcześni i przejmowali się nadzieją, której on nie tracił.

Inaczej rzecz się miała z pesymistą Woroniczem. Talentu miał jeszcze mniej, niż Niemcewicz, bo sama retoryka, w prozie czy w wierszu, nie zastępuje fantazji twórczej. Od wczesnej młodości ćwiczył się w wierszach, sielankowych i uczuciowych, nieraz silniej zabarwionych patrjotyzmem. Ale jego patrjotyzm, inaczej, niż u Niemcewicza, łączył się z religijnością, z głęboką wiarą w Opatrzność i jej sprawiedliwość, upadek więc kraju i własnym przypisywał winom, chociaż nie tracił ufności, że z ruin Troi nowy Rzym powstanie. Śladami Wergilego starał się w pradziejach przodków odnaleźć przymioty i zalety, które wróżyły o pomyślności, mimo przelotnych upadków z winy własnej czy z zrządzenia losów, a sympatje wszechsłowiańskie i fantastyczne rojenia o wspólnem pochodzeniu i wspólnocie dziejów pierwotnych złożyły się na (niewykończony) pieśnioksiąg, wywodzący Sarmatów, Słowian i Polan od bajecznego Assarmota. W „Sybilli", tak nazwanej podług pawilonu tego imienia ze zbiorami pamiątek narodowych w Puławach, zszedł z mgieł sarmackich marzeń do rozpamiętywania dziejów polskich i w słowach przejmujących kreślił ów upadek z winy własnej. Najwyżej wzniósł się w „Hymnie do Boga", przejętym gorącą wiarą, kornem uniżeniem i wspaniałem uwielbieniem mocy i sprawiedliwości boskiej. Wsławił się jako kaznodzieja słowem mocnem i przejmującem, powagą kapłańską, górnością uczucia, chociaż i tu raczej przekonywał, uczył, pocieszał, niż porywał; chłodu epoki oświecenia, jej wyłącznego rozumowania tak samo się nie pozbył, jak i Niemcewicz; chwalono i czczono go jako pasterza dusz, jako poety nie znano go niemal, bo o młodocianej, sielankowej,

uczuciowej jego twórczości zupełnie zapomniano, a nowa epiczna zalegała w rękopisach.

Obok salonowej klasyczności warszawskiej odzywały się jednak od czasu do czasu głosy innej muzy, nie dbającej o wzory i przepisy, o formie nieraz marnej, tem żywszej zato w uczuciach. Takiemi były wiersze „legjonowe", amiędzy niemi ów najsłynniejszy, co przetrwał i prześcignął całą klasyczność, ułożony przez Wybickiego z muzyką Ogińskiego, ów „mazurek Dąbrowskiego": „Jeszcze Polska nie umarła (taki tekst pierwotny), kiedy my żyjemy; Co nam obca moc wydarła, Szablą odbijemy" i t. d. później przekształcony 1831 r. i rozszerzony. Z legjonami wracali do kraju i pisarze-legjoniści, jak Cyprjan Godebski, który niegdyś wydawał w Mantui „Dekadę" dla żołnierzy, w powieści p. t. „Grenadjer-filozof" wynosił Szwajcarów nad Francuzów i słów cierpkiej prawdy nie poskąpił, a w „Wierszu do legjonów polskich" skarżył się na daremne wysiłki i nieprzewidziane losu obroty. U innych żołnierzy przeważały tony, jeszcze znaczniej odbiegające od „klasyków", bo po raz pierwszy (po Bogusławskim i Karpińskim) silnie ludowością dźwięczące. Krakowiakami zasłynął młodo w Moskwie 1812 r. zgasły Wincenty Reklewski, a jego towarzysz broni, pieśni i losu, Andrzej Brodziński, uprawiał sielanki, wyniósłszy z szkół galicyjskich znajomość literatury niemieckiej; nawet „Dziewicę Orleańską" przetłumaczył — lecz w tłumaczeniu osłabił.

Pod wpływem obu serdecznych przyjaciół wyrósł na poetę, znaczniejszego od nich talentem, młodszy brat Andrzeja, Kazimierz Brodziński. W tej samej szkole przejął się i on niemczyzną i z pod wpływu sielanki Gessnera nigdy nie zdołał się oswobodzić. Celował jednak wszechstronnością, której brakowało „klasykom", bo znał nietylko Francuzów (tłumaczył nawet ich tragedje „wzoro-

we"), ale i tych Niemców (Lessinga), których oni nie znali, a zachwycał się tem, czego „klasycy" nie uznawali t. j. poezją ludową; w niej jedynej odgadywał duszę narodową za przewodem wielkiego swego nauczyciela, Herdera, którego myśli wiernie powtarzał. Przejrzał z łatwością słabe strony poezji francuskiej dawnej, dworskiej, naśladowniczej, krępowanej regułami; tem mniej podziwiał polskich jej służebników; nowa „romantyczna" poezja, narodów głównie germańskich, nierównie bardziej go nęciła. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że ta romantyczna poezja, kochająca się w średniowieczu, gotyku, wyprawach krzyżowych, hołdach niewieścich, w duchach i przywidzeniach, w egzaltacji czucia i myśli, w gwałtownych przejściach i odmianach stylu, niezupełnie odpowiada duchowi narodowemu. Sam cichy, spokojny, wyobrażał sobie, że takim jest i charakter narodu, obawiał się więc, że fale nowej poezji, której sztuczne tamy warszawskie nie powstrzymają, zbyt daleko uniosą młodzież zapalną i naśladownictwo „klasyczne" ustąpi „romantycznemu" — a to, chociaż charakterowi narodowemu nierównie bliższe, niż wymuskana a chłodna klasyczność, znowu odsunie wdal jedyną, prawdziwą literaturą narodową. Tematy tej ostatniej upatrywał w przyrodzie swojskiej, w ludzie rolniczym, żyjącym wedle wiary i obyczaju ojców, łagodnym, wesołym, umiarkowanym. Swoje własne cechy rozciągał na całą Słowiańszczyznę, roztkliwiając się nad dziejami i losami całego „sławskiego" plemienia. Znał, jak Niemcewicz, jedną namiętność: patrjotyzm, lecz była ona u niego odmiennie zabarwiona, pozbawiona myśli politycznej, skierowana tylko do ziemi i ludu. Jako uczeń Herdera i jako wolnomularz wierzył ślepo w postęp, w odrodzenie chrześcijańskie, w braterską miłość ludów a literaturze przeznaczał wybitną rolę pomocniczą w przyśpieszeniu tego rozwoju. Biadał więc nad dotychczasowem poniże-

niem języka, nad wszechwładzą obcej mowy i obcych wzorów, których nikłość przejrzał: starał się żywem słowem, jako nauczyciel (wkońcu jako profesor na uniwersytecie warszawskim), oraz piórem, jako teoretyk i autor, szerzyć zdrowsze pojęcia o celu i środkach sztuki. Zdolnościom i upodobaniom jego odpowiadała najlepiej sielanka, ale już nie owa gessnerowska z ozdobami mitologicznemi i antycznemi, lecz sielanka unarodowiona — to też wsławił się najbardziej swoim „Wiesławem" z r. 1820. Sielanka Goethego była małomiejską, „Wiesław" musiał być ludowy, krakowski, dziarski, ochoczy, wesoły. Życie i typy tego ludu uchwycił Brodziński wyłącznie ze strony jasnej, słonecznej, barwnej i świątecznej; oddawał nowe zwyczaje, uwydatnił różnicę charakterów męskich i „babskich", a po „Żeńcach" Simonidowych, po „Krakowiakach i Góralach" Bogusławskiego jest to pierwszy na większą skalę wykończony obrazek ludowy. Ogólnie się też podobał: klasykom, bo unikał wszelkiego „prostactwa", młodym romantykom, bo unikał ozdóbek obcych a zbliżał się do owej narodowości upragnionej, o której coraz bardziej rozprawiano, chociaż istoty jej nie umiano uchwycić tak samo, jak w Rosji, z którą się zapowiadały po raz pierwszy stosunki łączności literackiej. Naśladował przecież młody Rylejew „Śpiewy historyczne" Niemcewicza — i zdawało się, że nastąpi coraz ściślejsze zbliżenie obu szczepów, a właśnie Brodziński odegrał niepoślednią rolę w tym pierwszym ruchu „panslawistycznym", który głównie wychodził od sentymentalnych Czechów, Słowaków, jak Kollar. Tłumaczył bowiem Brodziński ich pieśni ludowe, nowe i dawne, prawdziwe i zmyślone (Hanki), roztkliwiał się nad dziejami i losami innych Słowian, a przyszłość i pomyślność własnego narodu upatrywał w łączności z Rosją, podobnie, jak Staszic, jak Czartoryski, lub Lubecki, chociaż nigdyby się nie zgodził na pozbywanie

się cech własnych, na przekształcanie się w „bryły odmienne", o czem już niejeden (dawniej np. Albertrandy) przemyśliwał. Były to „lata miodowe" wcale umiarkowanego, rzewnego i tkliwego romantyzmu panslawizmu. Najdalej w entuzjastycznem sławieniu Słowiańszczyzny przedchrześcijańskiej i jej skarbów umysłowych, zatraconych w chrześcijaństwie, zapędzał się Zorjan Dołęga Chodakowski. Lach Szyrma, literat, filolog Majewski, antykwarjusze Rakowiecki i Surowiecki zapisali się chlubnie w studjach nad poezją, starożytnościami i dziejami słowiańskiemi.

Wybitnego uzdolnienia poetyckiego Brodziński niewiele posiadał, nad „Wiesława" się nie wyniósł i niebawem przeszedł zupełnie do prozy, szerząc jako krytyk i teoretyk trzeźwe poglądy, które niebawem przestały wystarczać rozwichrzonej młodzieży. Zaczął te rozprawy „Uwagami nad duchem poezji polskiej" (czyli „O klasyczności i romantyczności") w „Pamiętniku Warszawskim" z r. 1818, które z strony zacietrzewiałego klasyka a wroga niemieczczyzny i wszelkiej metafizyki, sensualisty Jana Śniadeckiego, wywołały odpowiedź, drukowaną w „Dzienniku Wileńskim". Nie dał się nią Brodziński zbić z tropu i powtarzał w wierszu i prozie, iż żąda od poety, żeby był sobą. Wciągał cały naród, nie klasę jednę, do literatury, pracował z pożytkiem dla ogółu, dążył do jego umiarkowanej szczęśliwości. Sumienne wypełnianie obowiązków profesorskich, żmudne przygotowanie całego kursu dawnej literatury, ogłoszonego niestety zbyt późno, bo po wielu latach, pochłaniało Brodzińskiemu wiele sił i czasu, a coraz wyraźniejsze uchylanie się młodzieży „romantycznej" od jego powagi zniechęcało go do pracy literackiej. Czuł rzewnie i głęboko, daleki będąc od wszelkiej ckliwości; jako prawdziwy demokrata pragnął oświaty i wolności dla wszystkich; nie uznawał przegródek stanowych, ani

literatury dla „niewielu" — ale jego cichy, skromny głos nie przenikał daleko. Dbały o czystość formy, o prawdziwość wysłowienia, kreślił obrazki miłe i tkliwe, ale nie porywał; teoretycznie wykazywał potrzebę czerpania wątków z dziejów i stosunków narodowych, ożywiania ich duchem rodzimym, zbyt je jednak ograniczał do sielskości,do skromnych aż nadto wymagań, do niepokaźności przyrody i ludzi, że podczas gdy klasyków zrażał piętnowaniem pustoty naśladownictwa choćby wzorów najlepszych, nie pociągał romantyków ani własną twórczością, która nie zrywała z przeszłością literacką, ani własną krytyką, stroniącą świadomie od wszelkiej egzaltacji, gdyż wszelką przesadę uważał za szkodliwą ze względu na zapalczywość charakteru narodowego. W murach klasycznej twierdzy warszawskiej dokonał tylko wyłomu; z wewnątrz mury te upaść miały pod taranami, jakiemi z „prowincji" w nie ugodzono.

Do roku 1830 urok Warszawy potężniał, pociągając zewsząd rodaków: Brodziński był „galicjaninem"; z Wołynia, Podlasia i Polesia śpieszyli do Warszawy Godebski, Osiński, dyrektor teatru, tłumacz tragedyj francuskich, dostarczyciel wszelakich ód; F e l i ń s k i, tłumacz Francuzów, autor „Barbary", którą dla pięknego języka i wzniosłych myśli patrjotycznych przyjęto z zachwytem jako pierwszą wielką tragedję narodową, oraz twórca hymnu narodowego „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki", który osięgnął istotną popularność dopiero po r.; 1860, w formie już znacznie od pierwowzoru odbiegającej Kropiński, Bernatowicz (Żmudzin), Gorecki z Wilna, autor „Krakowiaków", bajek i epigramów i i. Ci przybysze jednak, tak samo, jak ich poprzednicy za czasów stanisławowskich, zapierali się prowincji, dostrajali się do ogółu piszących i Parnas warszawski zasilał się świeżą młodzieżą, lecz bynajmniej się nie odmieniał.

Z biegiem czasu, przeciwnie, prowincja na długo zawładła Parnasem warszawskim.

Przewrotu dokonał romantyzm. Romantyzm jako zjawisko (zaraza, powiedziałby Śniadecki) w każdym kraju odmienne przechodził koleje, tak dalece, że np. u nas klasyków niemieckich, Goethego i Schillera, za arcyromantyków stale uznawano. Najogólniej pojęty, był romantyzm odwrotem od suchego racjonalizmu ku potrzebom i wymaganiom serca, od deklamacji napuszonej ku uczuciu i namiętności, od krępujących przepisów i wzorów ku twórczej samodzielności; od kosmopolityzmu do narodowości, od martwej zbiorowości ku żywej jednostce. A łączyły się z tem najróżnorodniejsze inne objawy: egzotyzm—orjentalizm, tradycjonalizm, ludowość z jej przesądami i klechdami, kult—uwielbienie katolicyzmu, feudalizmu, średniowiecza, głębokie niezadowolenie ze świata, smagające go biczami ironji w imię wyższej moralności i ideału, przedrzeźnianie samego siebie (ironja romantyczna), wiara w związek ze światem nadprzyrodzonym. Już w osiemnastym wieku pojawiały się luźne objawy takiego zwrotu: posępne malowidła Osjanowe, zamglone a tęskne, wzgarda życia—dnia wobec kojącej nocy—śmierci Younga, pogodne sielanki Gessnera, odwołujące od gwaru dworu i miasta, obniżanie kultury i konwenansu a wywyższanie przyrody i prawdy u Rousseau. Ale dopiero teraz, w wieku dziewiętnastym, uświadomiono sobie to wszystko wyraźnie i przeciwstawiono dawnej „naiwności" nowy „sentymentalizm", najrychlej w Niemczech, a to, co pani Stael u nich dostrzegła i z czem ziomków swych obznajmiała, to doszło drogą okólną na Paryż wkońcu i do nas. Pierwsze artykuły, tłumaczenia przeważnie, i pierwsze podobne próby pojawiać się zaczęły nawet w dziennikach warszawskich; przewrotu nagłego dokonał dopiero M i c k i e w i c z dwoma niepokaźnemi

tomikami wierszy, wydanych w Wilnie dzięki zabiegom przyjaciół w r. 1822 i 1823.

Na ziemi czarnoruskiej, dla politycznej przynależności „litewską" zwanej, w Nowogródku nad Niemnem (a raczej w pobliskim folwarku Zaosiu), urodził się z rodziców niezamożnych, ale już kulturalnych, 24 grudnia 1798 r. drugi syn, Adam; uczył się w powiatówce nowogrodzkiej u ks. ks. dominikanów a po jej ukończeniu zapisał się 1815 r. na wydział literacki uniwersytetu wileńskiego (warszawski uniwersytet jeszcze nie istniał, krakowski wlókł marny żywot, a lwowski był niemieckim), który był najznakomitszą uczelnią polską dzięki wydatnej protekcji Czartoryskiego a zabiegom Śniadeckich. Studja uniwersyteckie ukończył w r. 1819, poczem miał odsługiwać w powiatówce kowieńskiej lata utrzymania rządowego (w seminarjum, jako kandydat stanu nauczycielskiego). W seminarjum zszedł się z kilku towarzyszami, którzy, nie dorównywując mu uzdolnieniem, równi mu byli głębią serca i w imię ojczyzny, nauki, cnoty skupiali swe usiłowania w gronie, przezwanem „Filomatami", a założonem w jesieni 1817. Tu pisywano i oceniano nawzajem swe wiersze. Lecz Tomasz Zan, idealny tego grona przywódca, Czeczot i i. zostali niebawem prześcignięci przez Mickiewicza.

W twórczości swej przebył on w skróceniu cały bieg dotychczasowy literatury; zaczął od klasycznej (tłumaczenia z Horacego, a nawet Pindara nierychło porzucił), aby przejść do bezwzględnego uwielbiania wielkiego starca z Ferney (Voltaire), unosić się nad stylem Trembeckiego, a roztkliwiać nad Karpińskim. Od podziwu przeszedł do naśladowania. Na posiedzeniach filomackich wymagano przedstawiania coraz nowych prac własnych. To też w gronie filomatów odczytywał poeta pierwsze próby swego pióra, przeróbki z Voltaire'a, swawolną „Panią

Anielę", poważniejszego „Mieszka" (zniewieściałego, zahartowanego w niewoli i pod wpływem miłości), jął się nawet przekładu sromotnej „Pucelle d'Orléans", z którego ocalała tylko pieśń piąta; wkońcu porwał się na poemat opisowy własnej inwencji p. t. „Kartofla", ale z zamierzonych czterech pieśni tylko pierwszą wykończył, wiążąc dzieje wyprawy Kolumba z zapachem pieczonej kartofli i wywodami o jej pożytku. Wolnomyślna aura wolnomularskiego Wilna przebijała tu w wycieczkach, nietylko żartobliwych, przeciw duchownym; uderzała już w tym utworze siła języka, nie stroniącego od prowincjalizmów; biło mocne przywiązanie do ojczystej „Litwy", niby bezwiedny separatyzm, ale godzący się szczerze, bez zastrzeżeń, z całą ojczyzną, Polską.

Lecz nie sposób było ugrzęznąć, za przykładem klasyków warszawskich, w samej francuszczyźnie; nęciło poznanie innych literatur, zwłaszcza niemieckiej. Wobec Schillera i Goethego zmaleli odrazu Francuzi. Ody, ballady, „Zbójcy" wstrząsnęły poetą; to też odwrócił się on od poezji dworackiej, dowcipnej, szyderczej—fantazja i uczucie przemówiły. I już w grudniu 1819 r. powstawały pierwsze własne próby w tym nowym rodzaju (ballada: „To lubię"), tłumaczenia („Rękawiczka"), mniej udolne narazie, niebawem przewyższone „Liljami" i „Odą (hymnem) do młodości", która przypominała wprawdzie formą i niejednym zwrotem entuzjastyczne ody Schillera, lecz odbiegała od nich zasadniczo niezłomną wiarą w możliwość, a więc i w konieczność ziszczenia ideałów już na ziemi, co Schiller poza gwiazdy przenosił.

Młody zapaleniec przechodził jednak spólcześnie ciężkie próby, które sprowadzały go z ideałów na ziemię, zmieniając patrjotycznego filomatę w sentymentalnego Gustawa-Werthera. Miłość ku „Maryli" doznała śmiertelnego ciosu i zdawało się przez czas jakiś, że poeta, Pegaz w jarz-

mie kowieńskiem, nie przeboleje tego zawodu. Żale swe i skargi wylewał w wierszach płomiennych, jakich dotąd ani przeczuwała chłodna poezja polska. I owe próby balladowe i te żale serdeczne złożyły się na tom: „Poezje Adama Mickiewicza". Ukazały się one w czerwcu 1822 r. i zrazu najbardziej były kupowane przez służące i pokojowe; po roku wyszedł tom drugi. Ballady i romanse pierwszego tomiku wyjątkowo tylko (np. „Lilje") trafiały w istotną nutę ludową; pociągały świeżością stylu i treści, rozmaitością tonu, od żartobliwego, humorystycznego począwszy („Pani Twardowska") aż do sentymentalnego („Powrót Taty" i i.) i tragicznego; przedmowa proza uzasadniała ów zwrót ku mniemanej pieśni ludowej, a ballada „Romantyczność" najjędrniej wykładała program nowej poezji serca i czucia. Nierównie wyżej stanął poeta w drugim tomiku, nie w epicznej i patrjotycznej „Pięknej, poświęcającej się dla ojczyzny, a utrzymanej w cieniach poematów bajronowskich, powieści o Litwince „Grażynie" — wydobytej z średniowiecza jako z ulubionej krainy romantycznej, lecz w spowiedzi własnego serca, ujętej w dziwaczne ramy „Dziadów". Nie widział poeta sam nigdy takiego obrzędu, bo nie istniał on już w dziewiętnastym wieku, ale słyszał o ludowym obchodzie Zaduszek i to, co w dawnych kronikach wyczytał o zwyczaju litewskim (tylko nie na Litwie, lecz na Rusi), samowolnie połączył z białoruskim obchodem i Dziady własne, nie ludowe stworzył. Powtarzać za Wertherem opis kiełkowania, wzrostu i szału namiętności i opisywać katastrofą końcową — ubliżało oryginalności i nie odpowiadało właściwemu stanowi duszy Mickiewicza, a jeżeli poeta zgóry, nietylko ze względu na cenzurę, ubrać zamierzał losy Gustawa w przestrogę dla młodzieży, to mimowolnie zdobywał się na pomysł wprowadzenia samego samobójcy na scenę i na przełożenie spowiedzi bohatera, u Byrona (którego

teraz pożerał) na łożu przedśmiertnem odprawianej, na życie pozagrobowe; do tego zaś potrzebował owego obrzędu Dziadów, kiedy to dusze zmarłych na chwilę między swoich wracają. W ten sposób romantyczne zachowanie ludowego i mistycznego kolorytu pogodzone zostało z wynurzeniami indywidualnemi. „Dziady" podzielił autor na część drugą (sam obchód) i czwartą (spowiedź samobójcy, dzieje miłości, ulotnych rozkoszy i ciosu zabójczego); później zaczął istotnie dorabiać wcale zbędne dodatki (część pierwszą; o trzeciej, nigdy ani nie pomyślał i słusznie — miejsca dla niej nie było). Część druga, obojętna, stanowi ramy obrazu; część czwarta spełniła ideał Napoleona. Bo słusznie gorszyło namiętnego Napoleona, że na samobójstwo Werthera złożyły się prócz miłości przyczyny uboczne, postronne; Gustaw szaleje i ginie jedynie z miłości; odtrąca wszelkie namowy, pocieszenia, inne cele życiowe dla niego nie istnieją — cały opanowany jest jedną jedyną namiętnością. Los jego ma być przestrogą. Cała dotychczasowa odwieczna poezja zbladła wobec tych wybuchów wulkanicznych, bezkrwistą się wydała wobec tej pożogi myśli i zmysłów, wyrażonych jak najoględniej ze względu na cenzurę. I jak niegdyś Kochanowski, nie dbając o sąd spółczesnych, pofolgował skargom osobistym, tak teraz Mickiewicz odsłonił głęboką ranę własnego serca, ani pytając o łaskawe pozwolenie publiczności, i zgorszył niejednego podobnie, jak Kochanowski.

Z udręki sercowej wyrwało poetę prześladowanie rządowe; wykryto „spisek" (niebywały) filomatów — i z uczelni kowieńskiej i samotności wileńskiej powędrował Mickiewicz w październiku 1823 r. do więziennej celi w klasztorze bazyljanów, skąd wypuszczony został na wolność w kwietniu 1824 r. a następnie wysiedlony do Rosji w październiku tegoż roku. Tam tułał się między

Petersburgiem, Odesą a Moskwą, aż mu przyjaciele wyrobili paszport zagraniczny, za którym opuścił Rosję w maju 1829 r., kierując się przez Niemcy i Szwajcarję ku Rzymowi.

Okres, spędzony w więzieniu wileńskiem, obfitował w improwizacje płomienne; pobyt w Rosji odbił się w „Sonetach" i „Wallenrodzie". Mało w poezji polskiej uprawiane sonety, o trudnej formie wierszowej, doczekały się pod piórem Mickiewicza mistrzowskiego opracowania; podczas, gdy sonety miłosne poświęcone były bogdankom odeskim, w „Sonetach Krymskich" opisał poeta po raz pierwszy Wschód, jego ludzi i przyrodę, pierwszy wprowadzając modny od czasu Byrona i Moore'a orjentalizm. Jak we wszystkiem, tak i w tem prześcignął spółczesnych, którzy za jego przykładem wierszowali teraz sonety tak, jak niegdyś ballady, i Wschodowi nawet, acz skromnie, hołdowali. Cudownie rzeźbiony język oraz niepoślednie myśli i obrazy zjednały dziełku tryumf niebywały, acz klasycy niepoprawni złośliwie się domagali tłumaczenia na język polski „Sonetów Krymskich", a to z powodu niektórych wyrazów o silnem zabarwieniu lokalnem.

Jeszcze w Odesie, jeżeli nie w celi bazyljańskiej, zaczął poeta „powieść litewską", którą wydał dopiero z końcem 1827 r. w Moskwie. Jak w „Dziadach" z obrzędem ludowym, tak samo dowolnie obszedł się tutaj z dziejami wielkiego mistrza: kilka nieporozumień wystarczyło mu do odtworzenia zarówno własnego obrzędu Dziadów, jak i własnego Konrada Wallenroda, który z historją prócz nazwy nic nie ma wspólnego. Względy cenzury wywołały nietylko „lojalną" przedmowę, lecz zaciążyły fatalnie nad układem powieści: co poeta od siebie zamierzał we wstępie powiedzieć, musiał włożyć w usta postronnej osobie. I dlatego jeden epizod „Uczty" rozrósł się na połowę niemal całej powieści, burząc proporcję całości. A były i inne braki:

zapomniał poeta zupełnie o chrześcijaństwie Konrada, zato nie zapomniał o miłostkach i sentymentach, niezupełnie licujących z wiekiem i stanem pary miłosnej. Ale te braki, czy mimowolne, czy świadome, wynagradzała stokrotnie sama powieść (urywana wprawdzie, bo utrzymana jeszcze w stylu byrońskim) ustępami takiej siły, plastyki i uczucia, że po raz wtóry bladła wobec nich cała dotychczasowa poezja, a tak czuły na wszelkie piękno Puszkin kusił się o przekład urywków; zaś nie na piękno, zato na „ducha" czuły zmysł Nowosilcowa (satrapy wileńskiego i warszawskiego) zadenuncjował utwór carowi jako niebezpieczny i wszelkie głosy publiczne o nim stłumił. I mogli się klasycy tylko po salonach oburzać na „patrjotyzm piński", co zdradę uświęca — publiczność odrazu „powieści litewskiej" górę nad każdą inną przyznała. Nie o uświęcenie zdrady chodziło, lecz o uwielbienie miłości ojczyzny i tylko małe duchy, jak Koźmian, czepiały się pozorów i potępiały bohatera. „Oda do młodości", niemal spółcześnie ogółowi przystępna, wskazywała cel, o drodze do niego (t. j. o samozaparciu się) pouczał „Wallenrod", pragnący przelewać dawne serca bicie i „dawną wielkość duszy" „w piersi słuchaczów"; poeta sam wzniósł się do roli owego „barda", stróża „arki przymierza między dawnemi i młodszemi laty", archanioła, czuwającego u wrót świętości narodowych, aby płomień nie zagasł. Poetom rosyjskim, nietrapionym myślą o zagładzie, grożącej ojczyźnie, egzaltacja Konrada wydawała się naśladowaniem bohaterów Byrona, ale młodzież polską podniecała sama idea i nikt o Byronie nie myślał. I odmienił się „gust" i sąd publiczności: z pustej zabawki dotychczasowej stała się poezja orężem w walnej o ojczyznę rozprawie; „Pińczuk" zawojował serca i głowy, a „klasycyzm" ulotnił się bez śladu. „Szkoły" i tym razem młody wieszcz nie wytworzył; kto żył, naśladował ballady, ro-

manse, sonety i upiornego Gustawa — arcymistrz zbijał z tropu i naśladowców i krytyków ciągłą odmianą tonu, treści i myśli, lecz serce narodowe już zdobył i właśnie w opornej Warszawie znalazł najgorętszych wielbicieli.

Z mniejszem poniekąd powodzeniem zdobywała spółcześnie z Litwą i Ukraina twierdzę warszawską. Bujna, szeroka Ukraina, o stepach nieprzejrzanych, o bitnej ludności kozackiej i hajdamackiej, dumna ze swych walk wiekopomnych i panów wielmożnych, nie znosiła porównania z niepokaźnym krajem jezior i lasów, zaściankowym i ubogim w tradycje. Jej kurhany, sterczące od czasu wędrówki narodów, jej dziady-lirniki, sławiący jej lud buńczuczny wobec potulnego Białorusina — cała ta tężyzna zaporoska tchnęła żywą poezją i czekała, ktoby ją w słowa zaklął. I znaleźli się tacy poeci właśnie wśród młodzieży polskiej. Pierwszy z nich Antoni Malczewski, niegdyś faworyt losu, potem złamany życiem, odsłonił w „Marji, powieści ukraińskiej" (1825 r.) Ukrainę pańską, szlachecką, polską, z wieku siedemnastego, z okresu walk tatarskich, opromienił ją istną aureolą, dziejową i poetyczną, i wyszlachetnił brudną anegdotę z dziejów dumy narodowej i przewagi „królewiąt" ukraińskich z osiemnastego wieku. Powieść zjawiła się jakby za wcześnie: żaden krytyk jej nie ocenił i nic nie zmaże wstydu, jakim się Warszawa okryła, nie uznając tej perły poezji polskiej — nawet Lwów ją uprzedził! Na roli nieprzygotowanej nie wzejdzie i najlepsze ziarno.

„Marja" ze swą tajemniczością opowiadania, grozą zbrodni, alegorjami wysłowienia wzorowała się na powieściach Byrona, lecz odbiegała od nich nieskończenie duchem zwątpienia, pokorą cichej rezygnacji, żalem głębokiego smutku: cała powieść nastrojona jest na ton posępny, nic w niej niema gorącego protestu Byrona, uderza w niej uznanie smutnej prawdy, że „robak się lęgnie i w bujnym

kwiecie", że na ziemi nie wzejdzie szczęście dla prawych. I dokonał Malczewski tego, o czem Mickiewicz, wyłącznie męski poeta, nigdy nie pomyślał (za wyjątkiem Grażyny): stworzył ideał kobiecy, wprowadził pierwszy do poezji (mimo patetycznej „Barbary" Felińskiego) niewiastę kresową, kruchą ciałem a silną duchem, której mężczyźni miejsca ustępują. Język chropawy nieco (łamał się niegdyś Malczewski z francuszczyzną domową) i blady, opowiadanie jakby urwane (zarówno Wacław, jak i Wojewoda-ojciec giną nam z oczu), z zagadkową postacią pacholęcia, wynagradzały blaski prawdziwej poezji, wiejącej od postaci Marji, od stepu, od przeszłości hartownej, co takie kobiety i męże wydawała; smutek tylko bezbrzeżny przenika cały utwór. Malczewskiego znamy jako autora tylko tego jednego dzieła, gdyż padł na zagonie nagle, jak kwiat mrozem zwarzony.

Wymarzoną Ukrainę, pełną aromatu ziół sennych, strojną w morze kwiecia, rozśpiewaną i roztęczoną, oraz jej bohaterów fantastycznych ukazał w poezji swej Józef Bohdan Zaleski. Tęskniąc na bruku warszawskim za wspomnieniami lat dziecinnych, spędzonych u stóp Iwanhory, w chacie znachora, między krasawicami, wyidealizował ludzi, podania, przyrodę i z tą ułudą już się nie rozstał; upajał się nią i uzbrajał przeciw wszelkim zawodom, miłosnym i patrjotycznym. Już w powiatówce humańskiej u ks. bazyljanów, gdzie kolegował z Goszczyńskim, Grabowskim (Michałem, krytykiem), Padurą (Tymkiem, który dumki ruskie po rusku pisał), zaczął zwyczajem młodzieży wierszyki składać, a przybywszy do Warszawy, coraz częściej wyśpiewywał ballady i liryki z tradycji ukraińskiej i z motywów Uhlanda i i., odznaczając się muzykalnością, cechą jemu niemal jedynemu właściwą. Obok dum historycznych, w istocie bardzo mało z dziejami czy z tradycją związanych, ale hożych i śpiewnych, nęcą-

cych kolorytem dziarskim, kozackim, cały czar przyrody stepowej, jaki jako chłopię wchłonął, wyraził w „Rusałkach", najobszerniejszym i najfantastyczniejszym utworze (r. 1829). „Sen na kwiatach, sen mój złoty" wplótł poeta w świeżą przygodę miłosną własną, a opowiedział ją „Cisław" „Zorynie", która go czarem wdzięków i ziółek upoiła i w taką niewolę powiodła, iż wydobywa się z niej zapomocą rusałek, aby w lirycznym epilogu tęsknić za rozwianą ułudą, narzekać na życie marniejące. Mało w tem treści i wątku, ale wiele cudów, barwy i ruchu, a obrazki przyrody i dziewic rozbawionych i pustych oraz powiewnych postaci rusałek taką przepojone są poezją, lśnią takim przepychem krasy wiośnianej, że czytelnik mimowoli daje się unosić tym dźwiękom w jakiś kraj zaczarowany, utkany ze mgieł różanych, rosy niebiańskiej i światła zorzy. Już tu zaznaczała się stała skłonność ku poezji ludowej, słowiańskiej, pod hasłem bajecznego wieszcza Bojana, który wznosi się nad rozterki późniejsze i łączy bratnie ludy; już tu wyodrębnił się ów szczególny świat kozacki Zaleskiego, daleki od plemiennej, spółczesnej, religijnej nienawiści, gotów do usług dla matki-Rzeczypospolitej, rycerski, pełen animuszu młodzieńczego, beztroski, szumny i dumny.

Temu to we snach poetyckich wykołysanemu światu przeciwstawił Seweryn Goszczyński w r. 1828 realny świat hajdamacki, pełen grozy, krwi, pożogi, w strasznych obrazach „Zamku Kaniowskiego", najposępniejszej z powieści polskich, w której słońce chyba przypadkiem i przelotem mgły nocne rozświeca, a uczucie ludzkie i łagodne chyba ukradkiem się zjawia. Goszczyńskiemu ułożyła się młodość inaczej, niż Zaleskiemu, optymiście, marzycielowi, niezdolnemu do czynu. Ludowiec-demokrata, zapalony wróg wszelkiego „państwa", ścigany przez nędzę i policję, autor szerzonych w odpisach pieśni rewolucyjnych, grożący zagładą i zemstą możnym tego

świata, spiskowiec wytrawny, wkońcu belwederczyk, zaprawiał się najpierw na niezdarnych pieśniach erotycznych, na dumach historycznych, na nierównie lepszych obrazach przyrody, gdyż ona jedna go przyhołubiła. Z podań gminnych, z dziejów istotnych, z przygód własnych ulepił wkońcu ów „Zamek", nad którym i posępność Osjana, i pesymizm Younga, i maniera Byrona (w urywanej opowieści, w tajemniczości czynów i sprzecznościach pobudek) się odbiły. Gdy Zaleski tylko w słońcu malował i wszystko, co czarem barw i woni ponętne, z opowieści ludowej a jeszcze więcej z własnego rozmarzenia wybierał, Goszczyński wszelkie potworne i przerażające przesądy i baśni o upiorach, wiedźmach, puszczykach powplatał w obraz swoich opryszków-hajdamaków, wstrętnych, opitych, krwiożerczych; przygrywka u stóp szubienicy pod złowrogiem wyciem zawiei godna jest epilogu z konającym na palu Nebabą i groźną zapowiedzią, że po zatrząśnięciu bramy piekielnej po wojnie „znów tenże pokój i zbrodnie te same" nastąpią. Jest tu zupełny brak nadziei. Poeta wykazał silny talent epicki; nakreślił i sceny i charaktery ciekawe, nietylko groźne; poruszył świat ukraiński, jego zwyczaje (obchód Kupały np.) nierównie plastyczniej, niż Zaleski, a z wierzchołka dębu roztoczył obraz prawdziwie imponujący. Język szorstki miejscami odbijał rażąco od śpiewności Zaleskiego, oddawał zato wrażenia z siłą niepospolitą, tchnął nierównie istotniejszą ludowością. Skala jego uczuć była obszerna, nie brakło mu nawet idyllicznego zacięcia; gdy wybuchła nagła burza, Goszczyński był pierwszym poetą polskim, który stanął w imię sprawiedliwości po stronie obcego ludu i nie zawahał się wytoczyć procesu panom i półpankom ukraińskim, założyć swego protestu przeciw jarzmu i gnębicielom.

W tej tak zwanej szkole ukraińskiej ani mowy nie było o szkole t. j. o wspólnym programie, stylu, czy treści. Każdy

z tej trójki poetów patrzył na swoją Ukrainę z własnego punktu widzenia: polską, rycerską, chrześcijańską odsłaniał Malczewski; tęczową i ułudną, dziarską i ochoczą, powabną i bajeczną wyidealizował Zaleski; dziką, ponurą, dziejową odtworzył Goszczyński, ale ją (choć nie lud) niebawem na zawsze porzucił tak, że sam jeden Zaleski poezję ukraińską uprawiał, znajdując naśladowców dzięki pozornej łatwości treści a niesłychanej muzykalności wiersza, który wkońcu niemal przedrzeźniano.

„Szkoła" litewska i ukraińska zbogaciła poezję polską o nader cenne walory, a narodowość, o której ciągle prawiono, choć jej określić nie umiano, wkraczała teraz sama na ów Parnas i odnawiała poniekąd unję lubelską.

Z poezją romantyczną zjawiła się i krytyka romantyczna, piastowana przez Michała Grabowskiego, a nierównie energiczniej przez Maurycego Mochnackiego. Urodzony publicysta, mówca, demagog, wrażenia i wyniki lektury niemieckiej, rozpraw Schillera i filozofji Schellinga w śmiałych uogólnieniach z niepospolitą werwą rozwijał, poezję otrząsał z naleciałości klasycznych i w „dziełku" „O literaturze polskiej w wieku XIX" (1830 r.) po raz pierwszy u nas jako cel literatury postawił „uznanie się narodu w jestestwie swojem", czyli zdobycie samowiedzy. Dopiero teraz osięga literatura tę samowiedzę i dopiero teraz na miano narodowej zasługuje. Silne odczucie piękna, wrażliwość estetyczna, która i słabszych stron wychwalanych utworów nie przeoczała, wymowa porywająca cechowały tem manifest krytyczny młodzieńca, który nietylko teoretyzował, jak to u Brodzińskiego bywało, lecz w samych dziełach sztuki śledził i wykazywał zwycięsko zalety i zasługi nowej szkoły. Nic mu przeciwstawić nie mogli klasycy i zeszli bez sławy i walki do grobu.

Wobec rozkwitu poezji powieść marnie się przedstawiała. Uprawiano historyczną, bo walterscotyzm zapa-

nował w całej Europie; najlepszą p. t. „Pojata, córka Lizdejki" (1826, wydawana nieraz i tłumaczona) stworzył B e r n a t o w i c z, zaczerpnąwszy temat z dziejów litewskich, z zarania pierwszej unji (Jagiełły i Jadwigi). Dla zdobycia wymaganego przez walterscotystów zabarwienia lokalnego wrócił nawet na rodzimą Litwę i obchodził nieme ruiny wielkoksiążęcych Trok, czy Kiernowa; po sumiennem przygotowaniu dał obraz, którego historyczność imponowała spółczesnym, szczególniej w porównaniu z taką pseudoklasyczną epopeją jak „Jagiellonida" Tomaszewskiego, chociaż dziś ani historja, ani psychologja nie przyznałyby się do tego obrazu. Z mniejszą starannością przygotował następną powieść historyczną z czasów Kazimierza Wielkiego p. t. „Nałęcz"; nie dorównał mu jednak żaden inny autor z tych, co się wtedy w zawody z nim o podobne wawrzyny kusili: ani młodziutki Krasiński, ani starszy Wężyk, czy Skarbek. Prawdziwą powieść historyczną skreśliła wtedy jedynie panna T a ń s k a (późniejsza p. Hoffmanowa); nie sięgała ona wprawdzie do zamierzchłej przeszłości, ani do głośnych wydarzeń, zato i w „Listach Elżbiety Rzeczyckiej" i w „Dzienniku Franciszki Krasińskiej" odmalowała stronę obyczajową czasów saskich, a w osobie Krasińskiej, żony królewicza saskiego, skreśliła niezły obrazek kiełkującej dumy kobiecej.

Jeszcze słabiej rozwijała się powieść spółczesna, uprawiana głównie przez panie. Stawał obok nich i S k a r b e k w powieściach napół humorystycznych. Żadnej z tych bladych i nieco naiwnych powieści nie można porównać z romansem francuskim J a n a P o t o c k i e g o, który bujnością fantazji, głębokością i nowością myśli przewodniej, egzotycznością tła a zmysłowością, przebijającą wszechwładnie—wszystkie inne daleko za sobą wtyle pozostawił.

ROZDZIAŁ DRUGI

WIELKA LITERATURA NARODOWA NA EMIGRACJI.

Emigracja — Mickiewicza „Księgi narodu", „Dziady III", „Pan Tadeusz". — Słowacki. — Krasiński. — Powieść. — Znaczenie tej poezji.

Walka między klasykami a romantykami byłaby rychło ucichła, gdyż romantycy tworzyli, klasycy tylko dowcipkowali, lecz powstanie narodowe, romantyczne w samym zaczątku, zmiotło całą klasyczność natychmiast bez śladu i na zawsze. Rewolucji samej w duchu rewolucyjnym nie prowadzono, więc upadła ona mimo bohaterskich wysiłków wojska i niebawem znowu „porządek" zapanował w Warszawie. Ale naród nie dał za wygraną, nie kapitulował; oficerowie i publicyści, posłowie i profesorowie, żołnierze i poeci opuścili kraj, stanowiąc żywy protest przeciw brutalnej przemocy, krzepiąc się nadzieją rychłego, zwycięskiego powrotu. Ster i władzę nad duchami opuszczonych przez jenerałów i dyplomatów objęła poezja i z emigracji, głównie paryskiej, narzuciła się narodowi za przewodniczkę. Nigdy przedtem, ani później, w żadnym narodzie, ani czasie, nie wysunęła się poezja równą przewagą i powagą na czoło całego społeczeństwa jako wszechwładna pani serc i umysłów; walkę na broń odmieniając w walkę

na pióra, broniła „arki przymierza" i świętości narodowych przeciw zawiei, grożącej od Północy, podtrzymywała wiarę w sprawiedliwość, przeciwstawiała chwilowym bożyszczom siły i ucisku ideały wiekuiste, wskazując jutrzenkę swobody, a postęp ludzkości wiążąc nierozdzielnie ze wskrzeszeniem Polski.

Najgoręcej i najskuteczniej przemówił Mickiewicz. Studja estetyczne i literackie (zagadnienie Prometeusza, tytana, wyzywającego bogów olimpijskich w imię ludzkości), wrażenia z Rzymu, powoli orzeźwiające zmartwiałą w Wilnie i Rosji wiarę religijną, zmąciła piorunująca wiadomość o powstaniu. Trzeźwy Litwin, świeżo poznawszy niewyczerpane siły i niezłomne zamiary moskiewskie, ani na chwilę się nie łudził, jak się nierówna walka zakończy, więc nie śpieszył na plac boju i po niewczasie dopiero do niego się zbliżył. Porwany falą emigracyjną do Drezna, pokrzepiony obcowaniem z dawnymi i nowymi znajomymi (Pol, Garczyński), wyruszył do Paryża i tu osiadł na stałe. Uczuciowa poezja jego skupiała się długo w głęboko nurtującym poniku, zanim rozerwała tamy: po latach niby jałowych z podwójną teraz wybuchnęła siłą. Rok 1832, drezdeński i paryski, to wyżyny twórczości Mickiewicza. Nie znaczy to, jakoby wtedy dopiero po raz pierwszy objawiły się pewne myśli i obrazy — owszem, niejedno, napisane dawniej, np. obrazy z autopsji petersburskiej (wrażenia własne z Newskiego Prospektu i placu Marsowego) opisał już w latach 1828—1830, a później tylko uzupełnił i do nowego dzieła wcielił; przejścia duchowe Gustawa-Konrada trapiły go już w Rzymie, ale to, co dawniej kiełkowało, dopiero teraz ostateczne przybrało kształty.

Względy na potrzebę chwili sprawiły, że z końcem 1832 r. w Paryżu wydał najpierw to, co najpóźniej powstało: „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego",

swoją „ewangelję", rozchwytaną w kilku wydaniach, tłumaczoną i naśladowaną i uwielbianą powszechnie. Słusznie uznał poeta, że „duszą narodu polskiego jest (było chwilowo) pielgrzymstwo polskie", ale w tej duszy, zamiast upragnionej zgody, wylęgła się „piekielna stujęzyczna żmija", bo każdy emigrant na swój sposób ratował ojczyznę, a posądzał i obwiniał każdego, kto mu nie przytakiwał. Dla łagodzenia tej waśni, jątrzącej świeże rany, zwrócił się poeta w duchu, tonie i formie ewangelji przeważnie do małej braci, zahukanej sporami, aby ją oświecić, pocieszyć, wychować na żołnierzy legjonu przyszłości; streszczał więc dla nich najpierw dzieje ludzkości a w nich rolę Polski, krótko, dobitnie, nieraz przesadnie; w drugiej, obszerniejszej części, pełnej przypowieści, jakby w stylu mędrca wschodniego utrzymanej, uczył o znaczeniu, zadaniu, przymiotach „pielgrzymstwa-emigracji", która nie powinna schodzić z drogi prawej, jedynie dobro ojczyzny a zarazem ludzkości mając na oku. I nikt się nie zdobył na słowa równie kojące, równie miłością przepełnione, otuchą wzbierające, i chociaż autor nie politykował, bo stronił od polityki, zaklętej w ciasne hasła partyjne, i żadnego „politycznego" programu nie podawał, jednak wskazaniem najwyższych celów serca podnosił i upadłych, znękanych pocieszał; zrzekając się wszelkiej górności, w najprostszych słowach do serc trafiał rodakom, czerpiąc natchnienie z własnej, przepełnionej bólem i troską duszy.

Po „Księgach" wydał napisane wcześniej „Dziady, część trzecią" (drezdeńskiemi przezwane w odróżnieniu od dawnych, kowieńskich, których część drugą i czwartą teraz liczył jako pierwszą i drugą). Zatrzymał pierwotne zupełnie luźne ramy „Dziadów", by móc znowu prawić o sobie jako o Gustawie-Konradzie, mścicielu krzywd ojczyzny, który Boga za nie do odpowiedzialności wzy-

wa, z Nim się na potęgę miłości mierzy, bo w sobie samym czuje siłę twórczą. Osobisty to dramat; te harde, nadobłoczne i nadgwiezdne wzloty przed tron wiekuistej Mądrości splótł poeta ze wspomnieniami wileńskiemi, pochodzącemi z celi więziennej bazyljanów, z epoki pierwszych srogich prześladowań. Ofiary ich przesuwał przed oczami w obrazach, przejmujących grozą, plastyką, nabrzmiałych pogardą dla katów, dyszących oburzeniem i zemstą. Ze względu na żyjących należało nieraz nazwiska zupełnie, lub częściowo odmieniać; reszta jest, niestety, aż nadto prawdziwa. Ironji puszczał wodze w kreśleniu „senatora" (Nowosilcowa), jego siepaczy oraz towarzystwa salonowego, warszawskiego; nie szczędził nawet drastycznych scen egzorcyzmowych, pisanych jakby pod wpływem Fausta, czy misterjów średniowiecznych.

Znamiennem było nowe zapatrywanie na bezwiedzę życia ludzkiego, objawiające się we śnie: sen złym karę a dobrym ukojenie zsyła, bo czuwają nad nimi czarci i anieli. Odwrót poety od dawnego, jeszcze w Rzymie silnie się odzywającego, ale pokonanego wolnomyślicielstwa i obojętności w rzeczach wiary był zupełny i „dziecko świata", jak mu to malarz, mistyk, wolnomularz Oleszkiewicz w Petersburgu przepowiedział, przeistaczało się w mistyka, narazie w gorącego chrześcijanina. Więc improwizacja Konrada, skarga i obraza Boga osiągnęła najwyższego napięcia myśli i czucia, nieprześcignione w literaturze całego świata; chociaż poeta powoływał się na cały naród, na te cierpiące miljony, za któremi przemawiał, nie został wysłuchany; a to, czego dumnemu bluźniercy odmówiono, to otrzymał korny, skruszony, gorąco wierzący ks. Piotr i w jego widzeniu odsłoniły mu nieba rąbek przyszłości, ukazały zbawienie i zbawiciela narodu w obrazach, rysach

i liczbach, z których sam poeta, porwany wirem natchnienia, dokładnie sprawy sobie nie zdawał, acz siebie samego miał na myśli.

Jak poprzednie części, tak i ta część „Dziadów" dramatem nie była, chyba w romantycznem tej nazwy pojęciu, jakie właśnie Francuzi szerzyli; składała się z luźnych scen, o ciągle odmiennej widowni, formie, stylu, które, skojarzone i kontrastem jawnym i niewidzialną nazewnątrz siłą ducha, łączącą, przenikającą wszystko, nacechowane niesłychaną dotąd mocą wysłowienia, lirycznie-związłego, czy szeroko-epickiego — godziły dziwnym cudem dramat metafizyczny niby i transcendentalny z najbardziej realistycznym i stawały godnie obok „Fausta" i „Manfreda", obok „Prometeusza" i „Joba", górując nad niemi przez to, że poruszały nie osobiste, lecz narodowe przejścia, że miłość, nie harda duma je podsycała.

Wywożą z Wilna Konrada-Adama, to zaś, co dostrzegł poeta w Rosji w czasie pobytu nadnewskiego, to wyśpiewał „Ustęp", niezrównany w sile gryzącej ironji i sarkazmu, w plastyce opisów przyrody, czy sztuki, w głębokiej analizie charakterów plemiennych; trudno odnaleźć w literaturze świata i równą ironję, i równą głębię skarg, i równie wspaniałe opisy; odczuli to sami Rosjanie: Puszkin i Hercen podziwiali siłę poety. Niemasz wymowniejszych, wzruszających słów miłości i wzgardy, czci i potępienia, jak w wierszu do „Przyjaciół Moskali".

A w tym samym błogosławionym 1832 roku zaczął poeta i „Pana Tadeusza", którego z powodu różnych walnych przeszkód dopiero w lutym 1834 r. wykończył jako epopeję narodową w dwunastu obszernych księgach. Nie zanosiło się z początku na taką „machinę"; autor myślał zrazu o sielance szlacheckiej, lecz sielanka

rozrosła się w romans Walterscottowy, z ukrytą za sceną tajemniczą osobą (ks. Robakiem).

To najbardziej polskie dzieło napisane zostało w mansardzie paryskiej. Nie był to przypadek. Śród wrzasków piekielnych kłócącej się zawzięcie emigracji uśmiechało się tem ponętniej wspomnienie sielskiego-anielskiego kraju młodości, odnawiał się nierozerwalny związek z jego ludźmi i przyrodą rodzinną, a w ten tęsknotą wyzłocony obraz nie wkradł się ani jeden rys z nowego otoczenia poety; nie byłby ten obraz wypadł tak promiennie, gdyby nie uczucie tęsknoty za utraconym rajem, do którego rwały się myśl i serce Mickiewicza. Nabrzmiałe łzami te karty, pełne są jednak wdzięcznego humoru, z jakim przed oczyma duszy przesuwał sam poeta postacie i krajobrazy. W żadną epopeję świata nie wsiąkło tyle uczucia rzewnego, tyle żalu za zapadającem się w otchłań wiekową życiem, tyle miłości serdecznej — dlatego przewyższa ta epopeja każdą inną; była ona wylewem serca, a stworzył ją artysta w najwyższym rozkwicie swych sił, z prawdą najżywszą, dla pokrzepienia i własnego i tułaczy-braci. I dlatego przemówiła ona nie do fantazji, lecz do uczucia i z każdym lat dziesiątkiem rosło jej ukochanie i uwielbienie. Narazie emigracja nie doceniła jej doniosłości, zajęta sprawami dnia, przyszłością, nie przeszłością trapiona. Świat zaś, jaki Mickiewicz opisał, należał istotnie do dziejów bezpowrotnych; był to świat staroszlachecki, zaściankowy, cichy, nie znający magnata, mieszczanina, chłopa, wypełniony głównie owym tłumem szaraczkowym, który to podtrzymywał dawną Rzeczpospolitą, a gdy ona znikła, on pozostał przy dawnym trybie życia, zwłaszcza na Rusi litewskiej, gdzie nawet Statut Litewski nadal obowiązywał, gdzie poddaństwo kwitło, a o mieszczaństwo nikt ani nie pytał, gdzie w patrjarchalnym, trady-

cyjnym żywocie sielskim mody i zwyczaje zachodnie i stołeczne chyba dla rażącego kontrastu i ukradkiem tylko się zjawiały. W podtytule dzieła („Ostatni zajazd na Litwie") zadźwięczała nuta, brzmiąca przez cały poemat: po raz „ostatni" odzywa się w niej świat ginący, wyczarowany w całej piękności przez tego, co znał jeszcze szczątki dawnych tradycyj i je uwiecznił. W świecie staroszlacheckim, wyłącznie obywatelskim i męskim, żyje rubaszny kwestarz i Żyd przemyślny; niema tu kobiety (pilnującej tylko domu-rodziny), więc bez niej obywa się niemal poemat, o ile na to zawikłanie, polegające na sporze rodowym, dozwalały. Obok ludzi wszechwładna jest przyroda w tym żywocie ziemiańskim, i jej mistrzowskie obrazy o niesłychanej barwności i plastyce stanowią osobną tego arcydzieła zaletę. Sama zaś historja zaścianku, rzucona na tło epopei napoleońskiej, chociaż żadnej ówczesnej znakomitości czynnie nie wprowadza, nabiera osobliwszego znaczenia, wpleciona jakby w koło wszechdziejowe. Również plemienny, polsko-ruski antagonizm zazębił się w wątek niezłożonej opowieści, której wielki spokój epicki mąci jedynie wysoce dramatyczna spowiedź Robaka. W Robaku samym poeta, zawsze sobie wierny, własne poniekąd upoetyzował przejścia miłosne. Mistrzowsko wplecione opisy ludzi, rzeczy i przyrody, których nikt nie prześcignął, stanowią główną siłę dzieła.

Po zapasach tytanicznych „Dziadów" drezdeńskich był „Pan Tadeusz" paryski wypoczynkiem, przystankiem dla fantazji twórczej, która sama bez zgrzytania, przekleństw i bluźnierstw orzeźwiła się w krynicy wspomnień tkliwych, błogich, uśmiechniętych. Był to zarazem ostatni wielki wysiłek poety. Pauza, nieodzowna po tych iście nadludzkich zmaganiach z poezją, przedłużała się, przygotowania do dalszych części „Dziadów" wciąż

były odkładane; najprzykrzejsze warunki życia, próby ciągłej odmiany pracy zarobkowej dla utrzymania rodziny na emigracji wyczerpywały zasoby poetyckie. Przybliżał się odwrót stanowczy: od poezji do czynu, od fantazji do kazania, od pogańskiego uwielbienia piękna do chrześcijańskiego pełnienia obowiązku. A odwrót nie był ani nagły, ani nadspodziewany, wyniknął z najgłębszych podkładów duchowych poety, który już w Rzymie wiarę pokorną odzyskiwał, a w Paryżu wprowadzał ją w czyn, gromadząc wokół siebie spółwyznawców, widząc w wierze kotwicę zbawienia, własnego i narodowego. Ta wiara bynajmniej nie była jednoznaczną z oficjalną, kościelną, która właśnie wtedy była najbardziej wyjałowiona, czcza, raczej zewnętrzna, niż wypełniająca serca. Na grunt tak przygotowany rzucił posiew inny Litwin, Andrzej Towiański, „mistyk", bo wierzył w cudowne odnowienie, zewangelizowanie tonącej w materjalizmie ludzkości.

Uwierzył więc Mickiewicz w jego posłannictwo, bo takiego mistrza wyczekiwał właśnie jego duch spragniony, i towianizmem przepełnił poeta ostatnie półrocza wykładów, jakie w Collège de France z katedry literatur słowiańskich wygłaszał. Przepowiadał w nich chrześcijańskie słowo-czyn, harmonję między schodzącą w modlitwie łaską bożą a życiem, nawet powszedniem (ów „ton", na którym „sprawa" głównie polegała). Świetnością poglądów, jasnością porównań, mnóstwem szczegółów, nowych osobliwie dla publiczności francuskiej, a wkońcu entuzjazmem prorockim, oskarżaniem martwoty zewnętrznych praktyk, przepowiadaniem mesjanizmu-odrodzenia — czarował Mickiewicz słuchaczów. Literaturę nadobną i pióro jej służące zarzucił, przynajmniej dla nas, już w r. 1834, po „Tadeuszu", mimo wszelkich prób polskich i francuskich (dramatów, z prze-

szłości poniekąd francusko-polskiej, z konfederacji barskiej czerpanych); po r. 1841 zatapiał się coraz wyłączniej w pracy duchowej, wewnętrznej, religijnej nad sobą i nad drobnem gronkiem, które się około niego w „kole" zjednoczyło, za co pomawiany był w emigracji nawet o odstępstwo od sprawy narodowej. Gdy jednak „mistrz" (Towiański) od wszelkiego czynnego mieszania się w politykę i rewolucję w imię samodoskonalenia i propagandy etycznej uparcie stronił, wyłącznie „marzył" i „śnił", uczeń jego rwał się do czynu, który próbował wcielić w życie, czyto za wiosny ludów w r. 1848, gdy w Rzymie i Włoszech odnowić się starał tradycje dawnych legjonów i uformować zastępy Słowian (austrjackich) i Polaków czyto podczas wojny Krymskiej, gdy próbcwał stworzyć nowe zaciągi w Konstantynopolu. Organizm jego, nadwątlony niezwykłym trybem życia, uległ jednak zarazie w Konstantynopolu 26 listopada 1855 r. Zwłoki przewieziono do Paryża i pochowano w Montmorency, a 1890 r. przeniesiono je na Wawel. Pomniki wzniesiono poecie w Poznaniu, Krakowie, Warszawie i Lwowie, trwalsze sam w sercu narodowem sobie wystawił.

Lat dwanaście objęła czynność poety (1822—1834); drugich dwanaście (po r. 1841) przyświecał narodowi stałem wytrwaniem pr_y ideałach; wizerunek jego duchowy niby się rozdwaja — podstawa jego tu i tam jest jednaka. Jako poeta stworzył wielką literaturę narodową. Liczyła sobie ta literatura przed nim już dwieście siedmdziesiąt lat żywota, ale nie była narodową wtedy, gdy była wielką, ani wielką wtedy, gdy była narodową; on pierwszy połączył w niej wielkość i narodowość, bo wzniósł się ponad wszystkich poprzedników i dał początek wszystkim następcom. Jak z niego korzystali, jak się na nim uczyli i wzorowali, łatwoby

wykazać na dziełach każdego z późniejszych poetów. Wszyscy z wdzięcznością to przyznawali. Dotąd literaturze brakło genjusza, były talenty, wcale znaczne; on dopiero zajaśniał tą gwiazdą na czole, co niewielu na tym świecie wybranych okrasza; łącząc pamięć nadzwyczajną z równą wrażliwością, zawsze miał gotowy dobór szczegółów charakterystycznych dla odmalowania ludzi i przyrody, barwność i plastyczność wyrazu przepoił sercem, miłością, poświęceniem i dlatego zdobywał serca; nie jaśniał błyskotliwością stylu, ani majaczeniami fantazji, ozdóbek poetyckich raczej się wystrzegał; mówił prosto, nawet formy osobliwszej nie uprawiał (ani w rytmie, ani w rymie), na serce, nie na smak działając. Głębokie, prawdziwe uczucie wodziło jego piórem, czy gdy w Gustawie nieszczęśliwą miłość opłakiwał, czy gdy w Konradzie ból narodowy w siebie wchłaniał, czy gdy polskością Soplicowa się zachwycał, a z uczuciem szła w parze wymowa piorunująca i wzruszająca obrazowość. I nie napróżno hołdu duchów, władzy nad niemi pragnął—marzenie o „rządzie dusz" ziściło mu się w pełni.

Męskiej jego poezji brakło ideału kobiecości; jego poezji, pełnej barw i postaci, brakło muzykalności; jego poezji dotykalnej, plastycznej brakło lotności eterycznej; przy talencie realistycznym brak mu było płomiennej wyobraźni—te braki zapełniła muza Juljusza Słowackiego (1809—1849). Przeczulony od dzieciństwa wychowaniem iście kobiecem, stronił od rzeczywistości, od towarzystwa kolegów, które ukształciło duszę Mickiewicza, zbyt wcześnie usuwał się w świat marzeń, snów, fantazji, gdzie czuł się wszechwładnym mocarzem, z rzeczywistością nie umiejąc się godzić. Wszelka gminność raziła jego estetyczne poczucie, jego egzaltację wybujałą wszelka poziomość ludzi i rzeczy,

jego słabej energji, woli, sile przeciwstawiały się twarde warunki życia indywidualnego i narodowego. Chwila dziejowa nie sprzyjała jego poezji, przed tradycjami narodowemi, realnemi, okropnemi ustępowały marzone, senne, chorobliwe cierpienia; brakło też poecie echa, publiczności estetycznie wyszkolonej, któraby poezję dla poezji ceniła, i słusznie porównywał się Słowacki ze ślepym pieśniarzem, który w szumie fal okrzyków pochwały się domyślił, brakło mu bowiem słuchaczy; „szlachta" go nie rozumiała i nieszczęśliwy poeta boleśnie odczuwał ten brak spójni z „narodem", którą stał właśnie Mickiewicz-rywal. Otuchy jednak nie tracił; przebojem szedł dalej, samotny, przekonany, że i jego skroń, choćby po zgonie, zwycięski laur obwije — i nie zawiodła go ta pewność. Lecz popularności Mickiewicza nie osiągnął: nie zstąpi przenigdy pod strzechę, dokąd „Pan Tadeusz" dotarł; aby poezję jego odczuć, ocenić, nią się rozkoszować, trzeba wykształcenia estetycznego, poczucia piękna, obcego ludom północy; poezja jego zawsze pozostanie — kawiorem dla tłuszczy; co jej po jego Hekubie? Mickiewicz, klasyk, nietylko w „Panu Tadeuszu", ale nawet w „Dziadach" nie opuszcza ziemi, choć, będąc głęboko religijny, wierzy w związki zaświatowe. Słowacki, romantyk, fantasta, w stałej jest walce ze zmysłami, z religji szydzi (przynajmniej z dogmatycznej) i na ateusza zakrawa. Mickiewicz świat realny upoetyzował, Słowacki poetycki stworzył; tamten tylko o sobie prawił, ten o sobie milczał; tamten własne przeżycia, ten obce, głównie literackie w poezje wcielał. Realistę Mickiewicza każdy bez objaśnień i dociekań zrozumiał, „Pana Tadeusza" dziecko nawet pojmie, Słowackiego nie rozumieją najwytrawniejsi krytycy i spierają się ząb za ząb o jego nieuchwytne pomysły w całości, czy w szczegółach i dochodzą do wręcz prze-

ciwnych wyników. Słowacki pisywał w rebusach i nie taił się z tem, np. w „Anhellim" wyznał: „a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest". Mickiewicz tylko raz w życiu, w wizji natchnionej, czegoś podobnego się dopuścił; u Słowackiego nietylko w „mistycznym" okresie, kiedy cała jego literatura „ezoteryczna" dla wtajemniczonych wyłącznie dostępną się stała, ale i dawniej stale się przewijały rebusy-symbole, których nie można odgadnąć. Mickiewicz jest zawsze oryginalny, obcy dawali mu tylko wzór, podnietę dla własnych ballad, sonetów, powieści; Słowacki, przeciwnie, wije się niby bluszcz wokół obcych i jeżeli z „Balladyny", a nawet z „Lilli Wenedy" ująć wszystko obce, to nie będą miały czem zakryć swej nagości; najbardziej przejmujące pomysły, występujące czy to w „Mazepie", czy w „Anhellim", z lektury sobie przyswoił, fantazją obcą stale się posługiwał, choć własna jego fantazja była niewyczerpana.

Zato żywy zdrój poezji wyczerpał się u Mickiewicza rychło, u Słowackiego nigdy. Fala twórczości przelewała się poprostu przez całe jego życie. Czegokolwiek dotknął, rozpływało się w poezję; o czemkolwiek rozmyślał, od stworzenia świata aż do prób konfederacji w r. 1848, ujmował wyłącznie z punktu widzenia poetyckiego, i całe życie jego jest poetyckie, chociaż niemasz w niem przeżyć romansowych, czy romantycznych. Realizmowi Mickiewicza (Słowacki przezwał raz ten realizm „wieprzowatością") przeciwstawiała się fantastyczność Słowackiego, płynąca nie z serca, lecz z mózgu, który nawet we śnie nie spoczywał; „dämmernde Gestalten" (Goethego) bawiły go i nęciły urokiem nieprzepartym. Są to więc istotnie dwa „na słońcach swych przeciwne bogi", lecz nie trzeba było trzeciego, któryby ich łączył, sami uzupełniają się najściślej. Mickiewicz, żyjący

wyłącznie z pióra, pisał stosunkowo mało; Słowacki, nieskazany na to źródło dochodów, nierównie więcej; niechętni mu krytycy szydzili (innych, niestety, nie znalazł), że, zanim się jednego tytułu wyuczą, nowe się dzieło zjawia, a ileż to roztrwonił on po rękopisach, które dla nas przepadły.

Zaczął w rychłej młodości od powieści epicznych i dramatów, bo i tu wielka jest między nim a starszym „rywalem" różnica: epik Mickiewicz talentu dramatycznego nie posiadał wcale (jak i Puszkin), i wszelkie próby, nietylko „Demostenes" wileński, wędrowały wkońcu do pieca. Słowacki, przeciwnie, był wybitnym pisarzem dramatycznym i żałować należy, że teatr pozostał dlań jako dla emigranta czemś niedostępnem, że więc zgóry nie liczył się wcale z warunkami aktorów, widowni i widzów, lecz tylko z cierpliwym papierem i piórem wytrwałem. Ile Szekspir albo Molier zawdzięczali organicznemu związkowi z teatrem, to się wcale nie daje obliczyć. Zaczął więc Słowacki od powieści w stylu i duchu Byrona, a wątki były przeważnie egzotyczne, „feudalne" (średniowieczne), czy „arabskie", polskie zdarzały się tylko wyjątkowo („Bielecki", w rodzaju „Marji" Malczewskiego, lecz jakżeż w kolorycie i idei odmienny); były i „kozackie" (Żmija"), lecz tylko gołe nazwy były w nich „zaporoskie", treść całkiem z bajek z tysiąca i jednej nocy. Dopiero w „Lambrze", acz i jako treść jest egzotyczna, nowogrecka, mogli się czytelnicy dopatrzeć jakiejś łączności dalekiej z tem, co ich wtedy, po r. 1831 bezpośrednio, jedynie zajmowało, z ojczyzną, z powstaniem, poświęceniem, lecz bohater Słowackiego, jak sam poeta, stronił od życia i czynu, a z lubością zamykał się nałogowo w krainie sennych marzeń, wizyj haszyszowych. W tych nieudałych, dziwacznych rysunkach luźne szczegóły uderzały

jednak nadzwyczajną krasą słowa i obrazowania: język giętki a brylantowy dotrzymywał kroku fantazji — nikt nim dotąd w tym stopniu nie władał. Fantazja lubowała się we wszelakich nadzwyczajnościach, dochodzących nieraz do karykatury; młody poeta za przykładem romantyków francuskich patrzył „krwawo" na świat, szczegóły okropnemi targał nerwy czytelnika, piętrząc jedne na drugie, ale obok szału demonicznego pożerał go smutek nieukojony, bezbrzeżna melancholja, tęsknota zaziemska. Więc taki błazen Nick w dramacie p. t. „Marja Stuart" (która nic z dramatem Schillera, prócz tytułu, nie ma spólnego) to nie kopja byle błazna szekspirowskiego, lecz uosobienie tej trawiącej zgryzoty, kryjącej się pod pustym śmiechem.

Wyszła tymczasem trzecia część „Dziadów", w której zawarta była ostra zaczepka ojczyma Słowackiego, doktora Becu; niby rękawicę rzuconą podjął ją Słowacki i z Genewy, dokąd z Paryża przed Mickiewiczem jakby się schronił, „Kordjanem" odpowiedział, nierealne imię z nierealną tragedją splatając, scenom wileńskim przeciwstawiając warszawskie. Sam w walce narodowej nie wziął udziału, acz do niej niegdyś pieśniami, niby nowy Tyrteusz, zagrzewał, ale i z emigracją się połączył (i nigdy już do kraju nie wrócił), i na wychodźtwie tworzył, nie licząc się z żadną cenzurą, tylko z sumieniem własnem i sztuką. W „Kordjanie", który ma serce płomienne, głowę zapalną, nerwy rozkołatane, przedstawił więc poeta bohatera narodowego, niby Winkelrieda, czy Tella (bo na ziemi szwajcarskiej odzywa się w nim nuta poświęcenia dla ojczyzny i w walce o nią znajduje cel wdzięczny dla bezcelowego, w miłości i wierze srodze zawiedzonego życia). W Warszawie spisek przeciw rodzinie carskiej podtrzymuje Kordjan płomienną wymową, a gdy inni pomysł zamachu odrzu-

cają, sam się pasuje na wykonawcę mordu, lecz nerwy go zawodzą, halucynacje wzrokowe i słuchowe, oddane z siłą, na jaką tylko Słowackiego stać było, mroczą go i ubezwładniają w ostatniej chwili. Pierwsza to część „trylogji"; dalszych poeta nie napisał, chociaż myślą do „Kordjana" i powstania listopadowego nieraz wracał.

Pomimo tych nadzwyczajnych scen, przewyższających napięciem dramatycznym cały teatr ojczysty, wycofał się niebawem Słowacki ze spraw „dziennych", i na gryfie Ariosta poszybował fantazją w dziedzinę urojeń, aby tworzyć bajki, nie pogodne jednak, Ariostowe, lecz zwichrzone, przeraźliwe i krwawe, iście „romantyczne". Wystarczało byle nazwisko, byle szczątek jakiegoś podania, by na nich osnuwać nieskończone przędziwo własnych pomysłów, zasilanych obficie z lektury Szekspira, Dantego i Osjana. Postanowił sobie Słowacki nader poetyckie zadanie: sięgnąć do pradziejów polskich, z ballady ludowej, z gołych nazw, z rysu podania jakiegoś wyczarować dramaty-kroniki, coby świecące pustkami dzieje pierwotne narodu zapełniły gwarem urojonych rycerzy, ofiar, widziadeł, coby urzeczywistniły marzenia małego krzemieńczanina, chcącego zaludnić gruzy zamku Bony życiem nowem a świetnem. Z tych kronik-dramatów wykończył (i wydał) istotnie dwie (inne pozaczynał), najzupełniej odmienne w tonie, stylu i myśli: „Balladynę" i „Lillę Wenedę". Imię Balladyny odrazu nawiązywało do ballady ludowej o siostrach, malinach i zabójstwie, a z ballady nowe wypływały zawikłania, urozmaicone pstrą mozaiką pomysłów z Szekspira, przeładowane mnóstwem osób i wątków, stanowiące jednak całość, spojoną charakterem głównej osoby, pożeranej demonicznem pragnieniem władzy, naprzekór płci własnej — odwieczne fałsze o Wandzie i Libuszy

upoważniały poetę do podobnej fabuły. Jest to zupełnie romantyczna tragedja, bo pełna sprzeczności w stylu i tonie, baśń udramatyzowana i, jak baśń, kończąca się uderzeniem piorunu.

Między jedną a drugą tragedją, między „Balladyną" a „Lillą Wenedą", leżały całe lata rozwoju samego poety, który teraz zamiast lektury napawał się najpiękniejszemi i najrozmaitszemi widokami, począwszy od Montblanc przez Rzym i Neapol aż do Piramid, pustyni arabskiej i klasztoru syryjskiego. Nauczył się teraz jednolicie zabarwiać płody nieokiełznanej niczem fantazji, które dawniej stawały się pustą mieszaniną. Mglisty i melancholijny Osjan nie odpowiadał temperamentowi polskiemu, ale poeta w nim się rozkochał i „Lilla" jest właśnie szczytem osjanizmu polskiego. Mylne jest zdanie jakoby stopiły się w niej dzieje walki narodowej z 1831 r. Poeta uwierzył, w co i historycy sami dawniej wierzyli, że ustrój pierwotnej Polski powstał drogą podboju, że jacyś Lachi-Lechici (szlachta) podbili, ujarzmili spokojnych tubylców, których różnie nazywano. O tę najdowolniejszą hipotezę oparł się poeta; ujarzmienie, podbój, odmienił w zupełną zagładę owych pierwotnych, przedpolskich „Wenedów" i ich rodu królewskiego wraz z harfą, talizmanem rodu i narodu. Myśl o zagładzie, zniknięciu narodu, o bardach-harfiarzach, opłakujących bohaterów a podniecających mścicieli do boju, przeniknęła tu z Osjana. I stąd ta posępna melancholja, owiewająca tragedję, lecz tę posępność przejaskrawia gwałtowny temperament poety krwią i pożogą walk nieludzkich i błyskawicami nocy piorunowych. Lecz nie tu koniec fantazji Słowackiego: z Byrona przejął myśl o daremnej ofierze córki za ojca i Lilla próżno się poświęca, Derwida nie ocali — usiłowanie jej skopjował poeta wedle Tella i sag północnych. Białej „Lilli" przydał czerwoną „Rozę" (od anachronizmów roi się u niego, jak

u Szekspira), parę braci razem skutych (jak Germanowie, którzy istotnie tak walczyli, nie jacyś bajeczni Wenedowie) i wstrętnych pierwszych dwóch chrześcijan-półbłaznów, folgując wyniesionej z Wilna gorącej niechęci do katolicyzmu. Wszystkie te wady dowolności okupił siłą wybuchową niektórych scen, posągowemi figurami kobiecemi, górującemi nieskończenie nad otoczeniem męskiem.

Gdy w „Balladynie" jakiś ślepy traf ludzi na manowce szydersko zawodzi, tu, przeciwnie, los nieubłagany sroży się nad niewinnemi ofiarami. I upadek narodu w krwawej walce, i ci Lechici, praszczurowie szlacheccy, zwracali mimowoli myśl poety do dziejów dzisiejszych, więc do chórów tragedji, najromantyczniejszej, acz wzorowanej pod względem stylu na starożytnej, dodał gryzący wiersz, wyjęty z innego niedokończonego dzieła, zwrócony przeciw własnemu narodowi, chłoszczący dotkliwie a boleśnie przywary szlachty, boć autor innego stanu nie znał. Mimo braku jednolitości, bo tragedja ta nie jest ani słowiańska, ani germańska, ani chrześcijańska, ani pogańska, mimo niejasności myśli przewodniej — wywiera „Lilla" wstrząsające wrażenie dzięki silnemu językowi, wspaniałym posągowym kształtom, szczegółom potwornym i dzikiej fantastyczności.

W okresie, dzielącym „Balladynę" od „Lilli", powstały inne tragedje, niedokończone i nieogłoszone, więc usunięte przez poetę od naszej oceny, kilka mniej udanych a mimo to ogłoszonych, strasznie przejaskrawionych — nakoniec klejnot prawdziwy poezji: cykl erotyczny „W Szwajcarji". Jest to sielanka miłosna o rozwiązaniu tragicznem, gdzie w poezji śniegów, zórz i gajów alpejskich rozpłynęła się nieziemska wizja pary kochanków; z utworem tym silnie kontrastuje „Ojciec zadżumionych", dzieje Araba, około którego cała rodzina kolejno pada ofiarą dżumy, a on jeden nadomiar swej klęski uchodzi żywy, miotany uczuciem roz-

paczy wobec fatum-Allaha! Od obu jasnych co do myśli i treści utworów, przepojonych rzewną tęsknotą i bólem rozpaczliwym, odbijał dziwnie smętny i mętny „Anhelli", w którym losy emigracji, ba, narodu całego rzucił poeta na tło syberyjskie, z cudowną intuicją odmalowane, acz wyłącznie fantastyczne, lecz pogmatwał je z dziejami poety (samego siebie) i jego przewodnika na wzór Wergiljusza z Dantego. Poeta-Anhelli przeznaczony jest jakimś cudownym wyrokiem na ofiarę dla narodu swego, okupującą wszystko biernem, milczącem cierpieniem, ale ta ofiara stokroć fantastyczniejsza, niż ów wyczarowany Sybir; biblijna proza dopełnia zagadkowości utworu; szczęściem ocalał list poety, uchylający rąbka wielu zagadek. Dramat o Mazepie (którego Mazepa, mimo tytułu, nie jest bohaterem), przypominający „Don Carlosa", odznaczał się znowu grozą, stekiem zbrodni, ale i siłą postaci głównych, mianowicie dumnego Wojewody, który raczej na Hiszpana, niż na Polaka, zakrawa. Jest to najbardziej „teatralny", bo skupiony utwór Słowackiego.

Dzieła te, acz nierówne co do wartości, nie przebłagały krótkowzrocznej krytyki emigracyjnej (innej nie było), a wrażliwy i drażliwy poeta ubolewał nad niechęcią i obojętnością, otaczającą go. Był u szczytu sił swych i uśmiechnęła mu się myśl, żeby się jako wolnomyśliciel porachować z dewocją, jako republikanin z monarchistami, jako literat-genjusz z gryzipiórkami „Młodej Polski" i innych wydawnictw. Formę narzucił Byron, a mianowicie formę poematu epicznego o najluźniejszych ramach, pełnego podróży i wojen, scen miłosnych i karczemnych, cudów i niespodzianek, przetykanego wybuchami osobistemi, lirycznemi, chłostami satyry i ironji, wyznaniami wiary politycznej, religijnej i literackiej. Około konfederacji barskiej z jej etapami na Podolu i Ukrainie krążyła oddawna fantazja autorska, a wkońcu skupiła uwagę jego awanturnicza

figura, ów Beniowski, Węgier właściwie, którego Moskale zawlekli z pod Krakowa aż na Kamczatkę, a który wkońcu Francuzom Madagaskar podbił, a sam przez nich zginął. Była to więc postać, która fantastyką losu górowała i nad Don Juanem. I tak urósł „Beniowski", którego pierwsze pięć pieśni ukazały się w Paryżu w r. 1841; biegu powieści autor nie posunął daleko, bo też nie o powieść mu chodziło. Osobiste przytyki, spowiedź i wyznania, zaczepki, które doprowadziły aż do pojedynku, i przepyszne postacie, panny Anieli, rezolutnej szlachcianeczki i uroczej cyganki Swentyny, wobec której ustępuje i dobroduszny Beniowski, i dzielny Sawa, i natchniony ksiądz Marek, i dziwak Marchocki, i zdrajca Dzieduszycki składają się na całość skrzącą się w splotach jak barwny pas słucki. Język poematu cudowny, oktawy o czarodziejskim, miodopłynnym toku, rzewne są i tkliwe, wichrowe i piorunowe, przekorne i szydercze; kapryśna muza Słowackiego spala „fajerwerk", jakiego przed ani po „Beniowskim" świat polski nie widział. Ale to „fajerwerk", który świecić miał na niebie tej poezji na zawsze. Porywa „Beniowski" objawieniem piękna, olśniewa przepychem wiersza, myśl głęboką często uderza, lecz nie jest to epopeja, a już najmniej narodowa, t. j. taka, coby mogła, jak Homer lub „Pan Tadeusz", wsiąknąć w naród, w głębokie jego warstwy. Jeżeli więc poeta wyzywał mniemanego wroga Litwina na pojedynek duchowy, to broń, którą walczyli, była nierówna. Powstały dalsze pieśni, lecz ich poeta ani nie ogłosił, ani nie wykończył. Bo tymczasem wybiła godzina dla Szawła na drodze do Damaszku.

Dumny „syn pieśni, syn królewski", ukorzył się przed szaraczkiem literackim, przed Towiańskim, i u stóp mistrza zeszły się, acz na krótko, oba bogi poezji polskiej. W samem kole pod ferułą Mickiewicza nie wytrwał długo poeta, który swej niezawisłości duchowej za żadną cenę nie byłby się wyzbył, ale towianizm przykuł go na zawsze i odmienił

nietylko jego fantazje, ale i charakter, skłonił go ku chrześcijanizmowi i ułagodził. Gubił się odtąd Słowacki i w rozpamiętywaniu mocy duchowej, nadziemskiej i w dociekaniach filozoficznych, ściśle ewolucyjnych, o genezie świata materjalnego i moralnego z ducha, i o wodzach-duchach, królach-duchach, wyprowadzających ludzkość w coraz wyższe sfery aż do końcowego przeanielenia globu całego. Posypały się teraz, jak z rogu obfitości, przeważnie dramaty z różnych sfer i czasów i wiersze programowe, dydaktyczne, aż się uwaga poety skupiła około nowego głównego problematu: wyprowadzenia w taki sposób dziejów dawnych własnego narodu, by fantazja dowoli bujać mogła w prabycie i przemianach następnych. A z tej powodzi prób i szkiców, nieraz nawet wykończonych, chociaż ich tekst ciągłym ulegał przeróbkom, wstawkom, odmianom, przedostało się nieco i do druku, wydane przez samego poetę.

We dwóch tragedjach, „Księdzu Marku" i „Śnie srebrnym Salomei", przetopił sceny jakby z dalszego ciągu „Beniowskiego", tylko nie dawną tegoż pogodę, uśmiechniętą przez łzy; zastąpiła ją groza wojny, rzezi i pożogi, walka o Bar i noże hajdamackie. Na nawróconego świeżo sługę ducha oddziałał pod względem formy mistyk-dramaturg hiszpański, Calderon. Spolszczył Słowacki jego „Księcia Niezłomnego", prześcigając oryginał i nieokiełzana rozlewność hiszpańska, pędząca jakby na złamanie karku w setkach wierszy (przemowach jednej osoby), zajęła miejsce wyszukanej dykcji wytwornego stylu. Po ochłonięciu wypierał się sam poeta tych mętów i majaczeń. Ale sceny efektowne, nieraz przeciągnięte ponad wszelką możliwość, goniły jedna drugą, a wszystko, ludzie i losy, urągało prozaicznemu ładowi; siła duchowa tworzyła cudy, coraz to sprawdzały się najdziwniejsze sny i wróżby. Jeżeli już i przed mistyczną epoką chorobliwie jakby nastrojona fantazja lubowała się w okropnościach, to teraz nie znała

wcale granic i targała nieznośnie nerwami czytelnika (o widzu autor nie myślał), a grozy tej nie okupywały, jak dawniej, tęczowe obrazy. Żeby się tą przesadą nie zrazić, należy się dać porwać wirowi katastrof, złorzeczeń, mordów, wśród których w kałużach krwi giną perły poezji.

W piśmie prozą uroczystą, pełną wiary niewzruszonej w posłannictwo wieszcza, wyłożył Słowacki swój system kosmologji, naukę o świecie, „Genezis (t. j. niby „Księgi Rodzaju" biblijne) z ducha". To, co on wygłaszał jako prawdę, my przyjmujemy i oceniamy jako świetną alegorję. Poecie jednak nie o symbole chodziło, pod któremi, jak to dawniej u niego bywało, wolno się wszystkiego domyślać; jemu się zdało, że odsłonił nie mit, lecz prawdę tworzenia t. j. wznoszenie się (siłą ducha rewolucyjnego — postępu) pierwotnej grubej materji, która, upadłszy, oddzieliła się od ducha, z warst niższych do coraz doskonalszych form, aż w człowieku do najdoskonalszych dochodzi. Dalej, poprzez dzieje ludzkości samej, już nie przeprowadził poeta swej myśli.

Ujął ją zato w oktawy „Króla Ducha" (1847). Wykończył tylko „Rapsod pierwszy", powieść o wodzu, który spokojnych zjadaczów chleba zahartował tyrańskwem, nieprzebierającem w środkach, tatarsko-moskiewskiem okrucieństwem Iwana Groźnego i przerobił w twórców państwa, nie znających obawy śmierci, oddanych i posłusznych władzy naczelnej, wydobywających się z sielanki słowiańskiej na szerokie pole historji, przejętych posłannictwem dziejowem, myślą polityczną, uosobioną w Królu Duchu. Zamiar był olbrzymi i na całym świecie mógł się oń pokusić jeden tylko Słowacki, oparty o nieprzebrane bogactwa swej fantazji; zadanie polegało na tem, żeby przedstawić w szeregu dowolnie dobranych postaci wszelkie przełomowe (zgodnie z myślą ewolucyjną) chwile życia wiekowego, zacząwszy od Popiela, poprzez Mieczysławów i Bole-

sławów Śmiałych, aż do ostatniego wodza narodowego, do samego poety. Myślą podstawową była i metempsychoza, wędrówka duszy, przechodzącej z jednego ciała w drugie po wiekach skruchy, żalu i bólu, i anamneza, czyli pamięć prabytu, a jako gwiazda przewodnia przeświecało dążenie do ideału niebiańskiego w postaci kobiety-anioła. W owym pierwszym rapsodzie w trzech pieśniach kreśli poeta bajeczną Polskę słowiańską, przedchrześcijańską; zahacza o Wandę; szydzi z podania i podłej o myszach bajki; opisuje srogie rządy Popiela, przerwane dopiero, jak niegdyś w „Balladynie", wyrokiem niebios przy bladem od przerażenia słońcu. Święci tu zwycięstwo sztuka słowa, obrazowość potężna, jednolitość barwy posępnej, mroku, przeszywanego błyskawicami; należy się tylko poddać czarowi tych zwrotek a nie pytać o ich uzasadnienie podaniowe, czy historyczne. Nie zna granic dowolność poety, który zebrał luźne rysy, napotkane gdziekolwiek a działające na jego wyobraźnię, i potrafił najróżnorodniejsze żywioły zestroić w całość, całkiem fantastyczną, ale poetycko prawdziwą, pełną nieprzebranych skarbów najruchliwszej, najlotniejszej fantazji.

Mickiewicz i Słowacki to dwa szczyty wielkiej sztuki narodowej i nikt trzeci nie może obok nich stanąć — sami dziwnie się dopełniają. Mickiewicz unikał krajów, których na mapie niema, i ludzi, których w dziejach nie było. Słowacki tylko takich obierał, niezdolny nagiąć się do rzeczywistości, spierając się z nią przekornie. Popiela podaniowego szczury zagryzły, jego Popiel sam wszystkich pogryzł; co „Polska" znaczy, każdy z nas wie, on w niej „na ból skałę" wyczuł — za cieniem cienia się rzucał, nigdy nie wytrwał na prostej ścieżynce, przy deptaku „mrowiska" ludzkiego. Zrywa się on w zaobłoczne kraje, roztacza wizje poetyckie, jednę bardziej uroczą, powiewną, roztęczoną, niż drugą, chociaż i przy tem nie poskąpi łami-

główek, tak, że czytelnik wchłania tylko nieraz wyłącznie wzrokowo wizję samą, ale jej ideowego podkładu nie zawsze się domyśli. Fantasta ten zrzekł się szczęścia osobistego, aby spełnić swe poetyckie zadania; zrzekł się łatwych wawrzynów, aby skronie ozdobić trwałemi; tłumem gardził, o szacunek wybranych zabiegał. Rokoszanin myśli i wiary, płonął miłością namiętną ku Polsce idealnej i w jej imieniu srożył się na Polskę ziemską; jako spirytualista wywodził wszystko z ducha i dla ducha, materji nie uznawał, chyba gdy widział w niej dążenie do uduchowienia! Nie było dlań szarej codzienności, przeoczał ją hardo, a wzrok w niebo utkwił i z gorejącą pochodnią poezji, która mu była światłem i postępem, przodował narodowi, przekonany, że go mocą słowa przeanieli. Przeszedł przez życie jako ofiara powołania, naczynie poezji, niegdyś dumny i samotny, pod koniec wędrówki pokorny i tkliwy; wątły i wiotki obok krzepkiego Litwina, daremnie walczy o uznanie, które dopiero po latach stać się miało jego udziałem. Sztuka jego nie była stworzona dla nieociosanego społeczeństwa, które się nie poddawało sugestji, wypływającej z samego doboru słów i obrazów, z ich tonu i dźwięku, które nie doceniało przepychu wiersza i stylu, a w ich cudowności tylko dziwaczność upatrywało. Za życia nieliczni go rozumieli; miejsce arcypoety zajmował nie on, lecz taki Zaleski z nieskończonemi och, och! i hop, hop!, zato każdy prawdziwy poeta, Ujejski, czy Asnyk, z niego się poczynał, do niego wracał, a gdy subtelniejsze poczucie piękna i u nas, barbarzyńców, wytwarzać się poczynało, zdobył nakoniec Słowacki dawno przynależne mu miejsce i nie od poety-epika, lecz od poety-liryka i dramaturga wywodziła się Młoda Polska, bo i on przecież uprawiał sztukę dla sztuki, nie dla morałów, czy pokrzepienia. Duchem wielki, nie wpadał w jednostronność i nigdy nie klecił wierszy dla wierszy; w walce, która

o bycie narodowym rozstrzygnęła, a nie na ziemi była toczona, on do najognistszych należał szermierzy.

Do poetów emigracji zaliczał się, choć nie żył z nią, jak Mickiewicz lub Słowacki — Zygmunt Krasiński (1812–1859), jedyny wielki poeta Mazowsza. Próżnobyśmy coprawda szukali u niego śladów opinogórskich, gdy u poety Litwina znajdujemy nowogrodzkie, a u poety Wołyniaka krzemienieckie. Swem pochodzeniem z dawnego, zasłużonego rodu mazowieckiego dopełnia on lubelskiej unji duchowej. Poczucie rodowe, uznanie ojca za wodza w życiu, ciężko się na nim odbiło, stawiało go w świetle fałszywem, mąciło mu sąd nad ludźmi i dziejami. Poetą z urodzenia, jak „Julek", nie był i wkońcu poczję dla filozofji i polityki zarzucił; poetyckie na świat spojrzenie zastępowała mu myśl filozoficzna, wywody historjozoficzne, które jednak nie obejmowały przyrody, kupiły się wokół człowieka, a głównie wokół wybranego t. j. własnego narodu. Obok poety serca, uczucia, czynu, obok poety fantazji, ułudy, rojeń—staje poeta refleksji, dociekań, rzutów oka w przyszłość, rwący się napróżno do czynu, a wprawdzie nie mocarz w krainie ułudy, ale przenikliwy i bystry, acz wkońcu całkiem jednostronny myśliciel, który wmówił w siebie wiarę, nawet dogmatyczną, i od niej nie odstąpił, boby mu się inaczej świat jego cały pogrążył w przepaści.

Starannie wychowany, o szerokiem oczytaniu, podniecany aurą salonu ojcowskiego, który był miejscem zbornem dla literatów warszawskich, już jako piętnasto- i szesnastoletni chłopiec pisywać poczynał, nie wiersze jednak, od czego zwykle młodzież zaczyna, lecz powieści w panującym wówczas guście Walter Scotta, a więc pseudo-historyczne z iście młodzieńczem piętrzeniem zbrodni, intryg, mściwości, pogardy dla ludzi i Boga. Zmuszony przez ojca opuścić Warszawę, począł się w Szwajcarji statko-

wać, ocierać z myślami i ludźmi, pogłębiać wiedzę i smak, gdy z równowagi umysłowej na długo a boleśnie wytrąciło go powstanie listopadowe, w którem z powodu wyraźnego zakazu ojca, który się do Królewca usunął, udziału wziąć nie śmiał. O uczuciach jego w związku z powstaniem świadczyły liczne próby prozą francuską i polską, dyszące zemstą, wszystkie w rękopisach przechowywane. Pod wpływem ojca, który powstaniu przypisywał charakter socjalistyczny, przewrotowy, czerwony, i pod wpływem zaburzeń socjalnych francuskich (lyońskie walki uliczne), które się żywem echem odbijały w Genewie, zaczął myślą zwracać się ku ogólnoludzkiemu zagadnieniu, ku przybliżającej się rozprawie między „arystokracją" a „demokracją", wyrażając się w jego dziś całkiem przestarzałem słownictwie. Słownictwo było wprawdzie przestarzałem, zato nieprzestarzały był sposób, w jaki konflikt ten dziewiętnastego i (dwudziestego) wieku poeta ujął i rozwiązał. Żaden autor polski nie podjął się w tak młodym wieku (Krasiński urodził się w r. 1812, dzieło, o którem mowa, pisał w dwudziestym pierwszym roku życia, w r. 1833) równie trudnego zadania i żaden go tak świetnie nie rozwinął. Ale w konflikt ogólnoludzki, stanowy, społeczny, w walkę dwóch światów, zgniłego, ginącego i równie zgniłego, ale zwycięskiego, wplótł i tragedję osobistą. „Mężem", bo tak się pierwotnie nazywała jego „Nieboska komedja" (wydrukowana r. 1835, bezimiennie, jak wszystko, co wydawał, nawiązująca tytułem o odcieniu parodystycznym do „Boskiej Komedji" Dantego, bo również oparta na motywie oprowadzania po piekle—dni dzisiejszych), był hrabia Henryk. W pogoni daremnej za ułudami poezji, piękna, sławy, depce on własne i swoich bliskich szczęście; będąc w słowach poetą, w życiu nie zdobywa się na poezję czynu, przepływa przez niego strumień piękności, lecz on sam nie jest pięknością, gdyż niezdolny jest do kardy-

nalnej cnoty, do prostego umiłowania kogobądź na świecie, zimne mając serce, wydany zato na łup imaginacji i fantazji. Dla sławy, tradycji, przekory stanie na czele pobitej wszędzie arystokracji, złożonej z wyrodków dawnego feudalizmu i nowego kapitalizmu, w okopach św. Trójcy (tu umiejscowiła tradycja rodzinna tę walkę) i będzie bronił tego ostatniego stanowiska, bez wiary i miłości, przeciw tłumom rozbestwionym, prowadzonym przez nieubłaganego, mściwego i dlatego wszechmocnego Pankracego, wichrzyciela-demagoga. W pysznej scenie obaj przywódcy mierzą się na słowa, acz bez skutku; Henryk przejrzał nicość moralną zarówno swego, jak i przeciwnego obozu, a frazesy Pankracego nie przeciągnęły go na stronę „ludową"; estetę Henryka przykuwają estetyczne rysy katolicyzmu i feudalizmu, sam jednak ginie w rozpaczy zwątpienia. Teraz ujawnia się i nicość socjalizmu, który, będąc potężny w zwalczaniu przeszkód, po ich usunięciu sam niczego stworzyć nie potrafi, łudzi się kłamstwem, frazesem, rojeniem i staje się bezsilny. A jakiż jest wynik ostateczny po zagładzie obu przeciwników? Wypływa on z logiki faktów: zemsta i nienawiść muszą ustąpić miłości, uosobionej w krzyżu i Zbawicielu; zwycięża znowu Galilejczyk, lecz jak, tego autor nie dopowiedział, wskazał tylko gwiazdę nadziei i ocalenia. Po raz pierwszy od wielu lat poruszył młodziutki autor problem ogólnoludzki, nie narodowy, a uczynił to świetnie. W dziele jego uderzała szczególniej zwartość, jakby lakonizm, pierwszych scen, charakterystycznych dla społeczeństwa; frazesy, które ciągle mają na ustach ludzie „porządni", autor przedrzeźnia w scenach w szpitalu obłąkanych, rzucając hasła nowomodne; uderzała odwaga cywilna, wydająca wyrok potępienia bezwzględnego na strupieszałą „arystokrację", która winy ojców niczem nie okupiła, owszem podłością własną ją powiększyła; uderzały drastyczne sceny wędrówki po

obozie motłochu z jego skargami i przekleństwami. I tylko mało znany język polski przeszkodził temu, by dzieło to wywarło wrażenie w Europie. Znaleźli się wprawdzie tłumacze i naśladowcy, lecz ci rozwadniali, bo rozszerzali utwór.

Zagadnienie wszechludzkie nie zawładnęło na stałe umysłem Polaka: jeszcze przed „Mężem", szczególniej podczas wymuszonego pobytu w Petersburgu i wymuszonej dla choroby oczu samotności, trapił Krasińskiego problem wallenrodyzmu, który wobec świeżej klęski narodowej wysuwał się mimowoli na czoło zagadnień moralno-politycznych. I jeszcze przed „Nieboską" wykończył poeta dzieło, pisane również prozą patetyczną, które opracował i odmienił podczas pobytu w Rzymie, bo dla uniknięcia wszelkich ubocznych wpływów należało zagadnienie cofnąć o wieki, aby móc wydać sąd sprawiedliwy, aby je zewsząd spokojnie, bezstronnie oświetlić. Tak powstała owa fikcja o Greku „Irydjonie", który, pomny klątwy Hannibałowej, pomści znieważoną ojczyznę na wszechzachłannym Rzymie: nienawiść Germana po matce-Germance połączy z przebiegłością Greka, by jako nowy Wallenrod zadać cios śmiertelny Rzymowi z samego jego wnętrza. Poświęcając ukochaną siostrę, wkradł się w zaufanie zniewieściałego Heljogabala, zbroi gladiatorów i resztki podupadłego, spodlonego patrycjatu a z równą zdradliwością omamiwszy chrześcijankę Metellę i chrześcijan, podzierany Rzym chrześcijan przeciw Rzymowi cezarów poruszył. Wszystko układa się najpomyślniej, lecz w chwili stanowczej zawodzi ów Rzym chrześcijański, gdyż nie daje się porwać do walki bratobójczej, a o resztki dawnego, hartowanego wiekami Rzymu Sewera i Ulpjana rozbroją się awanturnicy – klęskę ponosi nie Rzym-krzyżak, lecz Irydjon-Konrad: dzieło zemsty i nienawiści samo się karze. Lecz i Rzym upadnie niebawem pod ciosami barbarzyń-

ców, więc wynik jest tu ten sam, co w „Komedji": obopólna zagłada, a jako jedyne wyjście i tu wskazany jest krzyż, lecz już nie ów gorejący światłem nadziemskiem, lecz skromny, cichy, oblany mieniącem się światłem w Kolizeum. On to budzi w szlachetnej piersi Irydjona sumienie, litość, skruchę i skłania go, by za zbrodnię zemsty odpokutował wytrwałem poświęceniem na dalekiej, północnej ziemi.

Pomysł zupełnie niehistoryczny odział poeta w ścisłą historyczność, piękno antyku i życie starorzymskie wciska się wszystkiemi porami do tej fantazji, a zarazem pierwszego hołdu, złożonego Rzymowi przez sztukę polską. W machinę dramatu wstawił poeta sprężynę nadziemską, szatana (w osobliwie stylizowanej postaci) jako zainteresowanego bardzo tem dziełem zemsty, łudzącego się, że mu się powiedzie nowy, groźny dla niego Rzym chrześcijański rozbić i zwieść na manowce; gdy mu się to nie powiodło, porzuca Massynissa swe dzieło. Oba dramaty, wyłącznie ideowe, nie sceniczne, zbudowane tak samo, wyłaniają przy końcu tę samą myśl-symbol: miłość-cierpienie, krzyż na ziemi, nagrodę poza nią, w przyszłości. Odtąd zarzucił poeta tę formę, chociaż i po latach jeszcze wracając do pierwotnego pomysłu „Nieboskiej", skreślił młodość (wychowanie, wędrówki, czas szkolny) Henryka, opisał w skrótach postęp ludzkości poprzez wieki, zaś w wizjach piekło dni teraźniejszych.

Myśl poety, która w „Irydjonie" opadła ku zagadnieniu narodowemu, wzniosła się w następnych wierszach i w prozie rozpraw ponownie ku ogółowi ludzkości i wieków. Mickiewicz nie filozofował nigdy; Słowackiego fantazję niby empiryka jakiego zaprzątał korowód przemian i zjawisk od pierwszego materji wyodrębnienia aż do jej przeanielenia końcowego; jedyny Krasiński całkiem refleksji się oddawał i świat budował wedle formuły Hegla z jej

trójdzielczością, nie bez wpływu Augusta Cieszkowskiego, zawołanego heglisty. Jak inni, był przekonany o bliskiem nadejściu nowej epoki; po starożytności, po epoce Boga-Ojca, po wszechpanowaniu bytu i piękna, nastąpiło średniowiecze Syna, myśli, prawdy, ascezy, które ustąpi epoce Ducha, miłości-dobra, która pogodzi, wchłonie i zakończy obie poprzednie. Na ziemi zapanuje dobro, nietylko między osobnikami-chrześcijanami, ale i między narodami, które dotąd były zupełnymi poganami-samolubami. Moralny porządek świata najokrutniej pogwałciło rozerwanie Polski-ofiary; zadatkiem nowej epoki jest jej zmartwychwstanie, bo narody jako twory boskie—nie państwa, twory ludzkie—są wiecznie żywe; umęczenie więc Polski na krzyżu ludzkości to moment, po którym nastąpi — po zstąpieniu do piekła—nowe życie ludzkości, czyste i święte. Polska jest nietylko kozłem ofiarnym za grzechy ludzkości, ale i Mesjaszem narodów i kiedyś wzejdzie opromieniona; utkwiony w nią będzie wzrok innych narodów, a ona im wzorem się stanie świętości i niewinności. Ten to „mesjanizm" polski nie był wyłącznym udziałem Krasińskiego; podobnie pocieszał się i Mickiewicz i inni w strasznym upadku, niebezpieczeństwie narodowem, podobnie podtrzymywali wiarę w siły własne i ostateczne zwycięstwo wieszczyli duchowi wbrew „rozsądkowi" t. j. wbrew jawnemu pogwałceniu sprawiedliwości i podeptaniu wszelkich praw przyrodzonych. Wiara ich była żywą pochodnią, przyświecającą narodowi w ciężkiej drodze zupełnego zwątpienia, eliksirem cudownym, wbrew prześladowaniom wzmacniającym na zawsze siły odporne.

Najpełniej i najpewniej objawił tę prawdę-wiarę „Przedświt" Krasińskiego (wydany r. 1843 pod imieniem przyjaciela, Gaszyńskiego). „Poetę anonimowego" mało dotąd w kraju znano, „Przedświtem" zdobył i na długo utrzymał miejsce jakby naczelne, nie tak poetycznemi walorami

utworu, chociaż i te bardzo są cenne (rozwlekłość i powtarzanie osłabiają je tylko pod koniec), jak ową wieszczbą zwycięską losów wybranych. Chociaż pesymista pełen zwątpienia, zdobył się jednak autor na nową wiarę, chociaż nie zawsze ściśle dogmatyczną, bo i panteizmu w niej nie brakło i epoka nadchodząca św. Jana (ducha-miłości) silnie się przeciwstawiała epoce i opoce Piotrowej — dopiero z latami wyzbywał się coraz bardziej wszelkich „herezyj" liberalnych. A gdy się i okoliczności życiowe trapionego bólami fizycznemi i moralnemi poety szczęśliwiej, acz na krótko, ułożyły, wyśpiewał on ten hymn radosny o Przedświcie nowej epoki. Podziałał on, jak „Księgi narodu i pielgrzymstwa" Mickiewicza, chociaż nie zwracał się do nizin, jak one. Ujęty był w pyszne ramy wyjątkowo pięknego krajobrazu włoskiego, a oparł się w nim twórca o duszę siostrzaną, co, niby Beatrice, Danta-Krasińskiego z otchłani zwątpienia i piekła dni dzisiejszych wywiodła, a pokazał szereg wizyj i duchów przodków, którzy się z win mniemanych zwycięsko usprawiedliwiali; tak wyśpiewał poeta ten hymn upojenia, szczęścia i nadziei Polski tryumfującej. Później powtarzał to samo we wszelakich „Psalmach" i innych utworach, kładąc coraz większy nacisk nietylko na dawne zasługi dla ludzkości, ale na potrzebę dobrej woli wśród nas samych. Po r. 1848 zarzucił wiersze, bo pisanie ich nie przychodziło mu ani z łatwością Słowackiego, ani z siłą Mickiewicza, a wkońcu jako wyraźny konserwatysta oddał się literaturze politycznej.

Wobec tych trzech wieszczów schodzi wszelka inna poezja emigracyjna na plan drugi. Niektórzy, jak Goszczyński, łamali pióro; inni, jak Zaleski, powtarzali się; inni, jak Garczyński, odumierali młodo; inni, jak Gaszyński, lub stary Litwin Górecki nie mieli większego talentu. Stefana Garczyńskiego, heglistę poznańskiego i żołnierza z r. 1831 („Sonety wojenne"), ogłosił poetą

Mickiewicz, w sądach o przyjacielach zawsze zbyt optymistyczny, mimo twardości jego wiersza i braku plastyki. Jego „Wacława dzieje", naśladujące i „Fausta" i Byrona, są najciekawsze tem, że w niejednym pomyśle stykały się z „Kordjanem" Słowackiego, nieco późniejszym (spisek koronacyjny i rola starca, zwalczającego spisek). Goszczyński w wędrówkach po Galicji i po Tatrach poznał lud „zakopiański" i wyśpiewał jego podania w „Sobótce"—pierwszy to poeta, który obok niedołężnych prób przyjaciela, Józefa Tetmajera, przyswoił poezji narodowej widoki gór i ludu; pozostał sobie wierny i nie poskąpił tu barw jaskrawych i rysów ostrych. Niebawem jednak zarzucił poezję, opuścił Galicję; we Francji przedzierzgnął się w krytyka literackiego i społecznego (jako demokrata tępił wszelką zacofaność i stanowość, szczególniej w satyrycznem pisemko Zienkowicza p. t. „Pszonka"). Napisał jeszcze nowelę „Król Zamczyska" (odrzykońskiego; o Machnickim, obłąkanym, ale nieskończenie górującym nad „trzeźwą" t. j. podłą okolicą); potem (od r. 1842) ze stanowczością, która go zawsze cechowała, poświęcił się Towiańskiemu i Chrystusowi, zrywając z demokracją i materjalizmem przejrzawszy jego nicość. Myślał o głoszeniu prawd Towiańskiego we własnej poezji, ale pism tych ogłosił mało i zbyt późno.

Bohdan Zaleski, zaplątany początkowo w politykomanję emigracyjną, wrócił do poezji, otrząsnąwszy się z swego „poselstwa" sejmowego. Zamyślał nawet wielkie twory epiczne, pisywał „Złotą Dumę" i „Potrzebę Zbaraską" (t. j. fantastyczną jakąś z szesnastego wieku, nie Sienkiewiczową z r. 1649), ale ustawał w tworzeniu. Wykończył tylko dwie większe rzeczy: „Ducha od stepu", poronioną historjozofję wierszowaną, połączoną najdowolniej z dziejami własnego ducha i życia a górującą w końcowym obrazie Polski — Magdaleny, nie Chrystusa, na-

rodów — na taki wątek jednak sił nie stawało; w Paryżu pod wpływem Mickiewicza i Jańskiego, odzyskał pierwotną, głęboką,dziecięcą wiarę i wyśpiewał między innemi „Przenajświętszą Rodzinę", wiersz o dwunastoletnim Chrystusie w świątyni, sielankę biblijną, łagodną a pogodną, nieco banalną. Potem odzywał się coraz rzadziej, w długich przerwach. Sympatjom słowiańskim dał wyraz, gdy, spełniając przyrzeczenie,dane niegdyś Brodzińskiemu, spolszczał serbskie dumy „junackie" (rycerskie) i pieśni miłosne, ale ani formy ich, ani ducha wiernie nie oddawał. Sam ciągle tęsknił za Ukrainą i wierzył w wieszczość swego bojaństwa, przekonany, że, acz po niewczasie, mir winien głosić między Polanami nad Dnieprem a Polanami nad Wartą, i hasło to rzucał nawet cieniom Tarasa (Szewczenki, wroga „Lachów"), mniemanego swego spółpiewcy, w wierszu na „mogiłę Tarasową". Wiersze jego, tęsknotą-zachwytem nabrzmiałe, głęboko uczuciowe a śpiewne, nęciły ucho, i mógł się Mickiewicz łudzić, że druh jego serdeczny (towianizm, do którego ortodoksyjny Zaleski się nie przyłączył, ochłodził obopólny stosunek) zakończy igrzysko poetyckie Słowian, że nikt po nim nie sięgnie po lirę, bo któżby go przeszedł. Nie można Zaleskiemu odmówić wielkiej oryginalności: i ukrainizm jego t. j. splatanie ruskiej nuty z polskim wierszem, przetapianie formy i treści ludowej w kunsztowną, i fantastyczność jego powiewnych rojeń, smętnych, tęczowych, i ruch nadzwyczajny, żywe tętno całej jego poezji, i jej urywkowość, odpowiadająca wyłącznie lirycznemu talentowi, i cała twórczość o tak osobliwszym charakterze (nikt przed nim podobnych dum historycznych nie wymyślił) — zdobyły mu przodujące śród innych stanowisko. Naśladowało go wielu, ale któż dorównał jego szczerej, głębokiej uczuciowości, prostemu a tkliwemu sercu, misternej przędzy jego fantazji, barwności obrazów przyrody, muzykalności i rytmiczności wiersza?

Z „kozakiem" a raczej tylko Ukraińcem w poezji stykał się prawdziwy kozak w prozie, Michał Czajkowski, cieszący się niegdyś nadzwyczajną popularnością dla jaskrawości swych powieści, czerpanych przeważnie z awantur kozackich. Krzemieńczanin, powstaniec, w latach 1837—1844 zasypał rynek literacki „Wernyhorą", „Czarnieckim" i wszelakiemi „gawędami"; dążność patrjotyczna, szczęk zbroi, niebywałe zajścia, rubaszny dowcip, temperament nadzwyczajny, romantyczność osnowy a gwałtowność bohaterów podbiły odrazu niewybredne umysły i trwało długo, nim ten czar się rozwiał, nim przestano wierzyć w jakąkolwiek prawdę życiową, czy historyczną tych figurek szopkowych; najmniejsze wrażenie wywarło najlepsze jego dzieło, „Owruczanin", bo przejęte było nie z fantastycznej przeszłości, lecz z świeżej tradycji wojny napoleońskiej. O innych powieściopisarzach emigracyjnych pamięć zaginęła.

Poezja nowego okresu to poezja emigracyjna i, choć ubolewamy nad niedolą tułaczy, wygnanych na zawsze z raju ojczystego, jednak winniśmy tę niedolę uznać za łaskę losu, bo właśnie na wygnaniu nic nie krępowało swobodnego wylewu ich uczuć. Gdyby pozostali w kraju, ani tak wysoko nie sięgaliby myślą, ani taka tęsknota nie przepajałaby ich wiersza — zniewieściałoby w kraju to, co się zahartowało na obczyźnie. I ster ducha przeniósł się na lat kilkanaście do Paryża, Włoch i Szwajcarji i nierównie godniej i płodniej zaprezentowała naród literatura emigracyjna, niż polityka; w tej ścierali się „monarchiści" (bez monarchji) i „republikanci", arystokraci i demokraci wszelkich odcieni (szczególniej pod wpływem francuskich socjalistów, od Saint-Simona począwszy). Nie brakło i w literaturze nieporozumień, nawet przykrych nieraz, lecz ginęło to w łunie, bijącej od czarodziejskich słońc prawdziwej, wielkiej poezji.

Prześladowania w kraju, szczególniej w zaborze rosyjskim, podniecały umysły, uniemożliwiały zobojętnienie dla sprawy narodowej i budziły sumienia, a poezja emigracyjna była istnem objawieniem pierwotnej siły, niezachwianej klęską chwilową, ufnej w sprawiedliwość dziejów, na ruinach i zgliszczach intonującej hymn swobody i ludzkości. Obawiano się jej słusznie w zaborze rosyjskim i nie było mowy o przemycaniu płodów tej poezji. Do kraju jednak przedostawała się ona mimo wszystko: przeszczepiali ją wielbiciele jej i zapaleńcy, i tak np. lekarz Stankiewicz wyuczył się zagranicą tomów poezji emigracyjnej, aby ją w zaborze rosyjskim z pamięci wygłaszać lub spisywać (Bobrowski, Pamiętniki I, 84).

ROZDZIAŁ TRZECI

LITERATURA W KRAJU (1831—1863).

Dzielnice: Galicja (Fredro, Pol, Kaczkowski, Ujejski, Romanowski). — Kraje zabrane (pentarchja Tygodnika Petersburskiego; Kraszewski, Chodźko, Kondratowicz).—Królestwo (Korzeniowski; cyganerja; Lenartowicz, Norwid; kobiety). — Poznań. — Emigracja.

Na emigracji bratało się wszystko: Litwin z Ukraińcem, Mazur z Poznańczykiem; w kraju rozpraszało się życie na cztery dzielnice, odmienne duchem, trybem i treścią.

Galicja, odłączona od lat sześćdziesięciu od pnia głównego, nietknięta ani reformą Komisji Edukacyjnej, ani sejmu wielkiego, grzęzła w patrjarchalnym nieładzie, celowo utrzymywanym przez rząd „ojcowski". W ruchach narodowych tylko gorętsze jednostki brały udział, czyto w legjonach i wojsku polskiem Poniatowskiego, czyto w wojnie narodowej 1831 r.; zresztą panowała w kraju germanizacja urzędu, sądu, szkoły, wojska, ucisk skarbowy, stagnacja mieszczaństwa a rozpajanie chłopstwa. Duch obywatelski utrzymywał się jedynie wśród szlachty; duchowieństwo mało przyświecało przykładem. Dwory i dworki szlacheckie, a we Lwowie Ossolineum, walczące z podejrzliwością rządową, były jedynemi ostojami polskości. Literatury jakby nie było; brakło dzienników, almanachów, teatru; jedynie teatr lwowski wiódł ciężkie zapasy

ze sceną niemiecką, protegowaną nietylko przez władze, pod kierownictwem zasłużonego bardzo na tem polu I. N. Kamińskiego, sięgającego do wszystkich literatur i kierunków dla ożywienia ubogiego repertuaru. A właśnie na polu dramatu i komedji zajaśniała jedyna wielka gwiazda w Galicji, a blasku jej nie przyćmiły i dalsze dziesiątki lat aż do naszych czasów.

Hrabia Aleksander Fredro, żołnierz napoleoński, gorący patrjota, obywatel rozsądny a trzeźwy, najlepiej wyraził „pegaza w jarzmie" galicyjskiem — nadzwyczajny jego talent wkońcu wyjałowiał na niewdzięcznej ziemi. Jego próby sceniczne (autor ze sceną nigdy się zbyt nie poufalił — z własną szkodą) wyżyn dościgły właśnie po r. 1831, choć zaczęły się już kilkanaście lat przedtem. Łudzą u niego nieraz pozory umyślne i nieumyślne. Wychował się na teatrze francuskim i Molierze, był więc klasykiem, przestrzegającym nawet, ile możności, acz wcale nie skrupulatnie, reguł, t. j. jedności miejsca i czasu i innych naleciałości „klasycznych"; mimo to był zakapturzonym romantykiem, tłumiącym osobiste uczucia, tylko tu i owdzie folgując im nawet na scenie (np. w „Odludkach i Poecie"). Pisał niby ogólnie, jakby dla całej Polski, w istocie miał na oku galicyjskie otoczenie, Lwów, nie Warszawę. Pisywał jak najostrożniej, jakgdyby nigdy o „polityce" ani pomyślał, w istocie niejedno całe nawet dzieło powstało z gorzkich nad otoczeniem „politycznem" spostrzeżeń; tu jednak natrafiamy na grunt śliski i trudno oznaczyć, gdzie niewinna parodja graniczy z celową satyrą. Najcelniejsze komedje to: „Pan Jowialski" (r. 1832), „Śluby Panieńskie" (przerobione wierszem z dawnej prozy) (1832 r.), „Zemsta" (1833), „Ciotunia" (1834), „Dożywocie" (1835); na tem urwał nagle Fredro, zniechęcony ostrą a niesprawiedliwą krytyką Goszczyńskiego, milczeniem przyjaciół i gadaniną o jakimś szkodliwym kierunku

swej twórczości; w połowie drogi rzucił wszystko na długie lata i, gdy nałóg pisarski znowu się w nim odezwał, był już spóźniony o całe dziesiątki lat, dał też dzieła o znaczenie niższym poziomie i nic znakomitego (w całości) z tego okresu nie pozostawił.

Największy to talent komiczny i nietylko między Polakami, ale nawet między Słowianami mało kto mu dotąd dorównał. Dzieła Fredry, bądź w pośpiechu rzucane na papier, bądź starannie obmyślane i opracowane, są bardzo nierównej wartości. Obok fars, jedno- czy kilkuaktowych, z których najpocieszniejsza to nieśmiertelne „Damy i huzary", niemal jedyna na nie „galicyjski" temat; obok fars, przedrwiwających odwieczne tematy (np. „Nikt mnie nie zna" historja o Amfitrjonie Molierowym, albo „Gwałtu, co się dzieje", o rządach kobiecych w Osieku), dawał komedje społeczne, np. „Pana Geldhaba" (jakby mając na myśli niedalekiego sąsiada, spanoszonego na „liwerunkach", prototyp dzisiejszych paskarzy), „Cudzoziemczyznę", wyszydzającą anglomanję i „próżność" obywatelską. Miłą obyczajność lwowską zhańbił w „Mężu i żonie", potęgując najpospolitszy trójkąt małżeński wciągnięciem do gry miłosnej nietylko żony, ale i pokojówki. W „Panu Jowialskim" kłóci się tytuł z treścią, bo ta menażerja małpia, jaką wystawił (szambelan-synalek ojca wpół idjoty zupełnie rozum i wygląd ludzki stracił, a i „pan Janusz" godne to bagna Jowialskich żyjątko), nic już z jowjalnością nie ma wspólnego, lecz jest przykładem czczości i życia „obywatelskiego", a i inne pazurki wydobywają się z pod błazeńskiej napozór szaty o ojcowskim (o kr. rządzie?). Nad temi wszystkiemi komedjami górują „Śluby" i „Zemsta". Magnetyzm serca pociąga bezwiednie, miłość prawdziwa dwóch dla siebie przeznaczonych istot zwycięża uprzedzenia i nałogi, romantyczność salonowa, miłość idealna uzdrawia wietrznika Gustawa;

sposób wreszcie, w jaki swe uczucia Gustaw objawia, dyktując kochance list do innej mniemanej kochanki, chociaż nieraz i przed Fredrą używany, w jego ujęciu najwyższy tryumf odnosi. „Zemsta" spotyka się z „Sarmatyzmem" Zabłockiego tak samo nieznacznie, jak poetyckie „Śluby" z prozaicznym „Fircykiem"; gdy Zabłocki tylko dzikość prowincjonalną wyszydzał (albo zaloty obcesowe wystawiał), Fredro ożywił dwa typy dawnej szlachty: cześnika Raptusiewicza (przestarzałym nałogiem komedjopisarskim było nadawanie nazwisk „mówiących", które są etykietą, nalepianą na osobę) i rejenta Milczka. Pierwszy, zapalny, wybuchowy, gwałtowny, dobroduszny i miękki, honorowy, barszczanin; drugi, zawzięty, mściwy, uparty, napozór cichy i gładki, pokorny nawet, ale biada temu, kto mu w drogę wlezie, bo go zagryzie, wypędzi i zniszczy... z najpolutniejszą w świecie miną. Spór o mur graniczny, przejęty z tradycji własnej rodziny, miał się z początku, wedle owej tradycji, rozgrywać w siedemnastym wieku, ale autor przesunął czas o dwa wieki niemal, a mimo to stworzył jedyną, zupełnie udaną komedję historyczną. I to jest „sarmatyzm", tylko nie ów wódką i chamstwem cuchnący sarmatyzm Zabłockiego; obraz to raczej, jak się szlachta bawiła w zapadłej głuszy sanockiej, więc o jakichś głębokich zamiarach poety i mowy niema, a postać błazna-pasorzyta (nazwisko Papkina, od papania cudzym kosztem, pasorzyta oznacza) doreszty ściera powagę z komedji.

Swój światek obywatelsko-galicyjski unieśmiertelnił poeta, chociaż sięgał po obce wzory i wątki, zapożyczając się nietylko u Moliera, ale i u innych Francuzów, u Niemca Kotzebuego i u Włocha Goldoniego. Dowcip jego bywa i wcale niewybredny, pomysły nieraz najnieprawdopodobniejsze, np. ożenienie się z pierwszą lepszą; zapominamy o tem chętnie, podziwiając werwę komiczną autora, two

rzącego najpocieszniejsze sytuacje. Komedja jego jest jeszcze dawna, molierowska, oparta na typach, chociaż sam autor był przeświadczony, że typy powymierały, że dziś każdy osobnik jest bardziej złożony, a charakteru jego bynajmniej jeden rys nie wypełnia. W czasach zupełnej prostracji umysłowej zdrowy, może nieraz zbyt głośny, zbyt obcesowy śmiech jego działał orzeźwiająco; nie dostrzegli tego krytycy, co hrabiemu, szczególniej po klęsce narodowej, wszelkie możliwe przypisywali wady, a więc i obojętność narodową, i moralność wątpliwą, i zapożyczanie się u obcych, i niewybredność pomysłów. Osiągnęła ta ich naganka jedno: z pobudek osobistych zemścili się na autorze, a odpokutowała za to srodze i najniewinniej literatura, bo Fredro złamał pióro w chwili, gdy się właśnie talentem coraz wyżej wzbijał; fumy pańskie (a był charakteru cierpliwego) zabiły literata, którego do ziemi przykuwała już sama nędza galicyjska, a najnieznośniejsza cenzura teatralna wyżej wzlatywać, głębiej sięgać nie dawała.

Teatr jego mimo nazw obcych, Orgonów i t. p., przesiąkł swojskością, dworkiem polskim; nie jest jego wadą, że, jak molierowski, myszką trąci; gorzej jest, że, w zwyczajach i pojęciach tych marnych czasów wyrosły, nie poruszał się swobodniej, nie folgował satyrze jawniej, głębiej, nie strofował ostrzej. Świat jego komedji jest wyłącznie szlachecki, boć innego nie znał, gdyż go nie było, chociaż czasem i mieszczanina wprowadzał (tylko Żyda i chłopa w jego dorobku niema). Fredro pisał na przełomie dwóch wieków, gdy żyła jeszcze tradycja o Raptusiewiczach i Milczkach, gdy obok kretynów-Jowialskich (zarówno ich, jak i Papkina na własne oczy oglądał), obok żołnierzy napoleońskich (i spanoszonych dostawców), obok nadgniłego życia salonowego i innych naleciałości umysłowych i moralnych jeszcze jakaś tęży-

zna się objawiała w młodzieży, która mimo wszelkiego trzpiotowstwa i lekkomyślności samym temperamentem wznosiła się ponad miłych ojczulków i stryjaszków. Próżnię i martwotę tego społeczeństwa zagłuszał nietylko pusty śmiech; półśłówkami sięgał autor nieraz i do przyczyn wszelkiego zła, ale na komedję polityczną, a choćby obyczajową nie było „pozwolenia", i marnował się talent w mimowolnem uprawianiu takich tylko wątków, któreby biurokracji wszechwładnej snu błogiego nie przerywały; na emigracji byłby i Fredro inaczej pisał.

„Zemstą" wkroczył Fredro (piszący poza tem nowele, wiersze, ballady nawet) śmiało w dziedzinę tradycji, właśnie w Galicji aż nader uprawianej. Odznaczył się w tej dziedzinie Wincenty Pol gawędami, dla gawiedzi (oba te słowa są identyczne i to nie przypadkowo tylko) przeznaczonemi. Dziwnego nabożeństwa był to człowiek i pisarz — przeceniany niegdyś, równie niesprawiedliwie doszczętnie zapomniany został. Choć był synem Niemca, wżył się już nietylko w polskość, ale w staroszlachetczyznę najpośledniejszej próby, bo służącą magnatom, oddaną przesądom, ceniącą kastę, rodzinę i klejnot, a poza tem nie wiedzącą nic o bożym świecie. Zamłodu demokrata z przekonań, przeobraził się zczasem, jak i inni, np. Siemieński, we wstecznika najczystszej wody. Zamiast bakałarzyć w Wilnie, jak niegdyś zamierzał, walczył w szeregach Litwy powstańczej, a po kapitulacji wrócił na Drezno, gdzie go Mickiewicz i in. do prób poetyckich ośmielali, do Galicji i tu, poza kordonami z miejsca na miejsce się przenosił i tak własnemi piętami Polskę wszerz i wzdłuż przemierzył.

Zelektryzował publiczność „Pieśniami Janusza", pieśniami z świeżej ruchawki o raźnem tempie i dziarskiej minie, o rzewnem słowie i głębokiem uczuciu. Artyzmu w nich nie było, ale właśnie wobec odświętnej poezji emi-

gracyjnej te wiersze o zapachu chleba razowego a o barwach modraków polnych i maków, prochem wojenki okurzone, odrazu serca zdobyły. Wyżej się już nie wzniósł, chociaż później tworzył rzeczy nierównie lepsze, a jeszcze częściej nierównie słabsze. R. 1835 napisał, a 1843 (w Poznaniu) wydał „Pieśń o ziemi naszej", rymowaną geografję, ale i przez nią do serc trafił; lotem ptaka objął ziemie kresowe; krócej się z Polakami sprawił, wszędzie lud chwalił, a na panów a szczególniej półpanków niechętnem patrzał okiem; wiersz cięty i ucięty, prześlizgiwał się po powierzchni, ale obrazki kolorowe, przepojone miłością ziemi i ludu, łączyły to, co kordony porozdzierały, pod jednem patrjotycznem hasłem, wymownie, szczerze i dobitnie. Najpiękniejsze wiersze liryczne, opisowe (z Podhala, które po Goszczyńskim pierwszy z literatów zwiedził i z większą sztuką a prawdziwiej „Lachom" z równiny odmalował) oraz utwory osobiste zebrał w „Obrazach z życia i podróży", ale już tutaj wkradły się minorowe tony, znamienne odtąd dla jego muzy.

Ta muza wstąpiła tymczasem z nierównie głośniejszem powodzeniem na inne tory; z liryka wyłonił się nie epik, lecz gawędziarz, lubujący się w drobiazgowych, anegdotycznych rysach, antykwarjusz, sumiennie a starannie opisujący zegary, pasieki, stadniny. Zaczęło się to najniewinniejszemi „Przygodami Imci P. Benedykta Winnickiego w podróży z Krakowa (od p. Cetnera) do Nieświeża (do ks. Karola)" jeszcze w 1839 r. a za tą pierwszą gawędą o strasznie wąskim widnokręgu, ale kontuszową, zamaszystą (i boćkowską), posypały się coraz lichsze, zato na moralizującym sosie podawane, co się dziwnie kłóciło z nowożytnemi pojęciami o moralności. Śród tych gawęd dwie się wyróżniają treścią ciekawszą i tonem poważnym: „Wit Stwosz", po raz pierwszy wnikający w czary niedostępnej dla publiczności sztuki średniowiecznej, i pełen

przedziwnie pięknych obrazów „Mohort", starannie wykonany obraz z posterunku kresowego, malujący rycerza, czujnego strażnika, strzegącego posterunku chyba od wróbli, skoro Tatarzy już nie napadali, zato ich napadano! Tylko życia epickiego i tu nie było—drobiazgi zachwaszczały je całkiem. Gdzie żywa tradycja (Winnickiego znał najlepiej) opuszczała Pola, np. gdy chodziło o siedemnasty i szesnasty wiek, tam z poety tylko kronikarz i archeolog wyzierał. Ale po r. 1848, gdy wiosnę swobody zakuły lody nowej reakcji, wychwalanie dobrych, dawnych czasów u nie myślącej publiczności strasznie, acz na krótko już, popłacało, i Pol, sam sympatyczny, szczery, jak jego niewybredne postacie, cieszył się ogólnem uznaniem, poderwanem jednak już w 1859 r. ostrą krytyką Ujejskiego. Odtąd zaczynał się zmierzch jego popularności, która się niebawem w niewdzięczne zapomnienie zamieniła.

Co Pol wierszem, to prozą tworzył Zygmunt Kaczkowski. Patrjota i demokrata, osadzony w więzieniu, badał dzieje konfederacji barskiej (a babka jego pamiętała z niej niejedną postać); dzieła historycznego o konfederacji nie napisał, ale zebrał rysy w barwnych opowiadaniach o ludziach owych i czasach. Ziemia sanocka, najbardziej zacofana, owiana tradycją, która i Polowi nieraz dostarczała wątku do gawęd, odżyła w opowiadaniach i romansach, wyszłych niby z teki spółczesnej p. Marcina, ostatniego z Nieczujów. Zaczęło się świetną powiastką feljetonową, „Walką o chorążankę" (między Sanoczanami a Przemyślanami), przyjętą z zapałem, przenoszonym i na coraz obszerniejsze opowiadania p. Nieczui, szczególniej i na ekscentrycznego i tajemniczego „Murdelia", który udziału w przeprawach dziejowych nie bierze, zato koło siebie najrozmaitsze gromadzi postacie. Kaczkowski umiał, szczególniej w „Grobie Nieczui", łączyć ciekawe wątki, ale, złożywszy raz Nieczuję w trumnie, i sam własny

talent zakopał, bo np. taki „Sodalis Marianus" z czasów saskich, to szczyt nudów. Nieczuja był nierównie mądrzejszy, niż Winnicki Pola, lub Soplica Rzewuskiego, patrzył nieraz i wcale bystro, ale w krytykę się nie wdawał, tylko opowiadać umiał zajmująco. Krytykę uprawiał autor sam w powieściach społecznych, galicyjskich, pisanych równocześnie z historycznemi, tradycyjnemi; nie zdobyły one jednak równie szerokiego rozgłosu. Zapatrywał się w nich autor dosyć krytycznie i na rozmarzonego „bajronistę", niezdolnego do działania, marnującego swe zasoby, i na nowe pokolenie (w „Wnuczętach"), skarłowaciałe fizycznie i moralnie, i na rozwichrzonego demokratę, silnego w szumnem słowie, słabego w czynie („Dziwożona"); tendencja moralizatorska przebijała wszędzie, refleksja hamowała twórczość; z latami potęgowało się to, gdy autor wrócił do powieści po długiej, mimowolnej przerwie, wywołanej i nowem więzieniem i wyjazdem ostatecznym z kraju, a przesiedleniem się najpierw do Wiednia, później do Paryża. I teraz uprawiał powieść i historyczną i społeczną, i znowu w historycznej o wiele lepiej swe imię zapisał, gdyż „Olbrachtowi Rycerze" z czasu na przełomie piętnastego i szesnastego wieku, acz z fabułą nieco nadromantyczną, roztaczają istotnie całokształt ówczesnego życia. Jest to płótno akademickie: każdy w niem szczegół starannie jest obmyślony i wykonany, ale też chłód akademicki wieje z niego dotkliwie. Kaczkowski to autor bardzo rozumny, prawi rzeczy mądre, udają mu się nawet luźne kawałki i w późniejszych powieściach ale z nowszą nie jemu spółzawodniczyć — zbladł zupełnie obok jej mistrzów.

Już to pisarze galicyjscy skazani byli na wszelakie niedobory—nie ustrzegł się ich także i płomienny romantyk, wieszcz-patrjota, K o r n e l U j e j s k i. Zachwycił spółczesnych „Maratonem", alegorją o walce pełnej poświę-

cenia za ojczyznę, wstrząsnął nimi do głębi „Skargami Jeremiego" (z powodu rabacji-rzezi tarnowskiej z r. 1846), wydanemi w Paryżu (bezimiennie) w r. 1847; ich chorał „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej" stanął obok „Jeszcze Polska" i „Boże, coś Polskę" jako trzeci najrzewniejszy hymn narodowy. Wykołysała te skargi i wielka poezja emigracyjna (zdawało się, że Ujejski po niej lirę obejmie jako pogrobowiec romantyzmu), i poezja biblijna, w której się młody poeta rozkochał, a chorał sam dośpiewał do muzyki Nikorowicza; wrażenia muzyczne i później transponował na słowa pieśni („Tłumaczenia Szopena"). Jak „Księgi Narodu", jak „Przedświt", tak były i te słowa słowami pokrzepienia, ufności, wiary głębokiej; uniosły też serca i pięknością formy znakomitej i tonem osobliwszym, nacechowanym powagą kapłańską, i głębokością skruchy i żalu a płomiennością słowa — uczucie zbiorowe znalazło w nich najszlachetniejszy oddźwięk, a o sercu poety jak najlepiej świadczyło, że nie miotał, acz zawiedziony i upokorzony, słów mściwych na lud — Kaina, lecz biadał nad jego obłędem i wiary weń nie tracił. Los uśmiechał się więc poecie, lecz zawiodły oczekiwania, chóry pochwalne umilkły. Nie zmienił poeta ani przekonań, owszem rzecznikiem demokracji patrjotycznej, postępowej pozostał i nadal, zato talent widocznie się wyczerpał. Próbował wszystkiego: dramatu i powieści wierszowej — nie dokończył niczego. Powtarzał się w prześpiewach biblijnych, w liryce patetycznej, przypominającej Wiktora Hugo, zachodził i pod strzechę z słowem litości i żalu nad jej niedolą, ale w pamięci wdzięcznej narodowej pozostał zawsze owym Jeremim z r. 1847. Coraz rzadziej się odzywał w wierszu, albo w przemowach prozą przy różnych obchodach. Nowego tonu, nowej formy nie wniósł, dośpiewał w kraju na biblijną nutę ową wielką narodową poezję emigracyjną. Kompromisów nie znał, stąd ostrość

jego napaści na Pola, na wileńczyków, na magnatów w „Listach z pod Lwowa", drukowanych we lwowskim „Dzienniku Literackim" w 1860 r.

Ten „Dziennik Literacki" zastąpił wydawany od r. 1840 „Dziennik mód paryskich", gdzie pod egidą krawiecko-salonową skupiała się literatura, na coraz wydatniejsze zdobywając się plony. Historycy, przedewszystkim Karol Szajnocha, który pierwszy umiał, naśladując Francuzów, badania źródłowe ze wszystkich wieków Polski w najponętniejsze przekształcać wizerunki, poeci i powieściopisarze, jak Siemieński balladysta, Magnuszewski (przybysz z Warszawy, dramaturg niezgorszy), obaj bracia Borkowscy, ludzie wielkiej kultury umysłowej (kreślący satyryczne obrazki parafjańszczyzny galicyjskiej), Dzierzkowski (zdolny powieściopisarz, który dał się jednak porwać gustowi „sensacji" i z francuskiemi melodramatami o lepsze walczył), Pauli, nieznużony zbieracz (rzeczy ludowych i literackich) — składali ten pierwszy „garnitur" literacki lwowski przed r. 1848. Po r. 1858, gdy nawet w Austrji absolutyzm i centralizm „huzarów Bachowych" przestał wydziwiać, zdobył się Lwów na drugi garnitur, teraz już skupiony około właściwszego organu, „Dziennika Literackiego", gdzie obok dawniejszych stanęli i młodsi pisarze miejscowi i zamiejscowi (Szujski, Klaczko, Lenartowicz). Między tymi młodszymi wyróżniał się Mieczysław Romanowski, liryk-powstaniec. Walczyli bowiem i poeci w szeregach powstańczych (Korsak, Zaleski, Garczyński, Pol), lecz padł w bitwie, jak Körner czy Petöfi, jedynie Romanowski. Patrjota-idealista prosił Boga o tę burzę, którą inni tylko wieszczyli, ze śmiercią często witał się w myślach, zanim go na wieki uśpiła, i nie było to frazesem, gdy wołał: „Ojczyźnie tej życie, krew nasza i ramię i chwała w zgonie" — parł więc do czynu, innych budził, a sam sławnie zginął. Nie jego znaczny

artyzm, wyhodowany na poezji wieszczej, lecz gorące, głębokie uczucie, przeświecające przez każdy wiersz, serca mu jedna. Sił próbował i w dramacie przeddziejowym i w powieści spółczesnej; nad gawędy Pola wzniósł się w swym utworze p. t. „Dziewczę z Sącza, rzecz mieszczańska z czasu wojny szwedzkiej r. 1655". Z tytułu samego bije główna nowość: bajędy—gawędy bywały monopolem staroszlachetczyzny, Romanowski pierwszy przedstawił mieszczan w walce z najazdem. Zadanie powikłał, bo jego Basia nie z patrjotyzmu, ale w obłędzie ostrzeżenie Szweda-kochanka zdradza i z kochankiem-lutrem ginie, ale po raz pierwszy kapotowców do epiki wprowadził i niezgorzej ucharakteryzował.

Tak budziła się powoli Galicja, ale tylko we Lwowie, ze śpiączki umysłowej (nie przerywanej w dalszej „prowincji", w Tarnowie, Przemyślu, Tarnopolu, Stanisławowie) i zniemczały napozór Lwów, w którym polskość niby na komornem siedziała, ścierał powoli wyłącznie obce dotąd cechy. Około połowy tej epoki przyłączono do Galicji i rzeczpospolitą Krakowską, która dla braku sił i środków ani żyć, ani umrzeć nie mogła, gdzie mimo to, wbrew liliputowym rozmiarom, jeden i drugi uczony (Helcel) lub profesor (Wiszniewski, historyk literatury na olbrzymią skalę porównawczą) walczyli z obojętnością ogółu, skupiali się w Towarzystwie Naukowem (z którego później powstać miała Akademja) i nawet zabiegali o wydawanie pisma, czy roczników, lecz bez trwałego skutku. Miał nawet Kraków, czem się Lwów pochlubić nie mógł, własnych poetów, młodych romantyków-entuzjastów; wśród nich odznaczył się szczególniej Edmund Wasilewski który pierwszy po „klasyku" Wężyku świetnym tradycjom krakowskim hołdy winne złożył w swej „Katedrze na Wawelu", a dzięki swoim rzeźkim „Krakowiakom" (do których później Moniuszko muzykę dorobił) został

najpopularniejszym lirykiem, trafiając nierównie lepiej w nutę ludową, niż przed nim Gorecki; oprócz tych wierszy i innemi, płomiennemi porywał młodzież. Po przyłączeniu do Galicji i Kraków, z uniwersytetem, prasą („Czas" z feljetonami literackiemi Siemieńskiego), sztuką (teorję jej uprawiał pierwszy wybitniejszy estetyk polski Kremer), teatrem, szybsze stawiał kroki naprzód, chociaż daleko mu było jeszcze do roli, jaką miał na przełomie wieku odegrać; narazie przeważała jego tradycja: Wawel z grobami królów, Skałka z grobami zasłużonych i kopiec Kościuszki.

Jak w Galicji, tak i w krajach zabranych i na Litwie wileńskiej uwydatnił się silny ruch tradycyjny, złączony nieraz ze skrajnem wstecznictwem, a mógł się tem łatwiej rozpanoszyć, że zagaszono ogniska wiedzy — uniwersytet wileński i liceum krzemienieckie — i ciemności zaległy obszerne prowincje, szlachta się rozpróżniaczyła w pańszczyźnie, a bałagulstwo zakwitło. Ton kulturze tutejszej, która najwybitniejszy swój organ stworzyła w petersburskim „Tygodniku" (Przecławskiego, ale tylko przed r.1848), około którego skupiła się tak zwana „pentarchja" (rząd pięciu), nadawał jakiś czas hr. Henryk Rzewuski, zacietrzewiony arystokrata, niezrównany gawędziarz, który „Pamiątkami Imci P. Seweryna Soplicy" (urojonego cześnika parnawskiego) w r. 1839 zelektryzował poprostu publiczność i krytykę (przedewszystkiem Michała Grabowskiego, który, wyrzekłszy się własnej przeszłości, sądu niezawisłego, jemu się zupełnie w poddaństwo oddał.) Są to luźne szkice z czasów Stanisława Augusta. Idealizują dawną szlachetczyznę, jej tężyznę moralną i fizyczną, silną wiarę i wszystkie inne jej cnoty katechizmowe, gloryfikują niemal i jej nałogi, ale jędrnością, prostotą, szczerością umiały zahypnotyzować niekrytycznych czytelników, nietyle w Warszawie i Paryżu, ile na prowincji.

Jest to pierwsze i najcelniejsze dzieło Rzewuskiego, wolne jeszcze od wszelkich napadów na nowe czasy i ludzi. Następny jego romans historyczny, „Listopad" (1845 r.), nierównie więcej pretensjonalny, licho sklecony, lecz pełny ciekawych figur, przeciwstawia w dwóch braciach Strawińskich hart sarmacki zgniliźnie francuskiej. W dopiskach (jak Pol we wstępach do swych gawęd) napadał Rzewuski na spółczesność, uzupełniając zjadliwe pociski, jakie na nią miotał ten warchoł niepoprawny, który po ojcu i stryju odziedziczył gawędziarstwo, a po szkole jezuickiej nienawiść do wszystkiego, co wolnomyślne. W „legitymizmie" jedyną ostoję narodową upatrując, bronił tego absurdu z linoskoczkową zręcznością w „Mieszaninach Jarosza Bejły". Manewrami temi rozbudził śpiącą prowincję, ale powoli tracił mir najpierw u mądrzejszych, a potem i u ogółu, szczególniej warszawskiego, który rychło usunął się od bezwzględnej admiracji, która otaczała Rzewuskiego. „Dziennik Warszawski", pismo najlepiej redagowane przez niego, wkońcu nie znalazło poparcia, gdy redaktor w artykule „Cywilizacja i religja" dotarł do słupów Herkulesowych bałagulstwa moralnego. Pisał Rzewuski po „Listopadzie" „romanse" historyczne, tem mniej ciekawe, im w dalsze przesuwały się czasy; zasługują w nich na uwagę jedynie znakomite figury podrzędne, kreślone z werwą i humorem (np. w „Rycerzu Lizdejce" z czasów „Potopu"). Wreszcie świat czytających zupełnie zapomniał o Rzewuskim, cyniku i trefnisiu.

Z pentarchją „Tygodnika" „prawdą i pracą" znosił się jakiś czas i Józef Ignacy Kraszewski, pisarz o płodności nietylko u nas, leniwych, ale i na całym świecie wręcz niesłychanej; z płodnością szła i wszechstronność, bo młody autor poruszał się już wtedy na polu nie samej tylko powieści prozą, ale sięgał do epopei, historji, estetyki, krytyki i filozofji. Podlasiak, przepojony w domu trady-

cjami szlacheckiemi, uczeń uniwersytetu wileńskiego, przylgnął do Wilna (w czasie przymusowego pobytu) i do „Litwy", której dzieje obszernie opisywał: porwał się nawet na epopeje mityczne i historyczne litewskie i wiele sobie po nich obiecywał; tłumaczone na litewskie uchodziły jakiś czas za skarbiec narodowy „litwomanów" — istna to komedja pomyłek. Zaczął od powieści satyryczno-sentymentalnych miejskich; niebawem przerzucił się do szlacheckich, bardzo zgryźliwych narazie; z latami satyra jego złagodniała, i wkraczał na tory odmienne, to kreśląc z wielkiem powodzeniem konflikty natur artystycznych, do których sam należał, z chłodem i materjalizmem otoczenia („Poeta i świat"), to jako prawdziwy demokrata broniąc uciśnionego pańszczyzną ludu w najbardziej artystycznie wykończonych, sympatycznych powieściach ludowych, które pierwszy tworzył i w których nikt mu nie dorównał — wielka to jego zasługa, oceniona dopiero później; powieści rozrywano w latach „uwłaszczenia". „Ulana", „Ostap Bondarczuk", „Budnik", to jego najcenniejsze i dziś niepozbawione wdzięku i zajęcia utwory, rzucone na malownicze tło przyrody, rzewnem podpowiedziane uczuciem. Budziły one sumienie społeczeństwa. Chwilowo tylko owiała Kraszewskiego reakcja, wszechpotężna po r. 1848, i zaczął coraz bardziej romansować na temat zgody „dworu" z „gminą", cnót dawnych patrjarchalnych i tym podobnych wykopalisk, ale zdrowy zmysł i wrażliwość nadmierna wywiodły go rychło z tych ostępów, bagien i mroków na drogi rozumnego postępu i tej kultury, którą niedawno dla jej materjalizmu gromił. Przeskok był niemal nagły: jeszcze w romansach z lat 1851—1857 wyśpiewywał hymny nawet na cześć pańszczyzny (którą dziesięć lat przedtem inaczej, słuszniej, potępiał), wszelkich cnót słowiańskich (skamieniałości-tradycyj) i uwielbiał „Bożą czeladkę" i „Staro-

polską miłość" — najbledsze to jego utwory. Tylko na arystokrację nawet i wtedy krzywo patrzał, zarzucał jej wszystkie grzechy główne: cudzoziemczyznę i zgniliznę moralną; raczej w szlachcie „równej", nawet w mieszczaństwie doszukiwał się ideałów. O materjalizmie europejskim odmienił zdanie, gdy, po raz pierwszy wyjechawszy ze swego Hubina, podróżując zagranicą, poznał Europę i odtąd pożegnał ciemniki staropolskie i słowiańskie. Teraz przepajał powieści świadomie tendencją, uczył, moralizował, nieraz świetnie; taka np. „Historja kołka w płocie" to najznakomitsza alegorja, wymierzona przeciw pańszczyźnie i poddaństwu ludu. Natomiast nie miały wielkiej, trwałej wartości powieści historyczne z siedemnastego i osiemnastego wieku, zbyt jaskrawe (szczególniej w początkach twórczości), o słabem odczuciu wieku i ludzi. Pogłębienie zresztą niedomagało stale, bo niesłychana szybkość, łatwość tworzenia stały mu na przeszkodzie; już teraz jednak wyłaniała się główna zasługa autora: dawał on każdemu do rąk książkę polską, rugując powoli francuską, czy niemiecką, budował poprostu sam jeden całą literaturę, dowodził niedowiarkom, że i po polsku można i zająć i ubawić czytelnika. Rzucał rok rocznie kilka tomów powieściowych (a czasem i kilkanaście, szczególniej, gdy się pozbył kłopotów gospodarskich), nie licząc mnóstwa podjazdowych artykułów o wszystkiem w świecie, i stawał się coraz bardziej popularnym dzięki powabnej łatwości stylu, mnóstwu ciekawych szczegółów, coraz wytrawniejszej tendencji. Niebawem nikt z nim spółzawodniczyć nie mógł. Po rozmaitych próbach i przejściach na prowincji, gdzie walczył o emancypację chłopa i podniesienie oświaty, przeniósł się do Warszawy jako redaktor „Gazety Polskiej" i odrazu w r. 1861 podniósł ją na czoło całego dziennikarstwa; z powodu jednak chwiejnego stanowiska wobec Wielopolskiego, chociaż go bynajmniej bezwzględ-

nie nie zwalczał, musiał już z początkiem r. 1863 kraj (na zawsze) opuścić i przeniósł się do Drezna.

Z Rzewuskim i Kraszewskim dzielił jakiś czas Ignacy Chodźko tryumfy literackie na polu uwielbienia dobrych dawnych czasów i ludzi; w byłym wolnomularzu odżyły wspomnienia dziecięcia, wyniesione z „Domku mojego dziadka" i ze szkoły boruńskiej, i w „Obrazach litewskich", wydawanych od r. 1840 w coraz nowych serjach, odmalowywał z niekłamanem wzruszeniem, a z jasną, pełną miłości pogodą sielanki staroszlacheckie nadniemeńskie; w „Brzegach Wilji" i w „Pamiętnikach kwestarza" piękne krajobrazy i najszczegółowsze każdego drobiazgu opisy, malownicze sceny antenatów (szczególniej z podróży, „Panie Kochanku") budziły podziw nie wymagającej rzeszy. „Podania litewskie", sięgające w dalszą przeszłość, zbladły wobec tych zabytków świeżej jeszcze tradycji, które autor sam jeszcze na własne oczy oglądał i szczerze ukochał.

Z Chodźką, który pisał prozą, współzawodniczył w wierszu młodziutki Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla), pochodzący z warstwy Mickiewiczowej, ale właściwie jeszcze niższej, przeważnie z szaraczków-oficjalistów (dzierżawców i urzędniczków pańskich). Nie dziw, że tendencje demokratyczno-szlacheckie głęboko w nim utkwiły, a o panach-magnatach nie najlepsze urobił sobie wyobrażenie. Talent miał mały, ale miły, swojski, a gorące ukochanie kraju i braterska miłość do szaraczków i chłopów jednały mu sympatje i uznanie. Jego gawędy inne są, niż gawędy Pola: i treść ich bardziej ludzka, a więc oparta nie o błahe anegdoty o ukradzionych szarawarach, czy o literze *ch* (w Mniszech), i ton w nich odmienny, nie moralizujący o wyższości dawnych wieków, a upadku dzisiejszym. Bije z nich rzewność i smutek, bo czy w „Ułasie", czy „Janku Cmentarniku", czy „Kęsie chleba" gorzką opisuje dolę i upokorzenie niezasłużone i krzywdy osobiste;

jedynie w „Urodzonym Janie Dęborogu“ (autobiografja poczęści, rzucana na obce tło) i w pomniejszych kilku gawędach odzywał się humor. Zupełnie nie wiodły się wycieczki w daleką, obcą przeszłość, czyto w „Margierze“, opowieści o bojach krzyżackich, czyto w „Kanoniku przemyskim“, gdzie opisywał walki sumienia z szesnastego wieku; również nie udane były nikłe próby dramatyczne. Zato odżywał w gawędach kraj jezior i lasów, cichy i smętny, a uczucia zawodów życiowych, utrapień moralnych i fizycznych, cierpień dotkliwych (aż do pragnienia uwolnienia się od ciężkiego życia) wyrażały się w lirykach, tem bardziej wzruszających, im bliższy był zgon autora, zdobywającego się nawet na osobliwszą autoironję.

Nie udało się autodydakcie-poecie wydostać się na szerszy widnokrąg myślowy — pozostał między kapotowcami i siermiężnymi, sarkał na dawny nierząd (nawet przysłowia narodowe dowolnie do swych postępowych zapatrywań naginał), na świeży egoizm, a wypowiadał to rzewnie i tkliwie, bez siły i namiętności, sam przypominając brakiem energji i rzutkości białoruskiego chłopa, który, inaczej, niż zawadjacki Małorus, ciche zanosi skargi, łzy ociera, a ucisk cierpi dalej. Tłumaczył dawnych poetów łacińsko-polskich, nie bez nuty osobistej; próbował najrozmaitszych tonów, bo nawet do odrodzenia włoskiego sięgał dla kreślenia przejść miłosnych, czy usprawiedliwienia się, lecz tylko, gdy, wierny sobie, nadniemeńskie i poleskie głuche bory i cichą, smutną wieś z pochyłym przydrożnym krzyżem (w braku tradycji kolo1owszej) opiewał, chwytał za serce i niezapomniane tworzył obrazki.

Do pisarzy z krajów zabranych, z Kijowa (gdzie się gorętsza młodzież uniwersytecka, zczasem chłopomańska skupiała około „Gwiazdy“ przeciw pentarchji „Tygodnika“) i Petersburga należał Edward Odyniec, który towa-

rzyszył Mickiewiczowi w podróży szwajcarskiej i włoskiej i spisywał rozmowy z nim, jak Eckermann rozmowy Goethego, lecz bez ścisłości i dokładności niemieckiej, po wielu, wielu latach i niezawsze wiernie (dramaty jego pseudohistoryczne zapomniano dawno). Do grupy tej należał młody zapaleniec-demokrata, Żeligowski, który jako „Antoni Sowa" napisał dramat „Jordan"; miała to być dosadna satyra na społeczeństwo szlacheckie, wysuwające zarazem i idealnych miłośników ojczyzny i ludu, ducha i czynu (właśnie owego Jordana); dalej jeden „pentarcha", koroniarz rodem, lecz z losu i służby petersburczyk, Leopold Sztyrmer (piszący pod pseudonimem żony, Eleonory, bo w ministerjum wojny, gdzie jako pułkownik służył, bardzo niechętnie „pismaków" widziano). Był on pierwszy, który uprawiał powieść psychologiczną o ludziach bez woli („Pantoflach"), bez serca, albo i bez „piątej klepki" w głowie (nawet z domu obłąkanych wybierał tematy). Był klerykałem, lecz z przekonania, nie z przekory, jak Rzewuski, czy Przecławski.

Gdy tak Litwa i kraje zabrane po raz pierwszy i ostatni zwartą ławą wystąpiły i zaprezentowały literaturę ojczystą, wnosząc do niej własne wątki, stosunki, nawet prowincjonalizmy, gdy czerwonoruski Lwów rzucał dawną martwotę, Warszawa narazie milczała, jakby wycieńczona strasznym upływem krwi; pierwsze dziesięciolecie (1831 do 1841) przypomina jałowością swoją dawniejsze lata 1796—1806. Mimo to odżywała powoli siła przyciągająca stolicy i rosło ponownie życie duchowe, zasilane z prywatnych źródeł, bo rząd wszystko zdziałał, by kraj ogołocić z wyższej nauki-kultury: zniósł uniwersytet, gimnazja, zakładał szkoły ściśle fachowe; jeżeli nie Kijów, lub Moskwa, to Dorpat, Petersburg reprezentowały wyższą naukę; dziennikarstwo upadło zupełnie, a ruch wydawniczy malał niemal do zera. Naturalne zasoby, praca wytrwała jedno-

stek, książki przemycane z zagranicy torowały między młodzieżą drogę nowszym pojęciom.

Wśród starszych wystąpił najdonioślej Józef Korzeniowski, który po krzemienieckiej, kijowskiej, wreszcie charkowskiej profesurze wrócił do Warszawy już jako dramaturg zawołany i szczęśliwie debiutujący powieściopisarz. Trzeźwy, rozsądny, umiarkowany, chłodny, prawy obywatel, pełen poczucia obowiązku w życiu, okazał się takim samym w sztuce. Był szeroko oczytany, nietylko w literaturze francuskiej, w Balzaku i Dumasie (ojcu), ale i w innych obcych autorach; podczas wędrówek życiowych poznał niezgorzej świat średni, szlachecki, urzędniczy, nawet rzemieślniczy (pierwszy z literatów); spostrzegacz to bystry, wyrozumiały; nie bez humoru kreślił typy i charaktery, wątki i sytuacje — raczej codzienne; unikał wszystkiego, co nadzwyczajne, wstrząsające (z małemi i niezbyt szczęśliwemi wyjątkami) z zasady; lubował się w szczegółach, w długich dialogach, a przedewszystkiem pouczał, przestrzegał, moralizował. Dydaktyzm to przeważająca cecha jego utworów. Działalność jego objęła zgórą lat czterdzieści; próbował sił na różnych polach, w dramacie historycznym z dziejów polskich i obcych (angielskich, hiszpańskich, włoskich,—o mistrzach pendzla— podobne wątki popłacały wtedy nadzwyczaj, właśnie w Rosji, a jej literaturę znał dobrze); istotne powodzenie zdobył w dramacie towarzyskim i w powieści społeczno-rodzinnej. Wyjątkowo dał się porwać „Zbójcom" Schillera i w „Karpackich Góralach" przedstawił bunt skrzywdzonego Antosia przeciw ciemiężcom, jego prawość, a tych podłość na malowniczem tle Żabiego i życia huculskiego. Podobnie silnej sztuki ludowej teatr polski nigdy nie widział, stała się ona również podporą repertuaru ukraińskiego. I w „Cyganach" zstąpił acz z mniejszem na scenie powodzeniem (bo bez scen wstrząsających, w jakie „Górale" obfitują)

do świata ludowego a w „Majstrze i Czeladniku“ do rzemiosła zaglądał. Z komedyj towarzyskich pogodnym, dobrotliwym humorem okraszona jest „Panna-Mężatka“, zaś „Żydzi“ nie bez gryzącej ironji stawiają pod pręgierz żydów chrzczonych, panów i panie bez sumienia. Krótszy jest szereg jego powieści, który rozpoczął dopiero po owych dramatach, czując się swobodniejszym, niezawisłym od dyrektorów, widzów i krytyki, przekonany zarazem, acz niesłusznie, że powieść wkońcu całą beletrystykę pochłonie. Zaczął napoły humorystycznemi opowiadaniami, jak „Spekulant“ (na posag), i „Kollokacja“ (obrazek drobnoszlachecki), a zakończył czterotomową powieścią p. t. „Krewni“, w której, Mentor, uczy młodzież, jak żyć należy: bohaterami są dwaj bracia z podupadłego majątkowo znacznego rodu—jeden bierze się do rzemiosła, zawiesza szlachectwo na kołku, dopóki pracą nie dorobi się zamożności i poważania; drugi pracy się wstydzi, wiesza się u klamki krewnych, a gdy mu się noga powinęła, byłby niechybnie rozbił się moralnie, gdyby go nie ocaliła twarda służba wojskowa, wtedy (przed r. 1861) u szlachty krajów zabranych bardzo popłacająca.

Mądre, jak najstaranniej i pod względem stylowym (inaczej, niż u Kraszewskiego) opracowane powieści uczyły ładu w głowie, sercu i sztuce, cierpliwości, posłuszeństwa (wobec rodziców), szanowania zasad ogólnie przyjętych, lecz nie były ani zbyt tkliwe, ani zbyt żywe i znachodziły łatwo uszczypliwych krytyków, którzy na chłodzie i lojalności autorskiej języczki ostrzyli, od Tyszyńskiego (jedynego filozoficznie wykształconego estetyka-krytyka warszawskiego) aż do Klaczki, który z Paryża właśnie z powodu „Krewnych“ najdowolniej oskarżał autora o brak uczucia narodowego. Temu to uczuciu poświęcił autor i komedje („Wąsy i peruka“) i powieść, ale nie udobruchał przeciwników, którzy mu dużo krwi napsuli. Szanowna to

bardzo i zasłużona postać; talent i pracę wyszafował mądrze, a choć gust jego i styl nieco jest staroświecki, chociaż nieraz w pismach jego odczuć się daje pedanterja, brak temperamentu i fantazji i moralność nawet może niezawsze zbyt wzniosła, płynąca z dogmatu raczej, niż z poczucia własnej godności, jednak samo kreślenie swojskich obrazków ze wsi szlacheckiej, z biurokracji drobnej, z sfer artystycznych, nigdy satyryczne i krzykliwe (jak nieraz u Kraszewskiego), lecz pobłażliwe i pogodne zjedna mu czytelnika, który się chętnie w te mądre, prawdziwe i prawe słowa wsłuchuje, nie pytając, czy też autor zgłębił całe zagadnienie, czy nie zadowolił się zewnętrznem, acz wypukłem, kształtowaniem sprawy i ludzi.

Konserwatywny Korzeniowski, acz daleki od wstecznictwa pentarchji „Tygodnika Petersburskiego", nie odpowiadał gorętszej młodzieży warszawskiej. Z jej grona wyłoniła się jeszcze przed r. 1848 tak zwana „cyganerja" za przykładem francuskiej „bohême"; stanowili ją młodzi demokraci, apoteozujący lud a pokpiwający z „towarzystwa", jego manier i dogmatów. Jeden z gorętszych, kasztelanic Dembowski, rychło Warszawę opuścił i w Poznaniu uprawiał filozofję i „społeczność"; libretto do Halki Moniuszki o konflikcie między „dworem" a „chatą" przechowało pamięć o demokracie Wolskim. Zmorski, który również Warszawę dla Słowiańszczyzny opuścił, tłumaczył pieśni serbskie nie wedle własnej fantazji, jak Zaleski, lecz ściśle wedle pierwowzoru. Najwyżej wśród „cyganerji" wznieśli się Teofil Lenartowicz i Cyprjan Norwid, chociaż obaj Warszawę rychło i na zawsze pożegnali.

Teofil Lenartowicz, lirnik mazowiecki, inaczej, niż lirnik ukraiński (Zaleski), nie odrazu właściwy ton odnalazł; dopiero odsunąwszy się od ojczyzny, wskrzesił jej pamięć, opisując obrazy wyłącznie ludowe. Dokonał tegoż samego, co nieco wcześniej Kolcow w literaturze

rosyjskiej: wyszlachetnił poezję ludową. Dziarski optymizm, energja życiowa wiejskich chłopaków, krasa urocza dziewuch mazowieckich, krajobraz malowniczy, wszystko to czerpane z wrażeń własnej, wczesnej młodości, które wypiękniały w wyobraźni zoddali, z za lekkiego przymglenia — wylały się w wiersze krótkie o budowie najprostszej, w słowa najjędrniejsze, drgające ciepłem, tętnem silnem jakby obertasa, śpiewne, dalekie od prostactwa, gminności, a proste, przejmujące. Ta pochwała wsi wesołej, wsi szczęśliwej, tych „lasków i piasków", obca wszelkiej sielankowości, niewymuskana, czaruje ucho i oku odsłania najpiękniejsze rodzime obrazki. Ale „Lirenka" i „Nowa lirenka" nie znosiły powtarzań; Kolcow umarł młodo, Lenartowicz żył długo. Do większych kompozycyj brakło wątku i tchu; „Zachwycona" i „Błogosławiona" zajmowały treścią i szczegółami (matka opowiada w stylu ludowym, co widziała w zaświecie); słabiej wypadło opowiadanie chłopskie o Racławicach: postacie się rozpływały, brakło plastyki. Zupełnie zawiodły większe próby epiczne, o Wandzie i t. p. dramaty-dialogi; jedna i druga udatna ballada ginęła w jednostajności widocznej innych; brakło pogłębienia myśli i żywości temperamentu łagodnemu śpiewakowi pól i niw wiejskich. Zapomniała więc publiczność o wdzięcznie niegdyś przyjmowanym poecie, a jego srodze bolała ta mniemana niewdzięczność, która była raczej obojętnością i której nie zdołał przełamać już niczem. Przemęczył się długie lata na włoskiej ziemi zapomniany jakby, schorzały a biedny.

Nierównie tragiczniejszym był los nierównie większego artysty, któremu wieniec wawrzynowy, podany zamłodu, zamienił się odrazu w ciernie, kolce i który szczęścia nie zaznał na ziemi, chyba, gdy dumny, smutny, nieugięty oddawał się twórczości. Cyprjana Norwida, malarza, rzeźbiarza, poety, do literatury krajowej, ani nawet

do tej epoki zaliczyć nie można; pisał niemal wyłącznie na emigracji (przynajmniej wszystko, co jest istotnie Norwidem); pisał i po roku 1863 (aż do śmierci w 1883 r. w schronisku paryskiem dla starców), ale przedewszystkiem wyprzedził swą epokę — i to go zgubiło. Romantyk, symbolista, wyrażający głębokie myśli w sposób niezwykły, trafił na czasy najgorsze; płodząc z trudem, wymagał i od czytelnika, właśnie wtedy bezmyślnego, jak rzadko, i od krytyki (równie płaskiej) trudu myślenia; przelotna lektura nic nie może uchwycić z jego wierszy szorstkich, ostrych, budzących z uśpienia tych, co smaczny sen nad wszystko przekładali. Poeta i świat nie zrozumieli się. W czasach, gdy zadowalano się narodowością gawędy kontuszowej albo siermiężnej, on głosił istotną ideę narodową, głęboką w stylu i myśli; psychologję uprawiał, nie intrygę; patrzył na wszystko pod kątem duchowości, nieśmiertelności, doskonalenia się, a zaniedbywał miłą gładkość formy i płytką jasność słowa i treści. I okrzyczano go za niezrozumiałego, bo się nad rozumieniem nie trudzono. Poeta nie czynił ustępstw gminowi — i drogi poety i społeczeństwa rozeszły się zupełnie; dopiero w parę dziesiątków lat po jego śmierci zaczęto odrabiać grube nieporozumienie i witać w Norwidzie zwiastuna nowej, symbolicznej poezji, nie gubiącej się jednak w abstrakcji, marzeniu, lecz nawołującej do czynu. Przypomina poniekąd Norwid Słowackiego przemienionego, lecz bez lotności jego fantazji i czaru jego formy. Tworzył pyszne wiersze liryczne t. j. refleksyjne, a w powieści epicznej (największa „Quidam", ktoś z czasów Rzymu Neronowego) i w dramacie (niestety, ułamkowym, o Kleopatrze i obu Rzymianach, Cezarze i Antonjuszu, dawniej w „Krakusie") odtwarzał nietylko osobliwszą psychologję ich przeżyć (w znakomitych rozmowach), ale i uchwycić zdołał ducha czasu i miejsca. „Quidam" to wizerunek Rzymu, bardzo

plastyczny miejscami. Walczył stale z swojemi niepowodzeniami, mimo to nie zgorzkniał. Pisywał i prozą, nawet nowele, ale i tu całkiem wyjątkowo naginał się do przeciętności; osobliwość tematu i wysłowienia odgradzały go od tłuszczy i głos jego nie dolatywał do niej wcale. Brakło mu łatwości, poczytności; szedł swoją drogą, uważaną wtedy za manowce, ale swej sztuce stawiał najwyższe cele umoralnienia i uduchowienia, a w pismach jego nie brakowało i dotkliwych chłost satyrycznych.

Z coraz rosnącej liczby piszących zwrócił na siebie uwagę Gustaw Zieliński powieścią wierszowaną, „Kirgizem" (z r. 1842), powieścią wschodnią, stepową, ale jakżeż od przeciętnego orjentalizmu różną, bo przepojoną prawdą, kolorytem i wonią stepu, niesalonową, pełną tragiki całkiem realistycznej: para kochanków ginie w płomieniach, wznieconych na stepie przez mściwego ojca. W dalszem swem długiem życiu, oddanem służbie obywatelskiej, autor o poezji zapomniał.

Literaturze warszawskiej nadaje specjalną cechę wydatny udział kobiet piszących, należących do wszelakich odcieni (naturalnie oprócz cyganerji) religijnych, społecznych, filozoficznych. Wyróżniały się między niemi „entuzjastki", a na ich czele „Gabrjela" (Narcyza Żmichowska), przewyższająca wszystkie prawdziwym talentem, mistrzostwem prozy, głębokością myśli. Zgodnie z duchem czasu, który z pośród śmiertelników wywyższał wieszczów dla ich natchnienia i wyłącznego ich boskiego, bo twórczego, daru, żywiła „entuzjastka" Żmichowska najgórniejsze marzenia o zadaniu i celach sztuki i miłości (duchowej, nie zmysłowej), i w lirykach refleksyjnych a jeszcze bardziej w fantastycznym romansie p. t. „Poganka" apoteozowała jedno i drugie, niełatwo żegnając te iluzje. Ale rozdźwięk między marzeniem-nałogiem a życiem-czynem nie dawał spokoju jej bystremu,

chłodnemu umysłowi i już w następnej „Księdze pamiątek" wybijają się na czoło popędy altruistyczne, nieznoszące egoizmu nawet w imię ubóstwianej doniedawna sztuki, wszelakie zaś sobkostwo karze się samo. Powieści Żmichowskiej nie stały intrygą, lecz subtelną analizą psychologiczną, która się najlepiej ujawniła w „Białej Różyczce", opowieści o pannie o dwojakiej fizjognomji moralnej: jedną okazuje dla świata t. j. salonu i jego próżności, bezmyślności i plotek; drugą chowa dla wnętrza, gardząc owym szychem; brak jej jednak energji, aby zrzucić ową maskę „konwenansu", zadowala się więc cichym protestem i tylko wyjątkowo odkrywa swe myśli, niezdolna do czynu. Stylu równie delikatnego, istnego haftu kobiecego, literatura przed nią nie znała; uwagi mądre, głębokie, świadczyły o zupełnej emancypacji duchowej, wypowiadały wojnę właśnie marzeniu, nawoływały do czynu; znajomość duszy kobiecej zapowiadała pierwszą znakomitą autorkę. Gdy zbrakło fantazji, a coraz silniejsza chwilowa reakcja ostudzała zapał twórczy — wycofała się Żmichowska z szeregu piszących.

Obok niej odznaczyła się Jadwiga Łuszczewska („Deotyma") innemi darami niezwykłemi; rokowała mianowicie największe nadzieje łatwością improwizowania na tematy ogólnej treści. Była to poezja refleksyjna, bez osobistego tętna i taką przez długie następne lata pozostała. Po jednej i drugiej serji „Improwizacyj i poezyj" zwróciła się autorka, łatwością wierszowania zwiedziona, do stworzenia pieśnioksięgu dziejów narodowych, „Polska w pieśni", od bajecznego Lecha począwszy. Obrazy te przeszłości bądź mgliste, bądź fantastyczne zupełnie, na które tylu pisarzy siliło się od osiemnastego jeszcze wieku a zawsze napróżno, zajęcia nie zbudziły, i rzuciła wkońcu poetka niewdzięczne pole czystego zmyślenia romantycznego i romansowego, obcego duchowi przeszłości, operującego

frazesami, cudami, dziwami, i przeszła w podeszłym już wieku do „Sobieskiego pod Wiedniem", lecz tej kroniki-epopei, opartej o najświetniejsze studja, drobiazgowej, nie wykończyła; wstęp był jeszcze całkiem romantyczny i symboliczny, pieśni następne tem bardziej prozą życiową przejęte. Trwalsze poniekąd powodzenie przypadło w udziale jej powieściom, mianowicie przydługim: „Brankom w jasyrze" (Polkom, uwiedzionym za Bajkał przez Mongołów w trzynastym wieku), ciekawym dla niezwykłej treści (mongolskiej, wystudjowanej starannie) a szczytnym ze względu na myśl altruistyczną o wszechwładzy poświęcenia. Obie panie stały na czele całego zastępu pisarek. Obudziło się życie i odzyskiwała Warszawa powoli znaczenie swe, które miała jako zbiornik pracy umysłowej przed r. 1830, a utraciła zupełnie po katastrofie.

W tym międzyczasie odznaczył się żywszym ruchem po raz pierwszy i ostatni Poznań; sprzyjała mu i względna łagodność cenzury — był to wszak jedyny zakątek Polski, dokąd dochodziły publikacje emigracyjne (acz bynajmniej nie wszystkie), a nawet można je było omawiać publicznie, wolno było pisać np. o Słowackim. Znacznie wyższy był tu i sam poziom naukowy, bo chociaż Poznań wszechnicy nie miał, ale bliskość Berlina i Wrocławia dopełniała nauki, wyniesionej z gimnazjów pruskich, nierównie lepszych, niż w innych zaborach. Nakoniec wobec stosunków ekonomicznych, mniej zabagnionych, niż w Austrji i Rosji, choćby dzięki uwłaszczeniu chłopów, tu mądrze przeprowadzonemu zgóry, zgłaszali się do pracy owocnej i mieszczanie, nierównie liczniej i wydatniej, niż gdziekolwiek indziej. Spotykamy się tu z pracownikami uczonymi, gorliwymi, patrjotycznymi, począwszy od Raczyńskich (mecenasów sztuki) i Działyńskich, a kończąc na profesorach gimnazjalnych i lekarzach (niezapomniany Marcinkowski, założyciel „Towarzystwa Pomocy Naukowej").

Znacznie ożywił się i ruch wydawniczy (tu drukowali wiersze swe Pol, Zaleski, Goszczyński), właśnie w duchu postępowym, demokratycznym, dochodzącym w pismach Wojkowskich i wierszach Berwińskiego do najjaskrawszych przeciw szlachcie i księżom wycieczek. Jednego tylko zabrakło w tym ruchu: wielkiego talentu, i nie zdobył się prozaiczny Poznań na żadne imię, coby sprostało gwiazdom dalszych dzielnic. Uprawiał w Poznaniu filozofję heglowską, dostrojoną do ducha narodowego, Br. Trentowski, który drukował jedynie w Poznaniu i czasopismach poznańskich żywo i barwnie pisane artykuły i dzieła z osobliwszem filozowicznem słownictwem; pracował nad filozofją K. Libelt a najbardziej genjalny Wołyniak, hr. A. Cieszkowski, mentor Krasińskiego, znakomity myśliciel i historjozof, wytrawny ekonomista. Poznań pierwszy przykładał pilną rękę do dziejów kultury polskiej, jej szkół i wyznań; ogłaszał dawne zabytki; starał się o podręczniki szkolne; pierwszy rozwiał romantyczne uprzedzenia o rodzimości wierzeń ludowych (dokonał tego Berwiński za przykładem obcym), lecz nie stworzył poezji ani powieści. Nie był poetą dzielny generał i patrjota, Franciszek Morawski, który napróżno w wielkopolskim „Dworcu mojego dziadka" zawodniczył z litewską „Kroniką szlachecką" i chyba tylko jako bajkopisarz (i twórca kilku popularnych legend wierszem) się odznaczył. Górnie i chmurnie zaczął swój zawód Ryszard Berwiński; po wszelakich drobnych próbach wystąpił w „Poezjach" (1844 r.) z bezwzględnem zwalczaniem „rycerzy podwiązek", konwenansów, wszelakich przesądów, a z sławieniem haseł ludowych: równie silnych a gorzkich wyrzutów nikt spółczesnym w oczy nie rzucał. W „Don Żuanie poznańskim" ośmieszył wszelką romansowość, a docinkami wzburzył przeciw sobie opinję. Trawiony niespokojną żądzą czynów, rzucił wkońcu i poezję i społeczeństwo. Podniecenie ruchu poznań-

skiego, dosięgające szczytu w latach 1844—1846, po r. 1848 znacznie ochłodło; ustał niemal ruch wydawniczy, z pism —miesięczników i tygodników literackich—ostał się jedyny i konserwatywny i arcykatolicki „Przegląd Poznański" Koźmianów, którzy się tu z Warszawy przenieśli. Niebawem walka o zagrożony byt narodowy pochłonęła wszelkie zasoby i myśli. Poznańskie dzielnych synów oddawało innym dzielnicom (Małecki przeszedł do Galicji, profesorowie poznańscy do warszawskiej Szkoły Głównej Wielopolskiego); w samym Poznaniu wyjałowiało życie doszczętnie.

Po roku 1848 wróciły o tyle normalniejsze stosunki, że punkt ciężkości przesunął się z emigracji napowrót do kraju. Emigracja przestała rościć prawa do sterowania krajem z pięknej dali i w myśl swych teoryj, bo kraj przestał jej słuchać. Nie ustała wprawdzie jej produkcja literacka: na emigracji tworzył i Lenartowicz i Norwid, a wypłynęli nowi zdolni publicyści i krytycy: Kalinka i Klaczko. W „Wiadomościach Polskich" hotelu Lambert (Czartoryskich) zwalczano cięto zarówno wszelkie oznaki deprawacji i depresji umysłowej w kraju, jak i wichrowate pomysły Mierosławskiego; rozgłosu jednak i wpływu publikacja ta nie osiągnęła. Rola samej emigracji ostatecznie się wyczerpała; po amnestji wracali emigranci-rozbitki i sybiracy-tężyzna do kraju, ale nie porzucali dawnego trybu myślenia, ani nadziei wystąpienia czynnego, przejęci jeszcze dawnym romantyzmem-idealizmem „Ody do młodości"; hołdują oni zasadom demokratycznym, wierzą w lud i ludy, łudzą się byle jakim giestem, czy słowem Napoleona, oswobodziciela Włoch. Podniecenie umysłowe Warszawy, tem gorętsze, im bardziej spychane pod ziemię, urastało w spiski i „rządy narodowe"—tłumione długo, wybuchło nakoniec w powstaniu styczniowem 1863 r. Poezja romantyczna święciła tryumf, jak w r. 1831; zer-

wano się do wytęsknionego czynu, chociaż powstanie nie było ogólne; i znowu Warszawa z Królestwem najobficiej złożyły haracz krwi i mienia; znowu przerwano grożące odrętwienie, uśpienie ducha narodowego krwawym protestem, jedynym, który ostatecznie waży; i znowu pochłonął r. 1863, jak 1831, wszelkie uzyskane, zdawało się na trwałe, zadatki istnienia narodowego, szczególniej w zaborze rosyjskim i nierównie głębiej, niż kiedykolwiek przedtem, sięgnęły represje wroga, kuszącego się teraz o bezpośrednie zwalczenie, podważenie narodowości samej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

REALIZM (1863—1890).

Zwrot przeciw romantyzmowi w pracy narodowej i literaturze. Nowe tory. — Poezja: Asnyk, Konopnicka. — Powieść: Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus. — Dramat: Bliziński, Świętochowski. — Krytyka.

Upadek powstania nie pociągnął za sobą nowej wielkiej emigracji, bo tylko jednostki opuszczały kraj, lecz podciął ostatecznie wszelki romantyzm, a z bankructwem romantyzmu politycznego szło w parze i bankructwo literackie. Przewrót odbił się strasznie na winnych i niewinnych; starano się zniszczyć polski stan posiadania w krajach zabranych i w „Kongresówce". Autonomję upragnioną zastępowały coraz brutalniejsze rządy moskiewskie. W „kraju priwislańskim" ruszczenie rządu, sądu, szkoły postępowało raźnie obok stale zaostrzanej cenzury; podstawy materjalne szlachty zachwiały się groźnie przez uwłaszczenie chłopów, konfiskaty i kontrybucje (szczególniej w krajach zabranych); tylko rosnący wskutek powolnego uprzemysłowienia kraju dobrobyt sfer mieszczańskich wyrównywał poniekąd te niedobory, chociaż główny udział nowych zysków przechodził w ręce Niemców-przybyszów, nieraz rychło się polszczących, i Żydów. Inteligencja przenosiła się ze wsi do miasta i świat szlachecki zasuwał się powoli w przeszłość; mate-

rjalne zaś i moralne zacofanie kraju budziło w młodzieży gorące starania około podniesienia oświaty, higjeny, bytu; rozlegały się donośnie hasła pracy u podstaw, pracy organicznej, wyrzekającej się wzlotów romantycznych, cichej, wytrwałej, acz niepokaźnej; zabrzmiało potępianie wszelkiego bezmyślnego trwonienia sił i czasu, wszelkich przesądów kastowych i wyznaniowych, każdego zacofania umysłowego, rażącego wobec zdrowej nauki europejskiej. Swobodniejszem życiem politycznem odetchnęła tylko „Galicja"; chociaż warunki ekonomiczne i narodowościowe (walka z nędzą i z Rusinami) utrudniały rozwój narodowy, myśl polska mogła tu jednak swobodniej się wyrażać.

Odbiły się te przejścia na literaturze. Powiało w niej odrazu innym duchem; ulotniła się wiara w siłę zbawczą poezji, miłości, fantazji; kapłanów sztuki, ofiarników u jej ołtarzy, sprowadzono z świątyni do życia codziennego, jego wymagań i potrzeb. Liryka wszelkich odcieni, doniedawna tak piastowana, ucichła; szlacheckie gawędy utraciły odrazu kredyt; powieść obyczajowa, komedja społeczna służyły oskarżeniu dawnych i nowych wad, kreśliły ideały, jakżeż od romantycznego tytanizmu dalekie! Utylitaryzm górował, a z nim realizm wchodził we wszelkie prawa dawnej poezji.

Lirykę uznawano chyba wtedy tylko, jeśli szczerze służyła nowym hasłom, budziła spółczucie dla wszystkich upośledzonych i wydziedziczonych, sławiła postęp i pracę; od powieści i komedji (zarzuciwszy historyczne) wymagano ośmieszenia, zdemaskowania przeciwników nowych prądów a wyidealizowania ówczesnych pracowników. Wraz z duchem i tendencją odmieniły się wątki i nawet styl; z dworów i dworków schodziło się do nizin, do chat i do fabryk, albo wspinano się na poddasze. Fantazję ujarzmiano; dosadność a szczególniej dokładność rysunku,

odtwarzanie życia realnego, banalnego i jego konfliktów arcymizernych zagłuszało wszelkie inne wymagania; tendencja rozgrzeszała braki. „Młodzi" przeciwstawiają się „starym", („my i oni") i głoszą ze sceny i w powieści hasła postępowe; nowa publicystyka, nieskończenie od dawniejszej wyższa, żywotniejsza, wspierała literaturę; najśmielsi i najgłośniejsi, np. Świętochowski, pracują w obu dziedzinach.

Romantyzmu nie zabito odrazu; pogrobowcy jego utrzymują się przez cały przeciąg czasu, lecz posłuchu mimo misternej formy albo ciekawej treści nie znajdują. Należał do nich Leonard Sowiński, gorący patrjota, którego i Sybir nie ostudził, chłopoman niegdyś, wróg filisterji i racjonalizmu, który zaczął jako bajronista jeszcze i ideałom młodości nie sprzeniewierzył się nigdy; najcenniejsze jego dzieło, dramatyczne, „Na Ukrainie", kreśli wymownie nieporozumienia między starymi i młodymi, między Polakami a Ukraińcami, i katastrofę końcową; pamiętnik to poetycki r. 1863 i złotej hramoty, odtrąconej przez chłopców. Nierównie wyżej jako arcymistrz formy stanął Adam Asnyk (El...y), jedyny, który szczególniej drobniejszemi wierszami o fakturze Heinego zdobywał oklaski i czytelników. Zaczął jako romantyk w polityce i poezji, członek „rządu" (co go do porzucenia Warszawy a osiedlenia w Krakowie zmusiło) i twórca „Snu grobów", gdzie się z własnym romantyzmem ostatecznie pożegnał. Wybitny intelektualista, nie znał poezji żywiołowej; stylizował i cyzelował najsumienniej wiersze refleksji, głębokiej zadumy nad światem i życiem, filozofował, ale jakżeż on daleki od filozofji-metafizyki romantycznej; przyrodoznawca, wżył się w nowoczesne prawo ewolucji, wszędzie je dostrzegał i w nieskończony pochód rozwoju wierzył święcie (jedyna to jego wiara), opuścił więc skrzydła romantyczne, spo-

korniał, wyczuł zato wiekuiste piękno przyrody, która go pocieszała po utracie omamień miłosnych i złudzeń społecznych i politycznych. Przedzierzgnięty z romantyka w pozytywistę, zachował jednak wiarę szlachetną, nie zniżył się do popłacających formułek poetycznych, nie schlebiał dniowi; gorący patrjota, uznał bez zastrzeżeń konieczność odmiany, rzucenie „kształtu przeszłości zgniłego" a znał jedną namiętność: szukanie prawdy i noszenie przed narodem pochodni światła. Dramaty jego historyczne i komedje społeczne dziś są zapomniane, ale liryka jego żywa, nęci nietylko niezrównanem mistrzostwem formy i rymu, ale myślą („Nad głębiami"), pierwszemi wzniosłemi obrazami przyrody górskiej („W Tatrach"), błyszczy wytwornym (a nieraz i z polska dosadnym) dowcipem; pogodziła się już z losem, do tytanicznych wysiłków nie nawołuje, głęboka rezygnacja przemawia z niej wymownie.

Inaczej Felicjan Faleński; jako prawdziwy romantyk pozostał wierny dawnej sztuce, po całym świecie śledził jej wzory i, będąc znakomitym tłumaczem, przyswajał polszczyźnie poetów dawnych i nowych, Romanów i Germanów. Próbował sił i w licznych utworach scenicznych, czerpanych przeważnie z obcej niwy, z świata mitycznego („Altea", z którą Wyspiański w „Meleagrze" zawodniczył) i rzymskiego („Gród siedmiu wzgórz w legendzie wieków", cykl), ale dramaty te wyróżniają się tylko świetną formą. Piękność słowa, mądrość uwag, dotkliwa nieraz ironja cechują i jego liryki refleksyjne, chłodne, rzadko o żywszem uczuciu, stylizowane wytwornie („Meandry"), jak na prawdziwego „parnasistę" wypadało. Ogół, coraz wyraźniej antypoetycki, zaniedbywał go stale — uznanie zdobył sobie u schyłku zaledwie długiego życia i trudu.

Jedyna osobistość, która przebojem zdobyła to uznanie,

służąc najpierw tendencji, później dopiero sztuce, to pozytywistka pierwotnie a następnie romantyczka, ale zawsze poetka „ludowa", Marja Konopnicka. Strunę erotyczną swej lutni rychło i na zawsze zerwała; w Warszawie napięła zato strunę społeczną, ludową, buntowniczą, oskarżając i Boga i ludzi o brak miłości, bluźnierczemi niemal pytaniami wstrząsając „podstawy" i wywołując protesty pobożnych. Autorka ukorzyła się, ale głębokiej sympatji ludowej nigdy się nie wyrzekła. Opuściwszy Warszawę, szermowała swobodnie piórem, spisała nawet, w „Śpiewniku Jana Sawy", którego „Rota" przeszła całkiem w narodową własność, luźne kartki dziejowe, ale nierównie wyżej stanęła w opisach krajobrazów rodzimych i obcych, lub wielkich dzieł sztuki. Gdy talent liryków męskich w drobiazgach się rozpraszał, ona jedyna stanęła w zawody z „Panem Tadeuszem" i stworzyła obok epopei szlacheckiej epopeję ludową: „Pana Balcera w Brazylji", pracując nad nią latami. Nie jest to „Pan Tadeusz", już dlatego choćby, że od początku, od odpłynięcia wychodźców z Gdańska aż do powrotu marnych niedobitków, o morzu i Brazylji opowiada kowal, zarywający nieco z „waszecia"; zato zdołała autorka w partji wychodźczej zjednoczyć wszystkie tak odmienne typy ludu dawnej Polski, a w tragicznych jego przejściach uświetnić jego niespożytą siłę duchową i wytrwałość fizyczną. Żadne pióro męskie nie zdobyło się na równie silne oddanie piekła brazylijskiego i odporności ludu, uskrzydlonego wiarą; mistrzostwo autorki jest godne podziwu, najtrudniejsze zadanie rozwiązała szczęśliwie. Jak żadna inna literatura nie wydała celniejszego obrazu wsi nad „Chłopów" Reymonta, tak i epopeja Konopnickiej, mistrzyni ludowego słowa i barwy, pozostaje nieprześcigniona.

Epoka po r. 1863 odznacza się grafomanją, wobec której

niknie zupełnie wszelka dawniejsza; literatura zagarnia siły, które niełatwo było inaczej zużywać; wobec najniekorzystniejszych warunków zewnętrznych (np. wykluczania Polaków ze służby rządowej, do niej chyba w Dagestanie albo nad Renem dopuszczanych!) wszystko garnie się do pióra, mniej w Galicji i Wielkopolsce, coraz wyłączniej oddanej walce o byt, niż właśnie w Warszawie. Nietylko powieść i stale upośledzony dramat, ale i liryka (rzadziej epika albo satyra) szczycą się tuzinami nazwisk, które pozostają jednak bez trwałego rozgłosu; wyżyn, znaczenia i popularności Konopnickiej nikt nie dosięgnął — rzecz to uwagi godna, bo całkiem wyjątkowa, gdyż kobieta, stworzona raczej dla subtelnego dialogu, dla miłego naratorstwa, dla analizy uczuć niegłębokich, uprawia zazwyczaj tylko powieść. Powieść też, pod piórem kobiecem czy męskiem, nadała właściwą cechę tej całej literaturze — uwagę nietylko Polski, ale i Europy pochłonęli powieściopisarze-realiści, Sienkiewicz, czy Orzeszkowa.

Nad podwalinami nowej powieści trudzili się z nierównem powodzeniem dwaj emigranci: Kraszewski i T. T. Jeż (Miłkowski). Kraszewski w drugiej, krótszej epoce (1863—1889) życia i pracy (bo żył tylko pracą, poza nią chorował) rozwinął jako pisarz o niezrównanej płodności zasoby obserwacji życiowej i studjów historycznych w niezliczonych powieściach, sprawozdaniach, korespondencjach, zasilając niemi wszelkie pisma zagraniczne, gdy własnych podtrzymywać nie zdołał. Już nietylko jako Kraszewski, ale jako i „Bolesławita" (pseudonim) porał się z zagadnieniami codziennemi i dziejowemi. „Bolesławita" rozprawiał o powstaniu narodowem i o tem, co je poprzedzało, najpierw z uwielbieniem, później z krytycyzmem. Autora, chwytającego na gorąco każdy nowy ruch czy zboczenie, nie zadowoliły owe „Rachunki" ze

swoimi, przy których Galicję najmniej oszczędzał, owe kreślenia nowych i zamierających warstw (w „Morituri" te ostatnie nie najgorzej się przedstawiają, w „Resurecturi" zaś owe nie najlepiej) i wszelkich typów, spotykanych w domu i na obczyźnie (przeważnie ujemnych). Powieść historyczna pochłaniała mu czas całkiem inaczej, niż dawniej. Historyczne powieści Kraszewskiego są nierównej wartości: znakomite są te, które o czasach saskich i stanisławowskich prawią, coraz mniej ciekawe się stają, im dalej w głąb wieków zapuszczał się autor, który, czerpiąc jeszcze z tradycji domowej i ze wszelakich pamiętników, zgłębił właśnie wiek osiemnasty tak, jak nikt inny. Tylko „Rzym za Neronów" (nie bez myśli alegorycznej o potędze moralnej wobec brutalnej siły) i „Stara Baśń", sielanka piastowiańska, wyróżniają się dodatnio wśród wszystkich „dawnych" powieści.

Krakowski obchód jubileuszowy w 1880 r. był hołdem uznania i wdzięczności nie za jakieś wiekopomne dzieło (bo takiego autor nie stworzył), lecz za całość owocnej pracy, która stworzyła książkę polską, bo któż inny najszerszym warstwom dał tyle poczytnej a pożytecznej, powabnej a uczącej, patrjotycznej a polskiej lektury? Niezrównany co do ilości, nie zadowalał może jakością wybrednego czytelnika, ale on sam takiego czytelnika wypiastował. Nowych dróg nie torował, płynął raczej z prądem, ale, wrażliwy nadzwyczaj, podejmował każde postępowe hasło; krytyka jego, pisana zdala od kraju, może i niezawsze była oględna; łączył publicystykę i tendencję z beletrystyką i sztuką; sztuki samej nie uprawiał nigdy, stale okazywał się rzecznikiem wymownym cnót obywatelskich, szermierzem wolności duchowej, wolnym od wszelkiej skrajności a stosującym wszystko do Polski. Całe pokolenie na nim głównie się wychowywało; strawa literacka, jaką je karmił, niezawsze bywała wykwintna,

ale zawsze rodzima i zdrowa; kulturalny związek z Zachodem znajdował w nim najgorętszego zwiastuna. Była to natura wyłącznie artystyczna, nie do walki-czynu stworzona, miękka, łagodna, nawskroś polska.

Miłkowski (T. T. Jeż) demokrata, republikanin, żołnierz i w powieści, której jął się stosunkowo późno, po r. 1858, harcował rąbaną i krzyżową sztuką. Beletrystyką walczył, gdy mu inną broń z rąk wytrącono, a obrał sobie niwy Słowiańszczyzny południowej i jej walk odwiecznych ze wszelkimi gnębicielami, Turkami, czy Grekami, aby wzorem i przykładem Uskoków, czy Asanów pouczyć własnych ziomków. Geografję i etnografję całego Bałkanu przemierzył własnemi stopami, więc zdobył literaturze polskiej, tak względem braci Słowian po r. 1831 obojętnej, nowe pole i dał Serbom, Bułgarom, Kroatom romans historyczny, jakiego sami dotąd nie mieli. Oprócz romansu patrjotyczno-historycznego uprawiał romans obyczajowy, satyryczne rysy silnie wydobywał, wymagania artystyczne zbywał lekko, moralizował wprost, bez ogródki, sentymenty wszelakie wyszydzał, nierównie ostrzej, niż Kraszewski, piętnował wszelkie sobkostwo a nawoływał do zgody, do uznania praw ludowych, idealizując „chłopomanów". Jedyny to autor, który hasła dawnego „Towarzystwa Demokratycznego" nietylko w życiu, ale i w całej działalności literackiej wyrażał. Serdeczny, otwarty, nadzwyczaj sympatyczny, czcigodny starzec ten, który piórem i czynem przyświecał całym pokoleniom, dochował siłę i rzeźkość do lat matuzalowych. Artyzmem celował o wiele mniej, niż Kraszewski, temperamentem jednak go prześcigał.

W kraju rozpanoszyła się powieść tak, że przez jakiś czas, zdawało się, że urzeczywistniały się przepowiednie Korzeniowskiego o jej przyszłej wszechwładzy. Gdy jednak w epoce poprzedniej każda dzielnica własną od-

rębność silniej zaznaczała, teraz partykularyzm ów ustaje, i właśnie literatura jedyna nie uznaje kordonów, wyraża naród cały. Są wyjątki, są pisarze o wybitnem piętnie np. galicyjskiem, ale należą do wyjątków, jak np. Jan Lam, twórca najdowcipniejszych nowel („Wielki świat Capowic" i i.), mniej udanych romansów na tle galicyjskiem i zapomnianych dziś kronik niedzielnych, wojujących z c. k. prokuratorją i z Janem Dobrzańskim, gdy się ci obaj publicyści ze sobą pokłócili. Albo Michał Bałucki, który światek krakowski najwierniej odmalował a z przeróżnemi farsami małomiejskiemi („Radcy pana radcy" i t. p.) do dziś utrzymał się na scenie, chociaż bardziej wartościowe utwory jego powieściowe uległy zapomnieniu. Lwowianin Jan Zacharyasiewicz wyszedł również ze stosunków galicyjskich („Święty Jur" i t. p.), ale wkońcu rzucił powieść społeczną a uprawiał sentymentalną, zdobywając serca czytelniczek, wzorując się na powieści niemieckiej, na jej drobiazgowości i czułostkowości. Od poezji odstraszała choćby trudność formy, powieść nęciła łatwością, i niesposób wyliczyć tych autorów powieściowych, którzy się dłuższy, lub krótszy czas cieszyli uznaniem. „Kongresówka" dostarczała coraz nowych „adeptów", panów i panie, byli między nimi nawet specjaliści; taki np. Klemens Junosza (Szaniawski) był specjalistą od chałatników i wołów roboczych, od Czarnych Błot i dworków szlacheckich po mazowieckich zagonach; z uśmiechem patrzał przez łzy na ten świat pająków i ich ofiar; wyższą nieco sferę, obywatelską, opisywał nie bez humoru Jordan (Wieniawski); Wilczyński, od „Kłopotów starego komendanta", żołnierza napoleońskiego i rygorysty-służbisty, przeszedł do kłopotów ojców rodzin i ich ofiar. Niektórzy po początkowym szerszym rozmachu pierwszych lotów (tak było i z Bałuckim-Elpidonem niegdyś) zagnieżdżali się w węższej dziedzinie;

taki np. Sewer (Ignacy Maciejowski), który zaczął od „Szkiców Anglji", utonął w nafciarstwie galicyjskiem („Ponad siły"), ale nie wyrzekł się optymizmu, malowania w barwach słonecznych, idealizowania światka ludowego i artystycznego, bajecznie kolorowego, a w Krakowie wraz z Asnykiem i Pawlikowskim wytrwale bronił placówki postępowej.

Z tłumu szeregowców wybili się bardzo nieliczni.

Henryk Sienkiewicz zaczął, jak koledzy z Szkoły Głównej, od publicystyki; od feljetonów przeszedł do nowel i „Szkiców węglem", to humorystycznych, to nieco łzawych, sentymentalnych. Nie zasklepiał się nigdy, a jego zmysł realistyczny stale tryumfował. W duszy Podlasiaka nurtowały przejęte w wychowaniu domowem tradycje szlacheckie, pełne uwielbienia dla temperamentu i tężyzny, podróż do Ameryki wyniosła go ponad liliputów warszawskich, i niebawem zaczął odczuwać raczej jakiś niesmak, zamiast pełnego zadowolenia, przy badaniu i odtwarzaniu wszelakiego „drobnoustrojstwa", całej tej mizerji, którą uwiecznił w takich utworach, jak „Z pamiętników (poznańskiego czy warszawskiego) nauczyciela", „Janko Muzykant" i „Bartek Zwycięzca". Nęcił go świat inny, o silnym rozmachu, pochłonięty przez katastrofy i wydobywający się z nich siłą ramienia i zgodnie z głosem obowiązku, ludzie o woli potężnej, niezłomni, przebywający zwycięsko najcięższe próby, raczej pierwotni, aktorzy wielkich tragedyj historycznych. W obcowaniu z nimi ulatniał się pesymizm, mężniało serce, rosła otucha w niespożyte siły narodowe i po studjach sumiennych, po próbach drobnych, wystąpił poeta z olbrzymią „Trylogją" o kilkunastu tomach, pisaną dla pokrzepienia serc. „Trylogja" przyjęta została z istnym entuzjazmem i dopięła celu swego pod oczami cenzury — bo ta się zbyt późno połapała.

Przed nim i po nim uprawiali powieść historyczną, od Niemcewicza i Bernatowicza do Kaczkowskiego, Krechowieckiego, Choińskiego, najrozmaitsi pod względem talentu tematu i wzoru pisarze. Ale jemu nikt nie dorównał. Pominął Sienkiewicz świadomie wiek osiemnasty, równie mizerny, jak nasz, oparł się na siedemnastym. Trafnym instynktem odgadł, że dla wielkiej epopei nie wystarczą intrygi dworskie, czy alkowiane, pojedynki rycerzy koronkowych i piżmowych, i porwał czytelnika w „Ogniem i mieczem" wichurą dziejową, huraganem stepowym, któremu się nic żywego nie oprze, i ten rozmach olbrzymi nadał obrazom jego, często tragicznym a humorystycznym czasami, zawsze wypukłym i barwnym, urozmaiconym nadzwyczajnem bogactwem fantazji, to życie, tę krew bujną, tak rzadką w martwych i bladych przeważnie, anegdotycznych czy archeologicznych powieściach historycznych, pisanych przez przeróżnych profesorów, antykwarjuszów, przeważnie dyletantów. Kunszt naracyjny święci w dalszych tomach, „Potopu" i „Pana Wołodyjowskiego" równe tryumfy, lecz zajęcie mimowoli słabnie, szczególniej w części ostatniej, schodzącej jakby do historyjki indywidualnej, pozbawionej owego ogólnego a głębokiego tła tamtych. I nad tem dziełem zawisła cenzura, np. w „Potopie" głuche było o „północnej potencji" (Moskwie) milczenie; mimo to odniósł Sienkiewicz walne zwycięstwo, bo przed olśnionym wzrokiem spółczesnych roztoczył olbrzymie zmagania się przeszłości— dał w ten sposób wzór i naukę, a nadewszystko wlał otuchę wobec burzy moskiewskiej.

Z rozmaitych stron nie brakło zarzutów wszelakich: Ruś sarkała na zdarcie uroku z Chmiela, Kaczkowski wytykał, że Sienkiewicz nie zobrazował życia całego narodu, ale przecież na Ukrainie w r. 1648 i 1649 innego życia nie było, a Krakowa, ani Poznania autor nie tykał—

dość tematu dostarczyło mu Łubno i Zbaraż, później Częstochowa. Przejął się temi dziejami, językiem i myślą tych ludzi, nietęgiej głowy, a silnych sercem i ramieniem, i ożyli ci bohaterowie kresowi w najrozmaitszych odmianach temperamentu, narodowości i tradycji ludowej (np. w Bohuńnie-kozaku); losy ich budzą coraz nowe zajęcie; powtarza się wciąż niby to samo: bitwy, pojedynek, oblężenia, ucieczki — a mimo to nic się nie powtarza, i z największem mistrzostwem splata autor węzły, aby je coraz inaczej rozwikłać. Rozgłos olbrzymi sztuki Sienkiewicza, nieprzepłaconej dzięki jej realizmowi i patrjotyzmowi, wywołał chmarę naśladowców, lecz wszelkie ich próby okazywały się wobec niej nieudolne.

Od ludzi pierwotnych, od walk nieustannych i żywiołowej fali rozszalałych namiętności przerzucił się autor siłą kontrastu do wycieniowania jednej osóbki, nieużytku ludzkiego, schyłkowca zdenerwowanego i znudzonego, nie umiejącego, jak jego mniej wybredni towarzysze, zapełnić próżniaczego żywota kartami, kobietami, końmi. Płoszowski, bohater pamiętnika p. t. „Bez dogmatu", znakomicie jest zewsząd oświetlony i opowiada ciekawe dzieje nieciekawej postaci. Znowu dokonał poeta cudu, bo zdołał zająć czytelnika romansem bez treści, samem rozszczepianiem wątłej niteczki, urwanej samobójstwem, nieuniknionem po zupełnem zmarnowaniu życia, zasobów i zdolności. Ale nie ugrzązł autor w drobiazgowości takich minjaturowych ludzi i wrócił w „Krzyżakach" i „Quo vadis" do olbrzymich płócien z dawnych bojów i wieków. Będąc w pełni sił twórczych, rozkoszował się znowu malowniczem obrazowaniem średniowiecza polskiego przed epokową chwilą Grunwaldu i antyku rzymskiego w równie epokowej chwili, gdy brutalna siła imperjum zmagała się z początkiem chrześcijaństwa, tego drobnego kamyka, co skruszył olbrzyma. Inne tu barwy i inny rysunek, niż

w „Trylogji"; w „Krzyżakach" mistycyzm wiał od postaci duchownych i kobiecych (Danusi); w „Quo vadis" lubował się autor w wyrafinowanym wdzięku kultury rzymskiej, więc jej przedstawiciele przemówili do nas nierównie wyraziściej, niż chrześcijanie. W „Krzyżakach" odczuwamy dawną siłę życiową Sienkiewicza — zdobywa się on tutaj na ciekawe konstrukcje, wprowadza motywy, zupełnie obce przeciętnym romansom średniowiecznym, tchnące istotną pierwotnością, a dawną mowę wedle ludowej dzisiejszej słusznie urabia. W romansie rzymskim poruszał się po utartych kolejach, żadnych zagadek nie rozwiązywał, niby się trzymał szablonu, jednak zaimponował świeżością barw, wypukłością rysunku, znakomicie obmyślanemi i równie świetnie wykonanemi scenami; wyobraźnia jego sadziła się niemal na coraz potężniejsze efekty, dochodzące do szczytu w scenie cyrkowej. Późniejsze próby, z czasów Sobieskiego, czy legjonów, rozbijały się o wyczerpanie sił, które autor wyszafował na luźne nowele, nawet humorystyczne („Ta trzecia", żart z pracowni malarskiej), a przedewszystkiem na znakomite opisy przyrody, z puszczy Białowieskiej, czy Afryki („W pustyni i puszczy)", połączone z zajmującą fabułą. Pierwszy Sienkiewicz stanął silną stopą w literaturze światowej, gdzie z powodu języka, stosunków, wyłączności kierunku patrjotycznego Polska nie zdobyła dotąd miejsca, należnego talentowi jej mocarzy duchowych; pierwszy też Sienkiewicz zaskarbił sobie u swoich powieścią prozaiczną popularność, nietylko przelotną, ale stałą na zawsze, godną Homerowych pieśni, bo naród czuł, że to bohaterowie z jego są krwi i kości, i czerpał z nich otuchę w najcięższych chwilach; w związku z tem powieść Sienkiewicza dotarła i tam, dokąd nawet „Pan Tadeusz" nie dotarł. Stał się więc ten prozaik ulubieńcem narodu, a niejednokrotnie godnie w jego imieniu przemawiał.

Mniejsza talentem i znaczeniem, ale bynajmniej nie mniejsza gorącym patrjotyzmem i zasługą obywatelską była Eliza Orzeszkowa. Straszne lata ucisku satrapy Murawjewa wyrzeźbiły jej ducha. Należała do tych nielicznych, którzy po runięciu wszelkich planów i nadziei nie złożyli rąk bezczynnie i rozpaczliwie, lecz postanowili ratować to, co z pogromu ocalało, i powoli budzić nowe życie tam, gdzie wszystko zamierało. Żaden z naszych pisarzy nie jest tak wyłącznie prowincjonalny, jak ta Litwinka, dla której cała Polska zamykała się między Grodnem a Wilnem. Tylko w pierwszej fazie swej twórczości, gdy jako kobieta myślała wyłącznie o kobietach i o nieznośnem ich położeniu — czyto w nieszczęśliwem pożyciu małżeńskiem, czy w niemożliwie utrudnionych warunkach życiowych, gdy im chleba zabrakło a zarabiać nań nie umiały—wybiegała Orzeszkowa, w „Panu Grabie", w „Dzienniku Wacławy" poza te granice. Pierwsze jej romanse grzeszyły wielomównością, ale nikt się tak nie przysłużył sprawie emancypacji kobiecej, w skromnych zresztą rozmiarach pomyślanej, jak ta autorka, której nowele, np. „Marta", wręcz służyły propagandzie nawet poza granicami Polski. Jako obywatelkę poruszyła Orzeszkowa i nieszczęsną, zabagnioną zupełnie kwestję żydowską, z którą się w swoim „Ongrodzie" (za przymusowego w Grodnie pobytu) najgruntowniej zapoznała; romanse jej „żydowskie", „Eli Makower", a szczególnie „Meir Ezofowicz"(kilkakrotnie na niemiecki tłumaczony), zjednały jej sławę poza granicami Polski. Porównanie „Ezofowicza" z romansem Niemcewicza na ten sam temat najlepiej dowiedzie olbrzymiego postępu sztuki i myśli; o ileż jest niższa płaskość i dowolność Niemcewicza od pogłębienia myśli i czucia u Orzeszkowej! Ale wszystko to było tylko stopniami, po których wspinała się autorka na wyżyny swobodnego odtwarzania

dusz i stosunków, o ile jej tylko nie hamowała cenzura, strasznie dokuczliwa. Wskutek tych przeszkód ze strony cenzury nawykła Orzeszkowa mimowoli do symbolicznego i alegorycznego opisywania rzeczy, tak, że dzisiejszemu czytelnikowi, który piekła cenzury nawet we śnie nie oglądał, styl jej dziwacznym się wydaje z powodu niedomówień których w nim pełno, gdyż sztuki czytania między wierszami, niegdyś nieodzownej, kwitnącej, dziś już, na szczęście, nikt nie uprawia. W może nadto obszernym romansie „Nad Niemnem" stworzyła Orzeszkowa epopeję litewskich dworów i dworków szlacheckich: uczyła obowiązków trzymania się ziemi-podstawy, kreśliła wszelakie postacie ludzi zrezygnowanych, rozczarowanych, nerwowych i schyłkowców, entuzjastów, sobków i egoistek, a hymn pochwalny i dziękczynny wyśpiewała przyrodzie. Zna ją i kocha, i malować umie, niby etnograf i botanik w jednej osobie, i nikt jej w tem nie przewyższył. Z rodzimej sfery obywatelskiej i żydowskiej (wydobywała z niej pyszne nowele, np. „Silny Samson") zeszła do miasteczek, do chłopa i szlachcica zagonowego; mistrzowskie znalazła tam i opisała okazy; nowele, „Cham" (o rybaku białoruskim, altruiście wzorowym, i jego żonie-nierządnicy), albo romans „Bene Nati" (z zaścianka i jego uprzedzeń przeciw „chamom") należą do najpoprawniejszych i najciekawszych malowideł ludowych naszej powieści. Styl pozbył się dawnej wielomówności, stężał, a siła obrazowania malowniczego wzrosła olbrzymio. Też i w Rosji liczyła rzeczniczka emancypacji wszelkich pokrzywdzonych coraz gorętszych wielbicieli, żaden autor polski nie cieszył się tam równą popularnością. Zdawało się w tym okresie, że autorka oddała się zupełnie najbardziej objektywnemu, wyłącznie realistycznemu tworzeniu, natura jej jednak upomniała się wnet o swoje prawa: wróciła do powieści tendencyjnej pierwszych swoich wystąpień.

Romanse jej po r. 1895 nie wznoszą się na wyżyny „Nad Niemnem", dydaktyzm i moralizacja zbyt z nich przezierają; są to bądź odgłosy ewangelji pracy Tołstoja, bądź wyraźne przestrogi przed wysuszającem serca i mózgi gonieniem za złotem runem lub za majakami kosmopolityzmu, gardzącemi staremi domowemi „garnkami" i „szmatami". Większą wartość mają liczne jej zbiory nowel pod przeróżnemi tytułami, w których zajmowała się np. dziejami spóźnionej, przypadkowo obudzonej miłości ojczyzny oraz świadomości straconego na cudzej ziemi i służbie życia i trudu; ostatni ich zbiór, „Gloria victis", mogła nawet poświęcić ofiarom 1863 r. i ich bohaterstwu, owocnemu mimo wszelkich klęsk. Poza miedzę swoją wyjątkowo tylko wybiegała, do przeszłości nie zaglądała nigdy, czasem folgowała i żyłce satyrycznej, ale należy się jej największa wdzięczność przedewszystkiem za podtrzymywanie ducha obywatelskiego, poczucia obowiązkowości, wytrwałej pracy codziennej. Entuzjazmu chwilowego, ani sensacji nawet najpoetyczniejszem dziełkiem nigdy nie budziła, celową pracę całego żywota i całej sztuki oddała mądremu, poważnemu i powabnemu pouczaniu: dydaktyka przebijała szczególnie silnie w pierwszych utworach, zanikała w późniejszych, nieraz wyłącznie hołdujących pięknu, wróciła w ostatnich. Jej postacie kobiece należą do najbardziej wykończonych, w męskich rzadziej osiągała doskonałość; klasa szlachecka przegląda się w jej utworach, jak w zwierciadle, ale sztuka jej nie zawodzi i wobec sfer niższych; jej wymowne obrazy uczą szlachetnego altruizmu, a niektóre nowele świadczą o artyzmie najwyższej próby; tu i owdzie, podobnie, jak i u Konopnickiej, jako u kobiety odzywa się u niej mimowoli nuta sentymentalna.

Ani znaczeniem, ani wszechstronnością a obfitością twórczości nie może równać się z Sienkiewiczem i Orze-

szkową trzeci wielki realista z pomiędzy warszawskich pozytywistów, Aleksander Głowacki, bardziej znany pod stałym pseudonimem jako Bolesław Prus. Od wyłącznej pracy dziennikarskiej, z swego „obserwatorjum społecznego", od kronik, feljetonów, wywiadów schodził pierwotnie do nizin, do dziatwy i zwierząt i napoły humorystycznie, w rodzaju Dickensa, u nas nieczęsto naśladowanego, folgował uczuciu. Stopniowo podnosił się z tej narazie niby przygodnej belestryki coraz wyżej; pierwsze powodzenie zdobył „Placówką", owym chłopem a raczej jego babą, broniącymi zacięcie własnego spłachcia ziemi (inaczej, niż lekkomyślna szlachta) i zmuszającymi obcych do kapitulacji wobec tej żywiołowej energji uporu. W dwóch wielkich dziełach warszawskich, w „Lalce" i w „Emancypantkach" (gdzie wbrew tytułowi najmniej o „emancypantkach" się mówi), bróździła silnie cenzura: wiele tu niedomówień i niedociągnień. Bohater „Lalki" zawodzi, o wielkości Wokulskiego przekonywa nas autor swojemi słowami, nie jego czynami, natomiast Madzia Brzeska (z „Emancypantek") to ideał pięknej duszy kobiecej, ani domyślającej się swej świętości, swego altruizmu, płynącego nie z wyrozumowania, ale z serca — jakże maleją obok niej bohaterki Sienkiewicza! — drugiej podobnej „panienki" o równie naiwnej myśli a wytwornem uczuciu romans polski nie wydał. Obok tych głównych postaci poznajemy cały tłum pobocznych, kreślonych nieraz z przedziwnym humorem i najgłębszą sympatją; wśród nich zwraca uwagę taki Rzecki u Minclów np., a w „Emancypantkach" znalazł się i cały wykład metafizyczny, świadczący o filozoficzności usposobienia i o wygimnastykowaniu myślowem, obcem przeważnie u naszych autorów-realistów. Porwał się następnie romantyk-pozytywista na wystawienie obrazu z zamierzchłej, bo aż egipskiej starożytności, aby dowieść, że po-

stępu nie powstrzyma nic, nawet karygodna płochość jej przedstawiciela — gdy więc strącą jednego faraona, drugi na jego miejscu jego plany, acz wolniej, oględniej w życie będzie wprowadzać. Dziwny to realista-pozytywista: tryumfuje u niego serce-czyn, nie myśl-wiedza, a więcej miłości i litości trudno znaleźć u innych; miękką ręką wytrawnego lekarza dotyka wrzodów, łagodzi bóle, albo współczuje nieszczęśliwym. Żywioł humorystyczny, który bił obfitym zdrojem w dawnych nowelach, ulotnił się zczasem niemal zupełnie. Nieprzerwana praca publicystyczna przeszkadzała skupieniu wszystkich sił i jedynie „Emancypantki", acz dziwnie sklecone, urosły do rozmiarów wielkiego dzieła.

Wielcy realiści przestrzegali stale granic przyzwoitości, uchylali się świadomie od błota rynsztokowego, czy salonowego, chociaż nie brak u nich, szczególnie w romansach i nowelach ze „świata" — Sienkiewicza, wcale drastycznych, zmysłowych nawet scen i opisów. Zejście zupełne do nizin stało się udziałem kobiety: weryzm i naturalizm reprezentuje w dawniejszej literaturze z wielkiem powodzeniem (czego ani o Sygietyńskim, ani o Dygasińskim powiedzieć nie można) Gabrjela Zapolska; chociaż główna jej działalność przypada na lata późniejsze (1890—1910, umarła w r. 1921), ale znamienne jej dzieła, taka np. „Kaśka Karjatyda" (dzieje służącej lwowskiej na bruku miejskim), znieprawionej i zniszczonej dziewki wiejskiej, ukazała się już 1887 r., a „Przedpiekle" (jak panienki po pensjonatach „tresują") w roku 1889. Należy więc ona całkiem do owego starszego pokolenia. „Gabrjela" (Żmichowska) a Gabrjela (Zapolska) — trudnoż o bardziej rażące sprzeczności: tamta unika wszystkiego, co nieestetyczne, ta najdrażliwsze wątki najdrażliwiej opisuje; wystarczy przytoczyć tytuły jej dzieł: „O czem się nie mówi", „O czem się nawet myśleć

nie chce.“ Pochłania ją jako kobietę zagadnienie płciowe; najwymowniejsza oskarżycielka mężczyzny, „Ahaswera miłości“, oburza się na szanse powodzenia życiowego, w nierównej walce mężczyźnie zgóry przyznane, ale i własnej płci nie oszczędza, chociaż słabo maskuje nienawiść przeciw mężczyźnie. Zaszczyt przynosi jej śmiałość wystąpienia, silne ujęcie się za każdym pokrzywdzonym: smaga nielitościwie wszelkich wyzyskiwaczy cudzej słabości, czy nędzy. Była aktorka, wychowanka „wolnego teatru“ paryskiego, sięgała z wielkiem powodzeniem, z znajomością sceny (której brak przeważnie naszym pisarzom dramatycznym) po wawrzyny teatralne i stworzyła nieśmiertelną „Moralność pani Dulskiej“, gdzie napiętnowała, jak pod pręgierzem, obłudę „burżujską“, zerwała wszystkie obsłonki wstydliwe, pokrywające nagi bezwstyd; równej bezwzględności nie zaznała nasza scena a ta niemoralna „Moralność“ nietylko tego rodzaju inne jej utwory, ale wogóle wszystkie inne jej dzieła przewyższa. Uprawiała nieraz wręcz kronikę skandaliczną, szczególnicj lwowską i krakowską, chociaż czasem umyślnie scenę przenosiła z jednego miasta do drugiego, nieraz nawet nazwiska tylko lekko odmieniała. Obok tego weryzmu ma ona jednak i inną zasługę.

Realiści omijali starannie rzecz najbardziej realną: Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus, żyjąc pod obuchem rosyjskim, ani słówkiem o nim nie wspominali, ze względu na cenzurę nie tykali najboleśniejszej rany, o Hurkach (panu i pani), Apuchtinach i podobnej „swołoczy“ i „drani“ musieli milczeć; gdy Orzeszkowa wspomina o niej, posługuje się językiem Ezopowym, alegorycznym. Jedyna Zapolska, zamaskowana pod pseudonimem Maskoffa, w nader efektownych powieściach i dramatach o tych „cywilizatorach“ baszkirskich i kirgiskich prawdę-matkę głosiła. Wkońcu pochłonęły jej uwagę dramaty rosyjskie,

carskie i, oślepła już niemal, pisała o Mikołaju II. Dla drastyczności wątku i stylu znalazły tłumaczenia jej utworów poklask i zagranicą. Wszystko, co kreśliła, stale przejaskrawiała; gdzie autorowie męscy opuszczają zasłonę, ona ją podnosi; usprawiedliwia jej brutalność cel, do którego zmierza: przestrzega, broni, oskarża; jej powieści i dramaty (z wstrząsającemi nieraz scenami) przesiąkły tendencją; za istotne (pomimo wszelkich pozorów „rycerskości") poniżenie swej płci i moralności nieobłudnej srodze się zemściła.

W całej epoce realistycznej (a u niej już i naturalistycznej) ona jedyna objawiła znaczny talent sceniczny. Dramaty i komedje pisał kto żył, nawet i Sienkiewicz, wartościowego, trwałego nic nie stworzono. Zupełnie wyjałowiał dramat historyczny—czy może właśnie dlatego, że najliczniejszych i najwytrwalszych skupiał pracowników? Któż nie pisywał dramatu historycznego? I historycy, który przeładowywali go nauką, wypływającą z dziejów, a o wymaganiach scenicznych zapominali, przekonani, że mądry, patrjotycznym duchem ożywiony, patetyczny dialog zastąpi dramat (Józef Szujski); i aktorowie (Rapacki), którzy bujną frazeologją i efektowną sceną na chwilę siebie i publiczność łudzili nadzieją, że ujrzymy narodowego Szekspira; i romantycy, jak Bełcikowski, Kozłowski, Gliński i i., którzy przeważnie z naszych dziejów czerpali (Kazimierz i Esterka, Jadwiga były to tematy najpospolitsze), ale i w Słowiańszczyźnie pierwotnej (jeszcze Romanowski w „Popielu i Piaście") się gubili, a i do renesansu włoskiego sięgali; i prawdziwi poeci, jak Asnyk i Faleński (Konopnicka tylko luźne sceny komponowała), którzy własnym liryzmem obdarzali bohaterów. Przeważna część tych dramatów bez szkody dla sceny jej światła nawet nie ujrzała.

Na scenie rozgościła się w tym wieku realizmu powszed-

niość i przeciętność komedji społecznej, tendencyjne
w miarę satyrycznej („Pani Dulska“ to świetny wyjąte
tylko), a obok niej wesoła farsa dla niewybrednej niedzie
nej publiczności, przyczem rozdzielano role; taki więc Ba
łucki, lub Przybylski np. pisywali tylko farsy („Wicek i Wa
cek“ i t. p.), do których inni się nie przyznawali. Spuścizn
po starym Fredrze, która dopiero po jego najdłuższe
życiu światło ujrzała, zupełnie zawiodła: żadna z nowyc
sztuk, coraz niedbalej kleconych (jako dla biurka pis
nych), nie wzniosła się do wysokości utworów z lat 1828 -
1834; syn odziedziczył po ojcu temperament i silne p
czucie swojskości, ale z tego powstała farsa, nie komedj

Swojskością zwyciężał swego czasu Józef Blizińsk
Ożywił na scenie świat, z którego sam wyszedł: ziemia
stwo jednowioskowe, zagrożone subhastą, sarkające
kiepskie czasy, nie tracące fantazji, serca złote, głow
najhaniebniej umeblowane, rządzące się instynkte
trafem, nieraz i sumieniem, stale pogrążone w kłopoty
nansowe, więc w troskach o ożenek, o testament, o weks
typy o żylastej ręce, cery ogorzałej, zdrowe, tęgie — a
następne pokolenie już się na wiosce nie ostoi, rzuci płu
przesiedli się do miasta na „mecenasów“, „konsyljarzy
i gryzipiórków. W ich sadyby wdziera się nowa wa
stwa dorobkiewiczów, która posiadła bez ich przymiotó
tamtych przywary, śmiesznych, próżnych, nieuczciwyc
wojujących z każdem z dziesięciorga przykazań. Częst
występują kobiety, chociaż nie dodatnio: rzędzioch
i lafiryndy przeważają. Nie dziś dopiero cały ten świa
swoisty należy do przeszłości, ale zasługą Blizińskieg
jest to, że te typy uwiecznił. Taki pyszny „Marcow
kawaler“ (który się da złowić na etnografję), taki „Pa
Damazy“, wobec którego świetnej postaci hreczkosie
zapominamy o nierównościach intrygi, taka „Dzik
Różyczka“ (jedyne poetycznie zabarwione dzieło) wy

chylają się na zawsze ponad przeciętność repertuarową. Sztuka ludowa, mimo Anczyca (dawnych „Chłopów arystokratów" po pańszczyźnie i nowszej „Emigracji chłopskiej"), ani w przybliżeniu równać się nie może z tą szlachecką, którą ziemia sama wydała, jak grzyby po deszczu.

Bliziński, obcy wpływom obcym, stanowił wyjątek; z reguły przeważało naśladownictwo mniej, lub więcej udatne sztuki tendencyjnej francuskiej, nadającej znowu ton światu. Wprowadzał ją na naszą scenę najpierw Józef Narzymski, bez humoru jeszcze i zręczności, wcale obcesowo piętnujący wszelakie sobkostwo w „Epidemji" i „Pozytywnych". Wszystkich jego mniej poważnych następców prześcignął Kazimierz Zalewski. Przedstawiał zajmująco świat i półświatek warszawski, aferzystów (dziś nazwalibyśmy ich paskarzami), mieszczan i Żydów zbogaconych, kupujących sobie zięciów między arystokracją—małżeństwa te o tyle są dobrane, że się nawzajem oszukują; nudno zato przedstawia wszelkie typy dodatnie, o gestach i tyradach szlachetnych; największe zjednał sobie powodzenie, gdy komedję „Oj, mężczyźni, mężczyźni" osnuł na samych przekroczeniach piątego przykazania. Wyróżniał się dowcipem, choć pieprznym; trafne aforyzmy (np. zakończenie komedji „Górą nasi" — „kto górą, ten nasz)", niezwykłe pomysły (oddanie publiczności sądu w „Jak myślicie"), sceny efektowne — dowodziły talentu, zbyt mało jednak skupionego, zbyt nie gardzącego najtańszemi sposobami, zbyt skłaniającego się ku moralności chyba półświatkowej i ku płciowości.

Całkiem na uboczu, nawet wobec wszelkich innych pozytywistów, stawał mistrz pozytywizmu, niezrównany szermierz myśli i słowa, Aleksander Świętochowski (Okoński). W „Przeglądzie Tygodniowym" wojował zręcznie a zajadle ze wszelką reakcją, tradycją,

romantycznością, wyrzekał się świadomie wszelkich aspi-racyj polityczno-narodowych, zżył się z niewolą i jarzmem i pragnął tylko, aby niezbyt uciskały, aby przedewszystkiem stosunki ekonomiczne i kulturalne układały się jak najko rzystniej. Wyrozumowawszy taką zupełną rezygnację, prze powiadał jedyny według niego postęp, t. j. oświatę, podnie sienie bytu materjalnego, humanizm i altruizm iście ko smopolityczny; niesłychaną gładkością a dobitnością zwro tów przypomina raczej Woltera, niż Herzena; racjonalist to, przytłumiający stale fantazję i uczuciowość, hołdujący umiarowi i rozumowi. Długie lata był bożyszczem mło dzieży postępowej; „Poseł Prawdy" w swoim tygodniku rozstrzygał o każdej sprawie i głos jego czczono bałwo chwalczo. Zachwiał się autorytet jego zupełnie po r. 1905 gdy ustalały się inne walory, nietylko mrówcza prac u fundamentów; gdy nowa fala entuzjazmu i poświęceni zatapiała intelektualistę-mózgowca, wówczas głos jeg szybko tracił na doniosłości; wkońcu okazało się, że pozo stał całkiem wtyle i nawet na nowe prądy literackie tylk obelgami i plotkami („Drygałowie") odpowiadał — sam się więc za życia pogrzebał.

Mimo to przyznać należy, że w latach 1870—1890 wy wierał wielki wpływ. Mównica publicystyczna nie wy starczała mu, sięgał wyjątkowo do powieści, a przede wszystkiem do dramatu—bo cóż innego zdoła tak wpros poruszyć tłumami? Dramaty jego, tendencją przesiąkłe rozpraszają się w dialogi o świetności, której ani przed ani po nim nie znała literatura. Te harce słowne, w któ rych podziwiasz błysk i moc klingi, te coraz odrzucan i chwytane w locie argumenty, sarkazmy, aforyzmy spra wiają rozkosz każdemu pojętniejszemu czytelnikowi na scenie wkońcu nużą widza, który za niemi nie zdąża Poruszał Świętochowski tematy, u nas drażliwe, np. za gadnienie celibatu w „Księdzu Makarym"; wyszydza

misjonarzy, pod chorągwią wiary Chrystusowej zagarniających ziemie czarnych dla kapitalistów europejskich; wykpiwał robotników, ulegających nieuczciwym frazesom a zabijających uczciwych przyjaciół; dowodził w „Pięknej", że na mężczyzn mimo wszelkich pięknych słówek i zastrzeżeń działają tylko zmysły — wszędzie zdzierał maski, szych od złota oddzielał. On jedyny u nas rozmiłował się w świecie greckim, naturalnie nie w heroicznym, lecz w sofistycznym; między filozofującymi niewolnikami, w gronie heter i dialektyków, u Peryklesa i Aspazji z Sokratesem i Eurypidesem czuł się najswobodniej i mimo wszelkich anachronizmów jedyne to dzieła, od których wieje na czytelnika (boć nie dla sceny są one pisane, na której tylko ta i owa jednoaktówka się utrzymała) chłodem rozumowym a wykwintnością stylową Protagorasów i Lizjaszów. Słowo, nie czyn, zawsze u niego rozstrzyga, rozum pochłania uczucie.

Jako wyznawca ewolucjonizmu zerwał się do wielkiego dzieła, w którem pragnął nakreślić rozwój i postęp ludzkości od hordy pierwotnej z jej poliandrją i poligamją, z jej nienawiścią plemienną, aż do uszanowania człowieka i altruizmu; była to serja dramatów, gdzie stale para Królów-Duchów ginie, bo zrywa z tradycją niewoli i nienawiści, ale zgonem toruje drogę nowym ideom. Uderza w całej tej serji „Duchów" to, co i w poprzednich dramatach, szczególniej w „Pięknej" raziło: silna zmysłowość w obrazowaniu; zbyt jednostajnie też miłość płciową jako najważniejszy, czyli raczej jedyny czynnik postępu podkreśla poeta, zapominając o ważniejszym głodzie. Zresztą przemawia zawsze tylko rozum, dialektyka, logika — żywe uczucie, fantazja twórcza milczą; całe dzieło życiowe tego postępowca, wroga obskurantyzmu i zastoju, głosiciela prawdy rozumowej, niby Woltera polskiego (niedarmo napisał o nim książkę), przypomina

encyklopedystów francuskich osiemnastego wieku, a świetnością, brylantowością stylu od naszej pospolitej niedbałości rażąco się odcina; porwać, ani olśnić nikogo nie zdołał, przekonać może.

Z pomiędzy słuchaczy warszawskiej Szkoły Głównej (a wyszli z niej Świętochowski, Sienkiewicz, Prus, Kotarbiński, Chmielowski) wyróżnił się osobliwszym wyborem tematów przyrodnik Adolf Dygasiński; miłośnik i cierpliwy a wytrwały obserwator życia zwierzęcego, nie bajki, nie epizody (jak Prus), lecz całe romanse wykrzesywał z nędzy-biedy zajęcy, Asów, wilków, wróbli, aż w ostatniem dziele, „Godach Życia", wyśpiewał hymn panteistyczny na cześć całej przyrody, jej wszechpotęgi i wszechmiłości. Powieści „ludzkie", szczególniej obszerniejsze, mniej mu się udawały; trąciły naturalizmem, szczególniej wiejskie; silniej nadrabiał humorem.

Powieści płodzono bez miary; wynurzały się chwilowe talenciki, takiego np. Marjana Gawalewicza, piewcy Warszawy, jej salonów i mechesów; cała rzesza kobieca rzuciła się teraz na to wdzięczne pole, bo należało zapełniać odcinki coraz liczniejszych dzienników nie samemi tylko niewybrednemi tłumaczeniami „z francuskiego". Ich nazwiska dziś zapomniano; największe nadzieje obudziła „Dewajtisem" Marja Rodziewiczówna, podejmując hasła Orzeszkowej o wytrwaniu na ziemi ojczystej i w owym dębie odwiecznym, litewskim Dewajtisie je symbolizując, ale każde następne dzieło było tem słabsze, im bardziej autorka opuszczała ziemię i rzeczywistość, im fantastyczniej tworzyła. Żadnego większego dzieła nie dał i wkońcu twórczość artystyczną zarzucił Adam Szymański, który pierwszy uprawiał nowelę sybirską, sam skazaniec. Tęsknota za ojczyzną, jedyna, mózg dzień i noc wiercąca myśl o niej, obojętność więc na wszystko, co otacza, a powrót-ucieczkę odsuwa, albo uniemożliwia,

były u niego tonem zasadniczym. Sybir-piekło, przeklęte od ludzi i Boga, stanowi tylko tło tej męki i tego szamotania się rozpaczliwego. Nabrzmiały jego „Szkice" skargą i łzami; rozeznać nieraz trudno, czy uśmiech, czy łkanie konwulsyjne usta mu krzywi; sztuce polskiej zawojował nową dziedzinę: kosztem własnego ofiarnego entuzjazmu zapoznał nas pierwszy z światem borealnym, któregośmy przed nim mimo tylu ofiar nie znali.

Pozytywizm warszawski wydał i pierwszych liczniejszych krytyków. Po Mochnackim nikt właściwie berła krytyki estetyczno-filozoficznej nie dzierżył; Michał Grabowski, wstecznik z pentarchji „Tygodnika Petersburskiego", i Aleksander Tyszyński w „Bibljotece Warszawskiej" (i Kraszewski często na to pole się zapuszczał) podtrzymywali jako tako naszą krytykę, ale bynajmniej nie stale, ani zawodowo. Z uczniów Szkoły Głównej, która i na tem polu pierwsze postawiła kroki, obok Bema, Kotarbińskiego i in., Piotr Chmielowski, gdy uczonego profesura warszawska minęła, oddał się jedynie uprawianiu stałej krytyki; każdą powieść, dramat, zbiór wierszy sumiennie omawiał w „Ateneum", aż się te krytyki-sprawozdania na całe tomy złożyły („Nasza literatura dramatyczna" i t. p.). Chmielowski, historyk-filozof (tłumacz Kanta), wrodzonem poczuciem piękna nie celował, zadziwiał zato sumiennością, starannością, pilnością, imponował ogromem swej pracy; najlepsze są jego przyczynki do historji myśli polskiej, np. „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie", albo „Nasi powieściopisarze" (szczególniej o Rzewuskim), szkic o Krasickim, dzieło o Kraszewskim i in. Całą literaturę opanował i przedstawił w sześciutomikowem dziele p.t. „Historja literatury polskiej" wraz z jego dopełnieniem (od r. 1863) p. t. „Zarys najnowszej literatury polskiej", gdzie najcenniejszy jest tom czwarty i piąty, literaturze krajowej 1830—1863 poświęcone. W krytyce jego prze-

bijał duch utylitarny, obywatelski, nawoływanie do pracy owocnej, więc na nowe prądy Młodej Polski po r. 1896 reagował słabiej; wykład sam, zbyt trzeźwy, suchy, nie wzruszy czytelnika, istotnych piękności nieraz nawet nie daje dojrzeć, ale szerokość poglądów i oczytania, sumienność i niezłomna wiara w postęp wynoszą go ponad przeciętność.

W Krakowie po Lucjanie Siemieńskim, który pierwszy kreślił zajmujące sylwetki literackie, przeważnie z osiemnastego wieku i ze sporu klasyków z romantykami, hr. Stanisław Tarnowski uwzględniał w „Przeglądzie Polskim" nowsze dzieła, a całość piśmiennictwa narodowego omawiał w wykładach uniwersyteckich (z których urosła jego wielotomowa „Historja"). Formą, ciepłem, wrażliwością estetyczną o wiele przewyższył Chmielowskiego, ale jako „stańczyk", konserwatysta, unikał, albo pomniejszał wszystko, co rewolucyjne, a nieraz i to, co duchowe. Monografje jego, czerpane nieraz z najlepszych, nie każdemu dostępnych źródeł, o Krasińskim, Klaczce, Szujskim Kalince, świadczą korzystnie o wżywaniu i wczuwaniu się w obcą indywidualność, ale wszyscy oni byli pokrewnemu duchem i zasadami (nieraz wprost towarzysze broni w pochodzie przeciw wszelkiemu „romantyzmowi" w polityce i myśli), zato zupełnie nie wyczuwał, jako niezrozumiałych dla niego, tych, co rzucali szlaki powszednie Wyspiańskiego np., mesjanizmu Mickiewicza, czy ewolucjonizmu Słowackiego; nie zgadzał się z nimi w imię zdrowego rozsądku, który nieraz z uwiądem myśli graniczy. Wyżej w odczuwaniu piękna i badaniu duch wzniósł się, nie krakowianin wprawdzie, lecz w Krakowie od wielu lat czynny Józef Tretiak, autor znakomitej monografji o Bohdanie Zaleskim i pięknego obrazu o młodości Mickiewicza; dziełem o Słowackim, którego wobec Mickie

wicza zbyt obniżył, wywołał swego czasu silny protest. Lwów nie wydał wybitnego krytyka, ale na lwowskim gruncie Poznańczyk, Antoni Małecki, swemi wykładami uniwersyteckiemi i dziełem o Słowackim, pierwszem, które świadczyło o zrozumieniu poety i znakomicie go oświetliło, powołał całą szkołę pilnych pracowników; jego uczeń i następca, Roman Pilat, wykłady własne sumiennie i starannie opracował; po jego zgonie drukiem ogłosili je wdzięczni uczniowie.

Obok tych fachowców zaznaczył się prawnik i polityk („ugodowiec", więc wróg wszelkiej „rewolucji") petersburski, Włodzimierz Spasowicz, obdarzony bystrością i przenikliwością sądu i władający formą niepoślednią; on pierwszy (po rosyjsku) całe dzieje poezji polskiej do r. 1848 wyłożył i uzupełnił je odczytami i szkicami. Spasowicz należy jako jeden z niewielu do dwóch literatur; chciano z niego Rosjanina zrobić, ale sam się uważał za Polaka i w Warszawie dokonał życia pracowitego a zasłużonego; miał poczucie piękna i nie były mu obce wzloty fantazji, ale starannie unikał wszelkiego ich rozpłomieniania; był liberałem, wrogiem szlachetczyzny (którą w pamiętnikach, jakie z osiemnastego i dziewiętnastego wieku wydawał, kompromitował); trzeźwy, jak Tarnowski, nowej poezji nie chciał nawet i rozumieć, bo mąciła mu jasność i pewność myśli.

Dopiero w okresie realizmu stanęła literatura krajowa na wysokim poziomie. Zabrakło jej wprawdzie duchów mocarnych, genjuszów, bo nietylko rodziny, ale i całe narody nie płodzą ich w dowolnej ilości i w każdej dobie, a całe wieki się na nie wysilają, ale Sienkiewicz i Orzeszkowa, Prus i Konopnicka realizowali życie literackie, które Rzewuski paradoksami, a Kraszewski płodnością dopiero budzili. Stworzyli oni świat polski w książce polskiej i zaczęła krążyć myśl polska, która wyzbyła się omamień

dawnej szlachetczyzny (tak kwitnącej jeszcze około 1850 r.), uczyła się patrzeć bez uprzedzeń na przeszłość i coraz jaśniej stawiać sobie pytania co do własnej przyszłości. I chociaż różnice „kordonowe" się nie zacierały, wymiana myśli na podstawie pracy literackiej była coraz ogólniejszą; prowincjalizm i zaściankowość dogasały w literaturze, a poziom jej w porównaniu do poprzedniego trzydziestolecia krajowego mimo wszelkiej grafomanji niepowołanych wzniósł się znacznie i dopiero teraz dorównał europejskiemu. I teraz jeszcze zawodziły nieraz wszelkie zadatki i zapowiedzi; taki np. Władysław Łoziński (starszy jego brat, Walery, efektowny powieściopisarz, zmarł zbyt rychło) obiecywał wiele, lecz z znakomitego wskrzesiciela butnych ludzi osiemnastego wieku przedzierzgnął się w znakomitego odtwórcę dawnej obyczajowości i wykrzesał z foljałów aktów ziemskich i grodzkich dzieje tych, którzy to „prawem i lewem" wojowali; te krwawe obrazki dopełnił najbarwniejszem odtworzeniem tła obyczajowego dawnych wieków. Inni, a poczet ich wcale znaczny, utopili talent w pracy nad siły, w dziennikarstwie, w płodzeniu powieści, coraz słabszych. O tych Sabowskich, Abgar-Sołtanach, o Estei, Hajocie, Godlewskiej, Jeleńskiej i tylu innych rychło zapomniano; zapomniano i o poetach, Rodociach, Stebelskich, Zagórskich, piosenkarzach, którzy roztrwonili talent — ale ich wszystkich wspólną pracą wzniósł się gmach literatury, rozsiadł się szeroko a na głębokich podstawach. Praca jednostek luźnych nabrała teraz spójni i ciągłości i mimo wszelkiego gaszenia ognia narodowego (dobrowolnego w Krakowie, a wymuszonego w Warszawie Hurków i Apuchtinów), mimo wszelkiego oportunizmu, ugodowości, prowadzącej tylko do trójlojalizmu, odporność myśli polskiej, wyhodowanej pod opieką tej literatury, stawała się coraz widoczniejsza, a ujarzmienie duchowe coraz wątpliwszem;

wytwarzała się łączność, nie uznająca kordonów, manifestująca się doraźnie np. przy jubileuszu Kraszewskiego. Kredyt jednak realizmu, panującego, jak się zdawało, niepodzielnie w literaturze i polityce, został rychło a doszczętnie poderwany.

ROZDZIAŁ PIĄTY

MŁODA POLSKA (1890—1914).

Nowy romantyzm. — Wyspiański i Przybyszewski; tragedja i komedja. — Miciński. — Powieść: Reymont, Żeromski, Berent i in. — Liryka: Tetmajer, Kasprowicz i in. — Krytyka: Brzozowski, Feldman. — Zakończenie. —

Mimo wszechwładzy realizmu, pozytywizmu, intelektualizmu, budziły się oddawna na Zachodzie wszelakie artystyczne i uczuciowe prądy, a powracająca fala wygnanego niby na zawsze romantyzmu groziła nowym zalewem wyjałowiałych niw poetyckich. Zjawisko, od którego rozpoczęło się stulecie, powtórzyło się u jego schyłku. Rozum, wysławiany i przechwalony kosztem wszelkich potęg moralnych, nie zdobył wszystkiego, nie przekroczył granic, odwiecznie mu wyznaczanych, dał raczej ludzkości nowe rozczarowanie, a jego narzędzie w sztuce — realizm, zawiodło. Zbyt bowiem powtarzała się i metoda, studjująca sumiennie, bez wyboru wszelkie zjawiska i przejadły się niziny, po których przeważnie krążyła; budziła się mimowoli tęsknota za czemś wyższem, piękniejszem, wiecznem. Mikroskopja deptaka codziennego, szarego, życia, prawda banalna, tendencja płaska, polot wyłącznie przyziemny cechowały tę sztukę nawet wtedy, gdy się zdobywała na olbrzymie, jak u Zoli, obrazy. Przestała istnieć sztuka dla sztuki. Zeszła na utylitarne i dydak-

tyczne przedstawienie przeciętności, przyczem chętnie gubiła się i w pornografji naturalistycznej. Utraciła więc wszelką łączność z zaświatem, wygnała ducha, marzeniom i tęsknocie wydała wojnę.

Nowy pochód przeciw racjonalizmowi zaczął się najpierw od formy, wymagając u parnasistów najkunsztowniejszej szaty zewnętrznej dla poezji, a przefrzucił się niebawem w dziedzinę ducha, odbiegając i treścią i stylem od sztuki niedawno jeszcze jedynej, godnej wieku pary i elektryczności. Nowy romantyzm przeszedł jednak cały wiek doświadczenia, najbogatszej pracy umysłowej, myśli krytycznej, nie mógł więc wracać do dawnych szablonów romantycznych, do przesądów średniowiecza, do naiwnej ludowości, do orjentalizmu, do okultyzmu, do demonów i magji. Te tanie środki nie popłacały już; należało pogłębić treść, nie zadowalać się szychem pozorów. Różne zaś wiodły tory od realizmu i naturalizmu do nowej sztuki. Jedni po owem ujawnionem bankructwie myśli i wiedzy, która jakoby rozjaśniała zagadki istnienia, cele wszechbytu, drogi wieczne, tracili wszelkie podstawy, oddawali się (albo przepowiadali oddawanie się) samemu użyciu, zmysłom, rozkoszy, ale w tej czarze dopijali rychło dna osadów i mętów—i w naturalnym odruchu piętnowali pesymizmem, zgorzknieniem, „nicością" tę dopiero wychwalaną jako jedynie realną rozpustę i jej szały.

Stale wahali się między orgją zmysłową a nirwaną buddyjską, albo pesymizmem Schopenhauera i najświeższą tegoż odmianą — „nadczłowiekiem" Nietzschego, pogardzającego tłumem i jego bezmyślnością. Inni znowu, przejrzawszy przechwałki socjalistów, łudzących jakimś niemożliwym rajem ziemskim trzody zwolenników, ślepo idących na ich lep, rzucali socjalizm i służbę dla ludu i wracali do czystej poezji. Ale zarówno tych, jak i tamtych, przeżerał „brak dogmatów" i przerażało rozpanoszenie

się na ziemi zła, krzywdy ogólnej, bólów stokroć realniejszych, niż uciechy; nie skąpili więc wyrzutów i skarg, bluźnili nawet w modlitwie i dopiero po latach pogodzili się z nieuniknionemi warunkami bytowania na padole ziemskim, coraz rzadziej i niżej od niego odlatując.

Dotychczasowa poezja z językiem zbyt bladym, grubym, zmysłowym nie wystarczała do należytego wyrażenia upojeń chwilowych i stale grożących zawodów, klęsk, katastrof. Przejścia subtelne domagały się raczej tonów, niż barw i kształtów. Dreszcze rozkoszy i przerażenia, strachu, wzloty górne i upadki w otchłań, nierówność walki, prowadzonej przez kruchą istotę z losem niezłomnym, z przyrodą mściwą, z własnem sumieniem, nie dającem się zagłuszyć mimo wszelkich sofizmatów, przeczucia, słabość woli, targanej na wsze strony—dopraszały się osobliwszych form, symbolów, alegoryj, umyślnie nieraz dwuznacznych. Górowały ponownie wpływy obce: i Wagnerowe łączenie wszelkich sztuk, i Maeterlinckowe wizje eteryczne, i Ibsenowy realizm, mistycyzmem podszyty, i paradoksy Wilde'a, i dekadentyzm liryki paryskiej, i „socjalizm" Verhaerena. Powtarzały się zjawiska z lat dwudziestych, z czasów walki klasyków z romantykami; tak, jak i dawniej narzekano i teraz na naśladowczość, na niezrozumiałość, na brak poczucia obywatelskiego w hołdowaniu czy samej sztuce, czy instynktom indywidualnym, i protestowano właśnie w imię wszelkich niedoborów narodowych przeciw całej tej obczyźnie — z tym samym, co niegdyś, skutkiem.

Młodzi poeci nie dali się zrazić Kasandrom patrjotycznym, szczególnie ci, którzy z pobytu paryskiego, jak Miriam (Zenon Przesmycki), Antoni Lange, Wyspiański z nordyjskich i niemieckich wpływów, jak Przybyszewski nową sztukę u źródła poznali, albo przynajmniej w duchowem obcowaniu nią się przejęli. Dla nowej sztuki „Młodej Polski" ani gwarna Warszawa, ani Lwów pro-

zaiczny nie były podatnym gruntem roli, zato Kraków, sędziwy i senny, cichy, poetyczny, nauce i sztuce oddany, muzeum dawnej Polski, skarbnica pamiątek, objął na lat kilka przewodnictwo w nowym ruchu artystycznym, który się nie ograniczał do dziedziny słowa, lecz sięgał i do malarstwa, do rzeźby, szturmował do zdobnictwa, książkom, sprzętom, okładkom, laskom, narzucając styl nowy, narodowy, ludowy, wzorując się i na szopce krakowskiej i na motywach zakopiańskich. Ci młodzi dokonali cudu: w obojętnej dla sztuki publiczności, dla której świątynie poezji już na zawsze zdawały się zamknięte, rozbudzili zajęcie, a nawet zrozumienie dla swych zakusów, odwojowali pole działania zapomnianej już niemal liryce, przekształcili dramat, a powieści nadali nowy ton; szczególniej język nabył świetności, ruchliwości, odcieni. Jak pospolitym wydaje się nam dziś język Mickiewicza (nie mówiąc o jego rymach i formie, aż nadto prostych), czy Kraszewskiego! „Młoda Polska" sięga nieraz do odwiecznej krynicy ludowego języka, nie cofa się przed prowincjonalizmami, zbogaca język współczesny językiem dawnym, zygmuntowskim, nawet nieraz, acz zbędnie, zapożycza się u pobratymczych języków, wywalczając obywatelstwo np. dla chramów, witezi, albo i niesłychanych przenigdy „gontyn", które wilczem prawem, tak samo, jak dawniej „znicz" jakiś pseudo-litewski, do języka się wkradły. Trwałym nabytkiem nowej sztuki jest wyostrzenie, wydelikacenie mowy i słuchu, czy wzroku estetycznego. Nie wydała jednak i Młoda Polska nowego Mickiewicza, ani Słowackiego—narody zdobywają się na genjusze tylko wyjątkowe.

Najoryginalniejszy z poetów Młodej Polski, najbardziej i przechwalany i lekceważony, to Stanisław Wyspiański (1869—1907), krakowianin, u stóp Wawelu i w pracowni Matejki duchem krakowskim, królewskim,

jak nikt przed nim ani po nim, przejęty, którego niejedno dzieło (np. „Akropolis") bez „topografji" krakowskiej mało jest zrozumiałe. Malarz najpierw, później poeta, wkońcu zarzucił całkiem malarstwo i rzeźbę (rozmiłowany i w muzyce pisywał libretta dla oper). Tragedje krakowskie wchłonął w siebie i sam się im najsurowiej oparł. Przeciwnik romantyzmu-marzycielstwa, odwodzącego od czynu, sam romantyk, nawołujący do czynu, odczuwający najboleśniej u podnoża wawelowego poniżenie narodowe, niegodne ujarzmienie, hańbę niewoli, umykał mimowoli w krainy heroiczne, starogreckie i złączył w jednej osobie kult Homerowy z targaniem nerwów spółczesnych, z satyrą i inwektywą, zwróconemi przeciw słabostkom narodowym, dawnym i świeżym, przeciw brakowi energji i woli, tworzącemi cuda. Jego twórczość poetycka rozkłada się na kilka pozornie zupełnie odrębnych planów, bo odżywa u niego nietylko świat starogrecki, ale i Polska 1831 roku, zrywająca się po raz ostatni do wielkiego czynu, przerywająca tok samoniewoli. Antyk jego, od „Meleagra", i „Protesilaosa i Laodamji" aż do „Achilleidy" i „Powrotu Odyssa", to nie antyk grecki, lecz antyk Wyspiańskiego; nawet formą odbiega od greckiego, cóż dopiero duchem! Pesymizm, rozdarcie uczuciowe, tęsknotę zagrobową, zupełnie obce pogodnemu, jednolitemu światu heroicznemu, wywiódł poeta z siebie i przekształcił herosów w ludzi dzisiejszych, zwątpiałych, nerwowych, nadczułych, ale tem samem zbliżył ich naszemu zrozumieniu, odkrył w nich podkłady wszechludzkie — mity dawne odrzucił, nowe tworzył. Jego Laodamja, spalająca się w tęsknocie zmysłowej za uściskiem męża; jego Achill, gardzący tłuszczą grecką, a spowinowacony duchowo z Hektorem; jego Odyss, od ojczystej Itaki rwący się do nadziemskiej ojczyzny — szydzą z Homerowych postaci, nadają nowe życie prastarym kształtom, ale bije z nich

dawna wielkość tragiczna, choć po nowożytnemu pojęta, a unosi się nad nimi wszystkimi groza i powaga nieuniknionej śmierci. Polsce 1831 r. poświęcił „Warszawiankę", pierwszy swój wielki sukces sceniczny (1898), „Lelewela" i „Noc listopadową" (dziwne, dziwaczne raczej pogmatwanie świata polskiego z mitycznym greckim). „Warszawianka" odkrywa wewnętrzną słabość, strupieszałość tych, co po bohatersku, romantycznie za ojczyznę się poświęcają; „Lelewel" kończy przeraźliwym zgrzytem szumnej frazeologji, odsłania u polityków tę samą niemoc sercową, co „Warszawianka" u wojskowych; „Noc" mimo tego samego zasadniczego poglądu nie każe tracić nadziei: wdeptane w ziemię ofiary wydadzą plon obfity.

Do „Warszawianki", która zwartością czasu, miejsca, tonu a posępnością przeczutej klęski olbrzymie sprawiła wrażenie, przybywały w ciągu tych lat inne dzieła niepospolitej wartości: „Klątwa", dramat mściwości pogwałconych norm etycznych, choćby tylko tradycyjnych (podobnie, jak i późniejsi „Sędziowie"), tragedja losu, wyrażona z siłą, nieznaną naszemu dramatowi, i dlatego przypominająca antyk, jak żadna inna; przedewszystkiem zaś biczujące narodowe wady „Wesele" (1901 r.), komedja krakowska, bo nawiązująca wyłącznie do otoczenia krakowskiego i poza murami miasta nie dla każdego widza równie dostępna (Warszawie np. zupełnie obca). Komedja w formie szopki krakowskiej (zachowująca luźność jej scen i krótkość wiersza) przedrwiwa szopki narodowe, niezdolność do czynu, oszałamianie się tanim frazesem i zdawkowem uczuciem, rozdarcie stanów, nie rozumiejących się nawzajem; osnuta jest koło „wesela" poety z chłopką, t. j. bratania się stanów, które mimo wszelakich rozpędów i zamiarów kończy się, jak wszystko u nas, rozwianiem iluzji, odrabianiem pańszczyzny deptakowej.

Poeta gryzł sercem i wrażenie nieopisane wywołał: alegorje i symbole nigdy wymowniej nie przemówiły, najdosadniej sza satyra była i najzrozumialszą.

Nie można tego powtórzyć o innych jego dramatach wypowiadających walkę dawnemu romantyzmowi, za krawających nieco na wyprawy Don Kiszota, a wię o „Legjonie" i „Wyzwoleniu", z ich napaściami na Mickie wicza jako na romantyka, prowadzącego naród do samo bójstwa, jakiem jest wyłączne rozmiłowanie się i w boha terskiej przeszłości i we śnie romantycznym o jakiej cudownej przyszłości. Szczegóły niejasne odpowiadają niejasności myśli przewodniej; sceny satyryczne, perły liryzmu, myśli trafne nie wynagrodzą dowolności i sztucz ności całego pomysłu, który mieszał Mickiewicza z Kra sińskim.

Podania krakowskie, od Wandy do Bolesława Śmiałego i katastrofy na Skałce (później zupełnie przerobione) udramatyzował w „Legendzie", w „Bolesławie Śmiałym" i jego dopełnieniu, w „Skałce"; uczynił to z znaną do wolnością, tak, że w przeróbce mógł znowu losy Wandy inaczej oświetlić. Poeta stwarza sobie swój własny świat „piastowski"; ożywia go postaciami wyobraźni, które luźno tylko z tradycyjnemi się łączą; te same tematy uprawiał i w rapsodach o Piaście, Bolesławie, Stanisławie i Kazimierzu Wielkim, nawiązując do szczegółów odkrycia zwłok królewskich na Wawelu. Pisywał i liryki, powle czone kirem zgorzknienia własnego i bólu narodowego, niektóre rzewne i przepiękne. Nuty erotycznej brak u niego zupełnie; obcy mu też jest humor i wszelkie niemal tony łagodne, pogodne. Nad całą jego twórczością panuje wszechwładnie groza śmierci, rozkładu, mimo dobywają cego się z nich nowego życia—nie nęci go ziemia. Żaden z poetów polskich nie przemówił takim mogilnym językiem, stając się niby Youngiem dwudziestego wieku. Jako

malarz wywoływał największe wrażenia efektami ściśle malarskiemi, scenami niememi, reżyserowi stawiał wielkie wymagania. Pomysły miewał oryginalne: np. uosabiał myśli i żądze, instynkty i tendencje („duchy" w „Weselu", „maski" w „Wyzwoleniu"), ożywiał posągi i arasy, ale nieraz rządził się wręcz kaprysami, chorobliwą fantazją, asocjacjami potwornemi. Ciężkie cierpienia lat ostatnich mąciły myśli a obezwładniały rękę; pomysły najciekawsze, najosobliwsze goniły jedne drugie. I jemu, jak Norwidowi, brak lotności: stąpa przyciężko, chociaż fantazja jego wobec głębokich ale bladych myśli Norwidowych nader jest bujna. I on buduje własny świat, w który należy się wczuć i wmyśleć, aby należycie ocenić jego wielkie, osobliwe piękności, oryginalne symbole. Ale wiele rzeczy jest niezrównoważonych, niewykończonych, nieprzemyślanych ostatecznie: gorączka tworzenia trawiła poetę wyraźnie i dotkliwie—przeciętnemu czytelnikowi mało bywa dostępny.

„Życie" krakowskie, nietrwały organ Młodej Polski, ilustrował Wyspiański; ton treści nadawał Stanisław Przybyszewski, pierwszy (wraz z jednopowietnikiem Kasprowiczem) wielki talent pisarski całej niepoetyckiej Wielkopolski, chociaż porzucił strony rodzinne i przesiadywał latami najpierw w Berlinie, potem w Krakowie. Wyspiański był zawsze tragikiem, Przybyszewski powieściopisarzem, lirykiem w prozie, zanim trafił do dramatu i znakomicie go opanował. Gdy u Wyspiańskiego los-przeznaczenie, śmierć-fatum pomiata człowiekiem, umieszcza Przybyszewski wrogie żywioły w człowieku samym, każe walczyć słabej woli, bezsilnemu rozumowi z chucią, pożerającą swe ofiary; narzuca ją przyroda człowiekowi, aby go za nią karać. Przeciwieństwa płciowe i zgóry przesądzone pasowanie się żądzy z sumieniem, uprzykrzonym gościem, którego niesposób się pozbyć, wypełniały

karty pierwszych jego powieści niemieckich, które sam na polski przerabiał tak długo, aż w Krakowie zarzucił zupełnie literaturę niemiecką. W porównaniu z malarzem Wyspiańskim jest Przybyszewski raczej muzykiem, podchwytuje wszelkie szmery, głosy, jęki trąca o najgłębsze, najskrytsze struny duszy, dociera do podkładów jej pierwotnych, podświadomych i im oddaje zwycięstwo nad wszelakiem rozumowaniem. Pierwsza powieść jego i pierwsze programy głosiły hasła „nagiej duszy" i sztuki dla sztuki, wrogiej wszelkiemu dydaktyzmowi, czy jakiemu leżącemu poza nią celowi, oszałamiającej młodzież a wywołując słowa potępienia u starszych. Powoli jednak pryskał i czar wpływu osobistego na towarzyszów z krakowskiego „Pawia", który zastąpił mu „Ferkela" berlińskiego, i dramaty jego („Taniec miłości i śmierci", „Śnieg" i in.) zamiast apoteozy chuci, wymierzały jej sprawiedliwą karę. Twórczość artysty rozdwoiła się jakgdyby: w powieściach, zarówno dawniejszych („Homo sapiens" — ironja w samym tytule — i in.) jak i nowszych, ukazywał nadczłowieka istotnego i mniemanego, pastwiącego się nad kobietami i nad towarzyszami (np. „Mocny Człowiek"), kroczącego zwycięsko po trupach, natomiast w dramacie przerzucił się całkiem do alegoryj i symbolów, począwszy do „Odwiecznej baśni" aż do „Miasta", które sam tak określił: „Miastem jest duch, a na czterech jego bramach widnieje święty napis: wszystko dla ducha i przez ducha, a nic dla cielesnego celu!" Ale dramat alegoryczny i symboliczny (co innego fantastyczny, „Faust" czy „Manfred") nikogo nie rozgrzeje, i niewiele pomoże i zręczność sceniczna Przybyszewskiego, i piękność wiersza i podniosłość stylu Staffa („Skarb" i in.) — będzie to zawsze płód martwo zrodzony. Przybyszewski przypomina Strindberga, druha swego niegdyś, acz mniejszy talentem i skalą; wpływu pier

wotnego, kiedy to broszurami-programami, powieścia mi i dramatami głosił irracjonalność przeciw racjonalizmowi, nie zdołał utrzymać; nie wytrwał na tym poziomie, spokorniał i zmalał, wkońcu jakby pożegnał literaturę, widząc i czując, że ona czynu nie zastąpi. Imponował jaskrawością, konwulsyjnością stylu; zbyt jednostronnie sprowadzał walki życiowe do jednej tylko płciowości, ale ją efektownie malował, dochodząc do krańcowości, i to stanowiło jego siłę; gdzie od tego tematu odbiegał, w powieści („Powrót", „Dzieci nędzy"), czy w dramacie, powodzenia nie osiągał.

Cechy Młodej Polski wystąpiły najżywiej w dramacie. Wizje i marzenia, zmory i przeczucia, głośne milczenie i ciche krzyki, wstrząsające obrazy i wzloty mistyczne, ekstaza i zwątpienie, symbole i alegorje przeciwstawiały się niedawnemu realizmowi jak najdosadniej; najbardziej realistyczne szczegóły wiodły wprost do zaprzeczenia wszelkiej realności; głęboki pesymizm, beznadziejność przeczyły możliwości pogodzenia się z losem. Ten to nowy dramat pociągał swoją niezwykłością i niema w całej Młodej Polsce pisarza, któryby w nim sił nie próbował: liryc y, Kasprowicz czy Staff, epicy, Żeromski i in. (z wyjątkiem Reymonta), poeci filozofujący (Żuławski), fantaści (Miciński), aby wymienić tylko najgłośniejszych, kusili się, bez powodzenia, o scenę, na której z tragików tylko Wyspiański i Przybyszewski utrzymać się zdołali. Nęciła i komedja, zatrącająca chętnie niby o Ibsena, lecz rychło przeważnie uprawiająca dawny tendencyjny francuski realizm. Niejedni budzili żywe oczekiwania pierwszym występem (np. Kawecki „Dramatem Kaliny"), ale na więcej już im sił nie starczyło. Wcześnie zginął Jan August Kisielewski: obie komedje — „W sieci", o szalonej Julce, rwącej się na wolność i o jej towarzyszach-artystach, płonących miłością i ogniem Sztuki, i „Kary-

katury", wyszydzające dla braku woli siły młodych, rozgadanych, nieporadnych, małodusznych — błyszczały świetną obserwacją, wprowadzały znakomite typy, mimo cierpkości i pesymizmu przepowiadały jakąś wyższą prawdę — ale dalej autor już nie poszedł, złamany przedwcześnie chorobą.

Brak nam zupełnie dramatów-komedyj historycznych, bo luźne albo wytrwałe próby na tem polu, Żuławskiego i. in., nic wartościowego nie stworzyły; w „Herodjadzie" i „Napierskim" dowiódł Kasprowicz, w „Zawiszy Czarnym" i w „Rewolucji" Tetmajer, a w tylu innych dramatach inni, że wybór historycznego wątku nie tworzy jeszcze historycznego dramatu; w powieści historycznej bywa to samo, lecz tu o wiele łatwiej ukrywać niedobory. Pierwszy wypełnił u nas tę lukę Adolf Nowaczyński, chociaż sama natura jego niezaprzeczonego talentu stawała na przeszkodzie realizacji jego planów. Bo Nowaczyński wyszedł od satyry, od „Facecyj" i „Skotopasek sowizdrzalskich", żółciowych, nie pogodnych, nie humorystycznych, lecz kaustycznych, i przeniósł ich cynizm, przesadę, jaskrawość, wyuzdanie słowa do szkiców literackich i do komedyj, najpierw do „jednoaktówek" z nędzy galicyjskiej, później do komedyj historycznych. Nikt nie uprawiał tej gałęzi tak uparcie, jak on; zaczął od wieku szesnastego, Babina i Reja, zajrzał do siedemnastego, do rokoszan („Smocze gniazdo" o „djable" łańcuckim — ależ to djabeł w hierarchji Plutona chyba najniższy) i zwrócił się do konkwistadorów „złotego runa" w Moskwe Dymitra; z osiemnastego wieku przedrwiwał Wielkiego Fryderyka (a małego człowieka), Starościca (Węgierskiego) i Pułaskiego w Ameryce, z dziewiętnastego Boga Wojny (Napoleona w ucieczce z Moskwy, przejeżdżającego przez Warszawę) i Cyganerję warszawską, aż w „Nowych Atenach" rodzinny Kraków najnielitościwiej wysmagał.

Podziwiamy rzetelne zapoznanie się z epoką, wyczuwanie i odtwarzanie wszelakich stylów, iście kameleonowe przystosowanie się do czasów i ludzi, złośliwość dowcipną (przelewającą się po brzegi), ale wszystkim tym ciekawym dramatom brak istotnego napięcia dramatycznego; są to kroniki i sceny luźne, a treść ich bywa bardzo błaha i sklecona jest byle jak. Energja, rzutkość, błyskotliwość stylu nie zastąpią nerwu dramatycznego — sam wybór tematu świadczył nieraz zgóry przeciw autorowi, bo z marnej anegdoty trudno wykrzesać życie dramatyczne. Specjalną właściwością Nowaczyńskiego jest jego język, pełen niesłychanych nowotworów, najdowcipniej skleconych, który czyto w ucinku satyrycznym, czy w „Meandrach", czy w szkicu literackim znakomicie się przedstawia, ale istotnego komizmu w dramacie przenigdy nie zastąpi. Ale jest to natura rzetelnie artystyczna o wysokiej kulturze a szerokiej wiedzy i myśli, chociaż silnie zmanierowana. W tropieniu „romantyzmu" (niby jak Wyspiański, lecz z całkiem innych pobudek) i w przechwaleniu „industrjalizmu" obcego przekroczył granice: wyśmiewał i smagał wszelkie nasze wady z niesłychaną u nas, miękkich, zaciekłością, a czasem niewybrednością satyry aż niesmak budził; z pomiędzy wszystkich nowszych jest on najdowcipniejszy, najzłośliwszy, najgwałtowniejszy.

Komedję wesołą raczej, niż satyryczną, uprawia Włodzimierz Perzyński, feljetonista wyborny i w sztukach swoich naginający wszystko do głównego, arcydowcipnego pomysłu-obrazu; jedna sytuacja góruje u niego nad całością. Odnosi się wrażenie, że cała sztuka napisana jest dla tej jednej sytuacji i samoistnego życia nie posiada. Nie on jeden, bo i Wacław Grubiński, Bolesław Gorczyński, Kiedrzyński i in. między młodszymi, między starszymi zaś Stefan Krzywoszewski (na wzorach francuskich wykształ-

cony) T. Kończyński i in. niepłodność dramatyczną co sił wyświęcają z literatury, ale ich dzieła mają powodzenie zwykle tylko sezonowe. Niektóre z nich wywołały chwilowe zajęcie i spory silne o wartość, np. „Zaczarowane koło" Lucjana Rydla, liryka, nie dramatyka, które pociągało swoim splotem djabłów-demonów, iście swojskich, z ludźmi równie swojskimi w tym utworze, a różne piękne szczegóły i sceny malownicze, naśladowanie gwary staroszlacheckiej zacierały wątłość samego dramatu. Zupełnie zawiódł Rydel w „trylogji" o Zygmuncie Auguście, nie budzącej głębszego zajęcia mimo scen patetycznych, zewnętrzny koloryt historyczny zakrywa raczej, niż wyjaśnia, znaczenie tego „*hic regnum mutabitur*" (tu się państwo odmieni), co już uderzało spółczesnych. Nowożytnym jego dramatom brak tej malowniczości kostjumów i przyborów scenicznych.

Do dwóch literatur, co jest zjawiskiem u nas nierzadkiem, należał Tadeusz Rittner, wiedeńczyk napoły, przypominający wyrafinowaną finezję, ale i bezkrwistość Schnitzlera: obu im obca jest wszelka żywiołowość, więc i silnych nie wywołują wzruszeń. „W małym domku" (galicyjskim) doktór zabija z powodu uprawnionej zazdrości żonę; uwolniony przez sąd przysięgłych, ulega sądowi własnego sumienia—jest to najbardziej dramatyczne dzieło Rittnera. W innych przeciwstawia ludzi uczciwych, prostych, albo marzycieli górnych, to oszustwu, to prozie życia, ale jako sceptyk wytworny unikał wszelkich głębokich wstrząśnień, nie zdradzając najmniejszego pociągu do jakiejkolwiek roli budziciela duchów a choćby mózgów; bierze świat takim, jakim jest, i niczem się nie łudzi, ale dowcipnie a złośliwie go wyśmiewa. Osobliwsze stanowisko zajmuje Tadeusz Miciński, dla tłumu niemal nieprzystępny, fantasta, hołdujący już nie egzotyczności, wyszukiwaniu najdziwaczniejszych obra-

zów i symbolów po całym świecie, ale niemal ezoteryczności, wymagającej niby wtajemniczenia szczególniej w mitologję indyjską. Szalona fantazja, zasilana najwszechstronniejszą lekturą, temperament o sile żywiołowej; myśl głęboka, wnikająca w tajemnicę jaźni i przepaści ducha ludzkiego, złożyły się na jego pierwotne liryki („W mroku gwiazd") i późniejsze dramaty (pisane prozą Anhellego, przeplatane nieraz wierszami), dramaty, co łudzą tylko przedstawieniem środowiska, kolorytu czasu, nazwiskami dziejowemi. Zapowiadają się jako dramaty o Litwie, o istocie tajemniczej Tatr t. j. Polski, o rewolucji rosyjskiej, o carycy carogrodzkiej i t. d. — i dosłownem powtarzaniem bajki Sabałowej albo wypisków z kronikarzy dziesiątego wieku tworzą jakąś ułudną rzeczywistość, którą się jednak autor ani na chwilę nie krępuje.

Wróg religji dogmatycznej, każe swej carycy nienawidzieć Chrystusa, przenosi sceptycyzm nasz o tysiąc lat wstecz, smaga biczem najostrzejszej satyry wszystko, co się duchowi przeciwstawia, ale „Kronikarz turowego rogu", chociaż zbędniejsze szczegóły zapisywał, do jasnych, uchwytnych celów nie dotarł. Nieco wrażliwy czytelnik (o widzu niema nawet mowy) poddaje się czarowi słów i obrazów, niezwykłości ich a czasem i potworności, ale coraz traci szlaki myśli i planu. Najzrozumialszym pozostał poeta tam, gdzie związał się jakim takim planem, np. w „Kniaziu Patiomkinie" (z rewolucji załogi okrętowej 1906 r.), albo „W mrokach złotego pałacu" (o bazylisie Teofanu), chociaż kapitan Schmidt nie wie, o co się oprzeć, gdzie zarzucić kotwicę (duchową), ani demoniczna Teofanu nie wzniesie się ku wymarzonemu słońcu. W dramatach, jeszcze fantastyczniejszych, rozgrywających się nie w Zakopanem, jak scenarjusz ludzi, lecz na Atlantydzie nadpowietrznej, mimo wszelkich cięgów, jakie się w „Nietocie" naszemu społeczeństwu dostają, gubi się

poeta w stałem przeciwieństwie Mangra-Lucyfera (materji) i Arjamana-Chrystusa (ducha) i przypomina rosyjską mistykę Dostojewskiego. Niesłychane piętrzenie przygód, najdowolniej łączonych, kaskady najdziwaczniejszych pomysłów, najwyszukańszych ozdóbek i rysów odbierają postaciom jego cień realności, a oszołomiony czytelnik w patosie deklamacyjnym z trudem rozplątywa najpospolitsze szczegóły o Szeptyckim, Zimie i t. d. Jest to już przerafinowanie sztuki, mniej byłoby nierównie więcej, z tych rebusów nieraz niesposób się wywikłać, cudowne staje się cudackiem. Wobec bezkrwistości naszych dramatów, Szujskiego, Bełcikowskiego, Kozłowskiego, Glińskiego i in., jest jego „Teofanu" zarazem szałem farb i wyczuciem tętna dziejowego, a, przeładowana i niejasna, może zająć miejsce tylko obok podobnych tragedyj Słowackiego i Norwida, chociaż i one bledną wobec tej furji artystycznej, nie skąpiącej żadnych wycieczek w indyjskie i nordyjskie baśni, mało licujące z grecką pogańskością, która dobywa się z pod narzuconego chrześcijaństwa. Lecz świat arabski, a szczególniej słowiańsko-nordyjski mąci koloryt bizantyński, a o bohaterce samej nie wie czytelnik na pewno, czy to hetera na tronie, czy Lucyfer, walczący z Chrystusem, a tylko postacie drugoplanowe odtworzy jasno własną wyobraźnią. Ta dowolność w szafowaniu wszelkiemi skarbami poezji i filozofji potęguje się chyba w symbolizowaniu Litwy („Rabinowa noc" — co autor mylnie z „rabinem" połączył), i Polski („Nietota"); przepych barw i kształtów najbardziej poetyckich obok rysów najtrywjalniejszych, błazeńskich (jak i w „Teofanu") niepokoi poprostu wrażliwego czytelnika, zmuszonego co chwila przenosić się z świata realnego w mistyczny. Niesposób tylko odmówić poecie potęgi wyobraźni, wprawdzie nieokiełznanej, poetyczności obrazów, scen, symbolów, choćby przesadnych, głębokości

myśli; dowolność jest tu ta sama, co w dramatach-alegorjach Wyspiańskiego, które to dramaty są u Micińskiego nieraz „przewyśpiańczone", ale nie brak im prawdziwej poezji i refleksji najwnikliwszej, i mimowoli nęcą te zagadkowe utwory o fosforycznem świetle a mętnej frazie.

Wobec tej wielkiej sztuki maleją wszelkie inne próby. Z sztuk ludowych wyróżnił się „Marcin Łuba" Sewera (Maciejowskiego) i Micińskiego, rzecz bardzo realistyczna, ciekawa dla psychologji gminy, odwracającej się nagle od swego obrońcy, skoro ten wystąpił przeciw własnemu ojcu-wyzyskiwaczowi. Liczne autorki dramat najmniej uprawiały: Jadwiga Marcinowska i D-mol (Maryla Wolska) sięgały do czasów piastowych a nawet pogańskich („Branka" Wolskiej), korzystając z przywileju, że nic o tem pogaństwie nie wiemy. Było to dla ich fantazji pole najdowolniejsze, lecz piękność wysłowienia nie zastąpiła braków twórczości. I nie znalazł się żaden pisarz dramatyczny, któryby zasilił skutecznie repertuar, szczególnie komiczny, w którym jesteśmy zawsze skazani na produkcję zagraniczną.

Więc jak w poprzednim okresie, tak i teraz, górowała powieść, acz mniej wyłącznie. Temperament naszych pisarzy, słowiańska wyraźnie epicka żyłka, nowe hasła życiowe, wymagania sztuki modernistycznej, różnorodność warstw, po raz pierwszy do głosu dochodzących — zapewniały zgóry powodzenie nowej powieści. Opuszczała ona przeszłość tradycyjną, dworki wiejskie i salony miejskie, dawne zawikłania erotyczne i subtelną analizę uczuć tkliwych; zwracała się ku ludowi gór i równin, wstępowała do fabryk, demokratyzowała się, bo coraz widoczniej schodziła szlachta, niegdyś jedyna wyrazicielka myśli i posłannictwa narodowego, na plan dalszy, a punkt ciężkości przesuwał się ku masom, które się coraz jawniej wymykały z pod kierownictwa „pana" i księdza. A do

nowych ludzi, miejsc, ideałów przybywał i nowy język, mniej książkowy, papierowy, bardziej wyrazisty, obfity, jaskrawy. I zapanowały „nastroje", uwydatnienie niby organicznego związku otoczenia, jego barw i szmerów z człowiekiem i jego myślą-czuciem, i uzmysłowiano teraz najdelikatniejsze odcienie; wrażliwość wzrokowa i słuchowa wzrosły niesłychanie, a na oddawanie ich dawne słownictwo nie starczało.

Jak stara „romantyka", tak i ta nowa nie tworzyła żadnego zwartego zastępu około jednego mistrza, czy hasła; łączy ją nieraz raczej spółczesność wystąpienia niż jakiekolwiek świadome przeciwstawianie się dawnej „szkole" i twórczości. Owszem, obok „modernistów" uwijali się na tem polu wszelacy wyrobnicy pióra, rutynowani i utytułowani nawet dostarczyciele tylu a tylu tomów powieści historycznych, szlacheckich, wiejskich; niektórzy uganiali się za tematami aktualnemi, np. Artur Gruszecki, który wlot chwytał każde zjawisko i pisał o litwakach, zmoskwiczonych Polakach, którzy się na łonie swoich już nieswojo czują, o Słowakach, hutnikach i t. d.; spisywał tomy feljetonów raczej, niż powieści. Inni tonęli w szarzyźnie warszawskiej (Konar), albo wykrawywali obrazki kolorowe z epopei napoleońskiej (Gąsiorowski). Szeregi te do dziś się nie przerzedziły i rok rocznie wychodzą dalej tomy powieści i nowel z pod pióra pań i panów, o których, jak o Ryczywole, milczeć wolę.

Chłopa osadził w literaturze najmocniej Władysław Reymont. Sam w życiu rzucał się, jak Gorkij, z fali na falę, próbował wszystkiego i, co zaobserwował, wyraził znakomicie; nie udaje mu się to, czego nie widział, czego z cudzych słów się domyśla („Wampir" i t. p.). Zaczął odrazu od nowel chłopskich; przerwał ich ciąg dla różnych komedjantów prowincjonalnych, których życia sam zakosztował, i w „Fermentach" zadziwił mnóstwem

typów charakterystycznych. Ta sama bujność wyobraźni cechowała jego „Ziemię obiecaną", Łódź fabryczną z mrowiskiem Żydów, Niemców, Polaków, wysysających robotnika a między sobą na śmierć i życie walczących. Największego dzieła dokonał w czterotomowych „Chłopach", gdzie wedle czterech pór roku opisał zawisłość chłopa od ziemi-matki, ziemi-tyrana, ziemi-sługi. Roztoczył obraz olbrzymi, któremu podobnego niemasz w literaturze świata; nawet ruscy Uspieńscy czy Złatowraccy nie zdobyli się na dzieło równej wielkości, tak wyczerpujące życie wiejskie. Stworzył autor osobny język: literackiemu narzucił lekki odcień gwarowy, nawet wtedy, gdy od siebie, nie od swoich „chłopów" mówi; najpiękniej wypadły obrazy przyrody, a na ich tle szereg ludzi pierwotnych, zrosłych z ziemią, nią silnych, namiętnych w walce o nią, prostodusznych w obejściu; barwy nakładał mocne, acz bez przesady; wyjątkowo wprowadzał i alegorje, a w perypetjach miłosnych może zbyt ulegał chęci dramatyzowania. Kunszt epicki posiadł w mierze niezrównanej, nikt z „młodszych" mu w nim nie sprostał i obok szlacheckiego „Pana Tadeusza" pozostaną „Chłopi" świadectwem tego, jak to żyła, pracowała, bawiła i biła się wieś polska (co za różnorodność w tych właśnie opisach!); wyjątkowo, przelotnie, mieszają się osobnicy świata kulturalnego między „tubylców", nie mogą jednak co do wyrazistości z nimi zawodniczyć. Impresjonizm święci tu tryumf; Reymont przedstawia wszystko najbarwniej, z siłą iście żywiołową; nie sięga jednak głęboko, trzyma się powierzchni; indywidua jednak niezrównanie wycieniował: starego Borynę i syna-rywala Antka, i piękną Jagnę (czy nie nadto melodramatyczną?), i tylu, tylu innych; poza nimi gubią się i „chłopi" i „wieś" sama, dramat miłosny, wyjątkowy góruje nad wszystkiem. Mimo ten niedobór, tem silniej nawet odczuwamy gorącą sympatję, miłość wręcz,

jaka łączy autora z dziełem, nie na chłodno wyrozumowanem, jak u Zoli, lecz z natchnienia wyrosłem. Tu osiągnął Reymont szczyt swej sztuki. Jako epika nęciło go roztoczenie barwnych obrazów i z innych sfer i czasów, więc sięgnął do roku 1793, do sejmu grodzieńskiego z jego szałem hulaszczym, zepsuciem doszczętnem i z pierwszemi próbami odrodzenia. Epik Reymont przypomina, jedyny z Młodej Polski, epika Sienkiewicza; nie ma tej fantazji, która odgaduje życie i zamierzchłych czasów, analiza zawikłanych stanów duchowych również nie jego rzeczą, ale w kunszcie opisów przewyższył mistrza.

Przeciwieństwem ich obu jest liryk Stefan Żeromski (Maurycy Zych, I. Katerla). Nie jego jest rzeczą opowiadanie na dłuższą metę, lub skomponowanie romansu obszernego, i mimowoli pytasz, poco rozciągnął poeta „Dzieje grzechu", „Urodę życia", „Walkę z szatanem" na dalsze, zbędne tomy, nie łączące się organicznie z poprzedniemi? Rażą i inne osobliwości: zarówno utopje socjalistyczne i równie utopijne wynalazki jakieś, które zdziałają cuda, wplatane w najbardziej realistyczne wątki, jak i doktryny i debaty jałowe, po których wszelkich zakątkach wlecze nas autor. Dręczył go w Warszawie; jak Wyspiańskiego w Krakowie, lęk o naród, o te łańcuchy, które nie w ciało, lecz w ducha się wżerają, o poniżenie, o utratę godności narodowej, o zaprzaństwo i samoniewolenie. Jak Wyspiańskiemu, tak i jemu dyktuje gorący szlachetny patrjotyzm te karty oburzenia, zgrozy, lęku i wtedy jest on najwymowniejszy. Frazesami zbywamy, lub uchylamy się od pełnienia obowiązku — on jedyny wystawił ten „imperatyw" i na żadne nie zgadza się kompromisy, nigdy u niego nie zdarza się, aby i wilk był syty i baran cały. Jego doktór Judym zrzeka się największego szczęścia osobistego, aby mu nic nie przeszkadzało w pełnieniu obowiązku, w ujmowaniu się za

krzywdą ludzką — tylko samotny będzie silny; od Judymów roi się w jego dziełach. I krwawi mu się serce na widok otaczającej nędzy moralnej i materjalnej, żrąca jest i paląca gorycz jego mowy, lecz żre i pali nie ludzi, ale okowy. Walczy ironją i szyderstwem z Obrzydłówkami i Łżawcami, ale opuszcza ręce wobec fatalności, godzącej niemiłosiernie we wszystko, co szlachetne i piękne. Nie może się przytem dość nacieszyć kreśleniem obrazów piękna i to jest druga, wybitna nuta twórczości Żeromskiego. Nikt nie stworzył równie cudownych sielanek miłosnych, jak on (np. w pierwszym tomie czy „Dziejów Grzechu", czy „Urody życia", czy w „Walce z szatanem"), lecz są one skazane zawsze na brutalne zdeptanie, chyba że, jak w „Walce", jakiś cud chwilowo zwycięża. Większe jego dzieła rozlatują się w luźne sceny, w „Popiołach" np. wcale nie powiązane z sobą, zato nikt go nie przewyższył w kreśleniu tych scen, rzadko pogodnych, zwykle groźnych, strasznych, targających niemiłosiernie nerwami czytelnika — bólem i krzykiem są one pisane.

Wyspiański zarzucał narodowi brak woli, a raczej energji, kokietowanie frazesem, jakąś rolą jakoby mesjaniczną, co ostatecznie do samobójstwa prowadzi. Żeromski uogólniał te zarzuty, nie tykając nawet strony politycznej (ze względu na cenzurę); nad panowaniem zła rozpaczał, altruizm wyznawał, głosił cześć dla człowieka. Obaj są pesymistami: jeden wpatrzony w śmierć, drugi w zło; tamten pociesza się powrotem, czy wędrówką i doskonaleniem się duszy, ten liczy na rewolucję, walki, rzezie. Obaj w kreśleniu społczesności hołdują satyrze, a ideały znajdują w przeszłości; ów w Kazimierzu Wielkim, mężu czynu, a choćby Janie Kazimierzu jako mistyku, ten w rycerzu Walgierzu, w hetmanie Żółkiewskim, w idealiście Sułkowskim. Tamten zwalcza poezję romantyczną, bo od celu odwodzi—ten literaturze narzuca cele dydaktyczne,

aby strudzonym w nierównej walce sił dodawała, do oporu krzepiła. Gdy niezależnie od literatury osiągnięto cel, uczuwa Żeromski zwolnienie jej od tego obywatelskiego i patrjotycznego, nie artystycznego zobowiązania.

Dziwne bywają tytuły jego dzieł, albo beznadziejne, jak „Rozdziobią nas kruki i wrony", „Ludzie bezdomni", „Popioły" (garstka tych „popiołów" to wszystko, co z walk i trudów pozostało), albo zagadkowe: „Uroda życia" (chyba Nieuroda?), „Wierna rzeka" (bo papiery nie wypłyną?), „Walka z szatanem" (marksizmu?), „Dzieje grzechu" (którego właściwie? — przecież to tylko dzieje niemożliwego spodlenia, zezwierzęcenia natury szlachetnej!). Tem bardziej podziwiamy wykonanie: nowele, „Ludzie bezdomni", pierwszy tom owych „Dziejów" i „Urody" to szczyty beletrystyki — jak blade są wobec nich dzieła naszych wielkich realistów! Krwią i łzami pisane tu każde słowo. Dla przyszłych pokoleń będzie to historja martyrologji polskiej z czasów rozszalałej w „Priwiślinji" furji moskwiczenia, znieprawiania myśli i uczucia wszystkich, począwszy od młodzieży, której katastrofy opisał Żeromski w „Syzyfowych pracach" (tytuł znowu nieco zagadkowy, bo czyjeż trudy marnieją — Borowicza, czy Krestoobrjadnikowa?), do zmoskwiczonych Polaków, którzy cudem wracają na łono ojczyzny (Rozłucki w „Urodzie"). Bohaterowie tych powieści to luźne okazy, niewyjałowiała sól ziemi, przeciwstawiane świadomie zgniłemu otoczeniu. Nielitościwie natrząsa się Żeromski z tego otoczenia, ale „działaczy" rosyjskich nigdy na pierwszy plan nie wysuwa, nawet w utworach, wydawanych zagranicą pod pseudonimami. Sile tego napięcia patrjotycznego — którą przewyższył wszystkich — odpowiada język, wymowa niemal gwałtowna, miejscami piorunująca, i obrazowość niesłychana, właśnie od wstrętnej moralności tuląca się z miłością synowską do matki-

przyrody. Tak walczy autor na każdym kroku z szatanem zła, wszechpotężnego, tryumfującego; mimo tej świadomości, wbrew nadziei, nadziei nie traci, nawet po zawodach rewolucji 1905 r. krzepi się wiarą w niezniszczalność narodu. Dlatego poświęcił się rozdmuchiwaniu iskry patrjotycznego żaru — i to w samej lwiej jaskini cenzuralnej. I stąd ten czar, jaki niezależnie od jego sztuki serca mu zhołdował.

Wypierał się Przybyszewski czytania Dostojewskiego przed napisaniem „Dzieci szatana", chociaż ciągle przy tej lekturze przypominają się „Biesy" — nie wyprze się jednak Żeromski wzorów i wpływów rosyjskich; jego realizm wywodzi się nie od naszych lecz od wschodnich realistów, literatura polska takiego nie znała; obnaża on i to, co wstrętne. Siłą kontrastu gnany, z sfer ostatniego zbydlęcenia fizycznego i niechlujstwa moralnego unosi w sfery pokory chrześcijańskiej, rezygnacji bohaterskiej, mądrości-miłości społecznej, niezależnych od tego, jak je świat przyjmie. Nie brak w jego twórczości dowolności psychologicznej, nagłych przeskoków, czy odmian, cudackich pomysłów, lecz giną one w całości tego dzieła, przemawiającego do serc i sumień nierównie głośniej, i jaśniej, niż zmącone dzieło Wyspiańskiego-romantyka, chociaż mimo wszelkiego realizmu jest romantykiem i Żeromski, i wcale się z tem nie ukrywa. Dlatego też przenosi się chętnie w dziedzinę snu, alegorji, wymysłu poetyckiego; nieraz porzuca formę powieściową i wprost strofuje społeczeństwo (np. „Słowo o Bandosie" i in.); w takich razach powieściopisarz ustępuje przed moralistą, i tylko moc słowa i obrazu zdradza poetę.

Gdy u Żeromskiego i Micińskiego tylko wybór szczegółów i ich oświetlenie przypomina Rosjan, w ciekawych powieściach St. L. Brzozowskiego Dostojewskij zapanował wszechwładnie; niestety, powieści te niedokończone są

i niewykończone, ale np. „Książka o starej kobiecie" godna jest stanąć obok „Biesów" — taką tu przepyszna satyra ma kołowaciznę partyjną, za którą Marks myśli, i takie przerażające kawały życiowe. Lecz krytyk-filozof opowiadać ani nie umie, ani nie lubi i rozprasza się, np. w „Sam śród ludzi" (w których się widocznie na samotnika Stirnera kieruje), na szereg luźnych, najdowolniej połączonych szkiców psychologicznych; każdy z nich bardzo jest zajmujący, ale w tej galerji osobliwości i nienormalności, kłócących się nieraz dotkliwie, wkońcu obraca się czytelnik z pewną nieufnością. Przedwczesny zgon udaremnił zabiegi artysty, który ani na chwilę nie zdołał zapomnieć o właściwem swem zadaniu, a mianowicie o budzeniu uśpionego ducha, temu celowi poświęcając naratorstwo. Ale w powieści polskiej jest Brzozowski zjawiskiem niezwykłem: i treścią i duchem, mimo wszelkich niedomagań artystycznych, wynosi się on wysoko ponad rutynę, a siła jego ironji, istotnie zabójczej, bywała w feljetonach zwłaszcza niezrównana.

Śród licznych powieściopisarzy nowej szkoły oddał się Wacław Berent, najmniej z nich wszystkich płodny, kreśleniu satyrycznego profilu społeczeństwa w „Próchnie" i „Oziminie". „Próchno" ma dość ograniczony sam wątek treściowy, zato z imponującą siłą rozbija ułudę życia grupy artystów-dyletantów, Słowian, Niemców i rasy mieszanej, w wielkiem obcem mieście i przedstawia ich rozkład — świecące próchno. W „Oziminie" (o tytule równie symbolicznym, chociaż za jakość budzącego się z wiosną posiewu nie ręczymy — czy nie zamarzł przypadkiem?) zobrazował noc-bal w towarzystwie warszawskiem, pominął jakąkolwiek „intrygę", uwydatnił tylko „nastrój", a raczej zupełny rozstrój, przynajmniej moralny. „Próchno" podtrzymuje jako tako walka o kobietę i z kobietą—w „Oziminie" zastąpił

ją flirt i poziom etyczny znacznie opadł. Podziwiano, i słusznie nadzwyczajną kunsztowność stylu—trunek wcale nie pokrzepiający podano nam w czarze, wycezylowanej z niesłychanym u nas trudem: autor każde zdanie i słowo po flaubertowsku gładził i szlifował—lata też całe upływały między jedną a drugą powieścią. Prócz realizmu i stylizowania nikt w Berencie nie dopatrzyłby się cech romantyka, gdyby nie wychylał się wyraźnie z pod obsłon dzieł, chociaż przy ich końcu dopiero, ów lwi pazur neoromantyzmu, czy wtedy, gdy zahacza o nirwanę buddyjską, czy o Bakcha-Apollina (jako u tłumacza Nietzschego); w ostatniem swem dziele rzucił autor wszelkie pomosty realizmu i podążył w dal błękitną za błękitnym kwiatem („Żywe kamienie").

Mistyką, ale gruboskórną nie gardził nawet Józef Weyssenhoff, który z Młodą Polską oprócz owej mistyki (w „Hetmanach") nic, prócz tego samego czasu działania nie ma wspólnego; szydził on dotkliwie z Młodej Polski, przynajmniej z Wyspiańskiego, podczas gdy Sienkiewicz wyrzucał jej „ruję i porubstwo". Wystąpił późno, ale „Żywotem i myślami Zygmunta Podfilipskiego" i „Sprawą Dołęgi" (raczej „Niedołęgi") zdobył odrazu wybitne, własne miejsce, chociaż się na niem nie utrzymał. Sam światowiec, w doborowem towarzystwie przejrzał niedobory tego towarzystwa, a więc: kosmopolityzm i oportunizm, drobnostkowość i kastowość, i wyszydził je, delikatnie, ale i niemiłosiernie. W „Podfilipskim" przedstawił skończonego szuję, któremu instynkty moralne są obce, zato pozory kultury wyrafinowanej weszły mu w krew i szpik, który oburza się na zaśniedziałość, zacofanie sarmatyzmu domowego i na akademję dobrego tonu dla ziomków zagranicą zapisze majątek; jego zapalony wielbiciel spisał nam pamiętnik o tym genjuszu cywilizacji bulwarowej a kanibalizmu moralnego, pa-

miętnik tak wytworny, że autor w niepotrzebnej zresztą obawie nieporozumienia pododawał aneksy, w których, wytknął palcami niechlujstwo Podfilipskiego. W sam wielki świat wprowadza nas „Sprawa Dołęgi" — dlatego nierównie subtelniej traktowana — bez centralnej figury, zato z pysznemi postaciami epizodycznemi. „Podfilipski" był utrzymany w jednym tonie, w „Dołędze" nie brak wszelakich wykolejeń — niedarmo autor sam do tego świata należał i wkońcu po nim, po pustych głowach i sercach, czegoś się jeszcze spodziewał, jakby tradycja brak myśli i czucia zastąpić mogła. Mistrz sztuki i słowa, znawca wyśmienity tych kół, potem płodził coraz liczniejsze i coraz słabszę powieści, w imię odwiecznych, przestarzałych haseł czy w stosunku do Litwy, czy do gromady, ale wiotkość tych wątków okupił przepysznemi obrazami swojskiej przyrody; jako strzelec porozwieszał takie malowidła naszych sadów i lasów, że, rozkoszując się ich barwą i wonią, zapominamy o niedoborach myślowych („Soból i Panna"); odżył tu jeszcze poniekąd świat staroszlachecki, choćby z „Pana Tadeusza"; i Weyssenhoff mógłby nad niejednym rozdziałem swych opowiadań owo fatalne „ostatni" pomieścić. Nie zapominamy nigdy o jego pierwszych arcydziełach ironji i dlatego przyznajemy mu miejsce obok „Próchna" i „Oziminy".

Osobliwszą formę ironji piastował w bajce zwierzęcej Jan Lemański. Odświeżył zapomniany zupełnie rodzaj poetycki i w rozwlekłych z umysłu perorach przedrwiwał niemiłosiernie i frazesy altruistyczne, i fałsz wszelki, i rozdźwięk ideału z życiem-filistrem — w ten sposób stworzył arcydziełka; mniej powodziło mu się w powieściach, fantastycznych, o podobnym zakroju, zaczerpniętych z państwa Ćwieczków i Gwoździków; przezwyciężał w ten sposób czczość szarzyzny codziennej humorem i satyrą, rwąc się sam do ideałów.

Inni inne obierali gałęzie. Po Szymańskim, który wcześnie zamilkł, objął berło powieści syberyjskiej W a c ł a w S i e r o s z e w s k i i dotąd niepodzielnie niem włada. Ton jego jest odmienny: zamiast bezbrzeżnej tęsknoty samych wygnańców zajęły go jako altruistę losy tubylców, wydanych na łup klimatu, trądu i wyzysku-ucisku rosyjskiego; za altruistą ukrywa się etnograf, ciekawy ludu i świata obcego, i podróżnik, który rozszerzył pole badań po Sachalin i Japonję, Chiny i Koreę, nie pomijając Kaukazu; „z fali na falę" zabrnął „na daleki wschód" (tytuły jego dzieł) i wypełnił lukę olbrzymią naszej literatury, która nie była nigdy egzotyczna, zawsze zasiedziała i zadomowiona. Dał poznać i ziemie dziwne i ludzi jeszcze dziwniejszych, ale nie sama ciekawość wodzi jego piórem: natchnęła go głębsza sympatja ku najnieszczęśliwszym, ku wywołańcom ludzkości. Po wszelakich wycieczkach wraca stale do ojczystej krainy udręki, nawet z przeszłości jej czerpie (w „Beniowskim") a w ostatnim utworze opowiada, jak rozmaicie ginie polskość w syberyjskiej „Topieli". Jest on mistrzem krajobrazu i niezapomniane są np. zapasy jego bohaterów z olbrzymem-rzeką; żywioł rosyjski, ewangelja Tołstoja, zakusy anarchizmu doczekały się w nim trafnego krytyka.

Świat górski z niewdzięczną ziemią i stałą nędzą głodową, tak odmienny od polskiego świata równin, odtworzył Podhalanin W ł a d y s ł a w O r k a n (S m r e c z y ń s k i) w lirykach i nowelach, w powieściach i dramatach. Nie etnografja, jak nieraz u Sieroszewskiego, wysuwała się tu na pierwszy plan, lecz przyroda, jęk i płacz uściśnionych i bezsilne zapasy tych, którzy, zdjęci litością nad komornikami, walkę z gazdami prowadzą. Wszelki urok sentymentalnej zakopiańszczyzny ulotnił się doszczętnie z jego malowideł („Nad urwiskiem", „Z tej smutnej ziemi", „W Roz-

tokach"). Przemawia z nich prawda nietylko o tych ludziach, ich doli i roli, lecz o wiecznej tragiczności winy i kary, o ich dziwnym, mistycznym splocie. Syn tej ziemi, rozkochany w jej pierwotnym wdzięku, wzbił się wkońcu nad szarzyzną dzisiejszą i w epopei prozaicznej „Drzewiej" (dawniej) okazał się jej Homerem; fantazją przerzucił się w czasy, kiedy to pierwszy człowiek zamącił odwieczny spokój tych gór i, sam pierwotny, nieokiełznany, pełen żywiołowej siły namiętności, zbrodnią i gwałtem skalał dziewiczą ziemię. Równie pięknej prozy poetycznej nie znał dotąd nasz język i odzwierciedliła się w nim godnie majestatyczna przyroda górska z swym dzikim zwierzem, straszną grozą swych skał i z dzikszym a straszniejszym od nich człowiekiem. Nad realizm i fantastyczność Orkana nie wzniosła się dalsza literatura Podhalan. Orkan zwyciężył ograniczeniem się do ziemi i ludzi, doskonale sobie znanych; inni sławę, zasłużoną w podobny sposób, sami na najgorszy szwank narażają, przerzucając się dowolnie, dla odmiany czy mody, na obce, niedostępne im pola.

Tak np. Andrzej Strug (Tadeusz Gałecki), bojowiec z r. 1905, wyrosły w atmosferze spiskowej, heroicznej, romantycznej, pierwszy i jedyny odtwarzał z podziwem miłosnym, z wczuciem się najgłębszem, z prawdą bezlitosną te zmagania się nadludzkie ze zdradą w własnych szeregach, z prześladowaniem ajentów i szpiclów, z grozą szubienicy. Może w większych powieściach układ szwankował, zbyt był luźny, niewolny od powtarzań i rozwlekłości, ale treść jest tak niezwykła a tak doniosła, ale analiza tych dusz heroicznych, tych „ludzi podziemnych", spalających się „w twardej służbie", goniących ofiarnie za „chimerą" i ginących na nią mężnie, tak ciekawe, że dzieła jego pozostawiają niezatarte wrażenia. Chłopi, studenci, kobiety, entuzjaści wszelkiego rodzaju, rozbici nieraz

na partje i partyjki, wzajemnie się szkalujące, złożyli się na ten korowód poświęcenia i giną w nadziei ostatecznego zwycięstwa, okupywanego ich zgonem przedwczesnym. Jak „efektowne" bywają „Dzieje jednego pocisku", sfabrykowanego zagranicą dla satrapy warszawskiego (Skałona) a mijającego się zupełnie z celem i ginącego marnie w falach wiślanych — jest w tem może i symbol całego ruchu! Od tych zapaleńców spółczesnych przeszedł Strug do ojców i dziadów, do zapaleńców 1863 roku i z żywej dotąd tradycji wykrzesał wspomnienia i postacie, sympatyczne, tragiczne, lecz nie osiągnął równie silnego wstrząsu — nie tacy byli ludzie i czasy. Pole, na którem stworzył arcydzieła charakterystyki, porzucił z szkodą dla siebie i przeszedł do powieści z obcego życia („Pieniądz").

Obok „specjalistów", jak Sieroszewski, Orkan, Strug, nie brakło powieściopisarzy, uprawiających wszelakie dziedziny, nieraz zapowiadających się świetnie, nie dotrzymujących jednak tych zapowiedzi. Takim okazał się np. Gustaw Daniłowski, romantyk, który w poemacie alegorycznym wielbił przejście od marzeń do czynu („Na wyspie"), a w powieści „Z minionych dni" przedziwnie usymbolizował smutek, melancholję, wyżerającą całe pokolenia. Nastrój jednolity opanował tych bezbrzeżną tęsknotą tchnących ojców i matców, ginących w pogoni za kwiatem czarodziejskim, ale już w „Jaskółce" uderzały wyobraźnię tylko luźne sceny i szczegóły w osobach drugoplanowych (bohaterkę poznajemy w przelocie, bohater jest filistrem). Od rewolucyjności i marzeń patrjotycznych przeszedł autor do gruboskórnej zmysłowości, odnajdując jej ofiary w Palestynie i początkach chrześcijaństwa, ale z tego mistycyzmu płciowego kwitujemy tem chętniej, im bardziej powieść a nawet tragedja Młodej Polski hołduje erotyzmowi, choćby u Żeromskiego, albo

Micińskiego. Nie zniżają się oni obaj do pornografji (chociaż i ta do literatury wciskać się zaczyna), ale dawka zmysłowości erotycznej zniekształca każde niemal nowe dzieło: jakby się powieść i dramat bez tego eliksiru obejść nie mogły! Ta jednostronność poniekąd nuży—niedarmoż Sarmatom wyrzucano stale kobieciarstwo.

Oprócz rdzennej Polski i kresy wschodnie czy zachodnie znajdowały również przedstawicieli. Kazimierz Zdziechowski, piszący niegdyś z Orzeszkową „dwójgłos", stworzył nieskończoną galerję ludzi z Zaboru i Litwy, działaczy mądrych i egzaltowanych, ofiarnych i sobków. Maciej Wierzbiński rozwodnił i utopił w nadmiarze produkcji talent niezaprzeczony; specjalnością jego były zatargi pruskie, walka o ziemię i narodowość w Poznańskiem.

Powieściopisarek mamy cały legjon, ale nie wydały one talentu, któryby dorównał poprzedniczkom, od jednej Gabrjeli do drugiej. Nie wynoszą się one nad rutynę przedstawiania zapasów miłosnych, tej najbardziej ulubionej im treści, blado naśladują mężczyzn, bardziej od nich sentymentalne; osobną nutę pełnej kobiecości, odrębnej, samoistnej, nie wymagającej uzupełnienia męskiego, wprowadziła chyba Zofja Nałkowska, intelektualistka o świetnym stylu; jej kobietom brak temperamentu, woli, czucia, ale są one piękne i mądre, a wstręt czują do brzydoty życia, dlatego smutne są i nieszczęśliwe. Nadzwyczajną pretensjonalnością formy wyróżniał się Irzykowski, zwiastujący jakąś nową sztukę, która jednak nie dopisała. Liczba innych powieściopisarzy z talentem mniejszym lub większym jest nieskończona.

Obok dramatu wypowiedziała się Młoda Polska głównie w liryce, która przechodziła dziwne odmiany a skupiła znakomite talenty. Szereg ich rozpoczął Kazimierz Tetmajer, który pierwszy odwojował liryce wpły-

wowe stanowisko w sztuce i najsilniej i najartystyczniej wyraził duszę dekadenckiego pokolenia. Zmysłowość i przesyt, rozkosz i niesmak, znudzenie życiem i szał jego bakchiczny oddał w pierwszych serjach „Poezyj" z kunsztem nieprześcignionym. Pożegnał wcześnie hasła socjalne, oddał się cały swej sztuce, w jej imię wyzywał filistrów, chociaż bynajmniej się nie taił z brakiem jakiegokolwiek ideału, celu, programu. Zczasem opadły fale lubieżności, kultu nagiego piękna, tęsknego niepokoju i w pogoni za siłą i życiem pełnem, zdrowem, nie cieplarnianem, ujrzał się poeta — z tradycji zresztą niemal rodowej — u stóp Tatr i niby nowy Homer wyśpiewał ich epopeję, tylko nie epopeję Tatr dzisiejszych, ale dawnych, pierwotnych, nie tkniętych kulturą i jej trującym oddechem, niszczycielskim dla ich urody. Obok wierszy poświęcił swoim Tatrom serje nowel i obrazków prozaicznych p. t. „Na skalnem Podhalu" i w nich okazał się prawdziwym poetą. Zaczerpnął je nie z życia, raczej z fantazji, a odmalował w nich hart zbójników, kłusowników, gazdów, szamocących się choćby z niedźwiedziem, poddających się instynktom, żądzom, pełnych życiowej siły i prawdy, godnych synów tej pierwotnej przyrody. Nie „Lachy" to, nie chłopi z równin, nie pańszczyźniaki, raczej orły skalne, skazane na wymarcie, bo nie umiejący się przystosować do karnego ładu, raczej trwoniący wolne życie. Schyłkowca-dekadenta olśniła ta żywiołowość i siła; szukał jej i gdzie indziej, w przeszłości, np. u „Zawiszy Czarnego", w teraźniejszości, np. w „Rewolucji", ale jej nie wyraził, a tylko w wielkiego stylu swych lirykach oddawał przejścia erotyczne i męki zazdrości. Pisywał powieści spółczesne, o satyrycznym zakroju, o pomysłach dziwacznych (na temat legitymizmu i walki o tron rodowy), i znowu trafił na pełnię życia i siły w „Końcu epopei" z bohaterami Napoleonowymi i księciem Józefem nad

Elsterą; proza tej epopei nabiera prawdziwego wdzięku poetyckiego. Przedzierzgnął się więc liryk w epika, a miał za sobą oddawna znakomite próby talentu powieściopisarskiego, począwszy jeszcze od „Ks. Piotra", owej wizji zachodzącego słońca nad życiem dzielnem, równem, pogodnem.

Wyłącznie lirykiem był i pozostał, mimo wszelkich prób dramatycznych i nowelistycznych, Jan Kasprowicz, największy poeta, jakiego kiedykolwiek ziemia wielkopolska wydała, spółpowietnik Przybyszewskiego. Wyszedłszy sam „z chłopskiego zagonu", uprawiał narazie demagogję poetycką, w balladach i dramatach ujawniał nędzę chłopską, a w skonfiskowanym przez prokuratorję „Chrystusie" w bluźnierczych pytaniach (jak niegdyś Konopnicka) w imię krzywdy społecznej dumnie wyznawał niewiarę. Ale była to faza przejściowa i sam poeta świadomie odbiegł od ołtarzy „ludowych". Zwęził odtąd zakres swej twórczości do indywidualnej wyłącznie, ale w niej objął nędzę i rozpacz całej ludzkości, jej bezsilne zmaganie się z namiętnością, z grzechem, ze złem: nawet na widok Golgoty pada dusza w wabiące ramiona Lucyfera. Tych przejść od kornych samooskarżeń, od tarzania się w popiele i prochu, od błagań o litość, czy pomoc, do dumnego wyzywania Stwórcy jako współwinnego, nikt z równą, nieraz nadto szorstką siłą nie wyśpiewał. Jest to poezja religijna („Ginącemu światu", „Moja pieśń wieczorna", „Salve Regina"), ale jakżeż odbiegła od wszelkiej religji, prawowierności, dogmatyczności. Bóg Kasprowicza to nie ów Bóg teologiczny, nieprzystępny, unoszący się nad czasem i przestrzenią, ale tkwi w nas samych, myśmy na jego podobieństwo stworzeni, więc się upominamy o to zesłanie na ziemię wszelkich krzywd, żalów, zwątpień i rozpaczy; szamotamy się, niby dziki zwierz w klatce, i krwawimy pięści o kolce, aby

zejść w ciemności po wyczerpaniu całej naszej siły. Beznadziejny pesymizm, nierównie głębszy, niż u dekadenta-sybaryty Tetmajera, pochłaniał poetę i chociaż się do nirwany czy buddystycznego zaparcia się świata jawnie nie przyznawał, beznadziejność ta podważała wszelką myśl i wiarę. Nie zrzekał się jej jednak jako mistyk; rozum, doświadczenie uczy, że zło jest wieczne, że tkwi w nas samych; zczasem jednak w imię miłości i prawdy równie wiecznej wytrwałem łamaniem się ze wszelkiem złem dochodzi dusza do miłości—spokoju, do odkupienia i okupienia tych win. Gdy dawniej tylko chwilowo, zatopiony w uwielbienie przyrody, nad jej głębiami ukojenie znajdował, teraz, cichy, pokorny, łagodny, zarzucił myśli o buncie i walce, przestał się wadzić z Bogiem, uprawia miłość czynną. Krzyk jednak jego bólu pozostanie o wiele donośniejszy. Dla tej wszechludzkiej poezji znalazł on najbardziej rodzime, swojskie tony, żyje w nich przyroda polska, wolna od wszelkiego egzotyzmu, sztuczności, stylowości. Jest to liryka religijna, ale żywiołowa; gardzi pięknością formy, w dziwaczne wygina się strofy, rymy porzuca, zbliża się silnie do prozy, ale wybucha potężnym płomieniem ekstazy, wizji mistycznej, prowadzi i rzuca pod tron Stworzyciela, aby wypłakać swe żale i troski; mimo wszelkiej rozpaczy odczuwamy siłę i stworzenia, pana nad swym losem, staczającego walki wewnętrzne i podnoszącego się z nich śmiało. I temu poczuciu odpowiadają wyrazy, chropawe nieraz aż do zgrzytu, dopiero w ostatnich utworach („Księga ubogich") bardziej harmonijne, tkliwe, serdeczne.

Od schyłkowca Tetmajera, od Prometeusza-Kasprowicza, odbiegł marzyciel Leopold Staff, lwowianin, liryk zarówno w dramatach, jak i w epopei o „Mistrzu Twardowskim". Marzyciel, jednak śni tylko o potędze i czynie, wysławia je, do nich nawołuje; przeważa

w nim refleksja, niema w nim nic żywiołowego, tytanicznego, jak u Kasprowicza, którego przewyższa wykończeniem i pięknem formy. W dźwięcznych strofach i sam prosi o moc (jakby ją z zewnątrz nadawano), i grozi zmiażdżeniem sercu, przeklętemu własną słabością, ale nierównie wymowniej maluje nastroje smętne, rozpaczliwe nawet, wzloty w świat nadziemny miarkuje refleksją, najmarniejsze przeżycia wyolbrzymia, nadając im nieraz potworne znaczenie. Nie sama rezygnacja z niego przemawia; stara się ją przezwyciężyć, wieszczy pochód zwycięski miłości i prawdy; jako przedewszystkiem wirtuoz nielada roztacza w formie skończonej obrazy przyrody, chociaż nigdy niekreślone dla nich samych, zawsze oparte o myśl i duszę, o dolę a głównie niedolę ludzką, najpiękniejsze, jeżeli ciche, wonne i słoneczne. Liryka refleksyjna dosięgła szczytów pod jego piórem.

Tych liryków Młodej Polski, panów i pań, niesposób zliczyć. Niejedni sprzeniewierzyli się wkońcu zupełnie poezji, taki np. Andrzej Niemojewski, piszący swe wiersze młodzieńcze z temperamentem iście sarmackim; żaden „futurysta" ani ekspresjonista nie dorównałby szalonej ekspresji jego „Branki". Pierwszy też wyśpiewał nie jeden wiersz, jak np. Czerwiński swój „Czerwony Sztandar", lecz cały cykl o „Polonia irridenta", gotującej się do walki w podziemiach i fabrykach, u górników i robotników. Od poezji przeszedł do publicystyki, aby zwalczać w „Myśli Niepodległej" i Żydów i Chrystusa, którego cudy w sposób, godny racjonalistów ośmnastego wieku, już dawniej odarł z tajemnicy w skonfiskowanej czasowo „Legendzie".

Niektórzy lirycy wtórowali Konopnickiej (właśnie Niemojewski); inni Kasprowiczowi, między nimi najsilniej ksiądz Antoni Szandlerowski, mistyk-ekstatyk, wymieniający miłość ziemską na nadziemską, w wizjach

i słowach płomiennych tęskniący do państwa Parakletowego. Liczne autorki nie wniosły nowego własnego tonu, podziwiamy nastrojowe strofy Maryli Wolskiej w „Symfonji jesiennej“ albo piękne przekłady liryki francuskiej Bronisławy Ostrowskiej: obie pozostają wierne kobiecości marzącej, cichej, łagodnej.

Osobliwszą zasługę Młodej Polski stanowi zbogacenie literatury pięknej wybornemi przekładami. Pseudoklasycy tłumaczyli niegdyś wyłącznie rzeczy francuskie (nawet Anglików i Niemców także tylko z przekładów francuskich); romantycy i realiści mało o przekłady dbali; pozostaliśmy wtyle za Czechami nawet, cóż dopiero za Rosją. Przewrotu i na tem polu dokonała nowa sztuka, wywodząca się przecież z podniet zagranicznych; Miriam (Przesmycki) w dziełkach osobnych i w „Chimerze“ (jedynem u nas wydawnictwie modernistycznem i artystycznem, któremu już późniejszy „Sfinks“ nie dorównał), zapoznawał publiczność z liryką, epiką, dramatem modernizmu, począwszy od Francuzów i Belgów, a skończywszy na Czechach, Zeyerze i Vrchlickim; za nim szli A. Lange i in. Rozmiarami i mistrzostwem przekładów wyrośli nad wszystkich poprzedników (od Przybylskiego i Dmochowskiego począwszy), J. Kasprowicz (przekłady licznych Anglików i tragików greckich) i Edward Porębowicz (przekłady z literatur romańskich przeważnie obok znakomitych spolszczeń Dantego i „Don Juana“); Boy (Żeleński) wzorowo odtwarza nowszych Francuzów (od szesnastego wieku, Molière i in.); na przyswojenie Nietzschego złożyło się kilku spółpracowników; nawet Rosjan wprowadzono na tę biesiadę duchową, chociaż nierównie rzadziej tłumaczono ich wierszem niż prozą.

Dopiero za czasów Młodej Polski zjawili się również pierwsi krytycy-estetycy, krytycy-filozofowie, krytycy-publicyści i zastąpili profesorów literatury, filologji

i wszelkich innych dyletantów. Same rozprawy teoretyczne-programowe o nowej sztuce, nawiązywanie jej i wywodzenie od sztuki europejskiej, tłumaczenie jej celów i sposobów, zwalczanie jej albo obrona — wywoływały coraz nowe dyskusje o zadaniu sztuki, o jej roli w życiu, o jej właściwem posłannictwie i sami twórcy (Miriam-Przesmycki, Przybyszewski) zabierali głos obok krytyków, wnoszących nieraz bardzo subjektywne oceny, ale wypowiadane w stylu oryginalnym, z przejęciem i zgłębieniem, obcem zupełnie dawnej pseudokrytyce.

Z liczby krytyków wyróżnili się dwaj pisarze, niegdyś sobie bardzo bliscy a wkońcu bardzo przeciwni: Stanisław Brzozowski i Wilhelm Feldman. Obaj socjaliści, którzy jednak później, gdy je dokładniej poznali, sprzeniewierzyli się owemu bożyszczu młodzieży. Szczególnie stanowczo uczynił to Feldman.

Brzozowski, myśliciel-filozof, nietylko przedwczesnym zgonem przypomina Maurycego Mochnackiego. Zapalny entuzjasta, wielbiciel Marksa, proletarjatu, zasad walki klasowej, nie zasklepił się w deptaku materjalistycznej historjozofji; mimo to ubóstwiał dalej Marksa, który niegdyś za niego myślał; co mu się zaś w Marksie nie podobało, spychał na Engelsa, który niby to Marksa „wypaczył". Jak z Marksem, tak też i postępował z każdym innym myślicielem, przerabiając go na swój ład; tak samo dowolnie traktował i każdego twórcę. Najwyraźniej ze wszystkich znajdował się pod wpływem rosyjskim i dopiero pod koniec życia przejrzał słabość owego rozmachu rosyjskiego, który w imię logiki bezdusznej, ale programowej wyrzeka się historji i życia samego. Potępiał więc stale tradycyjną zmurszałość polską i wypowiedział walkę romantyzmowi dawnemu i nowemu, jako produktom klasy używającej, nie wytwórczej, bo cenił tylko pracę mięśni, jakby ona wznieść mogła ludz-

kość bez pracy ducha. Stąd jego ataki i na Sienkiewicza i na Młodą Polskę, którą najdowolniej o wygodne, próżniacze unikanie pracy oskarżał. Radykał, apostoł proletarjatu i jego roli zbawczej dla ludzkości, uwielbiał pracę, upatrywał w niej cel i zmysł wszechżycia i jej apoteozą świetlaną olśniewał nowicjuszów i starców (Chlebowskiego, Baranowskiego, Zdziechowskiego). Po drodze swego rozwoju zapalał się kolejno do Fichtego i do filozofji niemieckiej, to do Bergsona i Sorela, aż trafił na neokatolika Neumanna; każdym się przejmował, t.j. każdego formował na swój ład. Powoli wkroczył i on na drogę do Damasku, ale do końca jej nie przeszedł — przeszkodziła w tem śmierć. Jego studja i krytyki literackie, bardzo ciekawe, zmuszają do myślenia, są wymowne, lecz mało się liczą z treścią uchwytną; najobszerniejsze jego dzieło, „Legenda Młodej Polski", jak najmniej o niej mówi, służy tylko propagandzie idei autora. W służbę tej idei wprzągł i swoje powieści, płomienne, jak wszystko, co pisał, ale źle zbudowane, uwzględniające nie ludzi lecz kategorje, od apoteozy wszystkiego co rosyjskie począwszy („Płomienie"), aż do łamania laski nad „świadomym socjalizmem" w „Książce o starej kobiecie". Gorący patrjotyzm jego, chęć służenia wyłącznie Polsce nie ulegają wątpliwości, ale drogi jego dziwnie się załamywały.

Prawdziwym tłumaczem dążeń Młodej Polski okazał się Feldmann, krytyk, publicysta, działacz społeczny, beletrysta a wkońcu i historyk czyto ruchu politycznego, czy umysłowego, autor znakomitej „Współczesnej literatury polskiej 1869—1917". Socjalista, ale nie apoteozujący ani proletarjatu, ani walki klasowej, natomiast, jak Wyspiański, głoszący niezawisłość państwową jako jedyny najbliższy cel, przygotowujący ją pismami i działaniem, zrzucił wcześnie i gruntowniej od Brzozowskiego marksowskie więzy myśli; wrażliwość na piękno w każdej formie,

wszechstronność wykształcenia tego samouka o niesłychanej wytrwałości w pracy, jego rozwinięty zmysł estetyczny wysunęły go niebawem na czoło krytyków i złożyły się na znakomite zewszechmiar dzieło, syntezę jego trudu życiowego. Wystarczy przeczytać kartki, na których broni Młodej Polski i przed atakami lewicowemi, ze strony Brzozowskiego, i przed prawicowemi, ze strony utalentowanego krytyka — zachowawcy Adama Siedleckiego, aby ocenić trafność, bezstronność jego poglądów, entuzjazm dla prawdziwej sztuki, odsuwanie wszelkich jej surogatów partyjnych i koteryjnych. Silne jego wycieczki przeciw fałszywym autorytetom na każdem polu zjednały mu wielu przeciwników, którzy chętnie umniejszyliby lub zlekceważyli jego zasługi, ale „Literatura" jego pozostanie dziełem niepożytej wartości, pomnikiem pięknej, szlachetnej duszy idealisty, najcenniejszą analizą Młodej Polski, przeprowadzoną nie dla mody, nie dla schlebiania czyimś instynktom, lecz dla sympatycznego wmyślenia się w nią w imię haseł i ideałów wiecznych. Wobec tych prac syntetycznych ustępują na dalszy plan zasłużone skądinąd studja i szkice I. Matuszewskiego, wykazującego trafnie, co Słowackiego z nową sztuką łączy; Lorentowicza, wykształconego na krytyce francuskiej; A. Potockiego, imponującego w luźnych szkicach, nie w całokształcie nowej literatury; Wł. Jabłonowskiego, znawcy i krytyka literatury rosyjskiej jako wyrazu duszy rosyjskiej; A. Nowaczyńskiego („Wczasy literackie" 1906 r. „Szkice literackie" 1918 r.) o stylu świetnym a szerokim zakresie.

Powoli wyczerpywała się siła podniet, jakie dostarczała Młoda Polska; śmierć sprzątała nielitościwie jednych; drudzy zaczynali się powtarzać albo przerzucać na pole, mniej odpowiednie dla ich zdolności. Próby przesadzania na nasz grunt niepodatnej sztuki najnowszej, włoskiej,

francuskiej, rosyjskiej, ich futuryzmu i t. p. powodzenia nie miały. Tego, o co się literatura ani kusić nie mogła, dokonał nagły przewrót w świecie, wywołany wielką wojną. Miejsce literatury zajęły narazie odezwy, biuletyny, programy; ruch literacki przymarł, miesięczniki najdawniejsze (Bibljoteka Warszawska i in.) przestano wydawać; jedynie liryka i nowela wojenna budziły zajęcie, aż wskutek zniknięcia niemal spółczesnego wszystkich trzech państw rozbiorowych (czego i najśmielsza fantazja wymarzyćby nie zdołała) wyłoniła się nowa, niepodzielna, państwowa Polska, wytworzyły się z gruntu nowe, nierównie pomyślniejsze i dla literatury warunki. Musiały się jednak wpierw zabliźnić okropne straty i ofiary w ludziach i zasobach; kraj, wyniszczony w walkach (a po światowej wojnie wybuchły i domowe, we Lwowie, na Litwie wileńskiej i z bolszewikami), musiał odetchnąć swobodniej, zanim się życie prawidłowszym mogło potoczyć torem. Literatura tego międzyczasu spółtworzy jego dzieje, lecz nie sposób jej jeszcze ująć pod historycznym kątem widzenia.

Odmieniło się teraz najwidoczniej jej zadanie. W dziewiętnastym wieku, po utracie państwowości, ona utrzymywała, jedyna niemal, poczucie łączności, hamowanej kordonami w trzech zaborach. Gdy wszelkie nadzieje zawiodły, a ofiary największe daremnie spłonęły, ona objęła ster dusz i myśli, odwracała wzrok od nędzy i upodlenia codziennego, krzepiła wytrwałość i otuchę, prowadziła dalej walkę duchową. Utożsamiła się z narodem i w tem spłynięciu się z nim największych dokonała cudów; genjuszów poezji wydał z siebie naród wtedy, gdy właśnie o jego żywotności powątpiewano i pozbawiano go najświętszych praw. Wynikła z tego pewna jednostronność i wyłączność tej wielkiej poezji o jednej myśli o ojczyźnie, ale to samo nadawało jej zarazem największe

znaczenie, wynosiło ją wysoko ponad wszelką przeciętność: poezja zespoliła się u nas z narodem (jak i w Irlandji, będącej podobnie w niewoli, dla tych samych powodów), i wyrażała go najpełniej, najswobodniej. W tem leży jej największa zasługa; obok walk 1831 i 1863 roku, które wstrząsnęły kajdanami, przyczyniła się ona najdzielniej, najskuteczniej do ocalenia samopoczucia i samowiedzy narodowej; służbę ideałom przepowiadała niewzruszenie, o przyszłej sprawiedliwości, mimo zgubnych niszczących pozorów, nigdy nie zwątpiła i wiarę tę niezachwianą wpajała w pokolenia. Skutek uwieńczył jej wieszczenia. Patrjotyzm, ofiarność, zaparcie się siebie — były to jej hasła, w imię tych haseł walczyła stale i dopiął naród celu upragnionego, a literatura mogłaby zawołać za Szymonem w świątyni: „Odejdę, bo obaczyły oczy moje zbawienie", gdyby nie nowe zadania, co na nią czekają. Obyż ona włożyła w nie tyle ognia i poświęcenia, co dawniej; oby nie zatraciła szczytnej tradycji, wiążącej ją z przeszłością; oby przyczyniła się walnie do rzucania trwałych pomostów dla przyszłego, wyższego życia!

I N D E K S

Anczyc — 117
Asnyk — 98—99

Bałucki — 104
Berent Wacław — 149—150
Bernatowicz Feliks — 12, 31
Berwiński R. — 93
Bliziński Józef — 116—117
Bolesławita p. Kraszewski
Boy p. Żeleński
Brodziński Andrzej — 14
Brodziński Kazimierz — 14—18
Brzozowski Stanisław L. — 147—148, 160—161

Chmielowski Piotr — 121—122
Chodźko Ignacy — 82
Czajkowski Michał — 64

Daniłowski Gustaw — 153
Deotyma p. Łuszczewska
D-mol p. Wolska
Dygasiński Adolf — 120

Elpidon p. Bałucki
El...y p. Asnyk

Faleński Felicjan — 99
Feldman Wilhelm — 161—162
Feliński — 18
Fredro Aleksander — 67—71
Fredro Jan A. — 116

Gabryela p. Żmichowska
Gałecki Andrzej — 152—153
Garczyński Stefan — 61
Gawalewicz Marjan — 120
Gąsiorowski — 142
Głowacki Aleksander — 112—113
Godebski Cyprjan — 14
Gorczyński B. — 137
Goszczyński — 28—30, 62
Grabowski Michał — 121
Grubiński Wacław — 137
Gruszecki Artur — 142

Hoffmanowa — 31

Irzykowski — 154

Jabłonowski Wł. — 162
Jeż p. Miłkowski

Jordan p. Wieniawski
Junosza p. Szaniawski

Kaczkowski Zygmunt — 73—74
Kasprowicz Jan — 156—157
Kawecki — 135
Kiedrzyński — 137
Kisielewski Jan A. — 135
Konar — 142
Kondratowicz Ludwik — 82—83
Konopnicka Marja — 100
Konczyński T. — 138
Korzeniowski Józef — 85—87
Koźmian Kajetan — 9
Krasiński Zygmunt — 55—61
Kraszewski — 79—82, 101—103
Kropiński Ludwik — 12
Krzywoszewski Stefan — 137

Lam Jan — 104
Lange Antoni — 159
Lemański Jan — 150
Lenartowicz Teofil — 87—88
Litwos p. Sienkiewicz
Lorentowicz — 152

Łoziński Władysław — 124
Łuszczewska Jadwiga — 91—92

Maciejowski Ignacy — 105, 141
Malczewski Antoni — 26—27
Małecki Antoni — 123
Marcinowska Jadwiga — 141
Maskoff p. Zapolska
Matuszewski Ign. — 162
Miciński Tadeusz — 138—141
Mickiewicz Adam — 19—26, 38—41
Miłkowski — 103
Miriam p. Przesmycki
Mochnacki Maurycy — 30
Morawski Fr. — 93
Mostowska — 11

Nałkowska Zofja — 154
Narzymski Józef — 117
Niemcewicz Juljan Ursyn — 10—13
Niemojewski A. — 158
Norwid Cyprjan — 88—90
Nowaczyński Adolf — 136—137

Odyniec Edward — 83—84
Okoński p. Świętochowski
Orkan — 151—152
Orzeszkowa Eliza — 109—111
Ostrowska Br. — 159

Perzyński Włodz. — 137
Pilat Roman — 123
Pol Wincenty — 71—73
Porębowicz Ed. — 159
Potocki A. — 162
Prus p. Głowacki
Przesmycki — 159
Przybyszewski Stanisław — 133—135

Rapacki Wincenty — 115
Reklewski — 14
Reymont Władysław — 142—144
Rittner Tadeusz — 138
Rodziewiczówna Marja — 120
Romanowski Mieczysław — 76—77
Rydel Lucjan — 138
Rzewuski Henryk — 78—79

Sewer p. Maciejowski
Siedlecki Artur — 162
Siemieński Lucjan — 122
Sienkiewicz Henryk — 105—108
Sieroszewski Wacław — 151
Sirko p. Sieroszewski
Słowacki Juljusz — 41—55
Smreczyński p. Orkan
Sowa p. Żeligowski
Sowiński Leonard — 98
Spasowicz Włodzimierz — 123
Staff Leopold — 157—158
Strug p. Gałecki
Świętochowski — 117—120
Syrokomla p. Kondratowicz
Szandlerowski Antoni — 158
Szaniawski — 104
Sztyrmer — 84
Szujski Józef — 115
Szymański Adam — 120—121

Tańska p. Hoffmanowa
Tarnowski Stanisław — 122
Tetmajer Kazimierz — 154—156
Tretiak Józef — 122
Tyszyński Aleksander — 121

Ujejski Kornel — 74—75

Wasilewski Edmund — 77
Weyssenhoff Józef — 149—150
Wieniawski — 104
Wierzbiński Maciej — 154
Wilczyński — 104
Wirtemberska ks. — 11
Wolska — 141, 159
Wolski — 87
Woronicz — 13
Wybicki — 14
Wyspiański Stanisław — 129—133

Zacharyasiewicz Jan — 104
Zaleski Bohdan — 27—28, 62—63
Zalewski Kazimierz — 117
Zapolska Gabrjela — 113—115
Zdziechowski Kazimierz — 154
Zieliński Gustaw — 90
Zmorski Roman — 87
Zych p. Żeromski

Żeleński — 159
Żeligowski — 84
Żeromski Stefan — 144—147
Żmichowska Narcyza — 90—91
Żuławski — 135, 136

SPIS RZECZY

Str.

Rozdział pierwszy. KLASYCY I ROMANTYCY (1815 — 1830) 7

Rozdział drugi. WIELKA LITERATURA NARODOWA NA EMIGRACJI:

Emigracja. Mickiewicza „Księgi narodu", „Dziady III", „Pan Tadeusz". Słowacki. Krasiński. Powieść. Znaczenie tej poezji 32

Rozdział trzeci. LITERATURA W KRAJU (1831—1863):

Dzielnice: Galicja (Fredro, Pol, Kaczkowski, Ujejski, Romanowski). Kraje zabrane (pentarchja Tygodnika Petersburskiego; Kraszewski, Chodźko, Kondratowicz). Królestwo (Korzeniowski; cyganerja; Lenartowicz, Norwid; Kobiety). Poznań. Emigracja 66

Rozdział czwarty. REALIZM (1863 — 1890):

Zwrot przeciw romantyzmowi w pracy narodowej i literaturze. Nowe tory. Poezja: Asnyk, Konopnicka. Powieść: Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus. Dramat: Bliziński, Świętochowski. Krytyka 96

Rozdział piąty. MŁODA POLSKA (1890 — 1914):

Nowy romantyzm. Wyspiański i Przybyszewski; tragedja i komedja. Miciński. Powieść: Reymont, Żeromski, Berent i in. Liryka: Tetmajer, Kasprowicz i in. Krytyka: Brzozowski, Feldman. Zakończenie 126

Indeks nazwisk 165